



Czasem najważniejsze walki to te,  
których nie spodziewamy się  
wygrać



# PIEŚŃ Dawida

# AMY HARMON

Autorka bestsellerów „New York Timesa”

Amy Harmon

Pieśń Dawida

Tytuł oryginału: The Song of David

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: 978-83-283-2234-9

Copyright © 2015 by Amy Harmon

All rights reserved.

Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book.

Polish edition copyright © 2016 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)

- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

WOJOWNIKOM I WOJOWNICZKOM:

CODY'EMU CLARKOWI

STEPHANIE THOMAS

RICHARDOWI STOWELLOWI

I NICOLE RASMUSSEN

ORAZ TYM WSZYSTKIM, KTÓRZY WALCZYLI U ICH BOKU

# Prolog

## Mojżesz

MILLIE ZADZWONIŁA DO MNIE wczoraj rano. Tag zniknął. Przepadł, a ona nie miała pojęcia, gdzie mogłaby się za nim rozejrzeć, nawet gdyby była w stanie. Tag wiedział, że Millie nie będzie mogła go szukać, a takie zniknięcie nie było w jego stylu. On nie był okrutny. Nigdy.

Gdy przedstawił mi Millie, wiedziałem, że znalazł kogoś, kto jest w stanie utrzymać go w miejscu i pomóc mu w kieżnaniu jego demonów. Millie z przyjemnością łagodziła jego zawikłaną naturę i zmuszała go do zwolnienia tempa, a Tag w zamian kochał ją tak, jak tylko on potrafił. Wydawali się sobie przeznaczeni, mimo że nie wierzę w te bzdury o losie. Biorąc pod uwagę to, co widzę i wiem, powinienem w to wierzyć, ale świadomość istnienia olbrzymiej ilości niezrozumiałych zjawisk wyrobiła we mnie niechęć do myślenia w kategoriach losu, przeznaczenia lub tego, że „tak miało być”. Mówienie, że „tak miało być”, to wykręt. Ludzie mówią tak, gdy coś spieprzą lub gdy życie podsunie im wyjątkowo gorzką czekoladkę. Jeśli coś „tak miało być”, to znaczy, że nie mamy nad tym kontroli, że nie jesteśmy tego przyczyną i że zdarza się to niezależnie od tego, kim jesteśmy. Jak wschód słońca, śnieżyca i klęski żywiołowe. Nigdy natomiast nie wierzyłem, że ciężka dola lub cierpienie są kwestią losu. Nigdy nie wierzyłem, że związki są kwestią losu. To my dokonujemy wyboru. W większości przypadków należy on do nas. To my tworzymy, my popełniamy błędy, my palimy mosty i budujemy nowe.

Ale Tag był inny. Tag był niczym los. Po prostu był. Jak trąba powietrzna, tornado, którego się nie da kontrolować. On po prostu wciągał cię do środka, lecz w przeciwieństwie do klęski żywiołowej, nigdy nie ustępował. Nigdy cię nie wypuszczał. Lecz teraz niespodziewanie to zrobił. I zniknął.

Trzy lata temu wróciliśmy z Tagiem do Salt Lake i tam osiedliśmy. Początkowo bałem się, że Tag nie zdoła usiedzieć w miejscu i że będę musiał pozwolić mu odejść. Zawsze był niespokojny, uparty i łatwo się nudził. Zresztą po sześciu latach na walizkach taki tryb życia wchodzi w krew. Ruch, prędkość, wolność. Trudno zostać w jednym miejscu na dłużej. Ale nie miał wyjścia. Obaj nie mieliśmy wyjścia. Uciekliśmy razem, niczym zagubieni chłopcy w poszukiwaniu Nibylandii, i jakimś cudem wróciliśmy do punktu wyjścia jako mężczyźni.

Tag się tu odnalazł i zaktywizował cały fragment ulicy, który stał się drugim domem dla ludzi poznanych i przygarniętych podczas jego podróży. Ja zbudowałem sobie reputację i poszerzyłem klientelę, potem niemal zostałem

zabity, aż w końcu wróciłem do Georgii i przekonałem ją, żeby mnie poślubiła. Sześć miesięcy temu urodziła się nasza córka Kathleen. Tag płakał, gdy po raz pierwszy wziął ją na ręce, kompletnie nie przejmując się tym, że to zachowanie nie przystoi twardzielowi. Wydawał się taki szczęśliwy. Spełniony.

A teraz, nie wiedzieć dlaczego, zniknął.

Zostawił Millie. Zostawił Tag Team, swoje interesy, swoje plany walki o tytuł. Zostawił mnie. To wszystko nie miało żadnego sensu. Jeśli były jakieś znaki, to ja ich nie widziałem. A jestem człowiekiem, który powinien widzieć to, czego inni nie widzą. Ja, Mojżesz Wright — medium, artysta, najlepszy przyjaciel — nie widziałem żadnych znaków.

\*\*\*

*Jak długo całkiem o mnie nie będziesz pamiętać?*

*Dokąd kryć będziesz przede mną oblicze?*

*Dokąd w mej duszy będę przeżywać wahania,*

*a w moim sercu codzienną zgryzotę?*

*Jak długo mój wróg nade mnie będzie się wynosił?*

*Spojrzyj, wysłuchaj,*

*oświeć moje oczy,*

*nie daj zasnąć w śmierci,*

*by mój wróg nie mówił, że mnie pokonał.*

*Psalm 13 — Pieśń Dawida*

\*\*\*

# Jeden



## Mojżesz

TAG NIE ZOSTAWIŁ żadnego listu, a jego mieszkanie było czyste. Nawet nie tyle czyste, ile opróżnione, popakowane w kartony i z reklamą biura nieruchomości w oknie. Tag nie był zbyt schludnym człowiekiem, co zapewne musiałyby zmienić, gdyby Millie się wprowadziła. Za porządek zwykle odpowiadała jego gosposia, ale gdy do niej zadzwoniłem, o niczym nie wiedziała. Nikt nie wiedział. Tag nie powiedział nikomu, że odchodzi. Jego mieszkanie było wystawione na sprzedaż, a samochód zniknął. Razem z nim. I Tag nie zostawił żadnego adresu korespondencyjnego.

Zostawił za to na siłowni kopertę z imieniem Millie. W środku były klucze: jeden do jej mieszkania, drugi do obiektu treningowego, trzeci do baru, czwarty do szafki na akta w jego biurze w siłowni. Zajęło nam trochę czasu, zanim dopasowaliśmy poszczególne klucze do odpowiednich zamków. Ale jakoś nie wierzyłem w to, że bawił się z nami w ciuciubabkę, bo to także nie było w jego stylu. On po prostu nie chciał, żebyśmy go znaleźli. A to cholernie mnie przerażało.

W najwyższej szufladzie szafki na akta znajdowało się pudło po butach pełne kaset magnetofonowych. Każda z nich była oznaczona imieniem Taga, numerem i wypukłą nalepką. W pudle znajdował się też mały magnetofon. Taki z przyciskami na końcu i głośnikiem na wierzchu, przypominający trochę fortepian.

Gdy spytałem Millie, czy wie coś o tych kasetach, zaskoczona przebiegła po nich palcami, a potem przytaknęła.

— Musiał to dostać od mojego brata Henry'ego. Henry od zawsze miał ten magnetofon w pokoju. Używał go, żeby bawić się w komentatora sportowego i nagrywać własne relacje z rozgrywek. Oglądał mecze z ojcem i mówił do magnetofonu, jakby był jakimś Bobem Costasem. Mama przed śmiercią kupiła mu dyktafon cyfrowy, ale Henry niczego nie wyrzucał. To on musiał dać go Tagowi.

Tag lubił rzeczy, których dało się dotknąć. Podobnie Millie. Ona musiała dotykać rzeczy, żeby je zobaczyć. On potrzebował dotyku, żeby poczuć więź. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak wkłada taśmy i gada bez końca, żeby przekazać swoje



myśli. Opowiadanie w ten sposób historii i śmianie się z nich było jednym wielkim żartem. Próbowałem się na niego rozgniewać, ale wiedziałem, że tak naprawdę zostawił taśmy, gdyż tylko w ten sposób mógł pozostawić Millie wiadomość. Tylko w ten sposób była w stanie bez pomocy osób z zewnątrz dowiedzieć się, co chciał jej przekazać.

— Wiesz, jak się z tego korzysta, prawda? — spytałem.

Przytaknęła.

— Myślę, że one są dla ciebie, Millie — powiedziałem.

— Oznaczył taśmy — szepnęła. — Oznaczył je, żebym wiedziała, w jakiej kolejności ich słuchać.

— Chodzi o nalepki?

Znowu przytaknęła.

— Tak. Mam je na wszystkich ubraniach, a w sypialni trzymam całe pudełko takich nalepek. Liczby, litery, słowa. Chyba zwrócił na to uwagę, gdy mu je pokazałam.

— Tag zawsze zwraca uwagę. Może ci się wydawać, że nie, bo jest niespokojny. Bo się wierci. Ale nic mu nie umyka.

Wargi Millie zaczęły się trząść, a z jej oczu popłynęły łzy. Odwróciłem wzrok, chociaż nie było takiej potrzeby.

Usłyszałem, że wyciąga taśmę, wsuwa ją do magnetofonu i przyciska „play”. Słuchałem do momentu, gdy ciszę wypełnił głos Taga. Wzdrygnąłem się i uśmiechnąłem jednocześnie, bo nie mogłem się zdecydować, czy jestem na niego wściekły, czy się o niego boję. Pomyślałem, że Tag przypuszczalnie wolałby, żebym nie słyszał, co ma do powiedzenia Millie, więc otworzyłem drzwi biura, żeby zostawić ją samą. Natychmiast rozległo się kliknięcie przycisku „stop”, które przerwało opowieść Taga o jego barze. Wiedziałem wszystko o jego interesach i nie musiałem o tym słuchać, ale Millie miała inne zdanie.

— Mojżesz? Proszę, nie wychodź. Chcę, żebyś słuchał ich ze mną. Ty najlepiej go znasz. Wiesz o nim to wszystko, co ja chciałabym wiedzieć. I jesteś jego najlepszym przyjacielem. Musisz tego posłuchać ze mną, żeby mi nic nie umknęło. A potem musisz mi pomóc go znaleźć.



POZNAŁEM DAWIDA TAGGERTA, gdy miałem osiemnaście lat, w szpitalu psychiatrycznym. W Montlake. Po raz pierwszy spojrzałem mu w oczy podczas sesji terapeutycznej, na której nad jego ramieniem unosiła się zmarła siostra. Spytałem go, czy zna Molly. Tak miała na imię. Molly. Jego nieżyjąca siostra.

Wpadł w furję, podbiegł do mnie, przewrócił mnie na podłogę, a potem, trzymając za gardło, domagał się szczegółów, dopóki nie rozdzielili nas sanitariusze.

Niezbyt obiecujący początek znajomości.

W szpitalu znaleźliśmy się z różnych powodów. Ja zostałem tam umieszczony przez ludzi, którzy się mnie bali, a Tag przez ludzi, którzy go kochali. Ja widziałem martwych ludzi, a on chciał umrzeć. Byliśmy młodzi, samotni i zagubieni, a ja nie chciałem być znaleziony. Pragnąłem uciec na koniec świata, żeby śmierć musiała mnie gonić.

Tag chciał po prostu zrozumieć świat.

Może chodziło o to, że obaj byliśmy młodzi. Może o to, że obaj siedzieliśmy w psychiatryku i niespecjalnie paliliśmy się do wyjścia. A może o to, że Tag ze swoim nosowym głosem i kowbojską osobowością był zupełnie inny niż ja. Niezależnie od powodu połączyła nas swego rodzaju przyjaźń. Możliwe, że dlatego, że on mi wierzył. Bez wahania. Bez zastrzeżeń. Bez osądzania. Wierzył mi i nigdy wierzyć nie przestał.

Tag i ja zostaliśmy na trzy dni umieszczeni w izolatkach za bójkę w trakcie sesji terapeutycznej i obaj mieliśmy zakaz wychodzenia. Trzeciego dnia odosobnienia Tag wparował do mojej izolatki i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzałem na niego złowrogo. Zdziwiło mnie, że drzwi były otwarte. Sam nawet nie spróbowałem ich otworzyć. Było mi głupio, że siedziałem trzy dni w pokoju z otwartymi drzwiami.

— Patrolują korytarz co kilka minut i tyle. To było wyjątkowo proste. Powinienem być przyjsć wcześniej — stwierdził, siadając na moim łóżku. — Jestem Dawid Taggert, nawiasem mówiąc. Ale możesz mi mówić Tag. — Nie przeprosił za duszenie mnie i nie zachowywał się, jakby chciał to powtórzyć, co mnie rozczarowało.

Jeśli nie zamierzał się bić, to wolałem, żeby sobie poszedł. Bez słowa wróciłem do rysunku, nad którym pracowałem. Czułem obecność jego siostry. Jej obraz migotał za ścianami wody. Westchnąłem ciężko, bo miałem już dość Molly. A jeszcze bardziej miałem dość jej brata. Oboje byli niewiarygodnie uparci i odpychający.

— Jesteś stukniętym skurwielem — obwieścił bez ogródek.

Nawet nie podniosłem głowy znad rysunku, który wykańczałem ogryzkiem ołówka woskowego. Starąłem się zapewnić sobie stałe dostawy. Moje zapasy zbyt szybko się kończyły.

— Tak mówią ludzie, prawda? — ciągnął. — Że jesteś stuknięty. Ale ja tego nie kupuję, stary. Już nie. Ty nie jesteś stuknięty, tylko masz zdolności. Szalone

zdolności.

— Szalone, stuknięte. Czy to przypadkiem nie to samo? — mruknąłem. Geniusz i szaleństwo są sobie bliskie. Zastanawiałem się, o jakich zdolnościach mówił, bo przecież nie widział, jak maluję.

— Nie, stary — odparł. — To nie to samo. Stuknięci ludzie muszą siedzieć w takich placówkach. A ty tu nie pasujesz.

— Chyba jednak pasuję.

Zaśmiał się, wyraźnie zaskoczony.

— Uważasz, że jesteś stuknięty?

— Nie, że jestem pęknięty.

Tag przechylił głowę w zadumie. Milczałem jednak, więc przytaknął.

— No dobrze. Może wszyscy jesteśmy pęknięci. Lub skrzywieni. Ja na pewno taki jestem.

— Dlaczego? — spytałem. Molly znowu unosiła się nad nami, więc zacząłem rysować szybciej, wypełniając kartkę wizerunkiem jej twarzy.

— Moja siostra zniknęła. To moja wina. Nie wyjdę na prostą, dopóki się nie dowiem, co się z nią stało. Będę skrzywiony na zawsze — wyznał tak cicho, że nie wiedziałem, czy ostatnie zdanie mówi do mnie, czy do siebie.

— To twoja siostra? — spytałem niechętnie, podnosząc szkicownik.

Tag patrzył w milczeniu. Wstał. Usiadł z powrotem. W końcu przytaknął.

— Tak — wykrztusił. — To moja siostra.

A potem mi o wszystkim opowiedział.

Jak się okazało, jego ojciec pracował w branży rafineryjnej, chociaż zawsze pragnął zostać ranczerem. Gdy Tag zaczął się pakować w kłopoty i upijać co weekend, jego ojciec kupił pięćdziesięcioakrowe ranczo w hrabstwie Sanpete w Utah i przeprowadził się tam z całą rodziną. Był przekonany, że jeśli odsunie Taga i jego starszą siostrę Molly od starego towarzystwa, uda mu się sprowadzić ich na dobrą drogę.

Dzieci jednak wcale nie zaczęły rozkwitać, tylko się zbuntowały. Siostra Taga uciekła z domu i słuch o niej zaginął. Tag próbował nie pić, lecz nawet gdy tego nie robił, zżerało go poczucie winy. W końcu targnął się na własne życie. Kilka razy. I tak trafił do psychiatryka i poznał mnie.

Milczałem, pozwalając mu się wygadać. Niestety, o jej śmierci wiedziałem dokładnie tyle, ile on, czyli nic. Nie takimi informacjami dzielili się ze mną zmarli. Oni pokazywali mi swoje życie, a nie śmierć. Nigdy nie pokazywali mi śmierci. Gdy Tag skończył mówić, spojrział na mnie ze smutkiem i spytał:

— Ona nie żyje, prawda? Skoro ją widzisz, to znaczy, że nie żyje.

Przytaknąłem. On też przytaknął, przyjmując moją odpowiedź bez dyskusji, z opuszczoną głową, a ja poczułem, że trochę go szanuję. Pokazałem mu więc to, co pokazywała mi Molly, przenosząc na papier wszystkie obrazy, które widziałem, gdy była w pobliżu.

Potem Tag opowiedział o mnie swojemu ojcu, który, powodowany desperacją, przygnębieniem lub zwykłym pragnieniem uspokojenia swojego niewzruszonego syna, zatrudnił faceta z psami, żeby przeczesać opisany przez Taga teren. Psy szybko złapały jej zapach i znalazły jej szczątki. Tak po prostu. W płytkim grobie obłożonym kamieniami i gruzem, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym namalowałem jej uśmiechniętą twarz, odkryto ciało Molly Taggart.

Tag płakał, gdy mi o tym powiedział. Potężny, druzgocący szloch, który wstrząsał jego ciałem i od którego czułem bolesne napięcie w żołądku. Pierwszy raz w życiu zrobiłem coś takiego. Pomogłem komuś. Znalazłem kogoś. Po raz pierwszy moje zdolności, jeśli tak można je nazwać, do czegoś się przydały. Ale Tag na tym nie poprzestał.

Pewnej nocy po zgaszeniu świateł przemknął do mnie przez korytarz, niezauważony jak zawsze, szukając odpowiedzi, których nikt z pracujących tu osób nie był w stanie mu udzielić, a które ja według niego mogłem dla niego mieć. Tag łatwo się weselił, łatwo się wściekał, łatwo przebaczał i łatwo go było sprowokować. Nic nie robił na pół gwizdka. Miałem czasem wrażenie, że ta placówka jest dla niego idealna, bo utrzymuje go w ryzach. Miał też jednak cklive oblicze.

— Co się ze mną stanie, gdy umrę? — spytał.

— Dlaczego myślisz, że umrzesz? — odpowiedziałem pytaniem. Mówiłem jak jeden z naszych lekarzy.

— Jestem tu, bo kilka razy próbowałem się zabić, Mojżeszu — wyznał.

— No wiem. — Wskazałem długą bliznę na jego przedramieniu. Trudno było jej nie zauważyć. — A ja jestem tu, bo malowałem zmarłych i wzbudzałem przerażenie wszystkich żyjących, z którymi miałem kontakt.

— No wiem. — Uśmiechnął się, bo on też mnie rozgryzł, lecz jego uśmiech natychmiast zniknął. — Gdy nie piję, życie tak mnie przygniata, że nie potrafię normalnie myśleć. Nie zawsze tak było, ale teraz tak mam. Życie jest naprawdę do dupy, Mojżeszu.

— Wciąż chcesz umrzeć? — zmieniłem temat.

— To zależy. Co jest potem?

— Dalszy ciąg — odpowiedziałem wprost. — Tyle mogę ci powiedzieć. To się tak nie urywa.

— A ty możesz zobaczyć, co jest dalej?

— To znaczy? — Nie mogłem przewidywać przyszłości, jeśli o to mu chodziło.

— Czy widzisz, co jest po drugiej stronie?

— Nie. Widzę tylko to, co oni mi pokazują — odparłem.

— Oni? Czyli kto?

— Ci, którzy się przedostaną. — Wzruszyłem ramionami.

— Szepczą coś do ciebie? Potrafią mówić? — Tag też szeptał, jakby to był jakiś podniosły temat.

— Nie. Nigdy nic nie mówią. Pokazują mi tylko różne rzeczy.

Tag zadygotał i podrapał się po karku, jakby próbował zetrzeć gęsią skórę, która pojawiała się na jego plecach.

— Potrafisz zobaczyć wszystko? Całe ich życie?

— Czasem tak mi się wydaje. To może być powódź barw i myśli, z których jestem w stanie wyłapać tylko przypadkowe rzeczy, bo przelatują przeze mnie zbyt szybko. Co więcej, mogę dostrzec tylko to, co rozumiem. Jestem pewien, że oni woleliby, żebym widział więcej, ale to nie takie proste. Wszystko jest kwestią subiektywną. Zazwyczaj widzę fragmenty i części, nie zaś cały obraz. Wyrobiłem się jednak w filtrowaniu, a im lepiej mi idzie, tym bardziej odczuwam to jak przypominanie sobie i tym mniej jak bycie opętanym. — Uśmiechnąłem się wbrew sobie, a Tag potrząsnął głową ze zdumieniem.

— Mojżesz? — Wyrwał mnie z zamyślenia.

— Tak?

— Nie zrozum mnie źle... Ale jeśli, wiesz, jest coś dalej. I nie jest to złe. Ani przerażające. Nie jest to żadna zombie-apokalipsa... ani ogień i siarka... na ile oczywiście jesteś w stanie to stwierdzić... to po co tu zostawać? — Jego głos był tak cichy i tak przesiąknięty emocjami, że nie wiedziałem, czy jestem w stanie mu jakkolwiek pomóc. Nie byłem pewien, czy znam odpowiedź. Zastanawiałem się przez minutę i w końcu wpadłem na rozwiązanie, które wydawało mi się zgodne z prawdą.

— Bo wciąż będę mną, a ty wciąż będziesz sobą.

— Co masz na myśli?

— Nie jesteśmy w stanie uciec od samych siebie, Tag. Tu, tam, na drugim końcu świata czy w psychiatryku w Salt Lake City ja jestem Mojżeszem, a ty Tagiem. I to się nigdy nie zmienia. Więc albo rozwiążemy swoje problemy tu, albo tam. Ale i tak będziemy musieli je rozwiązać. Śmierć tego nie zmienia.

Przytaknął powoli, wpatrując się w moje dłonie. Rysowałem obraz, którego ani

on, ani ja tak naprawdę nie rozumieliśmy.

— To się nigdy nie zmieni — szepnął niczym echo. — Ty jesteś Mojżeszem, a ja Tagiem.

— Uhm — przytaknąłem. — I chociaż czasem jest to przykre, to niesie też ze sobą pewną pociechę. Przynajmniej wiemy, kim jesteśmy.

Nigdy więcej nie pytał o własną śmiertelność, a po tej rozmowie zyskał pewność siebie, której przypuszczalnie kiedyś miał aż za wiele. Sprawiał wrażenie, jakby planował swój następny ruch. Ja wciąż nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić.

— Co zrobisz po wyjściu? — spytał pewnego dnia przy kolacji z wzrokiem wbitym w jedzenie i z dłońmi na stole. Potrafił zjeść przynajmniej tyle samo co ja. Byłem przekonany, że obsługa kuchni w Montlake ucieszy się, gdy już sobie pójdziemy.

Nie chciałem z nim o tym rozmawiać. Nie chciałem o tym rozmawiać z nikim. Patrzyłem więc uporczywie na lewo od głowy Taga, za okno, żeby mu dać do zrozumienia, że jestem gotów zakończyć już tę konwersację. On jednak nie ustąpił.

— Masz prawie dziewiętnaście lat. Jesteś oficjalnie poza systemem. Gdzie pójdziesz, Mo? — Nie wiem, dlaczego uznał, że może do mnie mówić „Mo”. Nie udzieliłem mu pozwolenia. Ale on taki właśnie był. Znajdował sposób, żeby wbić się w moją przestrzeń.

Zerknąłem na niego przelotnie i wzruszyłem ramionami, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Mój pobyt liczył się w miesiącach. Boże Narodzenie, Nowy Rok, luty. Trzy miesiące w szpitalu psychiatrycznym. Żałowałem, że nie mogę zostać dłużej.

— Chodź ze mną — stwierdził Tag, rzucając chusteczkę i odsuwając tacę.

Zdumiony, odchyliłem się na krześle. Przypomniał mi się odgłos jego płaczu, to lamentowanie, które niosło się korytarzem, gdy został przyjęty na oddział. Było to niemal miesiąc po moim przybyciu. Leżałem w łóżku i słuchałem, jak próbują go uspokoić. Wtedy nie wiedziałem, że to on, dopiero później skojarzyłem fakty, gdy opowiedział mi, dlaczego tu wylądował. Przypomniało mi się też, jak na sesji, na której się poznaliśmy, skoczył na mnie z pięściami i wściekłością w oczach, niemal oszalały z bólu. Z zamyślenia wyrwały mnie jego dalsze słowa.

— Moja rodzina ma pieniądze. Zasadniczo nic więcej nie mamy, tylko całe góry forsy. A ty nie masz niczego.

Siedziałem sztywno i słuchałem. Nie mylił się, *nie* miałem niczego. Był moim przyjacielem, pierwszym prawdziwym przyjacielem... prócz Georgii. Ale nie chciałem od niego niczego. Ani tego co dobre, ani tego co złe, a Tag miał w nadmiarze i jednego, i drugiego.

— Potrzebuję kogoś, kto będzie pilnował, żebym się nie zabił. Musi to być ktoś wystarczająco rosy, żeby mnie unieruchomić, gdy postanowię się sponiewierać. Zatrudnię cię, żebyś spędzał ze mną każdą minutę, gdy nie śpię, dopóki nie wymyślę, jak wyrzucić z siebie pragnienie podcięcia sobie nadgarstków.

Zdezorientowany, przechyliłem głowę na bok.

— Chcesz, żebym cię unieruchamiał?

Tag parsknął.

— Tak. Uderz mnie w twarz, rzuć na ziemię. Wykop ze mnie cały szajs. Jednym słowem: pilnuj, żebym przeżył i nie pił.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy jestem w stanie coś takiego zrobić. Uderzyć go, rzucić nim o ziemię. Unieruchomić go, aż przejdzie mu ochota na picie lub śmierć. Byłem duży. I silny. Ale Tag też nie należał do ułomków. Moje wątpliwości chyba były wyczuwalne, bo Tag znowu zaczął mówić.

— Potrzebujesz kogoś, kto ci wierzy. A ja ci wierzę. To męczące, gdy ludzie wciąż uważają cię za świra. Ja wiem, że nim nie jesteś. Musisz mieć gdzie pójść, a ja muszę mieć kogoś przy sobie. To nie jest zły układ. Ty chcesz podróżować, a ja nie mam nic lepszego do roboty. Jedyne, w czym jestem dobry, to bójki, a te mogę znaleźć wszędzie. — Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Szczerze mówiąc, nie ufam sobie jeszcze na tyle, żeby zostać samemu. A jeśli wrócę do Dallas, zacznę pić. Lub się zabiję. Potrzebuję cię.

Powiedział to zupełnie naturalnie. „Potrzebuję cię”. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że tak twardy facet, który wdawał się w bójki dla samej przyjemności walki, mógł się przyznać do czegoś takiego. Lub w coś takiego wierzyć. Ja nigdy nikogo nie potrzebowałem. Nie tak na serio. I nigdy nie powiedziałem do nikogo takich słów. „Potrzebuję cię” brzmiało niebezpiecznie podobnie do „kocham cię” i miałem wrażenie, że narusza jedno z moich praw. Lecz w tej sytuacji, przepełniony niepokojem związanym z nadchodzącym dniem i perspektywą odzyskania wolności, musiałem przyznać, że ja też potrzebowałem Taga.

Tworzyliśmy dziwną parę. Czarny młodociany przestępca, który nie może przestać malować, i wielki Teksaszczyk o prowokacyjnej postawie i gęstych włosach. Tag miał jednak rację. Obaj utknęliśmy w martwym punkcie. Byliśmy zagubieni. Nic nas nigdzie nie trzymało ani nie ciągnęło w żadną stronę. Ja pragnąłem odzyskać wolność, a Tag nie chciał być sam. Potrzebowałem jego pieniędzy, a on potrzebował mojego towarzystwa. Smutne jak zazwyczaj. Zatem postanowiliśmy wyruszyć. Uciec. Nie oglądać się za siebie.

— Będziemy po prostu uciekać, Mojżeszu. Jak ty to mówiłeś? Tu, tam, na drugi koniec świata? Nie uciekniemy od siebie, więc będziemy razem, dopóki się nie odnajdziemy, dobrze? Dopóki nie wymyślimy, jak się z tym uporać. — Tak właśnie powiedział. I tak zrobiliśmy. W ten sposób Tag Taggart został moim

najlepszym przyjacielem. Był przy mnie, gdy go potrzebowałem, i nigdy mnie nie opuścił.

Więc muszę go odnaleźć.

Najbardziej przerażało mnie to, że być może znalazł odpowiedzi na swoje pytania. Że może dobrze wie, co robi. I kim jest. Może zrozumiał świat. Ale w wieku osiemnastu lat zawarliśmy umowę. A według mnie danego słowa się nie cofa.

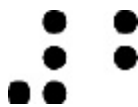
— Potrzebuję kogoś, kto będzie pilnował, żebym się nie zabił. Musi to być ktoś wystarczająco rośły, żeby mnie unieruchomić, gdy postanowię się sponiewierać. Uderz mnie w twarz, rzuć na ziemię. Wykop ze mnie cały szajs. Jednym słowem: pilnuj, żebym przeżył i nie pił — powiedział. Chciał, abym pilnował, żeby przeżył.

Miałem nadzieję, że nie jest na to za późno.

\*\*\*



# Dwa



MÓJ BAR NAZYWA SIĘ Tag's, bo jest mój. Proste. Gdy go kupiłem, przez kilka tygodni głowiłem się nad nazwą, próbując wymyślić coś chwytliwego i inteligentnego, ale ostatecznie zdecydowałem się na własne imię. Ma to sens, prawda? Własne rzeczy nazywa się własnym imieniem.

Jestem byłym alkoholikiem, więc posiadanie baru można uznać za masochizm, ale nie posiadam go w celu picia. Posiadam go dlatego, że każde wejście do środka, rozglądanie się, doglądanie barku lub nalewanie komuś drinka napędza mnie poczuciem siły. Czuję, że pokonałem swoje demony lub przynajmniej je powstrzymałem. Poza tym jestem facetem, a bar to męska jaskinia przyćmiewająca wszystkie inne. Płaskie telewizory wiszą na ścianach i nad głowami, żeby klienci mogli obserwować kilka meczów jednocześnie, a każda część baru jest dedykowana innemu sportowi. Gdy ktoś przyjdzie zobaczyć konkretną walkę lub mecz, znajdzie się telewizor specjalnie dla niego. Mój lokal pachnie drogimi cygarami i skórą, igłami sosnowymi i stosami banknotów — jednym słowem: wszystkim tym, co wzbudza w mężczyźnie wdzięczność za jego testosteron. W środku nastrój tworzą kamienne ściany, ciemne drewno, ciepłe oświetlenie, a uroku wewnątrz dodają ładne hostessy. Jestem naprawdę dumny z tego miejsca.

Ale posiadam nie tylko ten bar. Wszystkie budynki w tym prostokącie wyznaczanym przez przecinające się ulice są moje. Bar mieści się w rogu, a obok mamy niewielką zadaszoną arenę, gdzie w każdy wtorek i w jedną sobotę w miesiącu odbywają się walki lokalnych sportowców. Dalej jest siłownia, a na końcu sklep z artykułami sportowymi z logo Tag Team na każdej wolnej powierzchni, oferujący moją linię produktów. Nad siłownią znajduje się moje mieszkanie i dwa inne, zamieszkałe przez wybranych przeze mnie ludzi. To mój świat — świat, który stworzyłem. Wszystko jest złączone, wszystkie firmy ze

sobą współpracują.

Nawet bar i arena walk są ze sobą połączone. W te noce, kiedy nie odbywają się walki, siedzenia na widowni są odgródzone harmonijkową metalową ścianą, a klatka staje się pomieszczeniem na zapleczu, swojego rodzaju prywatną alkową z tuzinem małych stolików i boksów. Bar jest tuż za ścianą, a kelnerki pilnują, by klienci czuli się dobrze i nie musieli wstawać. Cztery noce w tygodniu ośmiokątna arena jest sceną dla zupełnie innego rodzaju wydarzenia sportowego. Na środku klatki zostaje postawiona rura, lecz nie ma tam wstępu żaden wojownik. Pojawiają się za to kolejne kobiety. Tańczą i wiją się na rurze w rytm pulsującej muzyki, która w pozostałej części baru jest dużo słabiej słyszalna. Staram się dbać o klasę, o ile to możliwe w przypadku rury i rozbierających się pań. Dziewczyny tańczą, nie obnażają się zupełnie i nie wchodzi w interakcje z klientami poza klatką. Jest to jednak podniecające i ryzykowne, więc pilnuję, aby to pomieszczenie było odseparowane od pozostałych. To pokój do negocjacji — zrobiłem tu więcej interesów niż gdziekolwiek indziej — i najbardziej ekskluzywne miejsce w barze goszczącym ciężko pracujących mężczyzn, którzy czują się zażenowani, ale wdzięczni, że mogą tu być.

Bar Tag's został otwarty dwa lata temu jednocześnie z uruchomieniem linii ubrań i z moją pierwszą wielką walką. Walką, w której biłem się z kimś, do kogo nic nie miałem. Znokoutowałem go i stałem się gorącym towarem. Miałem to wszystko zaplanowane i wykorzystałem jeden sukces, aby odnieść kolejny. Byłem bogatym dzieciakiem, który wyrósł na biznesmena, i kowbojem chętniej ujeżdżającym falę adoracji niż konia. Bardziej interesowało mnie wejście w świat mieszanych sztuk walki niż przejmowanie dorobku ojca. Mogłem wybrać to drugie. To była złota ścieżka pełna przywilejów i tytułów. Ale nie ja ją zbudowałem, a jestem przekonany, że nie da się być tak naprawdę szczęśliwym na drodze zbudowanej przez kogoś innego. Czy ścieżce. Ścieżka do prawdziwego szczęścia musi być ułożona własnoręcznie, nawet jeśli jest kręta. Nawet jeśli wymaga wznoszenia mostów nad dolinami i przebijania się przez góry. Nie ma lepszego uczucia niż układanie własnej ścieżki.

Trzy lata temu przyjechałem do Salt Lake i byłem gotów rozpocząć tworzenie własnej ścieżki. Miałem pieniądze — trochę własnych, trochę zarobionych z Mojżeszem i trochę takich, których nie zarobiłem. Byłem dzieciakiem bogatym, ale nie głupim. Wiedziałem, że zbudowanie imperium wymaga kapitału. Czasem trzeba mieć pieniądze, żeby zarabiać pieniądze. Wziąłem więc pieniądze, które oferował mi ojciec, i obiecałem sobie, że zwrócę je przed śmiercią lub przed trzydziestką. Zależnie od tego, co przyjdzie szybciej.

W wieku dwudziestu sześciu lat czas mi się powoli kończył i nie miałem zbyt wielkiego pola manewru. Byłem jednak na właściwej ścieżce, a bar świetnie prosperował. Widziałem to na własne oczy, gdy w tamten poniedziałek

wieczorem — zazwyczaj najślabszy dzień w tygodniu — wszedłem do środka i otoczył mnie gwar rozmów zadowolonych i zrelaksowanych klientów. Prawie nie było gdzie usiąść. Było głośno, a moje serce rozgrzewała muzyka. Obok mnie przeparadowały dwie z zatrudnionych przeze mnie hostess. Ubrane jak ring girls<sup>[1]</sup> w skąpe szorty i bluzeczki bez pleców roznosiły napoje, zamiast ogłaszać kolejne rundy. Uśmiechnęły się do mnie w identyczny sposób i odrzuciły włosy, jakby miały to w umowie. Może powinny to mieć w umowie... albo po prostu był to przejaw zdrowego rozsądku. Zawsze trzeba się uśmiechać do szefa.

Nie przyszedłem tu po to, by flirtować, chociaż automatycznie odpowiedziałem uśmiechem. Ocenilem atmosferę w pomieszczeniu, liczbę mężczyzn przy barze, liczbę zapełnionych stolików, ilość lejącego się alkoholu i skuteczność obsługi. Gdy dotarłem do baru, żeby przywitać się z Morganem, moim menedżerem, usłyszałem stłumiony pulsujący bit dobiegający przez korytarz z przyciemnionego pomieszczenia, w którym tańczyły dziewczyny.

— Kto dzisiaj tańczy? — spytałem, chociaż nie bardzo mnie to interesowało.

— Justine. Lori. I nowa dziewczyna. — Morgan uśmiechnął się, jakby coś ukrywał, automatycznie wzbudzając moją podejrzliwość. Podsunął mi colę, a ja pociągnąłem długi łyk.

— Doprawdy? Po tym szerokim uśmiechu sądzę, że masz mi jeszcze coś o niej do powiedzenia.

— Nie. Skądże. Jest śliczna. Świetnie tańczy. Wspaniałe ciało. Jest w grafiku od dwóch tygodni, lecz za każdym razem się z nią rozmijałeś. Zawsze przychodzi na czas, nigdy nie plotkuje. Tańczy, nie pije, nie flirtuje. Tak jak lubisz. — Znowu z tym uśmiechem.

— Hm. — Odsunąłem colę i wstałem, bo wiedziałem, że muszę sam sprawdzić, o co mu chodzi. Może ubrał jednego z moich zawodników w bikini i kazał mu tańczyć. Morgan uwielbiał żarty sytuacyjne. Ale był cholernie dobrym barmanem... nawet jeśli jego żarty były irytujące.

Przywitałem się na odległość z paroma klientami, uścisnąłem kilka dłoni, pocałowałem Stormy w policzek, gdy rozdawała lodowato zimne butelki z piwem, i pomachałem do Malcolma Shorta, który nie marnował czasu na przebranie się po pracy i wyglądał nieco dziwnie w trzyczęściowym garniturze i bejsbolówce Utah Jazz. Ale grali Utah Jazz, a on wczuwał się w atmosferę, rozparty na stołku, z oczami wlepionymi w ekran. Był jednym ze sponsorów Tag Team i cieszyłem się, że jest zadowolony.

W grze towarzyskiej byłem niemal równie dobry jak w walkach, chociaż wolałem się chyba bić. Teraz jednak byłem skupiony na interesach. Przeszedłem przez pomieszczenie, mijając łuk oddzielający tańczące dziewczyny od baru sportowego. Mój wzrok powędrował prosto do klatki. Spodziewałem się

najgorszego, tymczasem jednak Justine właśnie kończyła swój program, obchodząc rurę dookoła. Schodząc, kręciła biodrami i machała rękami, jakby właśnie ogłosiła następną rundę, a potem światła zgasły.

Gdy zapaliły się znowu, na środku stała nowa dziewczyna. Trzymała się rury i miała zwieszoną głowę. Gdy podgłościono muzykę, natychmiast rozpoczęła swój program, a ja skrzywiłem się skonsternowany. Była szczupła i gibka, ładne mięśnie poruszały się pod naprężoną skórą. Jej proste, ciemnobrązowe włosy wyglądały jedwabiście w scenicznym świetle, nasmarowane nogi i ramiona lśniły, a skąpe szorty i góra od bikini niczym nie różniły się od stroju dziewczyny tańczącej przed nią. Obserwowałem ją przez chwilę, czekając na kluczowy moment, ale nic takiego nie nastąpiło.

Była śliczna, miała delikatne rysy i mały nos, usta jak pączek róży i twarz w kształcie serca. Przeszył mnie strach, że ma piętnaście lat czy coś w tym rodzaju, ale natychmiast odpędziłem tę myśl. Morgan był żartownisiem, ale nie idiotą. Coś takiego zrujnowałoby bar. Coś takiego kosztowałoby go pracę. A on uwielbiał swoją pracę, nawet jeśli nie zawsze uwielbiał mnie, a ja nie zawsze doceniałem jego poczucie humoru.

Nie, musiała mieć przynajmniej dwadzieścia jeden lat. Taka była moja reguła. Ściągnąłem usta i przechyliłem głowę, przyglądając się jej badawczo. Poruszała się na rurze równie dobrze jak pozostałe dziewczyny, może nawet lepiej, lecz jej taniec był bardziej akrobatyczny i sportowy niż jawnie seksualny. Miała zamknięte oczy i delikatny uśmiech na ustach, który można by uznać za ponętny, zwłaszcza że tańczyła dla publiczności składającej się głównie z mężczyzn. Ech, co ja mówię. Z samych mężczyzn. Lecz jej uśmiech nie był ponętny. Raczej... rozmarzony, jakby wyobrażała sobie, że znajduje się gdzie indziej, że jest małą baletnicą w dziecięcej kuli ze śniegiem, skazaną na taniec w wiecznej samotności. Ten uśmiech nie zmienił się przez cały występ i nie otworzyła oczu, a jej ciężkie i grube rzęsy rzucały długie cienie na porcelanowe policzki.

Światła były celowo rozmieszczone tak, by ukryć widownię i uwydatnić tancerkę. Może ją raziły. Albo była trochę nieśmiała. Zachichotałem. Hmm... Nie. Nieśmiała tancerka na rurze była takim samym oksymoronem jak bojaźliwy wojownik. Ale ktoś powinien jej coś powiedzieć. Mężczyźni z widowni uwielbiali sobie wyobrazać, że tancerki patrzą prosto na nich, i chociaż nigdy z nimi nie rozmawiali — a przynajmniej nie w barze — to odrobina flirtu była częścią pracy tancerek. Zastanawiałem się, czy na tym polegał dowcip Morgana. Jeśli tak, to jego poczucie humoru zdecydowanie się przytępiło.

Odwróciłem się, gdy utwór się skończył i oświetlenie klatki zgasło, sygnalizując zakończenie programu. Od dziewiątej do północy trzy dziewczyny tańczyły co godzinę po piętnaście minut plus piętnaście minut przerwy. W końcu byliśmy w Utah, a nie w Las Vegas. Dwa, a czasem trzy dni w tygodniu tancerki miały wolne, bo odbywały się walki lub imprezy klubowe i scena pełniła funkcję areny

lub parkietu tanecznego. Zatrudniałem cztery tancerki — razem z tą pięć — więc nie była to na pewno praca na cały etat. Większość dziewczyn miała normalną pracę i brała dodatkowe, nieźle płatne godziny, ogłaszając rundy i pojedynki w noce walk.

— I co myślisz, szefie? — Morgan uśmiechnął się szeroko, gdy wróciłem do baru i usiadłem na tym samym stołku. Wręczył szklanekę czekającemu na nią klientowi, a ja odwróciłem się w stronę ekranu, żeby sprawdzić wynik, bo nie chciałem obdarzać go uwagą, na której mu zależało.

— O czym?

— O nowej dziewczynie.

— Ładna. — Nie musiał znać innych określeń, które przebiegały mi przez głowę, gdy obserwowałem jej taniec.

— Tak? — Morgan uniósł brwi, jakby moja jednosłowna wypowiedź go zaskoczyła.

— Tak, Morg — westchnąłem. — Chcesz mi coś powiedzieć? Bo nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Nie. O nic. Absolutnie o nic.

Potrząsnąłem głową i jęknąłem. Morgan zdecydowanie coś kombinował.

— Ile jeszcze tygodni, szefie?

— Osiem. — Osiem tygodni do walki z Brunem Santosem. Walki, która da mi szansę na tytuł w Vegas. Walki, po której marka Tag Team trafi do salonów w całych USA. Osiem tygodni pełnego skupienia — żadnych rozproszeń, żadnych decyzji poza tą walką. Gdy ją wygram, zmierzę się z tym, co nastąpi później. Gdy wygram, to jeśli chodzi o mnie, świat będzie mógł się skończyć. O ile wygram.

— Szefie, Lou zadzwonił dziś, że jest chory. Zazwyczaj odprowadzał dziewczyny do samochodów. Może go zastąpisz, skoro tu jesteś?

Wszystkie zatrudnione przeze mnie kobiety były po zakończeniu zmiany odprowadzane do samochodów. Zawsze. Ta część miasta się zmienia, ale powoli. Mój bar znajdował się niedaleko starego dworca kolejowego w dzielnicy, która tkwiła gdzieś pomiędzy odrestaurowaniem a rozpadem. Dwie przecznice na północ znajdował się rząd rezydencji z początku XX wieku, a dwie przecznice na południe mieściło się centrum handlowe z kratami we wszystkich oknach. Na rogu po lewej stronie od moich nieruchomości było ekskluzywne spa, a dwie przecznice na wschód znajdowało się schronisko dla bezdomnych. Istny konglomerat z paroma niebezpiecznymi elementami. Czuję się odpowiedzialny za swoich pracowników, szczególnie za dziewczyny. Narzuciłem więc pewne reguły, nawet jeśli się to wiązało ze sporadycznymi oskarżeniami o nadopiekuńczość, seksizm i staroświeckość.

— Jasne. Mogę się tym zająć.

— Fajnie. To był ich ostatni taniec. Zrobiłbym to sam, ale jak wiesz, szklanki się same nie napełnią. Kelli dziesięć minut temu pojechała ze swoim chłopakiem, a Marci i Stormy zamykają ze mną, więc je odprowadzę. Dla ciebie zostają tylko Justine, Lori i Amelie.

— E-mi-lii? — spytałem, unosząc brwi i naśladowując jego wymowę.

— Tak. To ta nowa tancerka. Amelie. Nie mówiłem wcześniej, jak ma na imię?

— Nie, nie mówiłeś. Jest Francuzką?

— Coś w tym stylu — odparł. Widziałem, że próbuje się nie zaśmiać. — Ale mieszka niedaleko i wraca na piechotę. Lou na to narzeka, ale tak naprawdę to jedna przecznica. Powiedziałem mu, że jego tłustemu tyłkowi przyda się trochę ruchu.

— Aha. — Czyli to było to coś śmiesznego. Zaczyna padać śnieg, a ja mam odprowadzić do domu nową dziewczynę. Francuzkę. Nie przeszkadzało mi to, i tak byłem zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć. Zastanawiałem się nawet, czy nie pójść łomotać w worek treningowy tak długo, aż padnę na kilka godzin ze zmęczenia.

Jak na zawołanie przy wyjściu między salonem a barem pojawiły się Justine i Lori w zapiętych paskiem płaszczach zimowych i z torbami marynarskimi na ramieniu.

— Gdzie Amelie? — spytał, rozglądając się, Morgan.

— Powiedziała, że poczeka na Lou przed głównym wejściem — wyjaśniła Justine.

— Lou dzisiaj nie ma. Tag was odprowadzi. Tak, szefie?

— Tak, Morg. — Stłumiłem irytację, gdy Morgan znowu się roześmiał i puścił do dziewczyn oczko.

Odprowadziłem Justine i Lori do ich samochodów na parkingu z tyłu budynku, poczekałem, aż odjadą, po czym wróciłem na front. Postanowiłem okrążyć budynek, bo nie miałem już dzisiaj ochoty patrzeć na Morga. Zobaczyłem nową dziewczynę na chodniku przed wejściem. Stała z odchyloną głową, pozwalając, by na jej twarzy lądowały grube płatki śniegu, i najwyraźniej rozkoszując się tym doznaniem. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie chciała jak najszybciej znaleźć się w jakimś ciepłym miejscu. Opierała dłonie na długiej lasce, z którą w łagodnej poświacie dochodzącej z wnętrza baru i wśród tańczących płatków śniegu wyglądała jak bożonarodzeniowa pastreczka.

— Hej? — Jej głos brzmiał jak pytanie. Wysunęła laskę nieco do przodu i trąciła moją stopę. Zatrzymałem się. — Lou?

— Lou jest chory, więc dziś ja cię odprowadzę — odpowiedziałem powoli,

oszołomiony nagłym odkryciem, gdy odwróciła w moją stronę twarz. Miała szeroko otwarte i nieruchome oczy, a ja poczułem zaskakujące ukłucie gdzieś za sercem. Miała piękne oczy. Duże i jasne, oprawione czarnymi rzęsami, którymi muskała policzki przy każdym mrugnięciu. Jej wzrok był jednak nieobecny, a spoglądanie w jej oczy napawało mnie niewytłumaczalnym smutkiem. Skupiłem się więc na ustach i prostych ciemnych włosach, które okalały jej twarz i spadały na ramiona. Uśmiechnęła się, a ja znowu poczułem w sercu ukłucie, które pozbawiło mnie tchu.

— A, długie milczenie. Wszyscy tak reagują. Mama zawsze mi powtarzała, że jestem piękna — stwierdziła rzeczowo. — Ale na wypadek, gdybym nie była, mógłbyś obiecać, że będziesz mnie okłamywał? Zwykle domagam się szczegółowych kłamstw dotyczących mojego wyglądu. — Wszystko to mówiła dobrodusznie. Bez goryczy. Z akceptacją. — Na ciebie padło pomaganie niewidomej, co? Nie musisz mnie odprowadzać. Przyszłam tu sama. Ale Morgan mówi, że to reguła dotycząca wszystkich dziewcząt. Twierdzi, że szef na to naciska.

— Ma rację. To świetna okolica, ale oboje dobrze wiemy, że bywa tu różnie — odpowiedziałem, odrzucając zmieszanie i rezygnując z przeproszania za gapienie się.

Wyciągnęła do mnie dłoń.

— Cóż, w takim razie się przedstawię. Jestem Amelie. I jestem niewidoma. — Uśmiechnęła się lekko, dając mi do zrozumienia, że w takim samym stopniu śmieje się z siebie jak ze mnie. Wyciągnąłem rękę i otuliłem jej dłoń swoją dłonią. Nie puściłem jej od razu, bo miała lodowate palce. Czyli nie była Francuzką, lecz była niewidoma, co z jakiegoś powodu według Morga było diabelnie zabawne.

— Cześć, Amelie. Jestem Dawid. I nie jestem niewidomy.

Znowu się uśmiechnęła. Ja też się uśmiechnąłem, a współczucie dla niej znacząco się zmniejszyło. Nie wiem, dlaczego przedstawiłem się jako Dawid. Nikt się już do mnie tak nie zwracał. To imię sprawiało, że czułem się, jakbym przegrał bez podejmowania walki. Tak miał na imię mój ojciec. I *jego* ojciec. I ojciec *jego* ojca. Miano Dawida Taggerta miało w sobie ciężar historii, a ja czułem go od najmłodszych lat. W pewnym momencie znajomi zaczęli nazywać mnie Tag. I to mnie uwolniło. Umożliwiło mi bycie młodym, wolnym duchem. Samo to słowo przywodziło na myśl obrazy ucieczki. *Jestem Tag... nie złapiecie mnie*<sup>[2]</sup>.

— Twoje dłonie są zrogowaciałe, Dawidzie.

To było nietypowe spostrzeżenie jak na pierwsze spotkanie, ale Amelie poruszyła palcami w mojej dłoni i badała jej stwardniałą skórę u podstaw palców,

jakby czytała brajlem.

— Ćwiczysz? — spytała.

— Uhm, tak. Walczę na ringu.

Wąskie brwi uniosły się pytająco, ale jej palce kontynuowały intymny taniec po mojej dłoni. Było to przyjemne. I dziwne. Zacząłem odczuwać łaskotanie w podniebieniu i bezwiednie podkurczyłem palce stóp.

— Zrogowacenia mam od podnoszenia ciężarów. Pompek. Tego typu rzeczy. — Mówiłem jak idiota. Jak przygłupawy naśladowca Rocky’ego. Brakowało tylko, żebym krzyknął: „Joł, Adrian!”.

— Lubisz to?

— Walkę? — Próbowałem nadażyć za jej tokiem myślenia. Nie rozmawiała jak typowa dziewczyna. Była bardzo bezpośrednia. I szczerza. Ale może musiała taka być, bo luksus zdobywania informacji za pomocą wzroku był dla niej niedostępny.

— Tak, walkę. Lubisz to?

— Tak, lubię.

— Dlaczego? — spytała.

— Jestem duży, silny i wściekły — odparłem szczerze, uśmiechając się.

Roześmiała się, a ja wypuściłem całe powietrze, które wstrzymywałem od momentu, gdy wyciągnęła do mnie dłoń na przywitanie. Jej śmiech nie był dziewczęco wysoki, dźwięczny i słodki, lecz krzepki i zdrowy, jakby śmiała się całą sobą i nie miała nic do ukrycia.

— Ładnie pachniesz, Dawidzie.

Wydobyłem z siebie połowiczne parsknięcie, bo znowu trochę mnie zatkało. Ale ona zwyczajnie ciągnęła dalej.

— Czyli jesteś duży, silny, wściekły i ładnie pachniesz. Jesteś też wysoki, bo twój głos dobiega znad mojej głowy. I pochodzisz z Teksasu. I wciąż jesteś młody.

— Skąd wiesz, że jestem młody?

— Starzy nie walczą. I ten głos. Gdy się zbliżałeś, śpiewałeś pod nosem piosenkę Blake’a Sheltona. Gdybyś był starszy, śpiewałbyś coś Conwaya Twitty’ego lub Waylona Jenningsa.

— Ich też czasem śpiewam.

— To świetnie. Możesz śpiewać w trakcie naszego spaceru. — Machnęła wprawnie laską i złożyła ją na trzy części. Potem wetknęła laskę pod lewe ramię i wyciągnęła do mnie prawą dłoń. Chwyła mnie za biceps, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Ruszyliśmy niespiesznie, lecz



równomiernym tempem wzdłuż opustoszałej ulicy. Padał śnieg, a do moich butów wdzierała się wilgoć. Zwykle potrafię rozmawiać nawet z najpiękniejszymi kobietami, lecz teraz kompletnie odebrało mi mowę.

Amelie sprawiała wrażenie całkowicie rozluźnionej i nie kontynuowała rozmowy. Szliśmy pod ramię jak kochankowie w starym filmie. Mężczyźni i kobiety nie spacerują już w ten sposób. Jedynym wyjątkiem jest ojciec odprowadzający córkę do ołtarza lub harcerz pomagający starszej pani przejść przez ulicę. Podobało mi się to. Czułem się jak facet z minionej epoki, z czasów, w których mężczyźni eskortowali kobiety nie dlatego, że nie umiały chodzić same, lecz dlatego, że bardziej je szanowali. Bo trzeba się było o nie troszczyć i nimi opiekować.

— Dawniej wszystko było piękniejsze — wypaliłem, zaskakując sam siebie. Nie miałem zamiaru wypowiadać tej myśli na głos.

— Co przez to rozumiesz? — Wydawała się zadowolona z mojego stwierdzenia, więc podążyłem za tą myślą.

— Wiesz, gdy oglądasz stare fotografie... — Zamilkłem niezręcznie, uświadamiając sobie, że ona nie może oglądać starych fotografii.

Uratowała mnie z wdziękiem.

— Gdybym mogła obejrzeć stare fotografie, to co bym zobaczyła?

— Ludzie mieli mniej. A jednocześnie więcej. Wydaje mi się, że bardziej dbali o swoją własność i swój wygląd. Kobiety nosiły piękne suknie, a mężczyźni chodzili w garniturach. Wszyscy mieli kapelusze i rękawiczki i ogólnie byli wystrojeni. I wypowiadali się inaczej: ostrożniej i kulturalniej. Ten sam język, lecz zupełnie inny. Nawet budynki i meble były piękne, starannie wykonane, z dbałością o detale. Nie wiem... Świat miał więcej klasy. Może o to chodzi.

— Ach, czasy, w których mężczyźni nie walczyli dla zarobku, a kobiety nie tańczyły na rurach — stwierdziła z uśmiechem.

— Mężczyźni zawsze walczyli. A kobiety zawsze tańczyły. Pod tym względem jesteśmy bardzo staroświeccy — zripostowałem. — Jesteśmy ponadczasowi.

— Nieźle z tego wybrnąłeś — zachichotała, a ja zaśmiałem się cicho.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Nagle uzmysłowiłem sobie, że nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy.

— Gdzie mieszkasz?

— Bez obaw, wielkoludzie. Wiem, gdzie jesteśmy. Na następnym skrzyżowaniu skreśl w prawo. Mieszkam w dużym domu trzydzieści kroków stamtąd.

— Mieszkasz w jednej z tych starych rezydencji?

— Tak. Zbudował ją mój prapradziadek, *à propos* czasów, w których świat był

piękniejszy. Domyślam się, że mój dom nie jest już tak uroczy jak kiedyś. Ale w mojej głowie wszystko wygląda cudownie. Zaleta bycia niewidomą dziewczyną.

— Powiedziałaś: trzydzieści kroków. Czyżbyś je liczyła? — Słyszałem rozbawienie w swoim głosie i zastanawiałem się, czy ona też je słyszy.

— Zazwyczaj tak. Ale jestem mniej czujna, gdy ktoś idzie ze mną. Wiem, gdzie kończy się chodnik, gdzie rosną drzewa i gdzie są dziury.

— Zdumiewające.

— Cóż, dorastałam tu, gdy jeszcze widziałam. Wciąż mam to w głowie. Byłoby mi trudniej, gdybym musiała zacząć od nowa w zupełnie innym miejscu.

— A co się stało?

— Rzadka choroba o wymyślnej nazwie, którą zapomniałbyś już w momencie, gdybym ją wypowiadała. Nikt nie wiedział, co się dzieje, do momentu, gdy już było za późno. Nawet gdybyśmy wiedzieli, przypuszczalnie i tak nic nie dałoby się zrobić.

— Ile miałaś lat?

— Jedenaście.

Przełknąłem ślinę. Moje życie też się zmieniło, kiedy skończyłem jedenaście lat. Ale w zupełnie inny sposób. Zanim to skomentowałem na głos, Amelie nas zatrzymała.

— Tu mieszkam. To mój dom. — Rozłożyła laskę i postukała chodnik przed sobą. Odwróciła się w stronę kutego ogrodzenia i przerwała, gdy trafiła w nie laską. Puściła moje ramię i zrobiła krok w stronę furtki. Znalazła zasuwkę i bez trudu ją odemknęła. Dom był stary, z przełomu wieków, jeśli nie starszy, lecz wciąż miał w sobie dostojność, chociaż podwórko i duży, otaczający budowlę ganek, który lata świetności miał już za sobą, były zamaskowane przez ciemności i padający śnieg. W oknach na piętrze paliło się światło, a chodnik i schody były czyste. Amelie poruszała się po nich bez trudu, więc zostałem pod bramą, czekając, aż bezpiecznie wejdzie do środka. Zatrzymała się w połowie ścieżki i odwróciła się nieznacznie.

— Dawidzie? — spytała nieco podniesionym głosem, jakby nie była pewna, czy jeszcze czekam.

— Tak?

— Dziękuję za odprowadzenie mnie do domu.

— Nie ma za co.

Poczekalem, aż zamknie za sobą drzwi wejściowe, i zawróciłem. Śnieg przestał padać, lecz świat był w dalszym ciągu tak nieruchomy, że śpiewałem sobie podczas marszu. Zamykałem od czasu do czasu oczy i liczyłem kroki,

zastanawiając się, jak by to było w ogóle nie widzieć i jak to się stało, że niewidoma dziewczyna zaczęła tańczyć w moim klubie.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

MILLIE WYCIĄGNĘŁA DŁOŃ w stronę magnetofonu i przesuwała palcami po przyciskach, aż znalazła ten, którego szukała. Przycisnęła go i zapadła cisza. Siedziała, trzymając dłoń na magnetofonie, jakby chciała uchwycić przywołane przez Taga wspomnienie. W pokoju unosiła się aura wyczekiwania i zniecierpliwienia. Słyszałem to w głosie Taga, wyczuwałem w pieczołowitości, z jaką zapamiętał szczegóły, i w zdziwieniu, z jakim podążał ścieżką przeszłości. Wciągnął mnie i przez chwilę zapomniałem, gdzie jestem. Teraz jednak poczułem się niezręcznie, jak intruz, i miałem ochotę zatkać uszy.

— Nie mogłam przestać o nim myśleć i nie umiałam wyrzucić z głowy tej piosenki Blake’a Sheltona — powiedziała cicho. — Był miły. I silny. Czułam jego siłę, gdy szedł obok mnie. Tamtej nocy śniłam o dotykaniu jego ramion. Gdy straciłam wzrok, nadal śniłam obrazami. Uwielbiałam to, bo we śnie potrafiłam widzieć. Ale po kilku latach moje sny zaczęły się coraz bardziej upodabniać do mojej rzeczywistości. Wciąż zdarza mi się śnić obrazami, jednak zazwyczaj śnię o zapachach, uczuciach, dźwiękach i doznaniach.

Millie mówiła przyciszonym tonem, jakby myślała na głos. Jakby zapomniała o mojej obecności. Zastanawiałem się, czy powinienem się odezwać, zanim powie mi coś, co wolałaby zachować dla siebie, ale ona nieoczekiwanie zaczęła mówić dalej.

— Byłam na paru randkach w ciemno. — Uśmiechnęła się, kierując głowę mniej więcej w moją stronę, dając mi do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności, a ja się zaśmiałem. Przypuszczalnie o to jej chodziło.

— Mam na myśli randki w ciemno z niewidomymi. Byłam też na kilku randkach z niewidomymi facetami, których znałam wcześniej. Jeden z nich naciskał, żeby mówić o nim, że jest „wzrokowo sprawny inaczej”. — Amelie zrobiła palcami cudzysłów w powietrzu. — Nie rozumiem tego. Dla mnie to tak, jakby mówić, że ktoś ma deficyt melaniny, a nie że jest biały. Ludzie są tacy dziwni. Jestem białą niewidomą dziewczyną. Jestem dwudziestodwuletnią białą niewidomą dziewczyną. Nie możemy mówić po prostu tak, jak jest?

Zaśmiałem się znowu, zastanawiając się, do czego zmierza, ale cieszyłem się, że mówi. Ciekawe, czy wiedziała, że jestem czarny. To było dość niesamowite uczucie — ta świadomość, że chociaż raz nie ma to żadnego znaczenia.

— Spotykałam się też z widzącymi facetami. Wiesz, „wzrokowo sprawnymi normalnie”. — Roześmiała się z tego określenia. — Nie było ich wielu. Kilku. Zazwyczaj umawiała mnie z nimi moja kuzynka Robin. Jestem przekonana, że wszyscy byli wyjątkowo nieatrakcyjni. Brzydcy, dziwni, pryszczaci i generalnie odrzuceni przez inne kobiety. Co w sumie nie jest niczym złym. Mogę udawać, że wyglądają jak milion dolarów, bo i tak nie jestem w stanie ich zobaczyć. Liczą się przecież tylko obrazy, które mam w głowie, prawda? Ale gdy pewnego razu Robin próbowała mnie umówić z głuchym, zbuntowałam się. Nie chodziło o to, że nie lubię głuchych, ale jak mielibyśmy się porozumieć? Robin najwyraźniej myślała, że skoro jestem niepełnosprawna, to mogę się spotykać wyłącznie z niepełnosprawnymi. Bo oczywiście nikt inny mnie nie zechce, prawda? — Głos jej się załamał, lecz natychmiast się uśmiechnęła, pokazując w ten sposób dystans do siebie. — Aha. Trafiłam w swój czuły punkt.

— To nieprawda — zaproponowałam.

— Czasami prawda — szepnęła. Widziałem po niej, że zastanawia się, czy ta prawda przypadkiem nie przerosła Taga. — Przyłapałam się na tym, że chcę, żeby Dawid nie był przystojny. Miałam nadzieję, że nie wygląda dobrze, bo dla mnie nie miało to znaczenia, a on byłby mniej pożądanym przez inne kobiety. Myślałam, że gdyby był brzydki, byłby bardziej otwarty na kogoś takiego jak ja. — Powoli, niemal ze smutkiem, wypuściła powietrze z płuc. — Ale wiedziałam, że jest przystojny. Wyczułam to w jego zachowaniu, pewności siebie, uprzejmości. Chciałam zapytać o niego dziewczyny z pracy, ale stchórzyłam. Bałam się, że będą się ze mnie śmiały lub mi współczuły. Powiedziałam sobie, że powinniśmy zostać przyjaciółmi. Wydawał się na to otwarty.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem zafascynowany. Ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Millie siedziała przez chwilę z magnetofonem w dłoniach, po czym bez słowa znów wcisnęła „play”.

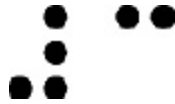
\*\*\*

---

[1] Ring girls — skąpo ubrane modelki, które wychodzą na ring w przerwie walki, prezentując numer najbliższej rundy — *przyp. tłum.*

[2] Słowo „tag” oznacza w języku angielskim także grę w berka — *przyp. tłum.*

# Trzy



WE WTOREK SCENA pełniła funkcję oktagonu<sup>[1]</sup>, a w środę Amelie nie była wpisana w grafik tancerek, o czym Morgan poinformował mnie od razu, gdy wszedłem. Szcherzył się przy tym, jakby znowu zrobił mi niezły dowcip.

— O co ci chodzi, Morgan? — spytałem zdezorientowany i nieco wkurzony. — Zachowujesz się, jakby to był jakiś świetny kawał. Zatrudniłeś niewidomą dla żartu? To by było naprawdę paskudne.

Morgan wyrzucił ręce w górę w proteście, lecz cały czas miał na twarzy uśmiech mówiący, że dokładnie tak było.

— Przyszła tu z laską i wyglądała bardziej jak Helen Keller<sup>[2]</sup> niż Heidi Klum. Bez makijażu, z niedbałym kucykiem na głowie, w wielkim płaszczu i butach śniegowych. Wyglądała trochę jak straszdyło, ale powiedziała, że interesuje ją ta praca. Vince stał wtedy za barem i obaj uznaliśmy, że to przypuszczalnie ty ją nasłałeś. Że z nas żartujesz czy coś. Więc stwierdziliśmy, że spoko. Znasz mnie, nigdy nie stronię od śmiechu. Czekala na swoją kolej z innymi dziewczynami i ku mojemu zdziwieniu wszystkie były dla niej miłe. Zabrały ją na chwilę na bok. I nagle patrzymy, a ona jest w klatce, w skąpych szortach, obcisłym topie i z rozpuszczonymi włosami tańczy na rurze jak prawdziwa profesjonalistka.

Robiło mi się niedobrze, gdy słuchałem opowieści Morgana o rekrutacji Amelie. Nie przejąłbym się, gdyby mówił o Justine lub Lori czy którejkolwiek z pozostałych dziewczyn. Nie podobało mi się jednak, że razem z Vince'em naśmiewali się z Amelie i gapili się na jej ciało, a ona nie była w stanie zobaczyć, że to robią.

Morgan ciągnął dalej, kompletnie nie zdając sobie sprawy z mojego zażenowania.

— Była na tyle dobra, że zorientowaliśmy się, iż to nie jest twój żart. I wydawała się dość mocno zdeterminowana. Wręcz podekscytowana. No i, przyznaję, uznałem to za zabawne.

— Do łez.

— Wyrzucisz ją, szefie?

— Dlaczego miałbym to zrobić? — Morgan naprawdę działał mi na nerwy.

— Nie jest aż tak popularna jak niektóre dziewczyny. Paru koleś narzekało, że nie patrzy na nich, gdy tańczy.

— Nie wystarczy im, że oni mogą na nią patrzeć? — odparowałem z irytacją.

— Hej! — Morgan uniósł ręce w geście poddania się. — Nie strzelaj do posłańca, szefie. Nie może nosić numerów rund między walkami, więc poniekąd brakuje nam ludzi.

— Nikogo nam nie brakuje, Morg. Mamy cztery inne dziewczyny, które bez trudu poradzą sobie z obsługą walk — odparłem. W dni, kiedy były walki, dziewczyny tańczące w moim barze musiały paradować przez oktagon z numerami rund.

— No dobrze. Jeśli chcesz ją zatrzymać, spoko. Jakby co, jest wpisana na czwartek, gdybyś chciał z nią pogadać o bardziej seksualnym wizerunku. Wiesz, na przykład żeby tańczyła z otwartymi oczami. — Morgan znowu wybuchnął śmiechem.

— Morg?

— Tak, szefie?

— Idź do domu.

— C-co? — Jego chichot urwał się i zamarł.

— Pomogę Vince'owi do zamknięcia. Ty idź do domu.

Morgan ściągnął ręcznik, który miał zawsze przewieszony przez ramię, i zaczął nerwowo wycierać dłonie.

— Ale... — próbował dyskutować.

— Myślisz, że naśmiewanie się z niewidomej jest zabawne. To mnie trochę martwi, Morg. Zaczynam się zastanawiać, kim jest człowiek, któremu powierzyłem swój bar. Wiesz, są dwie rzeczy, których nienawidzę. — Wyciągnąłem kciuk i palec wskazujący, żeby je wyliczyć. — Prześladowania słabszych i wredności bez powodu. Nie wiedziałem, że jesteś prześladowcą, Morg. Nie próbuj do tego zachowywać się wrednie, bo będę miał dwa powody, żeby cię zwolnić. Idź do domu. A jeśli chcesz wrócić, przemyśl sobie swoje poczucie humoru. Rozumiesz? — Mówiłem łagodnym głosem i miałem

zrelaksowaną postawę, ale przez cały czas patrzyłem mu prosto w oczy. Morgan opuścił wzrok i zakłopotany przestąpił z nogi na nogę, jakby czekał, aż zmienię zdanie. Ponieważ się nie odzywałem, rzucił ręcznik i sięgnął po portfel i klucze, które trzymał pod barem.

— Mam tyle lat, że mógłbym być twoim ojcem, Tag. Twój ojciec był jednym z moich najlepszych przyjaciół. Powinieneś okazywać mi więcej szacunku — rzucił nadąsany. Całkowicie przeszła mu ochota do żartów.

— Na szacunek trzeba sobie zasłużyć, Morg. Przede wszystkim jednak nie jesteś moim ojcem, nie jesteś moim najlepszym przyjacielem i nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań. Możesz wrócić jutro, jeśli masz na tyle odwagi, żeby skorygować swoje zachowanie. Jeśli nie przyjdiesz, zrozumieć to i poszukam kogoś na twoje miejsce.

Morgan chyba znowu zamierzał polemizować, ale zastanowił się i zamknął usta. Z napiętymi mięśniami szczęki i zaciśniętymi pięściami wyszedł zza baru, minął mnie i ruszył do wyjścia. Wypadł przez drzwi, niemal przewracając Amelie, która właśnie w tej chwili weszła do środka. Zaklął i rzucił mi wściekłe spojrzenie, po czym zniknął w ciemnościach.

— Przepraszam — wyszeptała Amelie, a jej laska z klekotem spadła na podłogę, przykuwając spojrzenia ciekawskich klientów. Zawahała się na chwilę, po czym przykucnęła, wymacała laskę i podniosła się z gracją. Jej policzki były lekko zaróżowione, a ja zastanawiałem się, czy czuła spojrzenia obserwatorów. Ruszyła powoli do baru, sprawdzając drogę laską. Z opóźnieniem dotarło do mnie, że jestem teraz na zmianie, więc szybko przeszedłem za bar, ściągnąłem kurtkę i podwinąłem rękawy koszuli. Amelie wdrapała się na stołek i czekała cierpliwie, aż zostanie obsłużona. Zastanawiałem się, co robi, gdy jest ignorowana.

— Amelie, co mogę dla ciebie zrobić?

— Dawid? — spytała, przechylając głowę z zaskoczeniem.

— Imponujące. Nieźle rozpoznajesz głosy.

— Dziękuję. Gdzie Morgan? Jesteś teraz w pracy? — Siedziała nieruchomo na stołku, nie rozsiadając się i nie obracając się jak inni klienci. Nie opierała się nawet o bar, jakby się bała, że coś przewróci lub naruszy czyjąś przestrzeń. Nie mogła wiedzieć, że jedyni ludzie przy barze poza nią siedzą na drugim końcu z piwami w dłoniach i spojrzeniami utkwionymi w mecz Spursów.

— Tak. Mam dzisiaj zmianę. — Nie rozwodziłem się nad tym. — Podać ci coś do picia?

Amelie przygryzła wargę i potrząsnęła głową.

— Nie. Nie piję. Jestem niewidoma, a picie przytępia moje zmysły, te, które mi

zostały. I zamiast się rozluźnić, zaczynam się bać. — Wzruszyła ramionami. — Pewnie mówię jak małe dziecko.

— Nie. Rozumiem cię. Ja też nie piję.

Uniosła brwi z niedowierzaniem.

— Ale pracujesz za barem.

— Nie piję, bo nie udało mi się rozgryźć, jak robić coś na pół gwizdka. Wiesz, ja nie piłem, tylko się upijałem. Mam podejście typu „wszystko albo nic”. Pójdzie na całość nie jest opcją, więc wybrałem nic — powiedziałem zwyczajnym tonem, zastanawiając się nad potrzebą dodania jej otuchy. — Chcesz coś innego? Napój gazowany, wodę, coś bez alkoholu? — płynnie zmieniłem temat.

— Może być cola light.

Sięgnąłem po colę i po kilku sekundach przed Amelie stała na podkładce szklanka z napojem.

— Cola light na dwunastej.

Zaśmiała się z mojej wskazówki i podziękowała, po czym ostrożnie wyciągnęła dłoń i dotknęła zimnego szkła. Okrążyła szklankę palcami, żeby ją chwycić, i przysunęła do siebie, jakby chciała ją powąchać. Obserwowałem, jak pochyła się nad drinkiem, trzymając nos tak blisko musującego płynu, że jeszcze centymetr i by się zmoczył.

— Coś nie tak? — spytałem.

Wyprostowała się i nie wypuszczając szklanki z lewej dłoni, potarła nos prawą.

— Nie! Po prostu lubię ten odgłos i to musowanie bąbelków na mojej twarzy. Nie wiedziałam, że nadal patrzysz. — Jej głos miał w sobie pewną stanowczość, co dało mi do zrozumienia, że wpatrywanie się nie jest mile widziane.

— Wobec tego już sobie idę — uśmiechnąłem się. Podobała mi się lekka zuchwałość, z jaką mnie zganiła.

— Hm, Dawidzie — zawołała mnie jeszcze. — Właściwie to przyszłam po swoją wypłatę. Czy możesz to dla mnie załatwić?

— Oczywiście. Daj mi chwilę, zaraz wrócę. Nie będę patrzeć, jeśli masz ochotę nacieszyć się jeszcze bąbelkami.

Czeki były w kasetce pod barem i kilka minut zajęło mi znalezienie drugiego klucza w biurze Morga, bo Morgan zabrał swój komplet. Zakląłem, gdy pomyślałem o komplikacjach, takich jak wymiana wszystkich zamków, jeśli uzna, że duma jest dla niego ważniejsza niż praca. Miałem szczerą nadzieję, że następnego dnia wróci skruszony. Nie uśmiechało mi się szukanie nowego menedżera, bo Morg świetnie się spisywał, gdy tylko nie zachowywał się jak dupek.



Położyłem czek z jej imieniem na kontuarze, muskając jej wolną dłoń, żeby dać jej znać. Wzięła go, lecz od razu oddała mi go z powrotem.

— Mógłbyś go otworzyć i przeczytać mi sumę? Znając ją, będę mogła zrobić wpłatę w bankomacie za rogiem.

Otwarłem czek i zamurowało mnie, gdy zobaczyłem sumę. Przeczytałem ją zmieszany, a Amelie westchnęła.

— Morgan powiedział, że do zakończenia okresu próbnego będę miała minimalną stawkę. Wiesz może, kiedy się kończy ten okres?

Zrobiło mi się gorąco z gniewu, ale stłumiłem go ze względu na nią. Musiałem podjąć tę grę. Nie po to, by kryć Morgana, lecz by nie zranić jej uczuć. Nie było żadnego okresu próbnego. Morgan się po prostu wygłupiał. Zatrudnił ją dla żartu, i to słabego. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć.

— Już się skończył. Będiesz dostawała tyle samo co pozostałe tancerki, a dodatkowo otrzymasz wyrównanie do pełnej stawki za te pierwsze dwa tygodnie.

— Serio? To świetnie! Tego mi Morgan nie powiedział.

Wykrzywiłem usta w gorzkim uśmiechu. To Morgan powinien być na okresie próbnym.

Powtórzyła sumę z czeku z pytaniem w głosie, więc przeczytałem jej jeszcze raz.

— Zapamiętam. Pójdę teraz do bankomatu. Ile się należy za colę?

— To jeden z przywilejów pracowniczych. Żadnych opłat za colę light. I bąbelki.  
— Uśmiechnęła się szeroko. Nie mogła zobaczyć mojej reakcji, ale sam też się uśmiechnąłem, bo jej zadowolenie było zaraźliwe.

Zsunęła się ostrożnie z krzesła i rozłożyła laskę. Potem wsunęła czek do kieszeni płaszcza i ruszyła w stronę drzwi.

— Potrzebujesz pomocy? Wysłać kogoś z tobą?

Nie odwracając się, potrząsnęła głową.

— Ekrany dotykowe są obrzydliwe. Nie jestem w stanie ich wyczuć. Na szczęście bankomat za rogiem ma klawisze opisane brajlem! Gdy świat jest zbyt płaski, tacy ludzie jak ja się z niego zsuwają — powiedziała wesoło. Potrząsnąłem głową ze zdumienia, a ona otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnościach. Noc ją wchłonęła i drzwi się zamknęły.

Walczyłem z pragnieniem pójścia za nią i dopilnowania, żeby nikt jej nie obrabował przy bankomacie, nie zabrał jej tego marnego czeku i nie użył jej laski przeciwko niej. Świat dla większości ludzi był przerażającym miejscem, ale dla Amelie był wręcz zabójczy. Była kompletnie bezbronna. *Gdy świat jest zbyt*

*płaski, tacy ludzie jak ja się z niego zsuwają.*

A mimo to nawet przez chwilę się nie wahała.

Szanowałem to, podziwiałem i przez kilka długich sekund stałem za barem, okazując jej milczące wsparcie, chociaż serce mi łomotało, a dłonie miałem wilgotne od potu. Przez głowę przemknęła mi twarz mojej siostry. Ona też pewnego dnia wyszła w noc i nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

— Vince? — zawołałem do młodego barmana, który rozmawiał z paroma stałymi klientami na drugim końcu baru, kompletnie nieświadomy dramatu, jaki rozgrywał się tu przez ostatnie dziesięć minut.

— Hej, Tag.

— Będiesz sam przez jakieś pół godziny. Wrócę, żeby zostać z tobą do końca zmiany i pomóc ci zamknąć. Morgan musiał wyjść. Dasz sobie radę?

— Jasne, szefie. Żaden problem. Dziś przez cały wieczór jest dość spokojnie.

Wziąłem kurtkę i bez słowa wyszedłem. Pobiegłem w stronę bankomatu za rogiem i dogoniłem Amelie, która nie pokonała jeszcze połowy odległości między przecznicami. Zaskoczyła ją moja obecność, ale wzruszyła ramionami, gdy przypomniałem jej o regułach.

— Ale ja przecież nie byłam dzisiaj w pracy — zaproponowała.

— Pozwól mi się odprowadzić, dobrze?

Wzruszyła ramionami. Czekałem cierpliwie w pewnej odległości, żeby dać jej prywatność, gdy dokonywała wpłaty. Zrobiła to bez trudu, pewnie przesuwając palce po klawiaturze.

Gdy skończyła, stanąłem obok niej i wzięła mnie pod rękę, tak samo jak poprzedniej nocy. Ruszyliśmy. Nucilem pod nosem, a ona dotrzymywała mi kroku, jakby ufała, że zaprowadzę ją w dobre miejsce.

Niedaleko swojej bramy zatrzymała się, ciągnąc mnie za ramię.

— Posłuchaj!

Zaniepokoiło mnie to, że nie jesteśmy sami, i zacząłem bacznie skanować otoczenie.

— Jest — dodała.

Usłyszałem odległy gwizd pociągu i stukot kół na torach.

— Dwudziesta druga. Dokładnie na czas — szepnęła.

Odgłos zrobił się wyraźniejszy i głębszy. Znowu rozległ się gwizd, głośniejszy, rozdzierając noc ostrzeżeniem, które brzmiało bardziej jak piosenka. Zawsze lubiłem odgłos jadącego pociągu, ale już dość dawno mu się nie przysłuchiwałem.

— Pociągi są jak wehikuł czasu. Wystarczy zamknąć oczy, chociaż ja nie muszę, żeby wyobrazić sobie, że świat wcale się nie zmienił przez sto lat. Słyszając ten odgłos, łatwo się poczuć, jakby był rok tysiąc dziewięćset czternasty, a nie dwa tysiące czternasty.

— Albo jakbyśmy czekali na wyjazd do Hogwartu na nowy rok szkolny — rzuciłem żartobliwie.

Roześmiała się. Spodobało mi się, że nie dała się zbić z tropu.

— Nie jesteś fanem Harry’ego Pottera. Nie ma mowy. — Szturchnęła mnie w bok.

— No niezbyt. Ale znam podstawy.

— Ja uwielbiam Harry’ego Pottera. I odgłos jadącego pociągu — westchnęła. — To jeden z moich ulubionych.

— Masz ulubione odgłosy?

— Tak, całe mnóstwo. A ty?

— Hm, chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem — wyznałem.

— Ja je kolekcjonuję — stwierdziła radośnie.

— Jak to: je kolekcjonujesz?

— Tak samo jak ty kolekcjonujesz wspomnienia. — Stuknęła palcem w skroń.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale ona nie wyglądała, jakby oczekiwała odpowiedzi.

— *À propos* kolekcjonowania, nie miałbyś nic przeciwko, żebym ci przedstawiła mojego młodszego brata? Jest zapalonym fanem sportu i na pewno marzy o poznaniu prawdziwego zawodnika mieszanych sztuk walki. Bywa nieco dziwaczny, ale strasznie by się ucieszył.

— Nie ma sprawy — wzruszyłem ramionami. Chciałem zobaczyć, jak mieszka. Ciekawiło mnie wnętrze domu i rodzice, którzy pozwalają niewidomej córce włóczyć się po mieście i tańczyć półnago w barze.

Wyłowiła klucz z kieszeni płaszcza i wymacała zamek. Nie trwało to długo i nie prosiła o pomoc, więc czekałem cierpliwie obok.

Drzwi jęknęły przy otwieraniu, ukazując ciemny przedpokój. W domu czuć było lekki zapach pleśni i środka do polerowania mebli, co przypuszczalnie wynikało z wiekowości budynku.

— Henry? — zawołała Amelie, odstawiając laskę na bok. Ściągnęła płaszcz i niemal bez zawahania powiesiła go na stojącym po lewej stronie od drzwi staroświeckim stojaku na kapelusze i parasole.

— Henry? — zawołała nieco głośniej.

Usłyszałem otwierające się na piętrze drzwi, przez które słyhać było głos komentatora sportowego. Drzwi się zamknęły i głos ucichł. Nad nami rozległ się hałas kroków, a zapalony żyrandol zalał światłem bogato zdobione schody, wokół których zbudowano dom.

Na schodach pojawił się chłopiec w wieku około dwunastu lat z burzą rudych włosów na głowie. Albo właśnie się obudził, albo czesanie włosów nie było jego priorytetem. Miał na sobie dwuczęściową piżamę z logo Chicago Bulls. Zatrzymał się na schodach, a gdy mnie zauważył, splótł ramiona i zaczął przestępować z nogi na nogę, wyraźnie skrępowany nieoczekiwanym towarzystwem.

— Henry? — Amelie z pewnością słyszała jego nadejście i zatrzymanie się. — Henry, to jest Dawid... Hm, Dawidzie, zapomniałam cię zapytać o nazwisko. — Nie czekała, aż je dopowiem, lecz dodała entuzjastycznie, niczym matka do dziecka: — Dawid bije się zawodowo na prawdziwym ringu, Henry! Pomyślałam, że chciałbyś go poznać.

Henry nadal stał jak wryty. Pomachałem do niego.

— Cześć, Henry. Jestem Dawid Taggert. Ale możesz mi mówić Tag — przedstawiłem się. Chłopak wyglądał raczej na zestresowanego niż podekscytowanego.

— Tag? — Amelie pisnęła zaniepokojona, odwracając się nieznacznie w moją stronę. — O mój Boże! Nie wiedziałam... Znaczy, jesteś Tag Taggert. Przedstawiłeś mi się jako Dawid! Myślałam, że jesteś ochroniarzem w barze i walczysz w wolnych chwilach! Jak Lou! O mój Boże. Jesteś moim szefem! — Podniosła dłonie do policzków. Próbowałem się nie śmiać, a ona oddychała głęboko, zażenowana swoją wcześniejszą niewiedzą.

— Boks został zalegalizowany w tysiąc dziewięćset pierwszym roku! — wypalił Henry.

— Dawid nie jest bokserem, Henry. — Amelie szybko się opanowała. — To zawodnik mieszanych sztuk walki, prawda, panie Taggert?

Czyli teraz byłem panem Taggertem. Zacząłem się śmiać, nie mogłem się powstrzymać.

— To kick-boxing, zapasy, dzudo, grappling<sup>[3]</sup>. Wszystkiego po trochu — potwierdziłem, chichocząc.

— Unoś się jak motyl, kluj jak pszczoła — wyrzucił z siebie Henry i jeszcze ciaśniej splótł ramiona.

— Lubisz Muhammada Alego, co? — spytałem.

— The Greatest, The People’s Champion, The Louisville Lip<sup>[4]</sup> — wyrecytował Henry, po czym odwrócił się i uciekł. Trzask zamykanych drzwi ponownie uciął głos komentatora radiowego i zostaliśmy z Amelie sami.

— Następnym razem, gdy się spotkacie, będzie wiedział wszystko o tobie, o twoich wynikach i o mieszanych sztukach walk. Henry ma fenomenalny umysł, ale niezbyt dobrze radzi sobie z towarzyskimi pogawędkami — wyjaśniła cicho Amelie. Przygryzła dolną wargę, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale potem usztywniła plecy, jakby jednak zmieniła zdanie.

Domyśliłem się, że chodziło o coś więcej niż brak umiejętności prowadzenia rozmów towarzyskich, ale nie odezwałem się.

— Nie wiedziałam, kim jesteś. Głupio mi teraz — wyznała onieśmielona.

— Dlaczego?

— Traktowałam cię tak, jak traktuję Lou.

— Czyli jak? Jak przyjaciela?

— Flirtowałam z tobą.

— Cóż, zdarzyło mi się już kiedyś coś takiego. Myślę, że dam sobie z tym radę.

Zmarszczyła nos i brwi.

— Śmiejesz się?

— Tak.

— Okej. To dobrze. Od teraz postaram się zachowywać bardziej zawodowo — oznajmiła i wyciągnęła w moją stronę dłoń, najwyraźniej chcąc pożegnać się w „bardziej zawodowy” sposób.

Uścisnąłem jej dłoń, po raz kolejny walcząc ze śmiechem. Była zabawna, przede wszystkim dlatego, że nie starała się taka być.

— Jeśli uważasz, że Henry’emu by się to spodobało, to przyjdź z nim na siłownię. Drugie drzwi na południe od baru, po tej samej stronie ulicy. Mam cały zespół zawodników. Lou też czasem z nami ćwiczy. Robimy sparingi i trenujemy przez większość dni od dziesiątej do szesnastej. Mogę mu pokazać parę rzeczy i przedstawić go chłopakom.

— Naprawdę? — pisnęła i ścisnęła mocno moją dłoń, obejmując ją dodatkowo drugą. — Zapytam go. Wydaje mi się, że mu się spodoba. Jest naprawdę nieśmiały i nie lubi, gdy ludzie go dotykają, ale mógłby sobie chociaż popatrzeć.

— Nie każę mu wejść na oktagon — stwierdziłem ze śmiertelną powagą.

— Znowu się śmiejesz? — To było dziwne doznanie. Mogłem zrobić dowolną minę, a ona w ogóle by nie zauważyła. Mogłem się z niej wyśmiewać, przewracać oczami, krzywić się, pokazywać jej język, a ona by się nie

zorientowała.

— Tak, śmieję się.

— Tak myślałam. — Amelie też się uśmiechnęła, ale jej twarz była skierowana gdzieś obok mnie, a oczy utkwione w pustce, niemal jakby mnie wykluczała. Uśmiechała się, odsłaniając równe białe zęby, a jej różowe usta nie były już pomalowane tą czerwoną szminką co wczoraj w klatce. Zasadniczo w ogóle nie miała makijażu i w jasnym świetle żyrandola, w którym w końcu dobrze ją było widać, wyglądała młodo i uroczo z tymi ciemnymi włosami założonymi za uszy. Przez to, że nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, sprawiała wrażenie dziwnie nieśmiałej, jakby udawała trudną do zdobycia. Ale wiedziałem, że niczego takiego nie udaje. Nie byłaby w stanie.

Puściłem jej dłoń i zrobiłem krok w tył, wyciągając rękę w kierunku klamki, a ona skierowała głowę w stronę, z której słyszała moje kroki. Wiedziałem, że formalnie rzecz biorąc, mam nad nią przewagę, ale czułem się jak obiekt głupiego żartu przez to, że jej wzrok nigdy tak naprawdę mnie nie chłonał.

— Dziękuję za odprowadzenie mnie do domu, panie Taggert.

— Nie ma za co, pani...

— Anderson — dokończyła, chociaż i tak znałem już jej nazwisko.

— Dobranoc, Amelie Anderson.

Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

PIERWSZA TAŚMA skończyła się donośnym zwolnieniem przycisku „play”, a ja odetchnąłem głęboko, jakbym też został uwolniony. Przez całe nagranie starałem się wstrzymać oddech z obawy, że umknie mi jakaś wskazówka, że nie wychwycę czegoś, czego Tag nam nie mówi. Sęk w tym, że Tag zdawał się obnażać swoją duszę, bo nie opuszczał żadnych szczegółów ich pierwszych spotkań, nawet tych, które lepiej byłoby przemilczeć.

— Nie oglądam filmów. Słucham ich. Mam słabość do świetnych dialogów i ścieżek dźwiękowych, a do tego uwielbiam filmy o miłości — odezwała się Millie, jakby czuła potrzebę uzupełnienia pewnych pozakulisowych detali, którymi Tag

się nie podzielił. — Jakiś czas temu zrobiłam sobie z moją kuzynką Robin maraton filmów z lat osiemdziesiątych, w tym *Dirty Dancing* i *Flashdance*. Staralam się nadażać za akcją, a Robin dopowiadała mi to, czego nie rozumiałam. Gdy poszła do domu, włączyłam sobie *Flashdance* jeszcze raz. Słuchałam tego na okrągło i wyobrażałam sobie, jak by to było tańczyć przed publicznością, przed ludźmi, którzy nie wiedzą, że jestem niewidoma. I tak wpadłam na ten pomysł. Poszukałam trochę informacji, zatrudniłam złotą rączkę i po dwóch tygodniach miałam w piwnicy stabilną rurę do tańczenia, która podierała bojler. Złota rączka zaprosił mnie nawet na randkę, ale odmówiłam.

— Bystra dziewczyna — powiedziałem. Byłem pod wrażeniem. Miała w sobie mnóstwo energii i przez chwilę ucieszyłem się ze szczęścia swojego przyjaciela, lecz zaraz przypomniałem sobie, że odszedł.

— Jako dziecko ćwiczyłam taniec i gimnastykę, byłam też bardzo ambitna, aż do momentu, gdy wzrok zaczął mnie zawodzić. Ale utrata wzroku nie była równoznaczna z utratą sprawności fizycznej, bo nadal mogłam ćwiczyć na drążku lub równoważni. Z pomocą mamy i paru cierpliwych trenerów kontynuowałam treningi. Przerwałam dopiero kilka lat temu. Czasem chodzę jeszcze na salę, ale generalnie wyczerpałam już dostępną życzliwość. Nie chciałam być żalosna, a zaczęłam czuć, że jestem ciężarem, bo zawsze musiałam mieć w pobliżu kogoś, kto będzie miał na mnie oko. Ale w piwnicy z rurą, gdzie mogę puszczać sobie muzykę tak głośno, jak chcę, mogłam wykorzystać swoje umiejętności taneczne i gimnastyczne. I nikt nie musiał mi pomagać. Nikt nie musiał pilnować, żebym nie upadła i nie zrobiła sobie krzywdy. Gdy tańczyłam, mogłam udawać, że robię to na poważnie i że wyglądam równie dobrze, jak się czuję. W końcu odważyłam się zatańczyć przed Robin. Stwierdziła, że jestem niesamowita, i była bardzo podekscytowana. Zaczęłam więc tworzyć elementy choreografii. Wiesz, pozwoliłam sobie marzyć.

— Zrobiłam nawet układ do piosenki *Perfectly Blind* zespołu Day 26 — mówiła dalej. — To seksowna piosenka i musisz przyznać, że to zabawne<sup>[5]</sup>. Stwierdziłam, że jeśli sama nauczę się z siebie śmiać, to nie będzie mi przeszkadzało, gdy inni będą się śmiali. Chciałam tańczyć. Marzyłam o tym. Miałam jednak świadomość, że prowokuję falę nowych dowcipów dla komików estradowych. Zapoczątkowałamby nowy ruch. Zamiast dowcipów o blondynkach lub grubych Murzynkach opowiadano by dowcipy o ślepych striptizerkach.

— Przychodzi mi do głowy kilka — zażartowałem, a ona zachichotała.

— No, mnie też. Mam ich milion.

Nie poprosiłem, żeby się nimi podzieliła, chociaż ciekawiło mnie to. Przestała jednak się śmiać i ze skrępowaniem poprawiła włosy.

— Śmieję się z tego, ale naprawdę zwracam uwagę na swój wygląd. Kosztuje mnie to bardzo dużo pracy. Robin jest kosmetyczką, co jest pomocne. Często

chwalono moją urodę, a ja nie mogę spojrzeć w lustro, żeby to podważyć, więc postanowiłam w to uwierzyć. Ale tańczenie przed ludźmi? To zupełnie inna historia. Kilka miesięcy temu Robin powiedziała, że w klubie na rogu Broadway i Rio Grande szukają tancerek. Uważała, że powinnam spróbować. Chciałam tego. Naprawdę bardzo tego chciałam. Potrafiłam się z siebie śmiać z Henrym i Robin i potrafiłam tańczyć na rurze w piwnicy, ale czy byłabym w stanie tańczyć gdziekolwiek indziej? Czy mogłabym w ten sposób zarabiać?

— Tag najwyraźniej uznał, że tak — przerwałam jej.

Millie przytaknęła i ciągnęła dalej.

— Robin powiedziała, że mi pomoże. I zrobiłaby to. Sprawiałaby, że wyglądałabym jak milion dolarów. Koniec końców jednak pojawiłam się na rozmowie ubrana jak bezdomna. Niewidoma bezdomna. Czy może raczej jak moje wyobrażenie o bezdomnych. Weszłam tam prosto z ulicy, przygotowana na odtrącenie. Włosy w nieładzie, niekorzystne ciuchy. Zrobiłam to specjalnie. Chciałam, by mieli jak najwięcej powodów do odrzucenia mojej kandydatury. Chciałam im dać łatwy sposób na zakończenie tej sytuacji. Ale oni mnie nie odrzucili. — Przerwała na chwilę. — I teraz znamy powód.

Początkowo nie rozumiałem, dlaczego Tag uwzględnił tę część historii na swoich taśmach. Obserwowałem Millie, gdy opowiadał o scenie z Morganem. Jej twarz zapadła się w sobie. Miałem ochotę wyrzucić magnetofon przez okno i dopaść mojego najlepszego przyjaciela, żeby wbić mu do głowy trochę zdrowego rozsądku.

Tag jednak mówił dalej i Millie się rozluźniła. Jej twarz przybrała zamyślony wyraz, a ja uświadomiłem sobie powód przytoczenia tej niezręcznej historii. Tag wyjawiał szczegóły zatrudnienia Millie, bo nie chciał, by usłyszała o tym od kogoś innego i uznała, że on także brał udział w tym żarcie. Najwyraźniej pragnął dać Millie do zrozumienia, że gdy pierwszy raz zobaczył ją na rurze, nie miał pojęcia, że jest niewidoma. On uznał ją za śliczną.

— Słyszałaś, co powiedział, Millie. On o tym nie wiedział. Przekonałaś go, że jesteś dobrą tancerką. Pomyślał nawet, że jesteś lepsza od pozostałych. — Znowu poczułem ścisnięcie w żołądku. Gdyby Tag zamierzał wrócić, nie czułby potrzeby wyjaśniania tej sytuacji lub chronienia Millie przed plotkami.

— Wiem — szepnęła i wstała. — Potrzebuję przerwy, Mojżeszu. Muszę wrócić do domu i sprawdzić, czy z Henrym wszystko w porządku.

Zaproponowałem, że ją podwożę, ale odmówiła, twierdząc, że chce rozprostować kości. Za kilka godzin miała tańczyć w klubie, co mnie ucieszyło, nawet gdyby miała tylko mechanicznie wykonać cały program. Wykonanie programu oznacza, że nie siedzisz bez ruchu. A siedzenie bez ruchu dobija najbardziej. Jak na razie wszyscy zachowywali się normalnie, przychodzili do pracy i robili co do nich należy w jego siłowni, barze i sklepie na rogu. Nawet



jeśli Tag porzucił swój świat, to my powinniśmy nadal wykonywać swoje programy. Być może uda nam się utrzymać ten świat w ruchu do jego powrotu. Nie pozwalałem sobie na żadne dalsze domysły.

\*\*\*

---

[1] Oktagon — ośmiokątny ring, na którym przeprowadza się walki MMA — *przyp. tłum.*

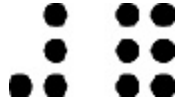
[2] Helen Keller (1880 - 1968) — amerykańska głuchoniema pisarka, pedagog i działaczka społeczna — *przyp. tłum.*

[3] Grappling — rodzaj walki na chwyt (dźwignie, rzuty, duszenia itp.), w której zabronione są uderzenia — *przyp. tłum.*

[4] Przydomki Muhammada Alego — *przyp. tłum.*

[5] *Perfectly blind* to „kompletnie ślepa” — *przyp. tłum.*

# Cztery



MORGAN NIE WRÓCIŁ do pracy. Następnego dnia pojawiłem się w barze o drugiej, gotów się z nim spotkać lub go zastąpić. Gdy o piątej trzydzieści wciąż nie dawał znaku życia, zakląłem i zacząłem przerzucać w myślach potencjalne kandydatury. Czekająca mnie poważna walka, do której musiałem się przygotowywać, więc nie uśmiechała mi się praca co noc do późna. Po to zatrudniłem Morga. Ja wolałem przyjść, pogadać z klientami, przybić parę piątek i pójść na zaplecze. Nie miałem ochoty stać czterdzieści godzin tygodniowo za barem i nim zarządzać. I tak miałem już zbyt wiele na głowie. Ale zawstydziłem Morgana. Zraniłem jego dumę. Mimo to dziwiło mnie, że się nie pojawił.

Przez cały wieczór przyrządzałem drinki, rozmawiałem ze stałymi klientami i obserwowałem drzwi. Byłem pewien, że Morgan prędzej czy później wemknie się chyłkiem. Nie miał aż tak wielu innych opcji. O siódmej zjawiła się Amelie. Weszła przez drzwi frontowe, a nie tylne, z których zazwyczaj korzystali pracownicy. Był z nią Henry, z burzą włosów schowaną pod bejsbolówką Giantsów. Chłopiec rozglądał się nerwowo na boki. Wyglądali razem nad wyraz interesująco — jedno tak opanowane, a drugie podenerwowane.

Krzyknąłem do nich, żeby się przywitać, i Amelie uśmiechnęła się niepewnie, ruszając z Henrym w stronę baru. Miała dzisiaj tańczyć i zastanawiałem się, co jej strzeliło do głowy, że przyprowadziła brata. Henry zachowywał się, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. Wbił wzrok w telewizor nad moją głową, zatrzymując się jakiś metr od stołków. Schował ręce do kieszeni i odciął się od świata. Miał spuchniętą wargę i siniak na policzku. Ciekawe, czy Amelie o tym wiedziała.

— Ehm, cześć, Dawidzie... panie Taggert — powiedziała, wymacując krawędź kontuaru.

— Amelie — przerwałem jej. — Na litość boską, przestań nazywać mnie panem

Taggerem.

— Okej. Dobrze — uśmiechnęła się nieśmiało i kontynuowała z wyraźnym zakłopotaniem w głosie. — Czy Henry mógłby tu chwilę posiedzieć i pooglądać mecz Lakersów? Zazwyczaj gdy pracuję, sąsiadka przychodzi go pilnować, żeby nie był sam w nocy. Ale dzisiaj nie czuła się dobrze. Wiem, że Henry jest na tyle duży, że mógłby zostać w domu, i zdarzało mi się go wcześniej zostawiać samego. Ale nigdy na tak długo. A do tego miał ciężki dzień. Robin go odbierze, ale może tu być najwcześniej za dwadzieścia minut... — zamilkła zakłopotana.

Zastanawiałem się krótko, gdzie są jej rodzice, ale uznałem, że to nie mój interes.

— Czy on też lubi bąbelki? — zażartowałem. Jeśli Henry do przyjścia Robin jest w stanie siedzieć cicho na stołku i oglądać mecz, to ja mogę dostarczyć mu napoje i precelki. Był za młody, żeby przebywać w barze, ale skoro nie pije alkoholu — czego jestem w stanie dopilnować — i nie będę go miał na głowie zbyt długo, to nie miałem się czym przejmować.

— Sprite. Uwielbia sprite. — Brzmiała, jakby miała się rozplakać od zalewającej ją ulgi, lecz odwróciła się do Henry'ego, chwyciła go za ramię i łagodnym głosem poinstruowała: — Henry, słyszałeś? Pan Tag... ehm, Tag mówi, że możesz z nim obejrzeć mecz. — Henry, nie odrywając wzroku od ekranu, usiadł na stołku.

— Może tutaj siedzieć, Dawidzie? — Nie potrafiła swobodnie mówić mi po imieniu. Ciekawe dlaczego.

— Jasne. Idź, będę miał na niego oko.

— Dziękuję. Dziękuję, ja... — przerwała, wyprostowała ramiona, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się. — Dziękuję. Jestem ci za to wdzięczna — powiedziała zdecydowanie, po czym wyczuwając drogę laską, ruszyła wzdłuż baru i zniknęła w długim korytarzu prowadzącym do ubikacji i szatni pracowniczych.

Postawiłem przed Henrym miseczkę orzeszków i wysoką szklanę ze sprite'em, ale po namyśle zamieniłem orzeszki na precelki. Henry wyglądał na dzieciaka, który może mieć paskudne uczulenie na orzeszki. Tylko tego by mi tu dzisiaj brakowało.

— Kobe Bryant prowadzi w lidze w rzutach wolnych. — Nie miałem pojęcia, czy to prawda. Rzuciłem cokolwiek, żeby sprawdzić, czy Henry zareaguje.

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową, dyskwalifikując moje stwierdzenie.

— Jest najwyższym zawodnikiem w NBA? — Wiedziałem, że to nieprawda.

Henry się uśmiechnął.

— Ma największe stopy?

Henry potrząsnął głową.

— Jego najlepszy przyjaciel to Shaq? — spytałem.

Henry potrząsnął głową tak energicznie, że myślałem, że spadnie ze stołka.

— Kobe Bryant jest najmłodszym zawodnikiem w historii, który zdobył trzydzieści tysięcy punktów — poinformował mnie. Przybiłem sobie mentalną piątkę za to, że w ogóle się odezwał.

— Serio? — spytałem nonszalancko.

— Był też najmłodszym zawodnikiem, który rozpoczął karierę w NBA — dodał.

— Wielka mi rzecz — machnąłem dłonią. — Wszyscy to wiedzą. — Puściłem mu oczko, żeby dać do zrozumienia, że nie miałem o tym pojęcia.

— Wiesz, że nadano mu imię na cześć japońskiej wołowiny? — pochwalił się wiedzą Henry, przysuwając do siebie szklanę i pociągając długi łyk przez słomkę.

— Żartujesz! — zaśmiałem się. Potem poszedłem obsłużyć klientów siedzących kilka stołków dalej i przywitałem się z Axelem, moim pochodzącym ze Szwecji partnerem sparingowym, który usiadł o jeden stołek od Henry'ego. Postawiłem przed nim piwo, na co odpowiedział *tack*, czyli po szwedzku „dziękuję”, po czym zabrał się do picia.

— Shaquille O'Neal i Kobe Bryant nie są przyjaciółmi — stwierdził poważnie Henry i pieczołowicie umieścił precel na języku, patrząc z przygnębieniem na opróżnioną szklanę.

— Nie? Dlaczego? — spytałem, dolewając mu sprite'a.

— Giganci nie są zbyt dobrymi przyjaciółmi.

— Mówisz o Shaqu czy Kobem? Obaj są dość duzi. — Próbowałem się nie śmiać, bo Henry był całkowicie poważny.

— Giganci nie lubią, gdy ktoś jest od nich większy.

— No nie wiem. Spójrz na mnie i Axela. Obaj jesteśmy dość wielcy.

— Kto jest większy? — spytał Henry.

— Ja — odparłem stanowczo, a Axel w tym samym momencie uderzył się w pierś.

Henry spojrzał na mnie sowim wzrokiem, jakbym właśnie dowiódł słuszności jego słów. Axel wybuchnął śmiechem, przez co ja też w końcu nie wytrzymałem, lecz Henry w ogóle się nie śmiał. Chwyił napuchniętymi wargami słomkę i zaczął pić, jakby umierał z pragnienia. Poczekałem, aż Axel zwróci uwagę na Stormy, która zatrzymała się obok niego, żeby poplirtować.

— Henry? Masz jakieś problemy z gigantami? — dotknąłem swojej wargi i spojrzałem wymownie na jego usta.

— Giganci zwyciężyli w World Series w dwa tysiące dwunastym roku — powiedział cicho. — W dwa tysiące dziesiątym też. Są teraz bardzo popularni.

Nie byłem pewien, czy popularność gigantów była jakimś ukrytym przekazem, czy Henry po prostu chce zmienić temat. Spróbowałem jeszcze raz z innej strony.

— Znasz historię o Dawidzie i Goliacie, prawda? Dawid był małym chłopcem, a Goliat olbrzymim wojownikiem. I Dawid zabił Goliata za pomocą procy i... własnego miecza przeciwnika.

— Też masz tak na imię — stwierdził Henry, nie odrywając wzroku od telewizora.

— To prawda. Chcesz, żebym zabił dla ciebie jakiegoś giganta?

— Giganci mają bardzo dużo silnych zawodników.

Spojrzałem na niego badawczo. Nie odrywał wzroku od ekranu. Czułem się, jakbym rozmawiał z Yodą. Lub R2-D2.

Westchnąłem i po raz trzeci napełniłem jego szklanę.

— Gdy cały ten sprite przez ciebie przepłynie, łazienki znajdują się w korytarzu po prawej.

Nie chciałem denerwować Amelie, ale gdy pokazała się na chwilę, żeby sprawdzić, czy Robin odebrała Henry'ego, ukrywając swój taneczny „uniform” pod koszulką Tag Team i legginsami, odciągnąłem ją na bok i po raz kolejny podkreśliłem, że powinna przyprowadzić brata na siłownię. Nie zaszkodziłoby mu, gdyby nauczył się radzić sobie z prześladowcą. Lub gigantem, jeśli to na tym polegał problem.



NASTĘPNEGO DNIA Amelie i Henry nie pojawili się na siłowni. W sobotę wydawało mi się, że widziałem przez ścianę z okien, jak stoją przed wejściem, ale gdy spojrzałem po raz drugi, nikogo nie było. Wzruszyłem ramionami i uznałem, że najwyraźniej Henry nie był aż tak podekscytowany tym pomysłem, jak wydawało się Amelie. Kilka minut później zobaczyłem ich obok worków treningowych typu speed bag<sup>[1]</sup>. Amelie trzymała się mocno jego ramienia, a on wyglądał, jakby zamierzał się zerwać niczym przerażony pies i porwać ze sobą siostrę. Zwrócili uwagę paru osób, bo Henry jak zwykle miał rozwichrzoną fryzurę i rozbiegany wzrok, a do tego drżały mu dłonie, natomiast Amelie stała bez ruchu i patrzyła w jeden punkt.

Przerwałem swoją walkę, uciekając Axelowi, który próbował mnie znokautować, i prześliznąłem się między linami otaczającymi jeden z oktagonów.

— Amelie! Henry! — zawołałem. Na twarzy Amelie natychmiast rozkwitł szeroki uśmiech. Tak szeroki, że dosięgnął oczu, nadając im pełen życia wygląd. Ale Henry zaczął się wycofywać, ciągnąc siostrę za sobą.

— Joł, Henry, zaczekaj, stary. — Zatrzymałem się kilkadziesiąt centymetrów od nich i powiedziałem przyciszonym głosem: — Wiedziałaś, że walka Jacka Dempseya i Jessa Willarda była pierwszą, którą transmitowano przez radio?

Henry znieruchomiał.

— Wiesz, który to był rok, Henry?

— Tysiąc dziewięćset dziewiętnasty — odparł szeptem. — A pierwsza transmisja telewizyjna była w trzydziestym pierwszym. Benny Leonard kontra Mickey Walker.

— Nie wiedziałem o tym. — Tak naprawdę o Dempseyu i Willardzie dowiedziałem się wczoraj z biografii Dempseya na Netfliksie. Dzięki Bogu za Netflix. Gdy usłyszałem o tej transmisji radiowej, przypomniał mi się Henry i dochodzące z jego pokoju relacje sportowe. — Powiesz mi coś więcej?

— Dawid „Tag” Taggert, zawodnik wagi półciężkiej z osiemnastoma zwycięstwami, dwoma przegranymi i dziesięcioma nokautami.

— Sprawdziłeś mnie, co?

Henry odwrócił wzrok, onieśmielony, a jego usta zadrgały.

— Sprawdziłeś! Co jeszcze znalazłeś? Że wszystkie panie mnie kochają i że jestem najprzystojniejszym zawodnikiem na całym świecie. Z wszystkich kategorii wagowych.

Henry przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego. Uświadomiłem sobie, że szuka w pamięci tej informacji, więc się zaśmiałem.

— Żartuję, stary.

— Sto dziewięćdziesiąt centymetrów, dziewięćdziesiąt siedem kilogramów, najczęściej porównywany z Forrestem Griffinem i Michaeliem Bispingiem? — Henry powiedział to pytająco, jakby szukał aprobaty.

— Jestem bardziej czarujący niż Bisping i mam lepsze uszy niż Forrest. Ale obaj przypuszczalnie skopaliby mi dupę.

— On powiedział „dupa”, Amelie! — szepnął Henry, nieco zszokowany.

— Tak, Henry, powiedział. W porządku. Zawodnicy tak mówią — uspokoila go Amelie.

— Czy ja też mogę mówić „dupa”? — cicho spytał Henry z zaciekawieniem.

— Tak, możesz — wtrąciłem się — gdy nauczysz się walczyć.

— Nie lubię walczyć. — Henry zaczął się wycofywać.

— To nic takiego. Istnieje mnóstwo sposobów walki. Mogę ci pokazać to i owo, gdy będziesz gotowy. Niektóre chwytły służą wyłącznie do obrony. Teraz jednak chciałbym cię przedstawić mojemu zespołowi.

— Tag Team? — upewnił się podekscytowany Henry.

— Właśnie. Nie wszyscy dzisiaj są, ale zobaczysz całkiem sporą część grupy.

Axela, mojego pochodzącego ze Szwecji partnera sparingowego, Henry poznał już w barze. Amelie potrząsnęła grzecznie jego dłonią, a on rzucił mi znad jej głowy ostre spojrzenie. Musiał widzieć jej taniec. Mikey, facet o potężnych przedramionach, który nie miał lewej nogi, przywitał Henry'ego i Amelie z uśmiechem. Zawsze szarmancki w towarzystwie kobiet, wśród facetów zmieniał się z powrotem w wulgarnego żołnierza. Stracił nogę w Iraku, a na obiektach Tag Team próbował się uporać ze swoimi demonami. Nauczył mnie paru technik w walce wręcz, jakich można się nauczyć tylko od kogoś, kto musiał walczyć o życie więcej razy, niż był w stanie zliczyć.

Potem podeszliśmy do Paula, Brazylijczyka, który był najlepszy z nas w grapplingu, a następnie do Cory'ego, najmłodszego w zespole. Cory Mangum był zapaśnikiem, który w trzeciej klasie szkoły średniej zdobył tytuł mistrza NCAA w wadze ciężkiej. Rok później jednak wszystko to zaprzepaścił i wylądował w szpitalu psychiatrycznym w Montlake, po tym jak próbował uciec od uzależnienia narkotykowego, skacząc z mostu. Mój dobry znajomy, doktor Andelin, skierował go do mnie. Jak dotąd Cory nie bierze i codziennie rozkłada mnie na łopatki. Bardzo dużo się od niego nauczyłem.

Poza Axelem, Mikeyem, Paulem i Corym, którzy trenują, lecz nie biorą udziału w zawodach, miałem też paru zawodników MMA w różnych kategoriach, występujących pod skrzydłami Tag Team. Grzecznie przywitali się z Henrym i Amelie, chociaż widziałem, że ukradkowo zerkają na potarganą fryzurę chłopca i olśniewający uśmiech dziewczyny. Zastanawiałem się, czy Amelie zdaje sobie sprawę ze swojego uroku. Chyba nie. W salach Tag Team było sporo kobiet. Niektóre przychodziły zobaczyć mnie lub innego zawodnika, inne z nami współpracowały. Miałem dwie zawodniczki klasyfikowane w UFC. Amelie była jednak nowa, a chłopcy z całą pewnością zwrócili uwagę na jej figurę, lśniące włosy i śliczne usta. Ta myśl mnie martwiła. Tylko czekać, aż Axel powie im, że kilka nocy tańczyła w barze na rurze. Ta myśl *naprawdę* mnie martwiła.

— W tej części obiektu odbywają się walki. Pozostałe części, czyli sala z ciężarami, sala ze sprzętem treningowym i sale zajęć, są do dyspozycji członków klubu Tag Team. Za piętnaście dolarów miesięcznie masz dostęp do wszystkiego po tej stronie obiektu. Kilka wieczorów w tygodniu odbywają się zajęcia, do których są potrzebne maty, na przykład dzudo lub szkoła samoobrony. I te zajęcia są płatne osobno.

— Mógłbyś pójść na próbę na zajęcia z dzudo lub z samoobrony, Henry —

odezwiała się Amelie. — Wiesz, że chodziłam kiedyś na dzudo? Znalazłam grupę dla niewidomych sportowców. Całkiem fajny sport. Ale ja nie potrafię się wczuć, gdy nie słyszę głośnej muzyki, i lubię robić wykopy i obroty, które niezbyt pasują do tej sztuki walki.

— Racja. Chyba że rzucasz kimś w trakcie obrotu.

— Będę musiał bić złych facetów? — spytał Henry głosem pełnym wątpliwości.

— Nie, w dzudo chodzi o rzuty. Zawodnicy MMA często wykorzystują rzuty i techniki obezwładniania, więc dzudo jest dla nas dość ważne — wyjaśniłem. Henry wydawał się przesadnie przejmować koniecznością przywalenia komuś, co oznaczało, że przypuszczalnie trzeba go będzie tego nauczyć.

— Nie musisz nikogo bić. Poza na przykład tym workiem. Chcesz przywalić w ten worek?

Henry zatrzymał się i podejrzliwie spojrział na worek treningowy znajdujący się kilka metrów na lewo od nas.

— Możesz też poboksować w speed bag. To całkiem zabawne. No i worek ci nie odda.

Amelie wciąż trzymała Henry'ego pod ramię i nigdzie nie widziałem jej laski. Chwyciłem ją więc delikatnie za łokieć i przyciągnąłem do siebie, żeby Henry nie zrobił jej krzywdy, gdy będzie próbował zadać cios. Wątpiłem, żeby kiedykolwiek w życiu w cokolwiek przywalił. Był drobnym i chudym chłopcem, który najwyraźniej miał jakieś problemy rozwojowe. Mówił trochę jak robot, przez co zastanawiałem się, czy nie ma autyzmu. Z jednej strony potrafił sypać ciekawostkami sportowymi niczym chodząca encyklopedia, a z drugiej strony pytał, czy może mówić „dupa”. Niezbyt typowy nastolatek.

Podszedł do długiego worka treningowego. Wpatrywał się w niego tak, jakby worek mógł się zmienić w coś zabójczego. Uderzył go lewą ręką i posłał jednego kopniaka w powietrze.

Amelie klasnęła w dłonie.

— Czy to ty, Henry? Słyszałam to!

— Spróbuj jeszcze raz, Henry. Możesz też kopać — poinstruowałem go.

Henry wyrzucił nogę do przodu, jakby otwierał kopniakiem drzwi. Worek odchylił się i wrócił, uderzając wyciągniętą nogę Henry'ego, który przewrócił się na plecy.

— Dostałem, Tag — jęknął, a Amelie westchnęła. Chyba się myliłem. Najwyraźniej worek treningowy może oddać.

— Wstawaj, stary. Dałeś mu tęgiego kopniaka. Musisz uważać na jego kołysanie i odskakiwać trochę, a w odpowiednim momencie wymierzać ciosy i kopniaki.



Henry podniósł się, jakby worek w każdej chwili mógł go podciąć i przewrócić. Stuknął go pięścią. Raz i drugi. Potem kopnął dwa razy, tym razem bez upadku, i przeszliśmy do speed bagu, a ja mówiłem mu, co ma robić. Amelie milczała, słuchając uważnie, a ja uświadomiłem sobie, że instruując Henry'ego, przez cały czas trzymam ją za łokieć i przyciągam ją do swojego boku. Odezwała się dopiero wtedy, gdy Henry znalazł właściwy rytm ze speed bagiem i zaczął radośnie pomrukiwać pod nosem.

— Dawidzie?

Odruchowo chciałem się rozejrzeć, żeby zobaczyć, do kogo mówi, lecz przypomniałem sobie, że to moje imię. W jej ustach brzmiało jakoś inaczej.

— Tak?

— Jesteś taki miły. Nie spodziewałam się tego po tobie.

— Dlaczego?

— Bo wszystkie dziewczyny w barze albo są w tobie zakochane i chcą się z tobą przespać, albo cię nienawidzą i też chcą się z tobą przespać. Myślałam, że jesteś raczej typowym złym chłopcem.

— Oj, jestem bardzo złym chłopcem. Staram się po prostu nie być dupkiem wobec osób, które na to nie zasłużyły. Myślę, że można powiedzieć, że jestem miłym złym chłopcem.

— Nie wiem, czy to w ogóle możliwe — odparła cicho.

— Wierz mi, możliwe. Jestem dobry dla ludzi. Ale nie zadzieraj ze mną. I nie zadzieraj z ludźmi, o których się troszczę. Bo zobaczysz moją złą stronę.

— Zapamiętam to — powiedziała poważnie Amelie, przytakując, jakby jeszcze sekundę temu rozważała zadzieranie ze mną. Myśl o tym, że drobniutka niewidoma brunetka o perłowej skórze i słodkim uśmiechu chciała ze mną zadrzeć, wydała mi się komiczna.

— Knujesz coś? — spytałem, tłumiąc śmiech.

— Knulam. Ale przemyślałam to sobie. — Zadrzała teatralnie. — Nie chcę zobaczyć złego Taga.

— Zły Tag i Mała Millie.

— Millie?

— Nikt nigdy nie nazywał cię Millie, żeby było krócej?

— Nie — odparła szczerze.

— Henry i Amelie nie są zbyt często spotykanymi imionami. Brzmią trochę staroświecko.

— To dlatego, że tak naprawdę urodziliśmy się pod koniec dziewiętnastego

wieku, gdy te imiona były bardziej popularne. My, wampiry, się nie starzejemy, wiesz. A moja ślepotą to tylko trik, żeby ludzie nie czuli się zagrożeni — wyjaśniła z uśmiechem.

— Doprawdy? — spytałem przeciągle. — O ja przeklęty! Czyli ty i Henry już na zawsze będziecie mieli, hm, dwadzieścia dwa i trzynaście lat?

— Piętnaście. Henry ma piętnaście lat.

— Ale tak naprawdę masz sto dwadzieścia dwa lata?

— Dokładnie. Za sto lat nadal będziemy wyglądać tak samo dobrze. — Dla Henry'ego było to smutne, ale dla Amelie nie tak bardzo.

— Przeżyjesz nas wszystkich.

Twarz Amelie zapadła się na ułamek sekundy, a jej uśmiech zniknął. Nie zauważyłbym tego, gdybym nie patrzył prosto na nią. Uświadomiłem sobie, że przeżyła kogoś, kto był dla niej ważny.

— Czy twoi rodzice także są nieśmiertelni? — spytałem, zastanawiając się, czy porzuci to przekomarzanie się.

— Nie. Mój ojciec zniknął. Nie rozmawiałam z nim od wielu lat. A mama zmarła jakiś czas temu. — Wzruszyła ramionami, a zabawny klimat został wyparty przez smutną rzeczywistość.

— Przykro mi, kochanie. — To było czułe słówko, którego chętnie używałem. Powiedziałem „kochanie” do tak wielu kobiet, że nie potrafiłbym ich policzyć, lecz Amelie zrobiła się różowa na policzkach i opuściła głowę, jakby się trochę zawstydziała. Chyba niezbyt często ją tak nazywano.

— Mój ojciec niezbyt dobrze zniósł moją utratę wzroku. Najwyraźniej dwoje dzieci z problemami to było dla niego zbyt wiele.

— Czyli opiekujesz się Henrym... sama? — Byłem zdumiony. Staralem się tego nie okazywać, ale ona to wychwyciła, sądząc po opuszczeniu głowy i tym, jak usztywniła plecy.

— Naprawdę chcesz wiedzieć czy we mnie wątpisz? — Odwróciła się w moją stronę, jakby chciała się ze mną skonfrontować twarzą w twarz. Gdy na nią spojrzałem, poczułem znajome drżenie w piersi. To było uczucie, jakbym skoczył z urwiska. Wzbierające w sercu i eksplodujące w klatce piersiowej doznanie, jakiego doświadczyłem już kilka razy wcześniej.

Poczułem je, gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak Mojżesz trzyma swoją nowo narodzoną córkę. On i Georgia wyglądali na tak szczęśliwych i spełnionych, że bijąca z jego twarzy radość przelała się na mnie i wypełniła moje serce cudownym zdumieniem. Poczułem je dwa lata temu, gdy pozbierałem się w piątej rundzie i wygrałem swoją pierwszą poważną walkę. W ostatnich kilku latach doświadczyłem tego uczucia całkiem sporo razy, gdy obserwowałem

Mojżesza przy pracy i widziałem, jak ludzie wzruszali się do łez, gdy doświadczali jego daru. Ale po raz pierwszy to uczucie zaparło mi dech w piersi w Wenecji. To było rok po wyjściu z Montlake i osiem miesięcy po wyruszeniu z Mojżeszem w podróż dookoła świata. Przez tak długi czas byłem przybity i zagubiony, że zapomniałem już o tym, że można czuć cokolwiek innego. I wtedy, gdy w małej łodzi w Wenecji oglądałem zachód słońca — tę ognistą, piekielną czerwoną kulę barwiącą chmury i ziemię wszystkimi odcieniami nieba — oczy wezbrały mi łzami od tego całego brutalnego piękna. W tamtej chwili uświadomiłem sobie, że znowu pragnę żyć. Po raz pierwszy od dłuższego czasu cieszyłem się, że żyję.

I spoglądając na przypominającą serce twarz Amelie Anderson i jej uparcie zaciśnięte usta, poczułem to znowu. To uczucie przetoczyło się przeze mnie, pozbawiając mnie tchu.

— Naprawdę chcę wiedzieć — powiedziałem ochrypłym szeptem.

— Opiekujemy się sobą nawzajem — odparła wprost. — On pomaga mi w rzeczach, z którymi mam problemy. Czasem nawet gotuje. Nic specjalnego, ale dla nas dwojga wystarczy. Może nie zawsze wiem na pewno, czy moje ubrania pasują do siebie, czy dom jest naprawdę czysty lub czy w mojej zupie jest mucha, ale Henry opiekuje się mną równie dobrze jak ja nim.

Jasne. Trudno było zgadnąć, kto w tym układzie odgrywa rolę rodzica, a kto rolę dziecka. Ta dziewczyna co krok mnie zaskakiwała.

— Henry i ja tworzymy zespół. Ty masz swój zespół, Tag Team, prawda? Więc rozumiesz to. Każdy wnosi coś innego.

— Tak?

— On jest oczami. Ja jestem sercem. On jest dłońmi, a ja głową. Tak mawiała moja mama.

Zamilkliśmy po tym oboje. Mój umysł gorączkowo wszystko przetwarzał, Henry toczył spektakularną walkę z olbrzymim workiem bokserskim, a Amelie stała nieruchomo i słuchała, jakby w ten sposób mogła zobaczyć, jak jej brat rozkłada na łopatki niewidzialnego wroga. Nie sądziła jednak, bo nie mogła tego wiedzieć, że rozłożyła na łopatki mnie. Niby nadal stałem obok niej, ale czułem, że wpadam po uszy.

(Koniec taśmy).



**Mojżesz**

*ON JEST O CZAMI. Ja jestem sercem. On jest dłońmi, a ja głową.* Słowa Millie

dźwięczały mi w uszach, bo tak naprawdę doskonale opisywały mnie i Taga. Ja byłem oczami i dłońmi — artystą, który widział to, czego nie widzieli inni i czego nie widział Tag. Ale to on był liderem, głową i sercem, a jego głowa i serce raz za razem udowadniały, że dbają o moje oczy i ręce. Tag kierował się głównie sercem, co czasem wpędzało go w kłopoty, czy raczej wpędzało *nas* w kłopoty. Najczęściej jednak prowadziło nas w dobrym kierunku. Tag się mną opiekował. Nie umiałem jednak powiedzieć, czy ja też się nim opiekuję. Nie pomyślałem o tym, że powinienem.

— Dlaczego on odszedł, Mojżeszu? Dokąd poszedł? Od dwóch tygodni nikt go nie widział. Nikt nic nie wie. Jeśli faktycznie wpadł po uszy, to dlaczego tak zniknął? — Millie była bliska łez, a moje palce szaleńczo kreśliły w notatniku. Musiałem uciec się do rysowania, żeby nie zwariować od słuchania pożegnalnych słów mojego najlepszego przyjaciela.

Dzwoniłem do ojca Taga. Ten zadzwonił do jego matki, a ona z kolei do jego dwóch młodszych sióstr, które były w szkole. Millie miała rację. Nikt nic nie wiedział. Od odejścia Taga nikt nie miał od niego żadnej wiadomości.

— Powiedział lub zrobił coś nietypowego? Cokolwiek, co mogłoby być dla nas wskazówką dotyczącą tego, dokąd się wybrał? — spytałem w poczuciu beznadziei. Słuchanie Taga nappełniało mnie tym poczuciem. On opowiadał historię miłosną. A z mojego doświadczenia z miłością wynikało, że ta historia nie skończy się dobrze. Historie miłosne zwykle kończą się tragicznie.

— Nie. To znaczy, sprawiał wrażenie zmęczonego, co było do niego niepodobne — odpowiedziała Millie, przerywając mój przygnębiający ciąg myślowy. — Tag nigdy nie wydawał się zmęczony. Zauważyłeś to? Nigdy nie poznałam kogoś, kto miałby tyle energii. A mimo to był zmęczony. Zawzięcie trenował przed tą walką z Santosem. Kilka razy zasnął wieczorem, oglądając telewizję z Henrym. Raz obudziłam go około północy, bo nasza kanapa jest mała i musiało mu być niewygodnie. Był tak zdezorientowany, że nawet trochę bełkotał. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, uznałabym go za pijanego. Ale on niczego nie pił. Przez cały czas, gdy go znałam, nie wypił nawet jednego piwa. No więc spał na kanapie przez trzy godziny. Nie chciałam, żeby prowadził. Powiedziałam mu, że jest zbyt senny, żeby jechać samochodem. Nawet jeśli to było tylko kilka przecnic. Ale on stwierdził, że nic mu nie będzie. Odprowadziłam go do samochodu, a on zażartował, że ślepa prowadzi ślepego. — Jej głos załamał się przy tych słowach.

— Wtedy spotkałaś się z nim po raz ostatni?

— Nie. W ostatnią noc, gdy się z nim spotkałam, on... on i ja... — Millie urwała, a jej policzki zrobiły się podejrzanie różowe.

Skurczybyk. Nie potrzebowałam żadnych dodatkowych wyjaśnień. Po raz kolejny byłem w kropce. Przeprosiłem Millie, żeby zadzwonić do Georgii.

Odebrała po pierwszym sygnale, pełna nadziei i obaw.

— Coś nowego? — spytała, pomijając wymianę grzeczności. Cała Georgia, chwytająca byka za rogi. To była ta jej cecha, którą najbardziej w niej uwielbiałem i która uratowała nas, gdy w naszej historii miłosnej zdarzyły się tragiczne zawirowania.

Ta fraza obudziła we mnie wspomnienie i zamiast odpowiedzieć, spytałem:

— Wiedziałaś, że Tag chwycił kiedyś byka za rogi? Widziałem to na własne oczy.

Georgia przez chwilę milczała, po czym zaczęła dopytywać.

— Mojżeszu? O czym ty mówisz? Co się stało z Tagiem?

— Byliśmy w Hiszpanii. W San Sebastián. Wiesz, w Kraju Basków. Wiedziałaś o tym, że istnieją blond Hiszpanki? Ja nie. Wciąż spotykałem tam blondynki, które przypominały mi o tobie. Byłem w paskudnym nastroju i Tag wpadł na świetny pomysł, że wybierzemy się do Pampeluny na bieg z bykami. Stwierdził, że potrzebuję zastrzyku adrenaliny, żeby się rozchmurzyć. Pampeluna nie leży zbyt daleko od San Sebastián. Jakąś godzinę autobusem na południe. Wiedziałem, że Tag szuka śmierci. A przynajmniej szukał w Montlake. Wiedziałem też, że jest nieco szalony. Ale on zczekał, aż byk przebiegnie obok niego, a potem zaczął go gonić. Gdy byk odwrócił się do niego, Tag chwycił go za rogi i zrobił ten obrót z przekręceniem, który kowboje wykonują na rodeo.

— Steer wrestling<sup>[2]</sup>? — Georgia sprawiała wrażenie zdezorientowanej, ale słuchała.

— Tak, steer wrestling. Tag próbował siłować się z bykiem. Byk wygrał, ale Tag wyszedł z tego bez szwanku. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak tego dokonał. Krzyczałem tak głośno, że przez tydzień miałem chrypę. I dobrze, bo nie odzywałem się do Taga przez dwa tygodnie. Skurczybyk. Myślałem, że zginie. — Przerwałem, bo emocje zatkały mi gardło. Ale Georgia usłyszała to, czego nie potrafiłem powiedzieć.

— Co się dzieje, Mojżeszu? Gdzie on jest?

— Nie wiem, Georgio. Możesz tu przyjechać? Potrzebuję cię. I mam przeczucie, że jeszcze trochę i Millie też będzie cię potrzebowała. Pewnych kwestii nie da się omówić z mężczyzną. Nawet jeśli jest najlepszym przyjacielem twojego kochanka. Szczególnie jeśli jest najlepszym przyjacielem twojego kochanka.

\*\*\*

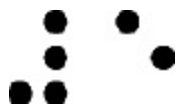
---

[1] Speed bag — worek treningowy do ćwiczenia prędkości zadawanych ciosów — *przyp. tłum.*

[2] Steer wrestling — konkurencja polegająca na tym, że jeździec na koniu musi dogonić wołka i wykręcając mu rogi, powalić go na ziemię — *przyp. tłum.*



# Pięć



W PONIEDZIAŁEK RANO zaparkowałem przed domem Amelie i czekałem, aż Henry wyjdzie do szkoły. Przycisnąłem Robin, gdy przyszła odebrać Henry'ego z baru, bo chciałem się dowiedzieć, czyją sprawką są te siniaki na jego twarzy. Zrobiłem to, gdy Henry poszedł do łazienki, żeby opróżnić pęcherz ze sprite'a. Nie powiedziałem nic Millie ani tamtej nocy, ani na siłowni w sobotę, ale nie mogłem tego zignorować, a myśl o tym, że ktoś uprzykrza życie Henry'emu, że ktoś kładzie na nim swoje łapska, wzbudziła we mnie chęć zrobienia temu komuś krzywdy. Prześladowcy i wredni bez powodu. Nienawidziłem ich. Zdecydowałem się więc na interwencję wykraczającą poza nauczenie Henry'ego kilku ciosów i chwytów.

Robin powiedziała, że Henry przez większość dni chodzi do szkoły pieszo, bo to tylko kilka przecznic. Czasem odprowadza go Millie. Chodził do normalnej klasy w normalnej szkole średniej i według Robin miał w miarę przyzwoite oceny. Millie musiała być w stałym kontakcie z jego nauczycielami i miała znajomości w administracji. Zastanawiałem się, na ile Henry uczestniczył w lekcjach i jak sobie radził z innymi dzieciakami. Robin twierdziła, że nie ma żadnych przyjaciół. Sądząc po jego wardze, ktoś się nim zainteresował. Powiedziałem Robin, że się tym zajmę. Wydawała się nieco zaskoczona, ale wzruszyła ramionami.

Henry wyszedł z domu o siódmej trzydzieści. Stałem z zapalonym silnikiem przy krawężniku, w samochodzie było ciepło, a w chwyதாகach czekały dwie kawy. Nie wiedziałem, czy Henry lubi kawę, ale ja lubiłem. Czułem się trochę jak prześladowca wyczekujący na ulicy na dzieciaka, ale opuściłem szybę, przywitałem go na luzie i spytałem, czy mogę z nim chwilę porozmawiać.

— I podwożę cię do szkoły, żebyś się nie spóźnił — dodałem, gdy Henry spojrzał na zegarek.

Uśmiechnął się szeroko, jakby moja obecność była mile widziana, bez słowa protestu obiegł truchtem samochód i wsiadł od strony pasażera. Uznałem, że muszę z nim kiedyś pogadać o niebezpiecznych nieznanym i złoczyńcach. Rzucił plecak na podłogę i z okrzykiem wdzięczności wziął kawę, którą mu podałem. Zachichotałem. Przez chwilę zajmowaliśmy się napojami, po czym przeszedłem do rozmowy, którą należało przeprowadzić.

— Henry? Musisz mi powiedzieć, co ci się stało. Dlaczego masz spuchniętą wargę? I czyją sprawką jest ten siniec na twoim policzku?

Henry spłonął purpurą i kaszlnął nad kawą. Odstawił ją i zażenowany otarł usta dłonią. Poczułem, że moja temperatura wzrosła o jedną kreskę.

— Wiesz, poprosiłem Millie, żeby przyprowadziła cię na siłownię, bo chciałem cię nauczyć, jak się bronić. Ale to trochę potrwa. Na razie chcę wiedzieć, czy ktoś sprawia ci kłopoty w szkole.

Henry nie patrzył na mnie.

— Henry? Czyją dupę trzeba skopać?

— Nie możesz tego zrobić.

— Czego nie mogę zrobić? Skopać dupy gigantowi? — spytałem cicho, przypominając sobie jego tajemnicze wywody o gigantach.

— Nie gigantowi. Dziewczynie — szepnął Henry.

— Dziewczynie? — Byłbym chyba mniej zaskoczony, gdyby powiedział, że Millie przywaliła mu z pięści.

— Mojej przyjaciółce.

Potrząsnąłem głową.

— Nie, nie przyjaciółce. Przyjaciele cię nie biją.

Henry spojrzał na mnie i uniósł brwi z powątpiewaniem. *Touché.*

— Cóż, nie biją cię, chyba że ich o to poprosisz — poprawiłem się, przypominając sobie wszystkich swoich przyjaciół z siłowni, którzy regularnie mnie tłuką. — Co jej zrobiłeś? — spytałem, próbując go zrozumieć. — Powiedziałaś coś, co ją wkurzyło? A może ona po prostu prześladowuje słabszych?

— Powiedziałem jej, że jest jak zawodnik sumo — odparł cicho Henry.

— Powiedziałaś jej coś takiego? — wystękałem. — Oj, Henry. Nie mów, że naprawdę tak jej powiedziałaś. — Tylko tyle byłem w stanie wykrztusić, żeby nie parsknąć śmiechem. Zakryłem usta dłonią, żeby Henry nie zobaczył moich drgających warg.

Henry wyglądał na rozbitego.

— Zawodnicy sumo są w Japonii bohaterami — upierał się.



— Henry — jęknąłem. — Lubisz tę dziewczynę?

Henry przytaknął.

— Fajnie. Dlaczego?

— Zawodnicy sumo są potężni — odparł.

— Henry, daj spokój. Nie lubisz jej dlatego, że jest potężna — drążyłem.

Twarz Henry'ego przybrała wyraz zagubienia.

— Chwilę. Dlatego ją lubisz? — Teraz ja byłem zagubiony.

— Typowy zawodnik sumo waży ponad sto osiemdziesiąt kilogramów. Oni są ogromni.

— Ale ona nie jest ogromna?

— Nie, nie jest.

— Wygląda jak zawodnik sumo? — spytałem.

Henry potrząsnął głową.

— Nie — odpowiedziałem za niego. — Ale jest duża... większa od innych dziewcząt?

Henry przytaknął. Świetnie, nareszcie do czegoś dochodzimy.

— Czyli przyłożyła ci, gdy powiedziałeś, że przypomina ci zawodnika sumo?

Kolejne przytaknięcie.

— Zrobiła ci siniaka i rozwaliła wargę?

Henry ponownie przytaknął i uśmiechnął się nieznacznie, jakby był z niej dumny.

— Dlaczego to powiedziałeś, Henry? Ona najwyraźniej nie uznała tego za miłe.

— Nie znałem żadnej dziewczyny, która pomyślałaby inaczej.

Henry zazgrzytał zębami i z frustracją zacisnął dłoń we włosach.

— Zawodnicy sumo są super! — wyjęczał.

— Stary, rozumiem. Rozmawianie z dziewczynami jest trudne. Ja powiedziałem mnóstwo głupich rzeczy do Millie, gdy pierwszy raz odprowadziłem ją do domu. Na szczęście mi nie przyłożyła.

— Amelie nie jest wojowniczką! — stwierdził Henry i zaśmiał się cicho, a potem puścił włosy i wziął głęboki oddech.

— Mylisz się, chłopie. Ona jest wojowniczką. Tylko innego rodzaju.

Milczeliśmy przez chwilę, przetrawiając moje słowa.

— L-l-lubię ją — wyjąkał w końcu smutno, jakby to proste stwierdzenie było dla

niego znacznie trudniejsze niż cytowanie ciekawostek sportowych. Może zresztą było.

— Bo jest potężna — powtórzyłem z nadzieją, że usłyszę coś więcej.

— Tak.

— A była dla ciebie miła? Znaczą, zanim uderzyła cię w twarz?

— Tak. — Henry przytaknął energicznie. — Jak ochroniarz.

— Opiekuje się tobą?

Henry znowu przytaknął.

Poczułem, że kręci mi się w głowie z ulgi, i zacząłem się śmiać.

— Czyli żadni giganci, mięśniacy i nikt inny cię nie prześladowuje?

Henry powoli potrząsnął głową.

— Przepraszam — szepnął. — Narozrabiałem.

— A ja pomogę ci to wyprostować — stwierdziłem nieoczekiwanie, wrzuciłem bieg i ruszyłem.

Henry zapiął pas, jakby szykował się na dziką jazdę.

Znalazłem miejsce na parkingu przed szkołą, wyłączyłem silnik i wysiadłem. Henry wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

— Chodźmy, Henry. Pomogę ci naprawić sytuację z przyjaciółką. Idziemy!

Henry szedł obok mnie, trzymając kurczowo paski plecaka niczym spadochroniarz tuż przed skokiem z samolotu. Miał pośepny wyraz twarzy.

— Dasz radę, Henry — zachęciłem go. Przytaknął, nie odwracając się do mnie. Kilka osób na nas patrzyło, ale korytarze były pełne dzieciaków, a głowy odwracające się w naszą stronę należały głównie do dziewcząt. Mógłbym się poczuć mile połączony, gdyby nie to, że wszyscy wyglądali na czternaście lat, szczególnie chłopcy. Dziwne. W szkole średniej wydawało mi się, że jestem niewiarygodnym twardzielem. Mężczyzną. Tymczasem te dzieciaki wyglądały, jakby po kryjomu nadal ssały kciuki.

Nagle Henry się zatrzymał, a ja położyłem mu dłoń na ramieniu. Trząsał się tak mocno, że czułem wibracje jego ciała. Wskazał dziewczynę stojącą samotnie przy rzędzie czerwonych szafek.

— To ona? — spytałem.

Henry przytaknął, nie odrywając od niej wzroku. Kaszlnąłem, żeby stłumić śmiech. W ogóle nie była wielka. Ale *faktycznie* miała japońskie korzenie.

Była niska i lekko zaokrąglona, może nawet puciołowata, ale większość wagi miała ulokowaną w klatce piersiowej, co dużo mówiło o tym, wokół czego

orbitowała uwaga Henry'ego. Henry zatrzymał się obok niej, zerkając to na mnie, to na szafki za jej głową. Wyglądał na zdesperowanego.

Japonka spojrzała na mnie i uniosła jedną brew. Miała na niej rząd kolczyków. Do tego mały punkcik w nosie i dwa okrągłe kolczyki w dolnej wardze. A na uszach w zasadzie nie było żadnego wolnego miejsca.

— Jestem Tag Taggert. — Wyciągnąłem dłoń i uśmiechnąłem się z czarującą szczerością. To była moja karta przetargowa.

— Ayumi Nagahara — odparła, wyciągając drobną rękę. Z trudem stłumiłem parsknięcie. Miała wyjątkowo wysoki i słodki głosik.

Ucisnąłem jej dłoń krótko i zdecydowanie. Potem splotłem ramiona i spoważniałem.

— Henry cię lubi. Uważa, że jesteś niesamowita. Dużo mi o tobie opowiadał. — Obie brwi uniosły się w górę. Miałem wrażenie, że wynika to bardziej z tego, że Henry mi się zwierzył, niż z tego, że ją lubi.

Spojrzała na Henry'ego, a wyraz jej twarzy złagodniał. Po chwili wróciła spojrzeniem do mnie. Henry oparł się czołem o szafkę, jakby od całej tej rozmowy miał zawroty głowy.

— Jemu jest przykro, Ayumi. Nie chciał zasugerować, że wyglądasz jak zawodnik sumo. Próbował ci powiedzieć, że darzy cię takim szacunkiem, jakim Japończycy darzą swoich zapaśników.

Henry zaczął potakiwać, uderzając głową w szafkę. Położyłem mu rękę na ramieniu i odciągnąłem go nieznacznie, żeby się nie znokautował.

— Trzeba jednak przyznać, że uważa cię też za twardą. Jak widać, potrafisz posługiwać się pięściami. — Spojrzałem wymownie na twarz Henry'ego, a Ayumi spurpurowiała. Uznałem, że nie muszę już nic dodawać na ten temat. Miałem tylko nadzieję, że następnym razem zastanowi się, zanim przyłoży biednemu Henry'emu. To, że była dziewczyną, nie dawało jej prawa do bicia ludzi. Szczególnie takich jak Henry. — Jeśli będziesz miała ochotę spędzić czas z nami, ze mną i Henrym, w Tag Team, jesteś mile widziana. Przyjaciele Henry'ego są moimi przyjaciółmi.

— Dobrze — pisnęła, a ja próbowałem sobie wyobrazić, jak wścieka się tak bardzo, że zaciska pięść i wymierza cios. Henry musiał ją naprawdę wkurzyć.

Zadzwonił dzwonek i Henry podskoczył. Szafki zaczęły się zamykać i dzieciaki powoli znikwały z korytarza.

— Widzimy się na siłowni po szkole, Henry?

Henry przytaknął i uśmiechnął się rozluźniony. Wracały mu normalne kolory i przestał tak mocno ścisnąć ramiona plecaka.

Potargałem mu włosy i przycisnąłem go do siebie jedną ręką. Odchodząc, słyszałem jeszcze, jak wylicza swojej małej przyjaciółce moje osiągnięcia.

— Dawid „Tag” Taggert, zawodnik wagi półciężkiej z osiemnastoma zwycięstwami, dwoma przegranymi i dziesięcioma nokautami.



— NIE MA SZANS, żebyś była w stanie utrzymać Henry’ego z wypłaty tancerki — stwierdziłem. Nawet po udzielonej przeze mnie podwyżce. Odprowadzałem Millie do domu, jak w każdą jej pracującą noc przez ostatnie dwa tygodnie. Wciąż nie znalazłem nikogo na miejsce Morgana i zbyt dużo czasu spędzałem za barem. Nie miałem jednak nic przeciwko temu, a powód szedł obok mnie.

— Racja. Na szczęście dla nas mama to dobrze zaplanowała. Miała ubezpieczenie na życie, i to dobre, a dom był jej własnością i nie był niczym obciążony. Od zawsze należał do naszej rodziny. Do tego mój ojciec dał jej sporo pieniędzy. Może o nim słyszałeś? Andre Anderson. Grał w San Francisco Giants. Był pierwszobazowym. Nie wiem, co teraz robi.

— Niech mnie kule biją — krzyknąłem zaskoczony. — Pamiętam go.

Amelie przytaknęła.

— Chyba dlatego Henry ma takiego bzika na punkcie sportu. Miał zaledwie pięć lat, gdy tato odszedł. Wiesz, jak zawodnicy studiują nagrania z meczów? Henry tak robi. Mama miała płyty z wszystkimi filmami z meczów taty. Wszystkimi, jakie była w stanie zdobyć. Henry bez końca je oglądał. Wciąż to robi. Potrafi wyrecytować wszystkie zmiany. Istne szaleństwo.

— To dlaczego tańczysz? — Nie chciałem o to pytać. Samo mi się wymknęło, jak zwykle. Gdy miałem w sobie jakieś uczucie, prędzej czy później znajdowało sposób na wydostanie się z mojego wnętrza i przedarcie się przez usta.

— A dlaczego ty bijesz ludzi? — odpowiedziała pytaniem. Nie miałem zamiaru zasłaniać się sportem. Faktycznie biłem ludzi. To był istotny element i głupio byłoby z tym polemizować.

— Biłem się przez całe życie.

— Całe życie? — spytała Amelie z powątpiewaniem.

— Od jedenastego roku życia — poprawiłem się. — Byłem beztroskim grubaskiem, z którego wszyscy się śmiali i którego wszyscy gnębili. Obiekt szyderstw innych dzieciaków. Śmiałem się z tego, aż pewnego dnia moja beztroska zamieniła się w zatroskanie i uznałem, że mam dość.

Amelie zachichotała cicho, a ja ciągnąłem dalej.

— Tamtego dnia użyłem pięści i wykorzystałem całą nagromadzoną przez pięć długich lat wściekłość. Lyle Coulson powiedział, że jestem za gruby na małe krzeselka szkolne. Nieważne, że miał rację. *Faktycznie* byłem zbyt gruby na te małe krzeselka, ale to jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Ta walka nie była ładna. Wygrałem tylko dlatego, że położyłem się na Lyle'u i przygwoździłem jego chude ramiona swoim cielskiem, a potem okładałem pięściami jego paskudną czerwoną gębę. Po raz pierwszy w życiu trafiłem na dywanik do dyrektora i zostałem za tę walkę zawieszony. Ale Lyle Coulson nigdy więcej mnie nie dręczył, a ja dowiedziałem się, że lubię bójki. I że jestem w tym dobry.

— No proszę. — Wzruszyła ramionami. — Nie różnimy się aż tak bardzo. Ja lubię tańczyć. I jestem w tym dobra.

— Nie podoba mi się, że tańczysz w barze.

Wybuchła śmiechem. To była nagła erupcja energii, która stworzyła w zimnym powietrzu biały obłok. Patrzyłem z podziwem na jej zadartą do góry twarz, chociaż miałem świadomość, że zaraz mi się za to oberwie. To był w końcu mój bar. Ja ją zatrudniałem. To była moja pieprzona rura, na litość boską.

— Co ci się nie podoba? Dawidzie Taggercie, czyżbyś był hipokrytą? Nie jesteś. Wiem, że nie jesteś. — Uśmiechała się, ale nie do mnie, jak inne kobiety. Uśmiechała się prosto przed siebie, do nikogo i do niczego. Poczulem ból w klatce piersiowej, jakby ostrzeżenie. Ona nigdy nie uśmiechnie się do mnie tak, jak inne kobiety. Czy jestem w stanie to zaakceptować? Bo jeśli nie, to powinienem się wycofać. Wchodziłem w zbyt bliską relację.

— Nie. Wiesz, o co mi chodzi. Dlaczego kręcisz się wokół rury w zadymionym barze niemal kompletnie rozebrana za pieniądze, które nie są aż tak oszałamiające? Jesteś dziewczyną z klasą, Amelie, a taniec na rurze niezbyt z tym licuje. — Wycofywanie się nie było w moim stylu.

Jej uśmiech zniknął, ale nie wyglądała na zagniewaną. Zatrzymała się i wyciągnęła laskę, jakby wyprowadzała niewidocznego pieska. Potem podniosła ją i postukała mocno w chodnik.

— Widzisz tę laskę?

Przytaknąłem, ale przypomniało mi się, że ona mnie nie widzi.

— Tak.

Skierowała ją w moją stronę i stuknęła mnie w ramię.

— Bycie niewidomą oznacza chodzenie z laską. Nie z uroczym golden retrieverem. Z laską. Lecz dzięki tej lasce mogę samodzielnie poruszać się po ulicach. Mogę iść do sklepu, do szkoły, do pracy, do kina czy do restauracji. Samodzielnie. Ta laska daje mi wolność. — Wzięła głęboki oddech, a ja wstrzymałem swój. — Ja chyba po prostu zamieniłam laskę na rurę. Gdy tańczę,

to przez te kilka godzin parę dni w tygodniu spełniam swoje marzenie. Nawet jeśli dla ciebie wcale to tak nie wygląda. Mojej mamie by się to nie spodobało. Masz rację. Ale jej tu nie ma. A ja muszę sama podejmować swoje decyzje.

Amelie zamilkła i czekała, jakby spodziewała się, że będę dyskutował. Nie odezwałem się jednak, więc ciągnęła dalej:

— Kiedyś ćwiczyłam taniec i gimnastykę. Skakałam i obracałam się. Potrafiłam wykonać te wszystkie ewolucje i nie potrzebowałam rury. Wtedy mogłam też chodzić po ulicach, ganiać ze znajomymi i żyć bez laski. Ale teraz już nie mam takiej możliwości. Ta rura oznacza, że wciąż mogę tańczyć. Nie potrzebuję wzroku, żeby tańczyć w tej klatce. Jeśli to oznacza, że nie mam klasy, niech tak będzie. Mogę z niej zrezygnować, żeby chociaż w małym stopniu spełniać swoje marzenie. Bo lepiej realizować je w małym stopniu niż w ogóle.

Do licha. To było najzupełniej logiczne. Zorientowałem się, że znowu potakuję, więc wyraziłem to także słowami.

— Okej, Millie. Z czymś takim na pewno nie mógłbym polemizować.

— To teraz jestem Millie?

— Cóż, przed chwilą ustaliliśmy, że nie jesteś dziewczyną z klasą — zażartowałem. Znowu wybuchła śmiechem, który rozbrzmiał echem na pustej ulicy niczym dźwięk odległych dzwonów kościelnych. — Amelie kojarzy mi się z arystokratką, a Millie brzmi bardziej swojsko. Dziewczyna o imieniu Millie może być przyjaciółką faceta o imieniu Tag.

— Dawidzie?

— Tak?

— Mam nowy ulubiony odgłos.

— Jaki?

— Sposób, w jaki mówisz „Millie”. Wstrzelił się od razu na pierwsze miejsce na mojej liście. Obiecuj, że już nigdy nie powiesz do mnie „Amelie”.

Serce zaczęło mi łomotać w piersi jak oszalałe. Ona nie flirtowała, prawda? Nie potrafiłem tego stwierdzić. Wiedziałem tylko, że chciałem znowu nazwać ją Millie. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Tylko dlatego, że mnie o to poprosiła.

— Obiecuję... pod jednym warunkiem.

Czekała, aż wymienię swoją cenę, z ledwo widocznym uśmiechem błakającym się w kącikach ust.

— Będę cię nazywał Millie, jeśli ty będziesz do mnie mówić Tag — wyjaśniłem. — Gdy mówisz do mnie Dawid, czuję, jakbyś oczekiwała, że będę kimś, kim nie jestem. Najbliższe mi osoby nazywają mnie Tag. To do mnie pasuje.

— Lubię nazywać cię Dawid. Myślę, że masz więcej klasy, niż ci się wydaje. Poza tym wszyscy mówią do ciebie Tag. Ja chcę być... inna — przyznała cicho.

Poczułem przenikliwy ból połączony z przyjemnością, który kazał mi się jednocześnie cofnąć i nachylić bliżej. Jak zwykle jednak stłumiłem to uczucie gadaniem.

— No, mam prawdziwą klasę. — Zaśmiała się razem ze mną, tak jak chciałem.

— To, że jesteś wyjątkowa i inna, nie ma nic wspólnego z tym, jak mnie nazywasz, Millie. Ale możesz do mnie mówić, jak ci się żywnie podoba.

— „Jak ci się żywnie podoba” brzmi gorzej niż „Dawid”, ale niech będzie — zripostowała.

— Masz niewyparzoną buzię, wiesz o tym, prawda?

Przytaknęła z uśmiechem, po czym wypróbowała moje przezwisko.

— No więc, Tag...

— Tak, Millie?

— Jutro niedziela. Chodzisz do kościoła?

— Nie. A ty? — Zakładałem, że chodzi. Amelie była pełna sprzeczności. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby okazała się tancerką na rurze, która chodzi do kościoła.

— W pewnym sensie. Dla Henry’ego to trudne. Mogę chodzić sama. Da sobie radę w domu przez tę chwilę. W każdym razie gdy byłem młodsza, mama próbowała nas zabierać do kościoła, ale Henry strasznie się rozbudzał lub zaczynał hałasować i musieliśmy wychodzić. Wtedy odkryłam jeden z wielu moich ulubionych odgłosów. Chcesz go usłyszeć?

— Teraz?

— Nie. Jutro. O jedenastej.

— W kościele?

— W kościele.

Do licha. Może powinienem pójść do kościoła. Zrobić coś dla ocalenia duszy.

— Okej.

— Okej? — Jej uśmiech zwałił mnie z nóg. Wymierzyłem sobie mentalnego kopa. Spędzałem z nią zbyt dużo czasu, a im więcej czasu z nią spędzałem, tym bardziej mąciło mi się w głowie. Wypaliłem więc bez zastanowienia:

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda, Millie?

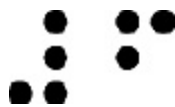
Jej uśmiech zanikł. Sięgnęła w stronę furtki, wymacując zasuwę, jakby musiała się czegoś chwycić po tym, jak kopnąłem ją w brzuch.

— Jasne. Dlaczego miałabym oczekiwać czegoś więcej? — spytała lekkim głosem. Furtka się otworzyła i Millie, nie odwracając się już do mnie i niemal nie używając laski, podeszła do drzwi wejściowych.

\*\*\*



# Sześć



PRZYJACIELE CZY NIE, zjawiłem się pod jej drzwiami za piętnaście jedenasta. Zapukałem i czekałem, zastanawiając się, czy Millie zmieniła zdanie. Ta uwaga o przyjaźni była obraźliwa. Wiedziałem o tym już w chwili, gdy ją wypowiadałem, ale nie mogłem pozwolić, by Millie za mną podążyła, dopóki sam się nie dowiem, dokąd zmierzam. Miałem na sobie ciemnogrnatowy płaszcz i wykrochmaloną białą koszulę, lecz krawat zostawiłem w domu, a zamiast spodni od garnituru założyłem wyprasowane dżinsy. Potrafiłem ubrać się elegancko, gdy była taka potrzeba, lecz w tej sytuacji liczyłem na to, że uprasowane spodnie i lśniące buty wystarczą. Zaczesałem na żelu rozwichrzone włosy i powiedziałem sobie, że nie muszę iść do fryzjera. Nigdy nie byłem przywiązany do wyglądu swoich włosów i nie lubiłem poświęcać im zbyt wiele czasu. Sprawiałem jednak przez nie wrażenie trochę zaniedbanego, więc je nawilżyłem, pokryłem żelem i zaczesalem do tyłu. Wyglądałem jak ci faceci bez koszul na okładkach romantycznych powieści, które kolekcjonowała i czytała moja matka. Ale to i tak nie miało znaczenia. Millie przecież nie zobaczy moich długich włosów ani tego, że podkrecają się przy kołnierzyku. Nie zauważy także, że mam dżinsy, więc nie wiem, dlaczego się tym przejmowałem.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Henry z szeroko otwartymi oczami i kijem bejsbolowym w dłoniach.

— Cześć, Henry.

— Dziwnie wyglądasz, Tag — odparł, wpatrując się we mnie.

I słyszę to od koleśka z kijem bejsbolowym i fryzurą typu „pożar w dżungli”.

— Jestem elegancki, Henry.

— Co zrobiłeś z włosami? — Henry nie odsunął się, żeby wpuścić mnie do środka.

— Uczesałem je. A co ty zrobiłeś ze swoimi? — spytałem z uśmiechem.

Henry poklepał się po czuprynie.

— Nie uczesałem ich.

— Co ty nie powiesz. Twoja fryzura wygląda jak szczotka, Henry.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka długich sekund.

— Szczotki wykorzystuje się w curlingu — stwierdził Henry.

Przygryzłem wargę, żeby opanować wybuch śmiechu.

— Fakt. Ale myślę sobie, że gdybyś miał mniej włosów, wyglądałbyś bardziej jak bejsbolista. To twój ulubiony sport, prawda?

Henry podniósł nieco kij, jakby to wystarczało za odpowiedź.

— Tak sobie myślę... Myślę, że ty i ja powinniśmy jutro skoczyć do mojego przyjaciela Leroya, żeby się obciąć. Leroy jest fryzjerem męskim. Co na to powiesz? To kławy gość, a niedaleko jego zakładu jest cukiernia. To będzie męskie spotkanie. Spotkanie mężczyzn. — Może uda mi się ubić dwa ptaki jednym kamieniem.

— Męskie spotkanie? — Henry wypowiedział to jak jedno słowo.

— Tak. Spotkamy się na obcinaniu włosów. A potem pójdziemy na siłownię i pokażę ci parę chwytów.

— Bez Amelie?

— Chcesz, żeby Amelie poszła z nami?

— Ona nie jest mężczyzną. To spotkanie mężczyzn.

W tym momencie pojawiła się Amelie i delikatnie odsunęła go na bok.

— Z całą pewnością nie jestem mężczyzną, ale Henry, powinieneś zaprosić Taga do środka.

Amelie miała na sobie jasnobrązowe buty i wąską spódnicę do kolan w kolorze khaki, a do tego dopasowany czerwony sweter i mechatą chustę składającą się z przeplatających się czerwonych, czarnych i złotych nitek. Ciekawe, jakim cudem to wszystko dobrała. Sądząc po fryzurze, Henry nie mógł być zbyt pomocny w tej kwestii.

— Szóstego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku Alan Shepard zagrał w golfa na Księżycu — rzucił nieoczekiwanie Henry i odsunął się na bok.

— A dzisiaj jest szósty lutego, prawda? — spytała Millie. Najwyraźniej nadała za procesem myślowym Henry'ego znacznie lepiej niż ja.

— Prawda — potwierdziłem. — Szóstego lutego piłka golfowa wylądowała na

Księżycu, a siódmego lutego dwa tysiące czternastego roku Tag Taggert i Henry Anderson pójdą do fryzjera, co, Henry?

— Okej, Tag. — Henry schylił głowę i ruszył po schodach w górę.

— Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebował — zawołała za nim Millie. Poczekala, aż zamknie za sobą drzwi pokoju, i zwróciła się do mnie:

— Henry ma zaburzenia więzi. On nie lubi nawet tego, że obcinam *swoje* włosy. Gdyby mama mu na to pozwoliła, byłby największym chomikiem na świecie. Ale zbieranie wszystkiego i ślepotą źle się komponują. Wszystko musi mieć swoje miejsce, bo inaczej dom zmieni się w pole minowe. Dlatego Henry nosi te same ubrania, aż zupełnie się wytrą, nie obcina włosów, śpi w pościeli z Dragon Ball Z, którą dostał na ósme urodziny, a w plastikowych skrzynkach w piwnicy ma wszystkie zabawki, jakie kiedykolwiek dostał. Nie sądzę, żeby to obcinanie włosów doszło do skutku. Od śmierci mamy pozwolił się obciąć Robin tylko dwa razy. Za każdym razem płakał, a potem Robin musiała zebrać włosy do worka z zamknięciem i pozwoliła mu je zatrzymać, żeby się uspokoił.

Poczułem lekki wstręt i cieszyłem się, że Millie nie widzi mojej twarzy.

— Sugerujesz, że Henry ma w pokoju worki z włosami?

— Zakładam, że je ma, chociaż nie powiedział mi gdzie. Płacę sąsiadce, żeby raz w tygodniu u nas sprzątała, lecz ona też ich nie znalazła.

— Cóż, Henry się zgodził, więc tej wersji będę się trzymał. Ale nie będziemy przynosić do domu żadnych worków z włosami.

Millie zmarszczyła brwi. Wyglądała, jakby chciała ze mną polemizować, ale zamiast tego ruszyła w moją stronę, wymacała opartą o ścianę laskę i zmieniła temat.

— Przyjechałeś autem? Bo myślę, że powinniśmy pójść pieszo. Kościół jest tuż za zakrętem.

Spojrzałem tęsknie na swoją błyszczącą czerwoną półciężarówkę, ale zapomniałem o niej, gdy tylko Amelie wsunęła mi dłoń pod ramię.

Poza paroma przelotnymi śnieżycami, które upstrzyły góry i przyozdobiły mrozem doliny, Salt Lake cieszyło się najłagodniejszą zimą od lat i chociaż zdarzały się spadki temperatury, to w porównaniu z typowymi temperaturami w lutym było niemal ciepło.

Szliśmy na wschód w stronę okalających dolinę gór. To była pierwsza rzecz, jaką zauważyłem po przeprowadzce do Utah, gdy byłem w trzeciej klasie szkoły średniej. W Dallas nie ma gór, a Salt Lake było otoczone niesamowitymi, pokrytymi śniegiem pasmami górskimi. Spędziłem ładne kilka weekendów, jeżdżąc na nartach, jednak zwracałem uwagę na liczbę tych wypadów, gdy trenowałem. Niestety, wygląda na to, że ja zawsze trenuję.

Amelie podniosła twarz, jakby chciała ogrzać ją na słońcu.

— Czy ty cokolwiek widzisz? — Zastanawiałem się, czy to pytanie wyda jej się obraźliwe.

— Światło. Potrafię odróżnić jasność od ciemności. I w zasadzie nic więcej. Potrafię wskazać okna w domu, widzę, czy drzwi są otwarte, i tego typu rzeczy. Naturalne światło łatwiej mi dostrzec niż sztuczne. Ale nie oświetla ono dla mnie niczego innego, więc przydaje się zasadniczo jedynie do orientowania się w pokoju z oknami.

— Czyli gdybym tańczył przed reflektorem punktowym, nie byłabyś w stanie dostrzec mojego konturu?

— Nie. A co? Zastanawiasz się nad zatańczeniem na rurze w barze? — spytała zuchwale.

— Tak. Do diabła! Skąd wiedziałaś? — wykrzyknąłem, a ona odrzuciła głowę i wybuchła śmiechem. Podziwiałem jej smukłą szyję i radosne usta, ale szybko się zreflektowałem i odwróciłem wzrok. Zbyt często się w nią wpatrywałem. — Ładnie wyglądasz, Millie — wyznałem niezręcznie i poczułem się jak idiota, bo to było grube niedopowiedzenie.

— Dziękuję. Powiedziałałabym ci to samo, ale cóż, sam wiesz. Ale ładnie pachniesz.

— Tak? Czym pachnę? — spytałem.

— Gumą Wintergreen.

— To moja ulubiona.

— Pachniesz też sosnowym płynem po goleniu i mydłem...

— To nowa woda kolońska o nazwie Burak — zażartowałem.

— ...z nutką benzyny.

— Zatrzymałem się po drodze, żeby zatankować. Wygląda na to, że nie musiałem, skoro idziemy na piechotę.

— Idziemy na piechotę, bo właściwie jesteśmy na miejscu. — Spomiędzy kręgu drzew przed skrzyżowaniem wyłonił się stary kościół, który wyglądał na zbudowany mniej więcej w tym samym czasie co dom Millie. — Słyszałam, że mają go rozebrać. Będę wtedy musiała znaleźć sobie inne miejsce.

Z bliska zobaczyłem, że kościół jest zbudowany z szarej cegły, a na węższym końcu ma białą wieżę z wysokimi oknami. Na północ od kościoła płynął strumyk i razem z Amelie przeszliśmy przez prosty mostek niedaleko drogi.

— Nie ma wody w strumieniu? — spytała, jakby z góry znała odpowiedź.

— Nie.

— Jeszcze trochę. Za kilka miesięcy będę mogła tu przyjść i posłuchać dwóch moich ulubionych odgłosów naraz.

— Lubisz szum tego strumyka?

— Tak. Gdy przychodzi wiosna, stoję na tym mostku i słucham. Robię tak od lat.

Ruszyłem po trawie po drugiej stronie mostku w stronę szerokich dwuskrzydłowych drzwi, bo to było najwyraźniej wejście do kościoła, ale Millie pociągnęła mnie za ramię.

— Nie idziemy do środka? — spytałem.

— Nie. Jest tu ściana z kamieni. Widzisz ją?

Przed nami znajdował się kruszący się sześciometrowy klin z kamieni spojonych zaprawą, który otaczał bok kościoła, oddzielając go od trawiastego zbocza prowadzącego do suchego koryta strumyka. Zaprowadziłem tam Millie, a ona puściła moje ramię, zeszła kawałek po zboczu i usiadła, a potem poklepała miejsce obok siebie.

— Czy okna są otwarte? — spytała.

— Chyba jedno jest lekko uchylone.

— Pan Sheldon zazwyczaj pamięta. Zostawia dla mnie szczelinę, gdy nie jest zbyt zimno.

— Słuchasz ich rozmów? — nie dowierzałem jej. Usłyszałem stłumione męskie głosy i śmiech, jakby we wnętrzu odbywało się jakieś zebranie.

— Nie. Raczej nie. — Wsłuchiwała się przez chwilę. — Dzisiaj zaczęli wcześniej. Różnie to bywa. Czasem zaczynają o jedenastej piętnaście lub o jedenastej trzydziści. Lubią dyskutować i często nie spieszy im się z rozpoczęciem. Ale mnie czekanie nie przeszkadza. To fajne miejsce, a gdy nie jest zbyt zimno, siedzę sobie na tej ścianie i rozmyślam. Gdy jest ciepło, zabieram Henry'ego i urządzamy sobie piknik. Ale on się nudzi, więc mniej mnie to cieszy, gdy mam go ze sobą. Może dlatego, że nie potrafię się wtedy rozluźnić.

Rozbrzmiały dźwięki pianina. Millie się wyprostowała i przechyliła głowę w kierunku, z którego dobiegała muzyka.

— Och, uwielbiam ten utwór.

Patrzyłem na nią zdumiony. To był jeden z jej ulubionych dźwięków? Nagle dołączyły głosy. Przedzierały się przez wąską szparę w oknie i dobiegały do miejsca, w którym siedzieliśmy, a ja zapomniałem o tym, że płaszcz mam nieco przyciasny w ramionach i że bolą mnie kostki po wczorajszych sparingach. Zapomniałem o tym wszystkim, bo twarz Amelie rozjaśniła się, gdy męskie głosy zaczęły łagodnie i płynnie śpiewać pieśń pochwalną, przesuając się w górę i w dół po dźwiękach. Nie byli profesjonalistami. Nie był to typowy amerykański

kwartet ani Bee Gees. Słyszałem więcej głosów, może dwadzieścia lub trzydzieści. I poczułem ten śpiew głęboko w brzuchu.

*There is no end to glory;*

*There is no end to love;*

*There is no end to being;*

*There is no death above.*

*There is no end to glory;*

*There is no end to love;*

*There is no end to being;*

*There is no death above*<sup>[1]</sup>.

Gdy skończyli, Amelie odchyliła się i westchnęła.

— Jestem za wyzwoleniem kobiet, ale nic nie zastąpi męskich głosów. Za każdym razem zwalają mnie z nóg. Kiedy ich słucham, boli mnie serce i miękną mi kości.

— Chodzi o słowa? To była piękna pieśń. — Nie mogłem wyrzucić tych słów z głowy.

— Lubię ją, ale nie. Podobałaby mi się, nawet gdybym nie rozumiała ich śpiewu, a zdarzają się dni, w które pan Sheldon nie przychodzi lub zapomina uchylić okno i wtedy muzyka jest stłumiona jeszcze bardziej niż dzisiaj. A i tak ją kocham. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale taka jest przecież miłość, czyż nie?

— Tak. Taka jest.

— Podobało ci się? Teraz słyszałeś już dwa z moich ulubionych odgłosów.

— Bardzo mi się podobało. Żałuję, że nie założyłem bluzy zamiast tego cholernego płaszcza. Ale hej, przynajmniej nie musiałem wchodzić do kościoła.

Amelie wyciągnęła w moją stronę dłoń i przesunęła palcami wzdłuż klapy aż do kołnierzyka koszuli.

— Aha. Kompletnie cię wrobiłam. Nie mogę uwierzyć, że zgodziłeś się przyjść.

— Masz na sobie spódnice!

— Mhm. Bo gdybym miała spodnie, mógłbyś zacząć coś podejrzewać.

Wstałem, podnosząc również ją.

— Masz niewyparzoną buzię i stroisz sobie ze mnie żarty. Nie wiem, czy cię lubię, Mała Millie. — Śmiałem się, gdy to mówiłem, a ona także się uśmiechnęła, po czym znowu chwyciła mnie za poły płaszcza, jakby chciała mnie zatrzymać.

— Chcę poczuć, jak się śmiejesz. Słyszę, gdy się śmiejesz, i uwielbiam ten odgłos. Ale chcę to poczuć. Mogę? — spytała słodko.

Położyłem jej dłonie na swoich policzkach i zostawiłem je tam, opuszczając własne ręce.

— Uśmiechasz się? — spytała.

Uświadomiłem sobie, że nie, że już się nie uśmiecham. Ale ona się uśmiechała. Lekko rozchylone różowe usta odsłaniały perłowe zęby, a oczy patrzyły w dal, której nie mogły zobaczyć. Uśmiechnąłem się więc, żeby spełnić jej życzenie. Jej dłonie natychmiast przemknęły po moich ustach, a palce zaczęły śledzić wgłębienia na policzkach. Zawsze w pełni je wykorzystywałem. Gdy lewym kciukiem trafiła na zagłębienie w podbródku, uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Masz dołeczki na policzkach i dołek w podbródku.

— Mama upuściła mnie na twarz, gdy byłem mały. Jestem strasznie powgniatany. Co zrobić.

— Aha. Rozumiem. — Jedna dłoń pomknęła w górę i przebiegła wzdłuż nosa. — Tutaj przyczyna jest taka sama? — spytała, wodząc palcem po guzie, który zarobiłem nieskończoną ilość razy.

— Nie. To nie jest wina mojej mamy. To skutek mojej ulubionej rozrywki.

Jej dłonie ujęły moją twarz, dopasowując się do kształtu policzków i szczęki. Gdy zsuwała je w dół, końcami palców dotknęła włosów na karku po obu stronach głowy i zatrzymała się. Ostrożnie zbadała moje loki, a między jej ciemnymi brwiami pojawiła się zmarszczka.

— Wizyta u fryzjera z Henrym, co? To bardzo miłe z twojej strony. Ale nie obcinaj ich całkiem, dobrze?

— Lubisz fryzurę na tradycyjnego Szkota? — próbowałem spytać ze szkockim akcentem, ale nie do końca mi się udało. Serce łomotało mi jak oszalałe i miałem ochotę zamknąć oczy i poddać się jej dłoniom. Jej eksplorowanie nie miało w sobie podtekstu seksualnego, lecz było niezamierzenie erotyczne i zmysłowe, a moje ciało zdawało się nie rozumieć różnicy.

— Nie wiem. Może? Nie do końca potrafię sobie wyobrazić, jak wygląda tradycyjny Szkot. Ale lubię twoją twarz. Jest silna... i wyrazista. I włosy ci pasują. — Patrzyła w moją twarz i opisywała ją, chociaż w ogóle mnie nie widziała. Wbijałem wzrok w jej usta, zastanawiając się, co by zrobiła, gdybym ją pocałował. Przeraziłaby się czy od razu poczułaby to, co ja? Czy ona w ogóle kiedykolwiek się z kimś całowała? Nie nazwałbym jej nieśmiałą i była śliczna, więc w wieku dwudziestu dwóch lat powinna mieć za sobą odpowiednią dawkę chłopców i pocałunków. Ale była niewidoma i miała na karku brata, a wolny czas spędzała, słuchając męskich chórów i szemrzących strumyków. Coś mi mówiło, że nie miała zbyt dużego doświadczenia z mężczyznami. Opuściła dłonie i odsunęła się ode mnie, zupełnie jakby usłyszała moje myśli.

— Chodźmy na lody — zdecydowała, a ja otrząsnąłem się z pocałunkowego transu i podałem jej ramię.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

— CHCIAŁAM, ŻEBY MNIE POCAŁOWAŁ. Ale on tego nie zrobił. Byłam przekonana, że nie lubi mnie w taki sposób — wyznała Millie, zmieszana, z zaczerwienioną twarzą. Cały czas czekałem, aż wyłączy magnetofon i każe nam wyjść. Słuchanie wynurzeń i zwierzeń Taga było skrajnie żenujące. Gdy go znowu zobaczę, dam mu nieźle w kość za to, że mnie do tego zmusił.

Siedzieliśmy w salonie u Millie, bo chciała być w domu, gdy Henry wróci ze szkoły. Minęło czterdzieści osiem godzin od momentu, gdy do mnie zadzwoniła. Czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy cały mój świat skurczył się do jednego celu, a wszystko inne zostało odsunięte na bok lub odłożone na później.

— Tag poszedł z tobą do kościoła? — spytała z niedowierzaniem Georgia. Razem z Millie przekazaliśmy jej wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Jej obecność mnie uspokajała, bo przypominała mi, że niezależnie od aktualnego priorytetu i niezależnie od moich obaw Georgia jest przy mnie. Jest moja. Ta część mojej rzeczywistości pozostała nienaruszona. Georgia przyjechała wczoraj w nocy z małą Kathleen i wynajęliśmy pokój w hotelu, bo nie chciałem spać w mieszkaniu Taga, chociaż miałem klucze. W oknie wisiała przerażająca tabliczka z napisem „Na sprzedaż”, a ja nie miałem ochoty zasypiać w łóżku Taga i zostać obudzonym przez agenta nieruchomości z chętnymi na zakup.

Ta myśl wzbudziła we mnie gniew, mimo że po pytaniu Georgii chciało mi się śmiać. Tag i kościół nie pasowali do siebie. Trudno było sobie wyobrazić, że mój przyjaciel siedzi w eleganckim płaszczu, ma włosy zaczesane na żelu i słucha z Millie pieśni kościelnych.

— Mojżesz? — Usta Georgii drżały, lecz powaga sytuacji tłumiała w niej chęć uśmiechu.

— Musiałem go zaciągać do dziesiątków kościołów w Europie. Nie sądzę, żeby chociaż raz poszedł z własnej woli, mimo że tylko oglądaliśmy sufity i rzeźby. A już nigdy nie było mowy o żadnych śpiewach.

— On uwielbia muzykę. Słyszeliście, jak śpiewa? Uwielbiam słuchać jego śpiewu. — Millie się uśmiechnęła, lecz natychmiast spoważniała, jakby rzeczywistość uderzyła ją w twarz i wymazała z niej radość.

— Ja wciąż nie mogę uwierzyć, że z własnej woli poszedł do fryzjera — stwierdziła Georgia, chichocząc mimo prób utrzymania powagi.



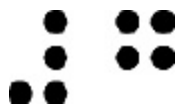
— Cóż... — zastrzegła Millie. — Ta część nie do końca poszła zgodnie z planem.

\*\*\*

---

[1] *There is no end... above* (ang.) — „Nie ma końca chwała; nie ma końca miłość; nie ma końca istnienie; i nie ma w niebie śmierci” — *przyp. tłum.*

# Siedem



HENRY WSIADŁ DO mojej półciężarówki i zapiął pasy z najposeępniejszym wyrazem twarzy, jaki kiedykolwiek widziałem. Włosy sterczały mu we wszystkich możliwych kierunkach i drżały mu dłonie.

— Wszystko w porządku, stary? — spytałem, starając się być delikatnym.

— Może wolisz pojechać do Robin? Ona z przyjemnością obetnie ci włosy, Henry.

— Millie wyszła za nim, stukając laską po chodniku, a teraz stała ze zmarszczonymi brwiami, trzymając się drzwi pasażera. Widziałem, że chciałyby pojechać z nami, ale Henry chyba sobie tego nie życzył.

— To męskie spotkanie, prawda, Henry? Mężczyźni chodzą do męskiego fryzjera, a nie do salonu.

Henry zaczął nerwowo stukać końcami palców o siebie i nie spoglądał ani w lewo, ani w prawo.

— Puszczanie latawców to oficjalny sport w Tajlandii! — wypalił.

Amelie przygryzła wargę, lecz odeszła od drzwi.

— Pa, Millie. Odwiozę go. Nie martw się — zawołałem do niej.

Przytaknęła i próbowała się uśmiechnąć, gdy odjeżdżałem. Stukanie Henry'ego stało się regularne. Klap, klap. Klap, klap. Brzmiało jak rytm wystukiwany przez Millie, gdy chodziła z laską.

— Henry?

Zero reakcji. Tylko stukanie, przez całą drogę do fryzjera.

Zajechałem pod zakład Leroya i zaparkowałem. Wsiadłem z auta i podszedłem do drzwi Henry'ego. Nie wykonał żadnego ruchu w kierunku wyjścia.

— Henry? Chcesz to zrobić?

Henry spojrział uszczypliwie na moje rozwichrzone włosy i znów stuknął palcami.

— Muszę się obciąć, Henry. Ty też. Jesteśmy mężczyznami. Damy radę.

— Ben Askren, Roger Federer, Shaun White, Troy Polamalu, David Beckham, Triple H.

— Triple H? — zacząłem się śmiać. Henry wymieniał sportowców z długimi włosami. — Zaczynasz brzmieć jak desperat.

— Larry Fitzgerald? Tim Lincecum?

— Tim Lincecum, co? Grał w Giantsach, prawda? W twojej ulubionej drużynie?

Henry nie odpowiedział.

— Ech, cholera. Pieprzyć to. I tak nie chciałem obcinać włosów. Twojej siostrze chyba podobają się takie, jakie są.

Stukanie zwolniło.

— Chcesz kupić latawiec? Słyszałem, że to oficjalny sport w Tajlandii — powiedziałem.

Henry przytaknął, a na jego twarzy pojawił się najmniejszy możliwy cień uśmiechu.



PO LATAWCE poszliśmy do sklepu Toys R Us. Mieli największy wybór zabawek, a my nie chcieliśmy marnować czasu. Henry nie spieszył się z wybieraniem i zdecydował się na latawiec z LeBronem Jamesem. Ja kupiłem jedyny czerwony, jaki znalazłem, z Elmo, czerwonym potworkiem z futrzaną twarzą w kształcie rombu, który spoglądał na mnie radośnie. Henry uznał to za wyjątkowo śmieszne, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w słuszności wyboru.

— Lubię czerwony kolor! — powiedziałem mu ze śmiechem, bo jego śmiech był zaraźliwy. — Powinniśmy też kupić jeden dla Millie. Jak myślisz, który by jej się spodobał? — Natychmiast poczułem się głupio. Ciągle zapomniałem, że ona nie widzi i wygląd nie ma dla niej znaczenia.

Ale Henry wcale nie uważał tego pytania za głupie i zabrał się od nowa do przeglądania latawców. Wybrał błyszczący jasnoróżowy i wręczył mi go.

— Sędziowie w National Rugby League noszą różowe koszulki — stwierdził poważnie.

— Okej. Nie wiem, co National Rugby League ma wspólnego z Millie, ale to

dobry wybór.

Gdy godzinę po wyjeździe wróciliśmy do domu, Henry chwycił wszystkie latawce i wysiadł, zanim zdążyłem zgasić silnik. Przebiegł chodnikiem, jakby miał pięć lat, a nie piętnaście. Wpadł przez drzwi wejściowe, a ja powoli wszedłem za nim.

Gdy dotarłem do kuchni, Millie ze zmarszczonymi brwiami przeczesywała dłonią włosy Henry'ego. Wziąłem jedną z jej dłoni i położyłem sobie na karku, gdzie włosy sięgały koszulki.

— Miałaś rację — stwierdziłem. — Jesteśmy zbyt przywiązani do swoich włosów.

Zmarszczka między brwiami zniknęła, ale Millie nie zabrała dłoni. Zgięła palce i pociągnęła lekko za moje włosy, sprawdzając ich długość, a ja z całych sił starałem się powstrzymać mruczenie. Henry się nie krępował. Opuścił głowę na jej ramiona i zamknął oczy, kompletnie poskromiony.

— Nie zasypiaj, Henry. Mamy latawce do puszczania.

Millie odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła śmiechem, puszczając nasze włosy.

— Och, nie przegapiłeś tej niezbyt subtelnej sugestii, co? — spytała ze śmiechem.

— Nie. Zrozumiałem ją jasno i wyraźnie. Kupiliśmy ci różowy. Henry wybierał.

— Dobrze mnie zna. Różowy to mój ulubiony kolor.

— Tak? Dlaczego?

— Bo ma zapach. I smak. Za każdym razem, gdy próbuję czegoś różowego, przypominam sobie ten kolor. Zalewa mnie wspomnieniami na sekundę, a potem wszystkie znikają.

— Hm. Myślałem, że powiesz, że to dlatego, że kochasz rugby.

— A, różowe koszulki? — spytała Millie.

— Henry musi częściej wychodzić z domu — odparłem ze śmiechem.

— To chodźmy! — wykrzyknął Henry, wybiegając przez drzwi, jakby wziął sobie moją radę do serca.

Ulica była obsadzona drzewami, podwórko przed domem zbyt małe, a ruch uliczny nieco zbyt duży, żebyśmy mogli puszczać latawce. Usiedliśmy więc w mojej półciężarówce, Millie w środku z drążkiem zmiany biegów między nogami, a Henry przy drzwiach, skacząc na fotelu z ekscytacji.

Mojesz nie znosił tych kanapowych siedzeń. Zawsze powtarzał, że irytuje go brak podłokietników. Ale Mo nie zawsze ma rację. Jeszcze nigdy nie cieszyłem się tak z tej kanapy jak teraz, gdy Millie była nieznacznie przyciśnięta do mojego boku, a ja muskałem prawym ramieniem jej pierś za każdym razem, gdy zmieniałem bieg. Pachniała owocami. Truskawkami i arbuzem. Pachniała...

różem. Ta myśl wzbudziła mój uśmiech. W dotyku też była różowa. Róż, miękkość i przyjemność. Cholera. Postanowiłem, że od tej chwili moim ulubionym kolorem także będzie różowy.

Pojechałem do parku Liberty w północnej części centrum. Po kilku minutach Henry był już z latawcem na zewnątrz i pracował nad wzbiciem LeBrona Jamesa w powietrze.

— Ma w tym wprawę — stwierdziłem zaskoczony.

— Ale dawno tego nie robił. Szczerze mówiąc, nie pamiętam ostatniego razu — odparła Millie. — Puszczaj go?

— Posłuchaj — powiedziałem. — Słyszysz to? — Słuchałem razem z nią, szukając odgłosu, który przekazałby obraz. Latawiec zanurkował, lecz złapał wiatr i znowu się wynurzył, łopocąc cicho, jak pranie na wietrze.

— Słyszę!

— To latawiec Henry'ego. Rzeczywiście ma talent.

— Pomożesz mi puścić mój? Dałabym radę pobiec, ale to mogłoby być niebezpieczne. Nie chcę wpaść do stawu. Jest tu staw, prawda?

— Po prostu biegnij z dala od kwakania.

Po chwili nasze latawce także znalazły się w powietrzu. LeBron James, Elmo i różowy trójkąt Millie nurkowały i wzlatywały w górę, ożywiając blade popołudniowe niebo.

— Popuść trochę linkę, Millie! — wrzasnąłem, gdy jej latawiec gwałtownie skręcił w dół, niebezpiecznie zbliżając się do ziemi. — Pozwól mu się wznieść!

Millie pisnęła spanikowana, ale wypełniła moje zalecenie i jej latawiec skorygował lot, złapał wiatr i zaczął nabierać wysokości.

— Czuję, jak się wznosi! — wykrzyknęła energicznie. Nie tylko Henry miał talent do puszczania latawców. Biegał tam i z powrotem z latawcem za plecami, włosy wpadały mu do oczu, a policzki miał różowe od chłodnego lutowego słońca.

— Gdybyś mogła chwycić ogon latawca i polecieć, dokądkolwiek zechcesz, to gdzie byś poleciała? — spytałem z wzrokiem utkwionym w niebo, myśląc o tych wszystkich odwiedzonych przeze mnie miejscach. — A może myśl o podróżowaniu cię przeraża?

— Nie. Nie przeraża mnie. Po prostu jest nierealna. Jest mnóstwo miejsc, które chciałabym odwiedzić, chociaż nie byłabym w stanie ich zobaczyć. Mogę dotykać dłońmi ścian i chłonać. Budynki nasiąkają historią. Skały też. Wszystko, co ma za sobą jakąś przeszłość. — Amelie zamilkła na chwilę, jakby czekała, aż zacznę dyskutować lub żartować. Ale mój najlepszy przyjaciel widzi zmarłych,

więc nie mam wątpliwości, że na świecie jest mnóstwo zjawisk, których nie rozumiemy. Akceptuję to. Tak jest łatwiej, niż próbować wszystko rozgryźć.

— To prawda! — dodała Millie, chociaż wcale z nią nie polemizowałem. — Gdy miałam trzynaście lat, mama zabrała mnie i Henry’ego do misji Alamo w San Antonio. Najwyraźniej wszędzie są napisy „Nie dotykać budynków” i wszystko jest otoczone linami, żeby można było wyłącznie patrzeć. Co jest dość niesprawiedliwe, jeśli o mnie chodzi. Ja oglądam dłońmi! Więc moja mama zdobyła specjalne pozwolenie. Zawsze znajdowała sposób, żeby mi pomóc jak najwięcej doświadczyć, nawet jeśli wymagało to wyszukania kogoś, kto pozwoliłby nam złamać reguły. Stałam przed kaplicą w Alamo, położyłam dłonie na ścianach i słuchałam.

— I co usłyszałaś? — spytałem.

— Niczego nie usłyszałam. Ale poczułam. Trudno to opisać. To jakby wibracja. Coś podobnego czuje się w nogach, gdy czekasz na nadjeżdżający pociąg. To doznanie... Wiesz, o co mi chodzi?

— Tak, wiem — odpowiedziałem.

— Gdziekolwiek pojechaliśmy, mama starała się znaleźć hotele, które miały jakąś historię. W San Antonio jest hotel o nazwie Fairmount. Zbudowany w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Weszliśmy do środka i poczułam się jak na Titanicu. W całym hotelu tak się czułam. Pamiętasz, jak powiedziałaś, że dawniej świat był piękniejszy?

— Uhm. — Wtedy czułem się głupio, ale teraz cieszyłem się, że to powiedziałem.

— To prawda. W hotelu Fairmount wciąż są te same stare meble, a całe miejsce wydaje się... Dojrzałe. — Zaśmiała się z wybranego słowa. — „Dojrzałe” to jedyne słowo, które tu pasuje. Jakby pękało w szwach od historii, czasu i energii. Skrywa tak wiele pod powierzchnią, lecz *nikt* tego nie widzi. Nie tylko ja. Nikt. Z tego względu jestem w pewnym sensie uprzywilejowana, że przynajmniej to czuję.

— Znam ten hotel. Został przeniesiony w osiemdziesiątym piątym. Dosłownie podniesiono hotel i przesunięto po ulicy. Moja babcia była jedną z tych starszych bogatych pań, którym bardzo zależy na zachowaniu dziedzictwa historycznego. Mnóstwo bogatych rodzin o to dba, a babcia była w Komitecie na rzecz ochrony. To działo się przed moim urodzeniem, ale pamiętam, że wszyscy byliśmy na wielkiej gali dla uczczenia setnej rocznicy powstania tego hotelu. To piękne miejsce.

— Bardzo mi się spodobało — westchnęła Millie. — Gdzie jeszcze byłeś?

— Objechałem cały świat. Przez dwadzieścia sześć lat życia widziałem więcej niż większość ludzi przez całe życie. Znacznie więcej.

— Rodzice cię zabierali? — spytała.

— Nie.

Czekała na rozwinięcie, a ja zastanawiałem się, czym powinienem się podzielić. To nie była szczęśliwa historia. Ku swojemu zdumieniu uświadomiłem sobie jednak, że chcę jej o tym powiedzieć.

— Nigdy nie myślałem o podróżowaniu. Nie miałem takiego marzenia. Tak naprawdę nie miałem żadnych marzeń. W wieku osiemnastu lat byłem bogatym zagubionym dzieciakiem, który nie miał pojęcia, co zrobić z resztą życia.

Millie nie odpowiedziała. Biorąc poprawkę na to, że nie miała możliwości utrzymania kontaktu wzrokowego, była najlepszym słuchaczem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Przypominała trochę Mojżesza w tym, że chłoneła wszystko i nic jej nie umykało. Różnica polegała na tym, że Mojżesz nie wyłapywał wszystkich słów, a Millie tak. Nie umiałem określić, jak się z tym czuję. Nie chciałem, żeby wychwytywała niewłaściwe słowa, wzbudzała w sobie jakieś nieuzasadnione nadzieje i pamiętała wszystko, co kiedykolwiek opuściło moje usta. W moim przypadku prawda była opakowana w ściemy rzucane dla rozrywki. To teksańskie podejście stanowiło element mojego uroku. Ale przy Millie nie mogłem taki być. Musiałem mówić, co myślę, zawsze. Nie mam pojęcia, skąd to wiedziałem, ale tak było. I czułem się za to odpowiedzialny.

— Gdy miałem szesnaście lat, zaginęła moja siostra Molly. Była imprezową dziewczyną. Ja też byłem imprezowy. Potrafiliśmy naprawdę nieźle zaszaleć. Ale trzymaliśmy się razem i zawsze się o siebie troszczyliśmy. Molly była ode mnie starsza o kilka lat, ale ja byłem mężczyzną. Zniknęła w święto, czwartego lipca, i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Przez dwa lata. A ja się o to obwinałem. Szukałem jej, ale nie umiałem znaleźć. Więc topiłem frustrację w alkoholu. Tato miał w domu dobrze zaopatrzonego barek, z którego często korzystałem. Ale gdy skończyłem osiemnaście lat, alkohol przestał koić ten podskórny świąd i krążący w krwi niepokój. Straciłem siostrę, chociaż trochę jej zazdrościłem, że nikt nie potrafił jej znaleźć. — Zastanawiałem się, jak daleko mogę się posunąć, i postanowiłem ominąć parę kwestii. Nie dlatego, że było mi wstyd, tylko dlatego, że były zbyt ciężkie jak na puszczanie latawców.

— Potem poznałem Mojżesza. Mojżesz nie miał nic, lecz wiedział wszystko. Malował, żeby zabić ból. W taki sposób sobie z nim radził. I pozwolił mi ze sobą przebywać. Dopuszczał mnie do siebie. Pomógł mi przejrzeć na oczy. Nie mieliśmy dokąd pójść, ale ja miałem pieniądze. Moi rodzice ucieszyli się, gdy powiedziałem, że wyjeżdżam. Byli zmęczeni. Przesiąknięci żalem. Więc wręczyli mi kartę kredytową i umyli ręce.

— I tak po prostu pojechaliście do Europy? — Jej głos był pełen podziwu.

— Pojechaliśmy wszędzie. Ledwie pełnoletni. Tak naprawdę byliśmy jeszcze dziećmi. Ale on potrafił malować, a ja potrafiłem swoim ściemnianiem

wydobyć nas z każdej biedy, więc gdziekolwiek byliśmy, on malował, a ja dbałem o to, żeby ludzie kupowali jego dzieła, zamiast wsadzać nas do więzienia za wandalizm. Chciał zobaczyć wszystkie słynne dzieła sztuki. Luwr, Kaplica Sykstyńska, architektura, Wielki Mur Chiński. To było jego marzenie. Więc je zrealizowaliśmy. A gdy nie umiałem nas wyciągnąć z kłopotów gadaniem, walczyliśmy o swoje. To był mój cel, wiesz? Chciałem wdać się w bójkę na pięści z mieszkańcem każdego kraju świata. Raz skopał mi tyłek pewien wielki Szwed. Teraz pracuje w mojej siłowni, a ja mam misję, żeby każdego dnia skopać tyłek jemu.

Śmiech Millie rozbrzmiał jak melodia, a ja prześledziłem swoje słowa, żeby się upewnić, że mówiłem absolutną prawdę. Usatysfakcjonowany wiernością mojego sprawozdania, rozluźniłem się i zaśmiałem razem z nią.

— Axel? — Millie podjęła próbę odgadnięcia tożsamości Szweda.

— Axel — potwierdziłem. — W Irlandii poznałem Andy'ego, a w Brazylii Paula. Gdy otwierałem siłownię, odnalazłem ich i spytałem, czy chcieliby ze mną pracować.

— Czyli kolekcjonujesz ludzi, a Mojżesz kolekcjonuje dzieła sztuki?

— Coś w tym guście.

— Jak długo podróżowaliście?

— Podróżowaliśmy tak długo, aż się odnaleźliśmy.

— Co to oznacza?

— Mojżesz powiedział mi kiedyś, że nie da się uciec przed sobą. Możesz biec, ukrywać się lub umrzeć, ale cokolwiek zrobisz, będziesz sobą. Przez długi czas byłem dość pusty. Trochę czasu zajęło mi rozgryzienie, co mogłoby mnie wypełnić.

— Rozumiem to. Ciemność jest bardzo pusta. I w ciemności zawsze jestem samotna.

Bez namysłu chwyciłem ją za wolną dłoń. Było to tak instynktowne, że uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, gdy już ją trzymałem. Zapomniałem o Elmo, o ogonach latawców i nadmiarze sznurka. Ona chyba też. Przez jakąś minutę byliśmy spowici przeszłością i bolesnymi wspomnieniami. Ścisnęła moją dłoń, ale nie mówiła nic więcej, najwyraźniej czekając, aż dokończę swoją opowieść.

— Tułaliśmy się przez ponad pięć lat. Z jednego miejsca w drugie. Kilka lat temu przyjechaliśmy tutaj i w końcu poczułem, że czas się osiedlić. W tym miejscu zaczęliśmy podróż i w tym miejscu się skończyła.

— Znalazłeś siebie?



— Nadal szukam. Ale tak naprawdę nie mam zbyt wiele do odnalezienia, bo jestem dość płytkim kolesiem.

Zachichotała, a ja wypuściłem jej dłoń z obawy, że wyciągnie z tego niewłaściwe wnioski. Puściła mnie swobodnie, lecz coś przemknęło przez jej śliczną twarz, a ja zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie byłem absolutnie szczery.

Na trawie pojawił się Henry, który próbował mnie ostrzec wrzaskiem, ale było już za późno. Millie chyba poczuła brak napięcia w swoim sznurku, bo pisnęła i odskoczyła ode mnie, a potem zwijała sznurek i rozwijała go, w nadziei że uda jej się uratować sytuację.

— *Mayday!* — wrzasnął Henry. Kilka sekund później wszystkie latawce spadły na ziemię.

Przestałem się skupiać na swoim zadaniu i to się na mnie zemściło, bo czerwony potworek nad naszymi głowami splątał się z ogonem Millie i zanurkował w dół, pociągając za sobą jej latawiec. Podszedłem zbyt blisko, straciłem czujność i pograżyłem nas oboje.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

— BYLIŚMY W IRLANDII. W Dublinie — powiedziałem, gdy Millie nie wykonała żadnego ruchu, żeby zmienić taśmę. — Tag potrafił wywęszyć bójkę. Miał taką sekretną umiejętność. — Oraz umiejętność zaliczania dziewczyn. Ale tę drugą informację zachowałem dla siebie. Millie by tego nie zrozumiała, chociaż z drugiej strony miałem wrażenie, że doskonale wiedziała, jaki jest Tag, i znała jego wady. Może to, że nie rozpraszały jej spojrzenia innych kobiet, pozwalało jej dostrzec jego prawdziwe oblicze. Interesujące było też to, że upierała się przy nazywaniu go po imieniu, a nie ksywką, której używał przez całe życie.

— Tym razem był to prawdziwy pojedynek między dwoma bokserami — dodałem — o których Tag słyszał i których chciał zobaczyć w akcji. Między Andym Gormanem a Tommym Boyle'em. Trudno w to uwierzyć, ale Tag miał już na koncie starcie z Andym — gdy malowałem portret dla matki Andy'ego. Jego ojciec zmarł rok wcześniej, a mama desperacko pragnęła się z nim skontaktować. Andy uznał mnie za szarlatana i tak też mnie nazwał, próbując nas wyrzucić. Tag jak zwykle wdał się w sprzeczkę w mojej obronie i Andy złamał mu nos. Gdy więc Tag powiedział, że chce zobaczyć walkę Andy'ego, nie byłem tym pomysłem zbyt podekscytowany. Andy wygrał. I to zdecydowanie. Znokautował Boyle'a w pierwszej rundzie. Ludziom się to chyba nie spodobało. Miał wygrać, ale przeciągając walkę i walcząc jak równy z równym. Miał długi u

jakichś ludzi, więc gdy nie zrobił tak, jak mu kazano, otoczyli go w uliczce za areną, żeby mu dokopać. Zgadnij, kto pojawił się w połowie bójki?

Na twarzy Millie pokazał się uśmiech, ale był lekko drżący.

— Miał do tego nosa. Gdy ktoś się bił, Tag zawsze trafiał w sam środek akcji. Wpadł między nich, jakby Andy był jego najlepszym przyjacielem, a nie facetem, który parę tygodni wcześniej złamał mu nos. To było bardzo głupie. Ci ludzie, z którymi Tag zadarł, byli bardzo niebezpieczni i musieliśmy opuścić Irlandię. Ale on nie myślał o takich rzeczach. Nie miało to dla niego znaczenia. Zobaczył pięciu na jednego, więc rzucił się do walki z pięściami i walczył ramię w ramię z Andyem Gormanem. Ja też musiałem się wmieszać. Bałem się, że Tag pozwoli się zabić.

— Podsumowując — stwierdziłem — Andy Gorman i każdy inny członek klubu ma u Taga dług. Wszyscy są wobec niego lojalni, bo on pierwszy pokazał swoją lojalność i pierwszy nadstawił dla nich kark. Nie dlatego, że go o to prosili, ale dlatego, że potrzebowali pomocy. To stało się swojego rodzaju celem Taga. Widziałem, jak się zmienia, jak postanawia żyć, walczyć i przyjąć to, co go spotyka. Widziałem, jak się odnajduje.

— A teraz znowu się zgubił — szepnęła Millie.

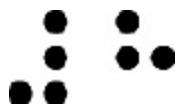
— Coś się stało — próbowałem go usprawiedliwić.

— On się żegna, Mojżeszu. Mam wrażenie, jakby stworzył pamiętnik czy coś w tym rodzaju.

Millie miała rację. Miałem wrażenie, że słuchamy pożegnalnego listu samobójcy.

\*\*\*

# Osiem



ZNALAZŁEM KOGOŚ do pracy w barze w niepełnym wymiarze godzin i zacząłem szkolić Vince'a na menedżera. Wciąż miałem nadzieję, że Morg wróci, ale pewnie znalazł coś lepszego. Zaskoczył mnie, ale to był jego wybór. Wysłałem mu czek na adres, który miałem w dokumentach, i nadal żonglowałem niedoborem czasu. Cztery - pięć godzin dziennie trenowałem do walki i niemal co noc pracowałem w barze. I odprowadzałem Millie do domu.

Nigdy nie chciała jechać samochodem. Ja też nie chciałem. Noce były zimne, ale nie przenikliwie, a ja nie mogłem się doczekać spaceru z nią pod ramię i rozmowy. Rozśmieszałem ją, a ona mnie. Imponowała mi, a ja nie musiałem starać się zaimponować jej.

Tak bardzo ją lubiłem.

To było dziwne uczucie — tak bardzo lubić dziewczynę, lecz nie próbować dobrać się jej do majtek. Wiem, że to prymitywne, ale mężczyźni nie bez powodu są uwarunkowani tak jak są. I nie bez powodu kobiety są poukładane tak jak są. To biologia. Zwykła biologia. Ale ja nie dążyłem do przespania się z Millie. Nie miałem co do niej żadnych zamiarów. Po prostu ją lubiłem i nie zważałem na całą resztę. Po raz pierwszy w życiu tak stanowczo ignorowałem biologię.

Czułem się przy niej swobodnie. I co chwilę łapałem się na tym, że mówię jej o rzeczach, których nie powiedziałbym nikomu innemu. Którejś nocy, odprowadzając ją, założyłem kamizelkę zamiast kurtki i miałem podwinięte rękawy białej koszuli, bo w takim stroju zawsze obsługuję klientów, gdy stoję za barem. Po raz pierwszy w trakcie spaceru Millie mogła dotknąć moich nagich przedramion i wyczuła moje blizny.

— Co to jest, Dawidzie? — spytała, wodząc palcami wzdłuż długiej poszarpanej

linii na prawym przedramieniu, która zaczynała się przy nadgarstku, a kończyła przy łokciu.

— To pamiątka z czasów, gdy bardzo nie chciałem żyć — wyznałem bez skrępowania. — To było dawno temu. Teraz się kocham. Nie martw się. — Myślałem, że się zaśmieje, ale nie zrobiła tego.

— Pociąłeś się? — Jej głos był smutny. Nie oskarżycielski, lecz smutny.

— Tak.

— Czy to było trudne?

Zaskoczyło mnie jej pytanie. Większość ludzi chciała wiedzieć dlaczego. Nie pytali, czy robienie sobie krzywdy było trudne.

— Życie było trudniejsze — odparłem.

Nie wypełniła ciszy słowami, a ja poczułem potrzebę wyjaśnienia. Nie zaimponowania. Po prostu wyjaśnienia.

— Za pierwszym razem, gdy chciałem się zabić, przystawiłem pistolet do głowy i odliczałem wstecz od siedemnastu — za każdy rok swojego życia. Matka nakryła mnie, gdy doszedłem do pięciu. Pistolet został zamknięty, a szyfr w sejfie się zmienił. Sięgnąłem więc po scyzoryk. Był ostry i błyszczący. Czysty. A ja się nie bałem. Po raz pierwszy od długiego czasu niczego się nie bałem.

Wodziła palcami po bliźnie, jakby chciała ją wygłaskać, żeby zniknęła. Więc opowiedziałem jej resztę.

— Po raz kolejny los zainterweniował i zostałem znaleziony, zanim było za późno. I znów zostałem uratowany, co nie zmieniało faktu, że ja nie uratowałem siostry i że czułem się bezsilny. Bezsilny i pozbawiony nadziei. Po tygodniu w szpitalu zostałem przeniesiony do psychiatryka. Mama płakała, a tato miał kamienną twarz. Stracili jedno dziecko i ja także próbowałem im zniknąć. Powiedzieli, że jestem egoistą. I byłem nim. Nie umiałem być nikim innym. Dali mi wszystko, ale to było za mało. Przerażało mnie to. Pustka jest przerażająca.

— I wtedy spotkałeś Mojżesza. — Pamiętała rozmowę w parku.

— Tak. Musisz go kiedyś poznać. Jego żonę Georgię też. To moi ulubieni ludzie na całym świecie.

— Z chęcią ich poznam.

— Mają konie. Georgia pracuje z takimi dziećmiakami jak Henry. Hipoterapia, tak to nazywa. Myślę, że Henry byłby zachwycony. — Spodobał mi się ten pomysł. Henry wszystko ułatwiał. Dzięki niemu mogłem spędzać czas z Millie poza odprowadzaniem jej do domu. Stanowił idealną izolację między biologią a przyjaźnią.

Nie czekając zbyt długo, ustaliłem datę i przedstawiłem Millie swojemu

najlepsze przyjacielowi. Henry'ego też. Nie zapominajmy o Henrym.



MOJŻESZ I GEORGIA rozbudowali stary dom jego babci. Był to teraz szeroki, otoczony werandą budynek z osobnym wejściem dla klientów Mojżesza. Dzięki temu Mojżesz mógł malować i prowadzić swoją działalność, a klienci i rodzina nie przeszkadzali sobie nawzajem. Nowy dom w ogóle nie przypominał smutnej małej chatki z tragiczną przeszłością, którą po raz pierwszy zobaczyłem osiemnaście miesięcy temu, gdy razem z Mojżeszem przyjechaliśmy do Levan w poszukiwaniu odpowiedzi i w pogoni za duchami. Mnóstwem duchów. Niedługo potem przekonałem się, że nie chcę zostać w Levan. Mojżesz z kolei przekonał się, że nie chce wyjeżdżać. Na jego miejscu nie zostawałbym tam. Zabrałbym Georgię i poszukałbym innego miejsca, żeby zacząć od nowa. Czasem jednak historia ma w sobie magnetyzm, a historia Mojżesza i Georgii była zakorzeniona w tym miasteczku.

Nie tylko Mojżesz prowadził tam działalność. Georgia kiełznała i szkoliła konie oraz pracowała jako hipoterapeutka, wykorzystując te zwierzęta do nawiązywania z dziećmi i dorosłymi więzi, która leczyła ich ciała i dusze. Gospodarstwo, w którym się wychowywała, graniczyło z ziemią odziedziczoną przez Mojżesza po babci, więc zamieszkanie tam było jak najbardziej sensowne. Mojżesz zawsze mi powtarzał, że nie da się uciec przed samym sobą. Chyba byłem wobec niego nadopiekuńczy. Chciałem, żeby był bezpieczny, szczęśliwy i akceptowany, lecz obawiałem się, że ludzie w tym małym miasteczku w Utah go skreślili. Co ja jednak mogłem wiedzieć? Mojżesz był szczęśliwy, więc zachowałem swoje obawy dla siebie.

Dzień nie mógł być ładniejszy. Stan Utah bezwstydnie flirtował z wiosną, temperatura przekraczała piętnaście stopni, chociaż wcale nie powinno być tak ciepło. Zapowiedziałem, że będziemy, i Georgia była przygotowana na nasz przyjazd. Poszliśmy do okrągłej zagrody, w której Millie i Henry oswajali się z należącymi do Georgii izabelowatym Sackettem i Luckym, którego czarna sierść była równie nieskazitelna jak uczciwość jego właścicielki i który przez cały czas wodził za nią wzrokiem. Georgia powiedziała mi kiedyś, że poskromiła go w tym samym momencie co Mojżesza, chociaż żaden z nich nie wiedział, że został okiełznany.

Mojżesz wciąż nie czuł się swobodnie w towarzystwie większości zwierząt. Miał ciężką i pełną nerwowej energii przeszłość, która była trudna do opanowania, i zwierzęta, szczególnie konie, zwykle odzwierciedlały jego niepokój. Staliśmy więc razem w oddali, opierając się o ogrodzenie i obserwując, jak Georgia odprawia swoją magię. Miałem na rękach małą Kathleen, którą nazywałem Taglee, żeby wkurzyć jej ojca. Robiłem do niej miny, żeby ją rozśmieszyć, ale

zaczęła ziewać, więc Mojżesz wziął ją ode mnie i położył sobie na ramieniu, na którym natychmiast ucięła sobie drzemkę. Przez chwilę słuchaliśmy jej westchnień w milczeniu, po czym Mojżesz, głaszcząc drobne plecy córki, spojrzał na mnie znad jej mechatej główki i przymrużył oczy.

— Mów, co masz do powiedzenia, Mo — zachęciłem, spodziewając się tego.

Gdy Georgia przywitała się serdecznie z Millie, uśmiechnęła się do mnie tak, jakby miała na końcu języka uszczypliwy komentarz o mojej nowej „przyjaciółce”, ale się powstrzymała. Mojżesz nie bawił się w uszczypliwość. On chciał konkretów.

— O co chodzi, stary? — zapytał prosto z mostu. Jak zwykle. Żeby go poznać, niezbędna była uważność, bo on nie dawał zbyt wiele. Trzeba było wciskać się w jego przestrzeń i nie odchodzić, gdy cię odpychał. Tak właśnie zrobiłem. To był mój dar. Naciskać, walczyć, przywrzeć, zablokować, zmęczyć. Georgia też tak zrobiła i zapłaciła za to. Cena za miłość i oddanie Mojżesza była wysoka. Lecz ona ją zapłaciła, a on teraz ją za to uwielbiał.

— To znaczy? — Spojrzałem krzywo na mojego najlepszego przyjaciela.

— Millie jest inna niż dziewczyny, które... spotykasz. — Dokończył zdanie znacznie łagodniejszym słowem niż to, które obaj włożyliśmy w myślach w tę długą przerwę.

— Bo ja jej nie... spotykam.

— Nie?

— Nie. Pracuje dla mnie. Przyjaźnimy się. Jest zabawna. Interesująca. I twarda. Podoba mi się to. Lubię też Henry’ego. Przyprawia go na siłownię. Ćwiczyłem z nim trochę. Ojciec oszedł od nich, gdy Henry był mały, co odcisnęło na nim piętno.

— Znowu ratujesz ludzi, Tag?

— Ja nie ratuję ludzi.

— Bzdura. Kolekcjonujesz przegrane przypadki tak jak stare białe kobiety kolekcjonują koty. Uratowałeś mnie. Uratowałeś Axela i Cory’ego. Uratowałeś nawet tę zakałą Morgana, który myśli, że zarządzając twoim barem, wyświadcza ci przysługę. Tag Team powinien być zarejestrowany jako organizacja dobroczynna, bo wszystkich ratujesz. Masz niewidzialną pelerynę, którą nosisz przez całe życie.

— Wcale cię nie uratowałem. — Z całą resztą nie dało się dyskutować, chociaż nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Owszem, uratowałeś.

— Uratowaliśmy się nawzajem.

— Nie. Ja bym pozwolił ci utonąć, stary. Na tym polega różnica między tobą a mną. Czy raczej Mojżeszem, jakim kiedyś byłem. Pozwoliłbym ci utonąć, żeby samemu utrzymać się na powierzchni. Chodziło mi wyłącznie o przetrwanie. Ale ty byłeś inny. Ty prędzej byś umarł, niż pozwolił mi utonąć. Koniec końców okazało się to dla nas funkcjonalne, ale to ty nas uratowałeś, Tag. Nie ja.

— A co z tymi wszystkimi ludźmi, którym pomagasz przez sztukę?

— Jestem tylko posłańcem. A ty? Ty jesteś zbawcą. To dlatego tak zaciekle walczysz. Nie potrafisz robić nic innego. Ale ta dziewczyna nie potrzebuje zbawcy. Ona potrzebuje kochanka, a to dwie zupełnie różne rzeczy. Georgia jest trochę taka jak ty. Dlatego pasujemy do siebie. Ale Millie? Ona chyba jest bardziej jak ja. Ona obserwuje. I chłonie.

— Obserwuje? — spytałem, wykrzywiając usta.

— Tak. Nie trzeba mieć wzroku, żeby obserwować. Jestem pewien, że ona dobrze wie, co z ciebie za facet. I podoba jej się to, co widzi. Ale ona nie pragnie ocalenia. Ja też nie pragnąłem ocalenia, nie z rąk Georgii. Ja pragnąłem uległości.

Mojżesz wodził spojrzeniem za swoją żoną, która prowadziła Henry’ego i Millie na osobiście ujarzmionych i wytresowanych koniach. Miała wyprostowane plecy i stanowczy głos. Była wysoką młodą kobietą o szczupłej, silnej sylwetce, a jej rozjaśnione słońcem włosy były splecione w kołyszący się gruby warkocz, który sięgał jej niemal do pasa. W jej słowniku nie było słowa „uległość”. Ale gdy się obejrzała, przemknęła po mnie wzrokiem i zatrzymała się na Mojżeszu, który trzymał ich śpiące dziecko, zrozumiałem, co miał na myśli. Czasem uległość polega na odrzuceniu dumy, oddaniu kontroli i obdarzeniu kogoś miłością i zaufaniem, nawet jeśli ten ktoś na to nie zasługuje. Ona tak zrobiła.

— Chcesz Millie? To będziesz musiał w którymś momencie ściągnąć tę swoją pelerynę i odpuścić, kotku — dodał Mojżesz cicho, a jego spojrzenie złagodniało.

— Ulec.

— Kto mówi, że jej chcę? — Sprzeciwiłem się.

— Daj spokój, stary. Mówisz do obserwatora. Znam cię lepiej, niż ty sam się znasz. Nie próbuj mnie nabierać.

— Czyli mam najlepszego przyjaciela, który widzi wszystko, i przyjaciółkę — nie potrafiłem powiedzieć „dziewczyne” — która niczego nie widzi.

— Ona widzi bardzo wiele. To ty jesteś ślepy. Jesteś ślepy, bo się boisz. A boisz się, bo wiesz, że już jest za późno. I powinieneś się bać, stary. Ona nie będzie łatwa do kochania. To skomplikowany zestaw. Ona i Henry. Ale, do licha, Tag, ty nigdy nie byłeś skłonny do kochania tego, co łatwe. Ja jestem tak odstręczający, jak to tylko możliwe, a ty dosłownie się na mnie rzuciłeś. Nie mogłem się od ciebie odpędzić. Lubisz wyzwania. Niech to, ty dla nich żyjesz!

— Nie dotarłem jeszcze do tego, Mojżeszu — powiedziałem stanowczo. — Nie naciskaj mnie.

— Mówi to facet, który zalecił mi ostre i szybkie podejście do Georgii.

— I okazało się, że miałem rację, co? — zaśmiałem się, zadowolony z tego faktu.

— Miałeś. Ale ja też mam rację. Nie jesteś gotowy? W porządku. Ale jej nie krzywdź.

— Dlaczego miałbym to zrobić, Mo? — Czasami naprawdę mnie wkurzał.

— Bo zdarza ci się być głupim. — Uśmiechnął się znad maleńkiej główki córki, a ja zacząłem się zastanawiać, w co mógłbym mu przywalić, żeby jej nie upuścić.

— Jej matka nie żyje. — To było stwierdzenie, a nie pytanie. Mojżesz nie pytał, bo nie musiał. Przestał się uśmiechać i zaczął patrzeć tak jak zawsze, gdy miał widzenie.

— To prawda — przytaknąłem. — Zmarła jakiś czas temu. Rak płuc. Ojciec odszedł od nich rok po utracie wzroku przez Millie. Jej zdaniem dlatego, że niewidoma córka i autystyczny syn to było dla niego zbyt wiele. Nie wiem, jaka jest prawda. Ale nie mają z nim żadnego kontaktu poza listami z pieniędzmi. Przynajmniej przysyła im pieniądze.

— Ona się martwi o swoje dzieci. Uporczywie pokazuje mi łaskę Amelie i książkę dla dzieci. Coś o gigantach.

— Dobrze sobie radzą. Opiekują się sobą nawzajem — upierałem się.

— Hmm — mruknął Mojżesz, a ja poczułem, jak w środku ściska mnie coś śliskiego i mrocznego.

— Ona nie czeka na jedno z nich, prawda, Mojżeszu? — Mojżesz mówił, że gdy ktoś ma umrzeć, duchy jego zmarłych zaczynają wokół niego krążyć, jakby czekały, aż będą mogły go powitać i zabrać do domu.

— Nie. To inne uczucie. — Mojżesz nie powiedział nic więcej. Dałem mu spokój, bo byłem przyzwyczajony do jego dziwactw, zdolności i niechęci do udzielania obszerniejszych wyjaśnień.

(Koniec taśmy).



**Mojżesz**

— WIDZIAŁEŚ MOJĄ mamę, Mojżeszu? — spytała Millie.

Przytaknąłem, ale zreflektowałem się i odpowiedziałem na głos:

— Tak.



— Jak wyglądała? — dopytywała Millie, a w jej głosie było więcej tęsknoty niż powątpiewania.

— Jak ty. Wyglądała tak jak ty. Ciemne włosy, niebieskie oczy, proporcjonalne rysy twarzy. Rozpoznałem ją od razu, gdy ją zobaczyłem. Ale to dlatego, że miałem przed sobą ciebie i Henry'ego. Nietrudno było zauważyć podobieństwo.

Millie potrząsnęła energicznie głową, jakby musiała na nowo poukładać swoje myśli i wszystko, w co dotąd wierzyła. Zawsze tak to wyglądało. Ludzie potrzebowali czasu, żeby przetworzyć to co nieprawdopodobne.

— Książka. Książka o gigantach. O co chodziło? — spytałem, żeby dać jej coś namacalnego do skupienia myśli, gdy serce i głowa próbowały znaleźć kompromis.

— Nie wiem... — wykrztusiła, dotykając palcami policzków.

— Giganci grający w chowanego? — dopytywałem. Miałem w głowie obraz wystających spod łóżka olbrzymich stóp.

— Gdzie kryją się giganci, gdy grają w chowanego? Nie potrafię wymyślić niczego tak dużego — szepnęła Millie.

— No właśnie — stwierdziłem.

— Nie wcisną się pod łóżko, szafa też nic nie zmieni. Nie skryją się za drzewem i nie wsuną do kieszeni. — Tym razem Georgia wypowiedziała dwa wersy, a ja spojrzałem na nią zaskoczony. — To książka *Gdzie kryją się giganci*. Czytałam ją Eliemu. Uwielbiał ją. Czytaliśmy ją niemal tak często jak *Calico the Wonder Horse*.

Poczułem to samo ukłucie w środku co zawsze, gdy myślałem o synu. A potem zalał mnie kojący spokój płynący ze świadomości, że miłość nie umiera.

— Zupełnie zapomniałam o tej książce! Henry ją uwielbiał. Czytaliśmy mu ją z mamą tyle razy, że nauczyłam się jej na pamięć, i gdy zaczęłam tracić wzrok, Henry przewracał strony, a ja udawałam, że mu czytam.

— Mogliby ukryć się za górą, lecz trzeba się na nią wspinać. Mogliby skryć się w oceanie, lecz nie wiadomo, czy umieją pływać — wyrecytowała Georgia.

— Mogliby sięgnąć i chwycić księżyc... — zaczęła Millie.

— ...żeby się ukryć pośród obłoków... — dodała Georgia.

— Mogliby chodzić za tobą na palcach, lecz nie umieją stawiać tak małych kroków — dokończyła Millie z uśmiechem. — W bajce giganci kryją się na widoku. Są wszędzie, gdzie spojrzysz, zakamuflowani drzewami i budynkami. Na jednym z obrazków wydaje się, że patrzysz na pomost do cumowania, ale gdy się przyjrzesz, okazuje się, że to gigant leżący na piasku. Na innym obrazku gigant wygląda jak samolot. Leży na plecach z ramionami rozłożonymi niczym

skrzydła i butami skierowanymi do góry niczym ogon samolotu. To książeczka do szukania obrazków. Coś w rodzaju „znajdź pięć mioteł”, tyle że zamiast drobnych przedmiotów trzeba znaleźć gigantów. A grafik narysował ich w taki sposób, że wtapiają się w tło.

— Jest miejsce, w którym giganci się kryją, lecz ja ci tego nie zdradzę. Jeśli chcesz odnaleźć giganta, musisz sam dać sobie radę — dodała Georgia. Uśmiechała się, lecz jej uśmiech był bolesny, więc chwyciłem jej dłoń i ścisnąłem ją.

— Henry miał tylko cztery lata, gdy oślepiłam i zaczęłam używać laski. Uznał, że szukam gigantów. Dla niego moja laska była różdżką do ich wykrywania. Brał ją ode mnie i chodził z zamkniętymi oczami, stukając o wszystko dookoła.

— To dlaczego twoja mama pokazuje mi tę książkę? — spytałem, przypominając sobie jej upór. — Wciąż pokazuje mi poszczególne strony i obrazki. Ona chce mi coś przekazać.

— Mój ojciec odszedł — rzekła Millie w zadumie, jakby nie była pewna odpowiedzi i chciała zastanowić się nad nią na głos. — Jakoś po jego odejściu przestaliśmy czytać tę bajkę. Grał w San Francisco Giants, więc był „gigantem”. — Wzruszyła ramionami, jakby próbowała przekonać samą siebie, że to wcale nie jest aż tak istotne. — Potrafiliśmy znaleźć każdego giganta w książce. Robiliśmy to setki razy. Ale z tym jednym gigantem nie umieliśmy sobie poradzić. Zniknął bez śladu. Pamiętam, że raz po jego odejściu mama czytała Henry’emu tę książkę. Rozplakała się.

Chciałem to wszystko cofnąć. Nie miałem już ochoty o tym rozmawiać, ale Millie ciągnęła dalej.

— Potem Henry zaczął mieć koszmary, w których ukrywający się giganci nie byli uroczy i bezbronni, lecz przerażający. Był przekonany, że nasze łóżka to przebrani giganci, którzy zabiorą nas, gdy będziemy spać. Drzwi lodówki były ustami giganta, a śmieciarka to głośny i głodny gigant, który zje wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Stawało się to coraz bardziej niedorzeczne, aż w końcu mama zabrała nam tę książkę i się skończyło. Giganci stopniowo z powrotem stawali się urządzeniami domowymi, a łóżko było tylko łóżkiem. Ale Henry nadal nie lubi śmieciarek. — Uśmiechnęła się, a ja zachichotałem, chociaż tak naprawdę to wcale nie było śmieszne. Nic z tego, co powiedziała, nie było śmieszne.

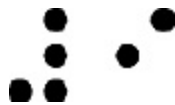
— To dziwne — dodała Millie. — Jakiś miesiąc temu Henry spytał mnie, czy znam historię Dawida i Goliata. Powiedziałam, że tak, ale on uważał za istotne poinformowanie mnie, że Dawid zabił Goliata. Sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego tym, że mamy własnego zabójcę gigantów.

Niezależnie od tego, czy Tag był zabójcą gigantów, czy nie, zacząłem się zastanawiać, czy matka Millie nie próbowała mi przekazać swojego braku

zaufania do Taga. Może wiedziała, że on ucieknie, tak jak jej mąż? Może wiedziała, że jej dzieci zasługują na lepszy los?

\*\*\*

# Dziewięć



HENRY ZASNAŁ na ramieniu Millie pięć minut po wyjeździe do domu i przycisnął ją do mnie, zajmując sporą część przedniej kanapy podczas tej dziewięćdziesięciminutowej podróży. Podobało mi się to. Lubiłem, jak uda Millie napierają na moje uda, a moja ręka trafia między jej kolana przy każdej zmianie biegu. Podobał mi się zapach jej włosów, który czułem za każdym razem, gdy zerkałem w dół na jej twarz. Prześladowała mnie rozmowa z Mojżeszem i czułem się trochę zły, że podważył moją przyjaźń z Millie i zmusił mnie do zastanowienia się nad łączącą nas relacją. Nie chciałem się nad tym zastanawiać. Chciałem się tym cieszyć.

Całe popołudnie spędziliśmy na miłych pogawędkach i przebywaniu ze zwierzętami. Henry prawie w ogóle nie bał się koni, a ja miałem przecucie, że w najbliższych dniach zasypie nas statystykami i ciekawostkami dotyczącymi dżokejów i wyścigów konnych. Georgia powiedziała mu, że ma proporcje i wielkość ciała jak większość zawodowych dżokejów, co sprawiło, że wyprężył pierś i zaczął chodzić z większą pewnością siebie. Spytał też, kiedy znowu tu przyjedziemy. Obiecałem mu, że wkrótce, i spojrzałem krzywo na Georgię i Mojżesza, którzy uśmiechali się z sugestywnie uniesionymi brwiami. Nie kryli się z fascynacją Millie, ale też trudno byłoby się nią nie fascynować. Ona również nie okazywała strachu, a ja przez cały dzień starałem się na nią nie gapić, żeby nie podsycać ciekawości przyjaciół.

— Jak się czułaś na koniu? — spytałem Millie, odrywając na chwilę wzrok od drogi, żeby zerknąć na jej twarz.

— Jakbym miała oczy. Koń wiedział, gdzie iść, a ja byłem po prostu pasażerem, ale i tak czułam się przyjemnie.

— Nie bałaś się, nawet odrobinę?

— Jasne, że się bałam. Cały czas się boję. Gdy straciłam wzrok, tak bardzo się bałam, że przez pewien czas przesiadywałam w pokoju i grałam na gitarze. Uświadomiłam sobie jednak, że jeśli pozwolę sobie na taki wszechogarniający strach, to będę nie tyle niewidoma, ile zasadniczo martwa. To jeszcze bardziej mnie przeraziło. Potrafię zobaczyć tylko siebie, wiesz? To, co się we mnie dzieje. Swoje myśli, uczucia, lęki, wady. Tylko to bardzo wyraźnie widzę, cała reszta to zgadywanki. Bycie niewidomą zmusza cię do uporządkowania swojego wnętrza.

— Zaleta bycia niewidomą dziewczyną — stwierdziłem, a ona się zaśmiała.

— Często to powtarzam, prawda?

— No, trochę. Ale to bardzo fajne.

— Cóż, mogłabym też wymienić listę wad, ale to zajęłoby cały dzień.

— Wad?

— Tak. Wszystkiego, co jest beznadziejne w byciu niewidomą — wyjaśniła rzeczowo.

— Powiedz mi jedną wadę. Pierwszą, która przychodzi ci do głowy — poprosiłem.

Otworzyła usta, lecz przygryzła wargę i potrząsnęła głową.

— Nie.

Szturchnąłem ją ramieniem, a jej głowa lekko się zakołysała.

— No weź. Poskarż się, kotku.

Jej policzki zrobiły się różowe.

— Nie.

— Chciałaś coś powiedzieć, ale się rozmyśliłaś. Widziałem to!

— No dobrze. Właśnie o to chodzi. To jest beznadziejne.

— Co?

— Nie widzę, co *ty* myślisz. Nie jestem w stanie zobaczyć *twojej* twarzy i poszukać w niej wskazówek dotyczących tego, co jest w *twojej* głowie. To nie fair. Bardzo chciałabym zobaczyć twoją twarz. Chociaż raz.

Milczeliśmy przez pół sekundy, lecz przerwałem to napięcie.

— Do licha. To naprawdę beznadziejne. Faktycznie mam bardzo piękną twarz — zażartowałem, ale czułem napięcie w klatce piersiowej i trochę piekło mnie w gardle. Jęknąłem i zaśmiałem się, gdy szturchnęła mnie swoim drobnym łokciem w żebra.

— Wiesz, co jeszcze jest beznadziejne? — dodała, ośmielona moim pozornym

brakiem empatii.

— Kazałem ci wymienić tylko jedną wadę. Nie chcemy otworzyć tamy, Millie.

Jęknęła, jakbym doprowadzał ją do szaleństwa, i kontynuowała.

— Nie mogę prowadzić samochodu. Nie mogę uciec. Mogę chodzić, ale to nie to samo co siąść za kółkiem i odjechać. Muszę polegać na innych, żeby się gdzieś dostać. To wada najgorsza ze wszystkich — wyrzuciła z siebie z goryczą.

Bez słowa zmieniłem pas i z dość dużą prędkością skręciłem w najbliższy zjazd. Był to zjazd tuż za małym miasteczkiem o nazwie Mona. Przejechałem pod estakadą, skręciłem w lokalną drogę wzdłuż autostrady i z piskiem opon zahamowałem na poboczu. Henry zakołysał się za swoim pasem i nie budząc się, zmienił pozycję, uwalniając ramię Millie.

— Hola! — wykrzyknęła Millie, chwytając mnie za udo. — Co robisz? Mamy jeszcze sporo do przejechania, prawda?

— Dam ci kierować.

— C-co? — wykrztusiła i chwyciła się deski rozdzielczej.

Podniosłem trochę kierownicę, żeby zrobić więcej miejsca, i odsunąłem fotel najdalej jak się dało, czyli już niewiele, biorąc pod uwagę moje rozmiary. Potem posadziłem Millie na swoich kolanach, ignorując sygnały alarmowe w głowie. *Zbyt blisko. Wycofaj się. Gorąca kobieta na kolanach. Złamanie zasad przyjaźni!*

— Dawidzie! — Przywierała do mnie plecami i ścisnęła mnie mocno dłońmi, jakbym jej powiedział, że za chwilę skoczymy z urwiska.

— Przestań się kręcić! — Zaśmiałem się, żeby nie zacząć jęczeć, a ona natychmiast zamarła.

— Pilnuję cię, Millie. Pilnuję cię. Będzie fajnie. Jak jazda na koniu z Georgią trzymającą lejce.

— Okej — pisnęła, potakując energicznie i uderzając mnie głową w podbródek, a ja zachichotałem. Imponowała mi jej odwaga i zaufanie.

Położyłem jej dłonie na kierownicy, a ona przebiegła nimi w górę i w dół, jakby nigdy wcześniej nie dotykała czegoś takiego. Może tak było. Skręciła kierownicę w lewo i w prawo, zaśmiała się, po czym położyła dłonie tam, gdzie ja je umieściłem.

— W porządku?

— Tak. W porządku. Jest dobrze.

— Będę ci mówił, co masz robić, i pomogę ci kierować, jeśli zaczniesz zjeżdżać z drogi.

Bez biegu przycisnąłem pedał gazu, a potem położyłem na nim stopę Millie, żeby zrobiła to samo. Czułem, że ma wielką ochotę uciec z moich kolan, bo jej ciało wibrowało z nerwów, ale tego nie zrobiła. Siedziała i uważnie mnie słuchała. Udzieliłem jej podstawowych wyjaśnień, po czym pomogłem jej wjechać na drogę. Sunęliśmy z prędkością około pięciu mil na godzinę. Trzymała nieruchomo dłonie na dziesiątej i drugiej. Musiałem trochę pociągnąć kierownicę, żeby wyrównać kurs. Potem nieco przyspieszyliśmy.

— I jak się czujesz?

— Jakbym spadała — szepnęła. Miała usztywnione ciało, a dłońmi kurczowo ścisnęła kierownicę.

— Rozluźnij się. Spadanie jest łatwiejsze, gdy z nim nie walczysz.

— A prowadzenie samochodu?

— Też. Wszystko jest łatwiejsze, gdy z tym nie walczysz.

— A co, jeśli ktoś nas zobaczy?

— Powiem ci, kiedy masz mu pomachać.

Zachichotała i nieco się rozluźniła. Pocałowałem ją w skroń, którą dotykała mojego policzka, i natychmiast znowu cała zeszywniała.

Cholera. Nie przemyślałem tego. Poddałem się impulsowi.

— Poklepałbym cię po plecach, ale twoja skroń była bliżej — powiedziałem przeciągle. — Robisz to. Prowadzisz samochód.

— Jak szybko jedziemy? — spytała bez tchu. Wmawiałem sobie, że to przez strach, a nie przez pocałunek.

— Oj, prawie lecimy, kotku. Osiem mil na godzinę. W tym tempie dojedziemy do Salt Lake za dwa dni, moja noga zdrętwieje i Henry też będzie chciał spróbować. Dodaj trochę gazu. Zobaczmy, czy uda nam się dobić do dziesięciu mil na godzinę.

Przycisnęła pedał gazu i gwałtownie wystrzeliliśmy do przodu.

— Hola! — krzyknąłem i położyłem dłonie na jej dłoniach na kierownicy. Kątem oka zobaczyłem, że Henry się poruszył.

— Danica Patrick jako pierwsza kobieta zdobyła pole position w NASCAR Sprint Cup Series — powiedział drewnianym głosem i z powrotem osunął się na siedzeniu. Zerknąłem na niego, ale okazało się, że znów zasnął.

Millie najwyraźniej go słyszała, bo zatrąbiła i przycisnęła pedał gazu jeszcze mocniej.

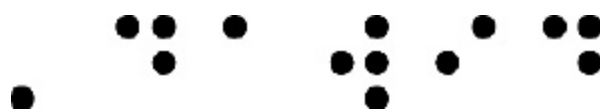
— Henry właśnie porównał cię do Danicy Patrick. I najwyraźniej nie przeszkadza mu, że prowadzisz, bo śpi dalej.

— Wie, że jestem twardą sztuką.

— O tak. Twarda sztuka, Mała Millie. *Goin' ninety miles an hour down a dead-end-street*<sup>[1]</sup> — zanuciłem fragment piosenki Boba Dylana, dogłębnie zadowolony z siebie.

— I Henry ci ufa — dodała Millie bardziej do siebie niż do mnie. Zwalczyłem chęć pocałowania jej w skroń i nagle przeszła mi wszelka ochota na śmiech i śpiew, bo bliżej mi było do płaczu.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

ZAPACH SIŁOWNI miał coś w sobie. Tag go uwielbiał. Mówił, że siłownia pachnie lepiej niż świeżo skoszone siano, kobiece piersi i steki. A to były jego ulubione rzeczy. Jego siłownia łączyła w sobie zapach potu, środka odkażającego i delikatnej nuty płynu do zmiękczenia tkanin. To ostatnie było dla mnie niezrozumiałe, lecz pewnego dnia zorientowałem się, że zapach zmiękczacza tkanin unosił się z ubrań pod wpływem potu. Pachniało tu po prostu zdrowiem — pot, mydło, dobre zamiary oraz zdrowa dawka testosteronu i nadmiernej pewności siebie. Pachniało tu Tagiem.

Przez cały czas grała głośna muzyka, ale wybór Taga był interesujący. Nieco Merlego Haggarda i trochę więcej Metalliki przeplatane piosenkami Michaela Jacksona, Neila Diamonda i The Killers dla ożywienia atmosfery. Miał eklektyczny gust. I krótkotrwałą uwagę.

Zanim Georgia osiemnaście miesięcy temu pojawiła się w tej szpitalnej windzie i wróciła do mojego życia, mieszkalem nad siłownią i niemal każdego dnia ćwiczyłem z Tagiem. Atmosfera, ludzie — to wszystko było dla mnie komfortowe, a gdy wchodziłem do środka, spotykałem się z entuzjazmem i widoczną ciekawością, do której byłem już przyzwyczajony.

Axel pracował z grupą zawodników MMA, a Andy miał na sobie osłony i przyjmował ciosy w oktagonie. Zastanawiałem się, któremu przerwać najpierw, ale moje imię rozniosło się falą po całym obiekcie i obaj podeszli do mnie bez zaproszenia. Mikey zabrał swoje kule i podążył za Axelem, jakby też chciał się czegoś dowiedzieć. Rzadko trenował z protezą i pod niejednym względem był tu jednonożnym cudem. Podeszedł też do nas młody chłopak o imieniu Cory, który dołączył do zespołu, gdy brałem ślub z Georgią.

Ich pytający wzrok i zatroskane twarze na nowo wzbudziły we mnie napięcie, które próbowałem opanować. Nie miałem żadnych informacji. Dlatego tu przyszedłem.



— Jakieś wieści? — spytał Mikey, porzucając wymianę grzeczności. Zauważyłem, że otaczający nas ludzie czekają na moją odpowiedź, lecz nie chciałem rozmawiać o Millie i Tagu na środku siłowni. Axel wyłapał moje ostrożne zerknięcia w bok i zaprowadził mnie do małego biura, które przetrząsnąłem dwa dni temu w poszukiwaniu informacji o Tagu. Mikey, Cory i Andy nie pytali, czy mogą iść z nami, a ja im nie zabraniałem. Może razem coś wymyślimy. Axel nie czekał na oficjalne rozpoczęcie zebrania. Wskazał wiszący na ścianie wypełniony harmonogram na przyszły miesiąc.

— To pismo Taga. Musiał się tu pojawić w zeszłym tygodniu i wypełnić harmonogram. Nikt go nie widział, a ja nie pomyślałem o tym, gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy, Mojżeszu. Harmonogram był zawsze wypełniony na miesiąc do przodu, a ja nie skojarzyłem, że Tag musiał tu być — wzruszył ramionami. — Trochę mi ulżyło. Przynajmniej wiemy, że nie leży gdzieś nieprzytomny na poboczu czy coś.

Przytaknąłem.

— Powiedz mi o papierach, Axel — przypomniał mi Andy.

Axel podszedł do półki z aktami, w której razem z Millie znaleźliśmy taśmy. Wyciągnął plik dokumentów i wręczył mi go.

— Przyszło dziś rano. Podpisane. Od prawnika Taga.

Przejrzałem je najszybciej jak mogłem, po czym spojrzałem na nich przerażony.

— Czy każdy dostał kopię tych papierów? — spytałem.

— Ja dostałem — powiedział Cory.

— My też — dodali Mikey i Andy.

Był to akt przekazania własności siłowni Axelowi Karlssonowi. Andrew Gorman, Michael Slade i Cory Mangum byli wymienieni jako współwłaściciele i udziałowcy mający prawa do produktów i nazwy Tag Team.

— Czy to ma już skuteczność prawną? — wykrztusiłem, zastanawiając się nad prawniczym żargonem dotyczącym dat i szczegółów.

— Nie, to dłuższy proces. I muszę się najpierw zgodzić na te warunki. Wszyscy musimy się zgodzić. Ale cała praca wstępna została wykonana — odparł Axel z bardzo wymownym wyrazem twarzy. Wcale nie był zachwycony z tego niespodziewanego prezentu, jeśli tak to można nazwać. Był zdruzgotany.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — jęknął Andy z tak silnym irlandzkim akcentem, że trudno było zrozumieć słowa, ale jego emocje były bardzo wyraźne.

— Nikt nie ma żadnych wieści od Taga? — Musiałem to ustalić po raz kolejny.

— Leo widział go ostatni, ale to było prawie trzy tygodnie temu — odparł Axel. Już mi to mówił, ale nie zaszkodzi sobie przypomnieć.

— Leo zabrał go do szpitala na założenie kilku szwów po tym, jak Tag rozgonił burdę w barze — podsumowałem. — Zawiózł go potem do domu. Później Tag spotkał się z Millie i spędził u niej noc.

Członkowie zespołu spojrzeli po sobie.

— Co? — spytałem.

— Nic — odpowiedział Andy. — Po prostu lubimy Millie. Cieszymy się z jego szczęścia.

Przytaknąłem, bo ja też ją lubiłem. I też cieszyłem się z jego szczęścia. Przełknąłem przekleństwo i ciągnąłem dalej.

— Według Millie spędził tam też następną noc. Powiedziała, że był w świetnym humorze i sprawiał wrażenie, jakby czuł się dobrze. Ten cios w głowę najwyraźniej niezbyt mu dokuczał.

— Nic dziwnego. Nikt nie radzi sobie z ciosami tak jak Tag — odezwał się Cory z podziwem. I tęsknotą.

— Zniknął, zanim się obudziła — ciągnąłem. — Zostawił jej wiadomość. Powiedział, żeby się nie martwiła i że wyjeżdża, żeby spotkać się z bliskimi. Stwierdził, że minęło już zbyt dużo czasu.

— Dzwoniłeś do jego rodziny? — spytał Mikey.

— Tak. Nie było go u nich. Nie zapowiedział się nawet, więc go nie oczekiwali.

— Chciał pojechać do Dallas? To długa podróż. Dwa dni w jedną stronę. Przynajmniej. Mnóstwo mil do pokonania. Dzwoniłeś na policję? — spytał Mikey.

Potrząsnąłem głową.

— Dzwoniłem, ale nie sądzę, żeby Tag wybierał się do Dallas. On chyba chciał zyskać trochę czasu. Dokumenty mają datę sprzed sześciu dni.

— Zyskać czas na co? — Axel skierował to pytanie do wszystkich.

— Na uporządkowanie swoich spraw. Dopilnowanie, że o niczym nie zapomniał — odparłem ponuro.

— Jakies trzy tygodnie temu mianował Vince'a menedżerem. Leo też dostał awans. Vince mówił, że Taga nie ma już w grafiku pracowników baru. Myślał, że jest po prostu zmęczony po przepracowaniu tylu godzin za kontuarem. Trochę ich nabił po odejściu Morgana — dodał Axel.

Cory wyrzucił z siebie serię przekleństw, na co wszyscy wskazali stojącą na biurku Taga butlę po wodzie z napisem „HENRY”, wypełnioną niemal po brzeg ćwierćdolarówkami. Najwyraźniej służyła jako słoik opłat za przekleństwa.

— Cała twoja wypłata tu trafi, Mangum — westchnął Mikey, chociaż miałem przecucie, że nikt nie każe mu płacić.

— Czyli nikt z nim nie rozmawiał i nie widział się z nim od ponad dwóch tygodni, a Millie spotkała się z nim ostatnia? — podsumował Axel, przeczesując włosy. Jego blond jeź pozostał nienaruszony.

— Wydaje mi się, że ostatni spotkał się z nim prawnik — odpowiedziałem, wciąż myśląc o dokumentach, które trzymałem w dłoniach.

— Jak się ma Millie? — spytał Mikey. — Co ona o tym wszystkim myśli?

— Jest w rozsypce — odpowiedziałem szczerze. — Nie powiedziała tego wprost, ale mam wrażenie, że myśli, że to z jej powodu Tag odszedł.

Cory powtórzył tę samą serię palących słów, którą wyrzucił z siebie minutę wcześniej.

— Nie. — Axel potrząsnął głową. — Nie. To niemożliwe. Widziałem wyraz jego twarzy, gdy Henry przyszedł tamtej nocy do baru. Tuż przed zamknięciem. Dotrzymywałem towarzystwa Tagowi i trochę wypilem. Nagle przez drzwi wparował Henry, bosy, bez kurtki. Całą drogę biegł i był śmiertelnie przerażony.

— Dlaczego? — spytałem. Nie słyszałem o tym wcześniej.

— Nie wiemy. Znasz Henry'ego. Mówi o ciekawostkach sportowych. Strasznie trudno się z nim porozumieć. Ale powtarzał coś o Millie i widać było, że jest wstrząśnięty. Jeszcze nigdy nie widziałem Taga w takim stanie. Kazał Henry'emu zostać ze mną i w mniej niż dziesięć sekund był już za drzwiami. Nie zostawiłby dziewczyny, która spowodowała tego rodzaju reakcję. Wszyscy krytykowaliśmy Taga za jego podejście do kobiet, ale Millie była inna.

— Zgadza się — potwierdził Mikey, potakując.

Cory zaklął, ciągnąc się za włosy.

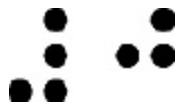
— Co tu się, do cholery, dzieje? — spytał po raz kolejny Andy. Tym razem nie wydawał się zdenerwowany, lecz zagubiony. Równie zagubiony jak Tag.

\*\*\*

---

[1] *Goin' ninety... street* (ang.) — „Pędzimy 90 mil na godzinę ślepą uliczką” — *przyp. tłum.*

# Dziesięć



— MILLIE! — Dom był pogrążony w ciemnościach. Żadnego światła na ganku czy w oknach. Nie umiałem otworzyć tej cholernej furtki, chociaż wcześniej nie sprawiało mi to problemów. Przeskoczyłem ją i w trzech susach pokonałem chodnik prowadzący do drzwi wejściowych, a po kolejnym susie znalazłem się na ganku. Wpadłem przez otwarte drzwi z łomoczącym jak bęben sercem, któremu wtórował jazgot talerzy w głowie.

W środku było kompletnie ciemno, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że gdy włączę światło, zobaczę coś, czego wolałbym nie widzieć.

— Millie!

Zacząłem obmacywać ścianę w poszukiwaniu włącznika i przypadkowo przewróciłem laskę Millie. Skoro jej laska była tam gdzie zawsze, to Millie musiała być w domu. Znalazłem włącznik, w przedpokoju zrobiło się jasno, a ja zobaczyłem krople krwi, których ślad prowadził w stronę schodów na górę. Pierwszy stopień był czysty, lecz następny był upstrzony gęściej.

W ułamku sekundy pokonałem schody i wpadłem na górę, nie mając pojęcia, dokąd zmierzam. Jeszcze nie byłem w tej części domu. Otwierałem drzwi i włączałem światło, aż w końcu trafiłem na pokój, który musiał należeć do Millie. Puste ściany, czysta drewniana podłoga bez porozrzucanych rzeczy lub ubrań, o które Millie mogłaby się potknąć. Ślad krwi prowadził do zamkniętych drzwi naprzeciw starannie pościelonego łóżka.

— Millie? — wyrzuciłem z siebie, ale był to już tylko szept. Nie byłem w stanie krzyknąć. Zbyt się bałem. Podszedłem do drzwi, nastawiając się na najgorsze, lecz w łazience także było ciemno. Światło z pokoju rozproszyło nieco mrok pomieszczenia, ukazując Millie na krawędzi wanny w podkoszulce i szortach, z wysoko upiętymi włosami, jakby przygotowywała się do kąpieli i nie chciała ich

zmoczyć. Na umywalce i kafelkach rozmazana krew wyglądała jak makabryczny abstrakcyjny malunek palcami. Obmacałem ścianę obok drzwi i zapaliłem światło, które zmieniło kolor krwi z burgundowego na jasnoczerwony.

Millie miała w uszach słuchawki i poruszała głową, jakby właśnie się relaksowała, a nie wykrwawiała. Jedną dłoń owinęła wyświechtanym ręczniczkiem i mocno ją ścisnęła. Miała otwarte oczy i patrzyła prosto przed siebie, kompletnie nieświadoma mojej obecności.

Wyrwałem jej słuchawki z uszu. Podskoczyła nieco, wyraźnie przestraszona.

— Amelie — warknąłem.

— Dawid? — krzyknęła, ale w jej głosie było więcej zaskoczenia niż bólu.

— Co ty tu, do diabła, robisz?

— Co *ty* tu, do diabła, robisz? — odpowiedziała natychmiast równie zdenerwowanym tonem.

— Dom był ciemny, na schodach są ślady krwi, ta łazienka wygląda, jakbyś próbowała popełnić samobójstwo, a ty siedzisz tu skupiona na swoim iPodzie...

— Przecięłam sobie palec. Nie sądzę, żeby to było poważne. Trochę pulsuje, ale to wszystko. Mocno krwawił, więc próbuję to zatamować, żeby móc założyć bandaż.

— Pokaż. — Uklęknąłem przed nią i rozwinąłem ręczniczek. Natychmiast pojawiła się krew, zdążyłem jednak zobaczyć ranę na mięsistej wewnętrznej części palca wskazującego. — Dość głębokie, ale bandaż powinien wystarczyć, jeśli nie przeszkadza ci to, że możesz potem mieć małą bliznę. — Z powrotem zawiązałem ciasno jej dłoń i poinstruowałem, że powinna ją trzymać wysoko. — Gdzie masz bandaże?

— Myślałam, że są w półce nad umywalką, ale nie mogłam ich znaleźć. Nie szukałam jednak zbyt długo. Chciałam zatamować krwawienie, zanim wszystko ubrudzę. Henry nie znosi krwi, dlatego wołałam go nie budzić.

— To się nie udało.

— Co?

— Śmiertelnie się przestraszył, Millie. Wpadł do baru w pijamie, bełkocząc coś o krwi i o liczbie szwów na piłce bejsbolowej. Był przerażony. Myślałem, że stało ci się coś okropnego. Nie wiedziałem, co tu zastanę. — Nagle poczułem, że całe pomieszczenie zaczyna wirować, i usiadłem na sedesie, żeby nie zemdleć i nie doprowadzić do nieoczekiwanego rozwinięcia tej i tak dramatycznej sytuacji.

— Przestraszył się? — spytała zaskoczona. — Myślałam, że był w łóżku! Nie słyszałam go. Ja...

— Słuchałaś muzyki? — warknąłem.

— Tak! To nie przestępstwo, Tag. Jestem we własnym domu! Nie muszę się przed tobą tłumaczyć! A w domu zawsze jest ciemno, gdy Henry śpi! Jestem niewidoma, pamiętasz? Nie potrzebuję zapalonego światła! — Jej dolna warga zaczęła drżeć. Jęknąłem.

— Do licha, Amelie. Nie płacz, kochanie. Przestraszyłem się. Rozumiesz? — „Przestraszyłem się” to za mało powiedziane. Wstałem i otworzyłem szafkę z lustrem nad umywalką. Krwawe ślady na małych półkach i na przedmiotach zdradzały, gdzie Amelie szukała bandażu. Na najwyższej półce leżały trzy. Wziąłem je i zamknąłem szafkę z postanowieniem, że ją umyję, gdy skończę opatrywać Millie.

— Gdzie teraz jest Henry? — spytała cicho.

— Axel był w barze. Henry go lubi, więc zostawiłem go z nim i przybiegłem zobaczyć, co się stało. Cholernie mnie przeraziłaś, Amelie. — Napisałem krótki SMS do Axela, żeby wiedział, że z Amelie wszystko w porządku i że niedługo wrócę po Henry’ego.

— Mówisz do mnie „Amelie”, bo jesteś na mnie zły? Nie jesteś moją matką, Tag. Wiem, że to nie wygląda najlepiej, ale potrafię sobie poradzić z tą sytuacją. Zdarzyło mi się już zranić i jestem pewna, że jeszcze mi się zdarzy.

— Ciii, Millie. Nie jestem zły. Nie jestem. Po prostu... Chodź tu. — Podniosłem ją i ustawiłem przed umywalką, po czym zabandażowałem jej palec. Miała zaschnięte strużki krwi na rękach i kilka na nogach. Włożyłem pod bieżącą wodę ręczniczek, którym tamowała krwotok, i wykręcałem go tak długo, aż leciała z niego czysta woda. Potem delikatnie zmyłem ślady krwi z jej rąk, starając się ignorować gęsią skórę na jej skórze, gdy wycierałem przedramiona, a potem wyżej: kropkę na lewym ramieniu i smugę na podbródku. Łazienka była niewielka, a moje działania intymne. Frustracja i lęk zniknęły razem z plamami krwi. Co chwilę namaczałem ręczniczek na nowo, żeby był ciepły. Uklęknąłem, by obmyć nogi Millie. Oparła się dłońmi o moje ramiona, żeby się nie przewrócić, a ja uniosłem i przetałem najpierw jej jedną, a potem drugą stopę. Przerwałem, żeby nawilżyć ręczniczek, po czym obmyłem kolejno obie szczupłe nogi. Gdy to robiłem, zacisnęła palce na moim T-shircie, a ja poczułem ściskanie w żołądku. W końcu każdy centymetr jej odsłoniętej skóry był różowy od ciepła ręcznika i lekko wilgotny po moich zabiegach higienicznych, a ja żałowałem, że to już koniec. Nie byłem w stanie wyczyścić z krwi jej czarnej koszulki ani seksownych różowych szortów, które były dopasowane do koloru paznokci stóp. Dotknąłem jednego paznokcia kciukiem.

— Jak ty to robisz?

— Co? Maluję je?

— Uhm.

— Kwestia wprawy.

— Czyli świadomie dobrałaś szorty do koloru paznokci? — Spojrzałem w górę, żeby zobaczyć jej reakcję.

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się, lecz nadal mówiła szeptem, jakby bała się zakłócić to napięcie między nami. Podniosłem się, stając zaledwie kilka centymetrów od niej.

— Dlaczego? — Wydawało się to zupełnie nieistotne w konfrontacji z wysiłkiem, jaki trzeba było w to włożyć. I nawet nie mogła zobaczyć efektu.

— Najważniejsze są drobiazgi... Czyżbyś o tym nie wiedział, wielkoludzie? — Powiedziała *wielkoludzie* tak, jak ja mówię *kochanie*.

— Kiedy zmarła twoja mama, Millie? — spytałem. Mój głos był równie delikatny jak moje dłonie na jej ciele.

— Gdy miałam osiemnaście lat. Chorowała jakieś dwa lata. Według lekarzy nie powinna tyle przeżyć, ale wiedziała, że musi wytrzymać do mojej osiemnastki, żebym mogła być opiekunką prawną Henry'ego.

— A kto opiekuje się Millie? — szepnąłem.

— Mną nie trzeba się opiekować, Tag — odszepnęła. — Próbowałam ci to powiedzieć.

— Potrzebować i pragnąć to dwie różne rzeczy. — Przełknąłem ślinę, starając się sobie wmówić, że nie pragnę tego, czego tak bardzo pragnąłem. Gdy nie wykonałem żadnego ruchu, żeby po to sięgnąć, Millie podeszła do mnie i ostrożnie objęła mnie w pasie. Serce łomotało mi w piersi jak szalone, a ona oparła się o nie policzkiem, nasłuchując. Nie mogłem się przed nią ukryć. Była niewidoma, lecz widziała wszystko. Ja także ją objąłem, z podobną ostrożnością, opierając wielkie dłonie na jej drobnych plecach.

— Mogę cię o coś zapytać, Tag? — Jej głos był przepełniony wzruszeniem i cichy, jakby mówiła prosto do mojego serca naprzeciw swoich ust. Jego galopująca odpowiedź powinna jej wystarczyć. I chyba wystarczyła, bo Millie nie czekała, aż cokolwiek wykrztuszę. — Boisz się mnie pocałować?

— Dlaczego miałbym się bać? — Bałem się jak cholera.

— Bo całowanie niewidomej dziewczyny jest jak okradanie żebraka lub okłamywanie księdza, nie wiesz o tym? Albo jak uderzenie dziecka lub utopienie małego kotka. To jeden z tych niewybaczalnych grzechów.

Zakląłem pod nosem, bo nie umiałem się zdecydować, czy chce mi się śmiać z jej zuchwałości, czy też jestem zirytowany jej przenikliwością.

— A może myślisz, że to będzie jak pociągnięcie luźnej nitki, która spruje cały sweter? Wiesz, niewinny gest, który ma bardzo poważne konsekwencje.

— Nie o to chodzi, Millie — skłamałem.

— Właśnie, że o to chodzi, Tag. I nie obrażaj mnie założeniem, że potrzebuję jakiegoś rodzaju gwarancji tylko dlatego, że nie widzę. Gdybym była jakąkolwiek inną dziewczyną, już dawno zrzuciłbyś ze mnie ubranie. To pocałunek, Tag. Nie przysięga podpisana krwią. Pocałunek.

Odepchnąłem ją delikatnie, zmuszając do oderwania się od mojej piersi, i zobaczyłem przebłysk bólu na jej twarzy, a jej powieki zatrzepotały i zamknęły się, jakby chciała ochronić to, co właśnie straciła. Ale źle mnie zrozumiała. Potrzebowałem przestrzeni do działania, a nie żeby się zdystansować. Ująłem jej twarz w dłonie i dotknąłem ustami jej ust. Chwyliła mnie kurczowo za nadgarstki, a z jej ust wyrwało się ciche westchnienie, które wchłonałem w siebie, żeby otulić nim wciąż wibrujący w mojej piersi strach.

Jej wargi były miękkie, a w ustach czułem delikatną słodycz. Przez kilka chwil byłem wyczulony na najdrobniejsze szczegóły. To, jak drapałem zarosniętym podbródkiem jej gładki policzek. Jedwabne ciepło jej oddechu rwącego się w oczekiwaniu. Kosmyk włosów, który łaskotał mnie w twarz, gdy składałem na jej ustach najdelikatniejsze pocałunki. Lecz ona przycisnęła się do mnie gwałtownie, żądając więcej, a wszystkie detale zlały się w odurzające doświadczenie pożądania i bycia pożądanym.

Poczułem skurcz w żołądku, gdy zsunąłem dłonie z jej twarzy na talię. Objąłem ją w pasie i przycisnąłem do siebie mocno, z całych sił próbując nie stracić panowania i zachować emocjonalną obojętność, chociaż moje ciało dawno już wymachiwało białą flagą. A potem moje myśli zniknęły pod nawałem doznań.

To nie były zwykłe pocałunki. Millie mnie odkrywała. Przyciągała moją twarz do swojej, pieszcząc mnie opuszkami palców. Ich muśnięcia w połączeniu z ruchami ust zdrapywały ze mnie cały opór, a moje ciało nasiąkało przyjemnością. W końcu dyszałem w jej usta, splatałem język z jej językiem i przyciskałem ją jeszcze mocniej, podnosząc ją z ziemi. Pokierowałem jej nogi tak, żeby mnie nimi objęła, bo chciałem być z nią jeszcze bliżej, niż już byliśmy. Przystała na to i otoczyła mnie nimi tak ciasno, jak ja ją przytulałem. Ruszyłem, potykając się, z łazienki. Przyciskałem ją do siebie i tuliłem jak dziecko, które desperacko starałem się ochronić, całowałem jak kobietę, której nagle straszliwie zapragnąłem, i przewróciłem się z nią na łóżko, jakby ktoś podciął mi nogi.

Wsunąłem dłonie pod jej koszulkę. Przez chwilę pieściłem brzuch, a potem zdjąłem z niej ten zakrwawiony materiał, odrywając się na chwilę od jej ust, żeby uwolnić jej piersi. Ściągnąłem jej też spinki, a wtedy włosy rozlały się wokół jej ramion ciemnymi falami niczym atramentowe jezioro na białej kołdrze. Zaparło mi dech w piersi. Moje dłonie znieruchomiały, a serce łomotało, jakby chciało wyrwać się z klatki żeber.

Podniosłem się na dłoniach, żeby na nią spojrzeć. Ciemne włosy, gładka skóra,



pełne piersi. Z trudem przełknąłem ślinę, bo gardło miałem zapchane emocjami, które bardziej przypominały miłość niż pożądanie. Millie z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami czekała, aż wrócę. Nie zasłaniała się i nie wyciągała do mnie rąk. Po prostu czekała.

Na dole trzasnęły drzwi.

— Tag! — Usłyszałem wołanie Axela. Millie się wzdrygnęła, a ja wyskoczyłem z łóżka i zacząłem otwierać szuflady w poszukiwaniu czystej koszuli, która zasłoniłaby to, co właśnie odkryłem. Nagle poczułem Millie za sobą. Delikatnie odsunęła mnie od komody i niemal jednym ruchem wyciągnęła koszulkę i założyła ją przez głowę.

— Tag! — W głosie Axela pobrzmiwała desperacja. Zastanawiałem się, czy to dlatego, że próbował powstrzymać spanikowanego Henry’ego.

— Musisz pokazać Henry’emu, że nic ci nie jest — powiedziałem, ale ona już wyszła, poruszając się z taką pewnością i zdecydowaniem, że na chwilę zamarłem ze zdumienia. Szybko się jednak otrząsnąłem i wybiegłem za nią.

Axel stał z Henrym na dole schodów i przyciskał go do siebie, próbując go uspokoić i pocieszyć. Gdy zobaczyli mnie i Millie, Axel puścił chłopca i z ulgą zaklął po szwedzku. Henry pobiegł na górę i z impetem wpadł na siostrę, która słyszała, jak się zbliża, i podparła się zawczasu, a potem go mocno objęła drobnymi ramionami.

— Nic mi nie jest, Henry. Nic mi nie jest. Przecięłam sobie palec. Powinieneś ze mną porozmawiać, a nie wybiegać z domu tak późno w nocy! Nie wiedziałam, że nie śpisz. Powinieneś pozwolić mi to wyjaśnić.

— Piłka bejsbolowa ma dokładnie sto osiem szwów — szepnął Henry i schował głowę w ramionach siostry.

— Nie potrzebuję żadnych szwów, Henry. Nic mi nie jest, naprawdę. — Pogładziła jego rozwichrzone włosy i mocno go przytuliła.

— Czyli wszystko w porządku? — Axel przestąpił z nogi na nogę i oparł się o klamkę, jakby to zamieszanie z Henrym kompletnie go wyczerpało. Zszedłem na dół i wyciągnąłem do niego dłoń.

— Tak, Axel, dzięki. Mam u ciebie dług.

Axel przytaknął i uścisnął moją dłoń, a jego słaby uśmiech był wyraźnie zabarwiony ulgą.

— Nie potrafiłem go przekonać, że wszystko jest okej.

— Nic się nie stało. Życie go nie oszczędzało. Nie miał powodów, żeby spodziewać się dobrych wieści, biedaczysko — powiedziałem cicho, tylko do niego. Axel znowu przytaknął, puścił moją dłoń, pożegnał się z Henrym i wyszedł. Henry pomachał mu dłonią, lecz nie oderwał głowy od ramienia siostry.

Zostawiłem Henry'ego w jej kojących objęciach i ruszyłem na poszukiwanie szmat i środka dezynfekującego, żeby oczyścić dom z plam krwi i złych wspomnień. Najpierw wymyłem kuchnię, przy okazji opróżniając i napełniając zmywarkę. Potem poszedłem śladem krwi na schody, do pokoju Millie i do łazienki, starając się nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby Axel nie pojawił się z Henrym wtedy, kiedy się pojawił. Słyszałem głos Millie pomieszany z głosem komentatora z kanału sportowego dobiegającym spod drzwi Henry'ego, gdy próbowałem uporządkować emocje, szorując umywalkę. Potem wziąłem starą szczoteczkę do zębów, żeby oczyścić płytki na podłodze. Opróżniłem też szafkę z lustrem, sumiennie zapamiętując położenie poszczególnych przedmiotów, żeby potem poukładać je w tych samych miejscach. Chciałem, żeby Millie potrafiła wszystko znaleźć, gdy już skończę. Na koniec umyłem sedes i prysznic. Przy okazji.

— Pachnie tu środkiem dezynfekcyjnym i żywicą. — Millie stanęła w drzwiach i uśmiechała się lekko.

— Aj. Mój rozpoznawczy zapach. — Próbowałem zażartować, ale mi nie wyszło. Poczucie humoru zostawiłem w barze. Porzuciłem je w chwili, gdy Henry wparował przez drzwi w piżamie, i jak dotąd nie miałem okazji po nie wrócić. Stałem przed umywalką i myłem dłonie, ale nie odwróciłem się do Millie. Moje ręce były czerwone od detergentów, a nerwy miałem w rozsypce i nie wierzyłem w swoje opanowanie, gdy ona była w pobliżu.

— Z Henrym wszystko w porządku? — spytałem.

— Tak. W porządku. A z tobą? — zagadnęła nieśmiało. Nie odpowiedziałem od razu. Czekala, słuchając, jak kończę myć dłonie i zakręcam wodę.

— Gdy zaginęła moja siostra, często łapałem się na myśleniu, że gdy pewnego dnia wrócę do domu, ona tam będzie. Że to tylko nieporozumienie. Zły sen. — Znalazłem odbicie Millie w małym owalnym lusterku. Wpatrywałem się przez chwilę w jej twarz, po czym zmusiłem się do odwrócenia wzroku. Dzisiaj czułem się jak dawny Tag. Szesnastoletni Tag, który stracił siostrę i nie potrafił jej ocalić. — Cieszę się, że z Henrym wszystko w porządku. — Cieszyłem się też, że z jego siostrą jest wszystko w porządku. I to bardzo. Jak głupi, rzewnie i z wdzięcznością wobec losu.

Poczułem, jak Millie niepewnie dotyka moich ramion z tyłu, żeby mnie odnaleźć, a potem obejmuje mnie w pasie i kładzie głowę na moich plecach.

— Dziękuję ci, Dawidzie. Nie wiem, dlaczego jesteś dla nas taki dobry. Ale jesteś. A ja nie będę tego kwestionować. Będę po prostu wdzięczna. — Poczułem, jak przytula się nieco mocniej w krótkim uścisku. Potem mnie puściła i zrobiła krok w tył, a ja odczułem falę pożądania, która przetoczyła się przeze mnie jak huragan. Odwróciłem się do niej, zamknąłem drzwi i przyparłem ją do nich.

— Do diabła, Millie! — wystękałem w jej włosy. — Dlaczego musisz być tak cholernie słodka? — Zacząłem całować jej czoło i policzki, musnąłem jej szyję, a potem odnalazłem usta i zapomniałem o wszelkiej delikatności.

Jej ruchy były równie gorączkowe. Przygryzła moją dolną wargę, a gdy wsunąłem język w jej usta, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Chciałem poczuć jej nagą skórę na swojej, pociągnąć ją na podłogę i zerwać z nas wszystkie ubrania, ale zamiast tego oparłem się o drzwi nad jej głową, żeby jej nie dotykać, bo wolałem nie zaczynać czegoś, czego nie powinienem kończyć. A gdybym zaczął, to z pewnością doprowadziłbym to do końca. Gdybym jeszcze raz zobaczył ją pod sobą z włosami rozrzuconymi dookoła głowy i poczuł, jak przyciąga mnie do siebie, doprowadziłbym to do końca. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Nie teraz. Może nigdy. Bo niezależnie od tego, co Millie mówiła, i niezależnie od tego, czy to jest obraźliwe, czy nie, to Amelie Anderson, piękna, śmiała i NIEWIDOMA, nie była dziewczyną, z którą można się bawić. Nie była dziewczyną, z którą sobie dla rozrywki *romansujesz*. Flirtowałem z nią, to prawda. Ale nie zrobiłem jej krzywdy. Twierdzi, że nie potrzebuje gwarancji, ale ja wiem, że ich potrzebuje. I na pewno na nie zasługuje. A ja nie byłem jeszcze na to gotowy. Moje ciało owszem. Moje ciało już dawno dotarło do tego etapu. Moje ciało biegało dookoła serca, wściekając się na mnie, kpiąc sobie ze mnie i błagając, bym zrobił to, co trzeba.

Ale chociaż jak głupi, rzewnie i z wdzięcznością wobec losu cieszyłem się, że nic się jej nie stało, nie byłem na to gotowy.

Oderwałem usta od jej ust i ukryłem twarz w jej włosach.

— Jesteś dziewicą, Millie? — spytałem ochryplym głosem, wciąż opierając się dłońmi o drzwi nad jej głową.

Zamarła, a zaciśnięte na mojej piersi dłonie opadły na boki.

— A ty? — spytała sztywno.

Częściowo parsknąłem, a częściowo jęknąłem, słysząc tę bezczelną ripostę, i pocałowałem ją w czubek głowy. Śmiech zlikwidował napięcie nagromadzone w trzewiach, a ja wyrzuciłem z siebie resztę razem z długim westchnieniem.

— Nie, Millie. Nie jestem. Już od dawna. A ty? — powtórzyłem pytanie.

— Nie.

— Kłamiesz. Masz niewielką zmarszczkę między brwiami i przygryzasz wargę. To są twoje znaki.

— Znaki?

— Uhm. Nie próbuj grać w pokera, kochanie. — Zrobiłem krok w tył i opuściłem dłonie, naśladowując jej postawę. Pociągnąłem ją do przodu, żeby otworzyć drzwi łazienki, o które się opierała. — Już prawie druga w nocy. Muszę iść, zanim

stracę nad sobą kontrolę. Pożegnaj się z Henrym i pójde.

Millie zeszywniała, a jej podbródek nieznacznie się uniół, co było kolejnym znakiem, ale mimo to bez słowa poszła za mną. Zawstydzilem ją, ale nie mogłem zrobić nic innego, więc trzymałem język za zębami i ręce przy sobie. Zajrzałem do pokoju Henry'ego. Chłopak już spał, a na jego twarzy migaly urywki najlepszych zagrań z telewizora na ścianie przed łóżkiem.

— San Francisco Giants wygrywają World Series dwa tysiące dwanaście! Giganci zbierają wszystko! — wykrzyknął komentator, a ja uświadomilem sobie, że Henry oglądał stare nagrania. Sezon bejsbolowy dawno się skończył. Ciekawe, czy Henry liczył na to, że zobaczy gdzieś swojego ojca, zawodnika Giantsów, który był jedną z największych gwiazd bejsbolu. Szkoda, że był też dupkiem. I szkoda, że Henry'emu wciąż na nim zależało.

Zamknąłem po cichu drzwi i ruszyłem po schodach w dół. Nagle poczułem się wyczerpany. Bolały mnie mięśnie i kark, a w głowie miałem kompletny chaos.

— Nigdy nie zadzwonił i nie skontaktował się z wami? Nawet po śmierci mamy?

Millie wiedziała, o kim mówię, chociaż nie powiedziałem tego wprost. Wzruszyła ramionami, jakby to było jej obojętne.

— Nie. Jego prawnik raz zadzwonił, żeby sprawdzić, czy nadal tu mieszkamy. I czy jestem opiekunką prawną Henry'ego. Po tym telefonie przysyłana suma się podwoiła. On tylko przysyła pieniądze. Co miesiąc. Jestem pewna, że przez to czuje się lepiej. Wiesz, niektórzy ludzie nie potrafią sobie z tym poradzić. Z rozczarowaniem, obciążeniem, odpowiedzialnością, która wiąże się z posiadaniem niepełnosprawnych dzieci. On był za słaby — powiedziała chłodnym głosem, wyprostowana jak struna.

— Hm. — Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło. — Dobranoc, Millie. — Wyszedłem, lecz w połowie chodnika uświadomilem sobie, że według Millie też taki jestem. Też nie potrafię sobie z tym poradzić.

\*\*\*

# Jedenaście



## Mojżesz

NIE ZNAŁEM swojego ojca. Mamy w sumie też nie. Chociaż wiedziałem, kim jest. Znałem jej nazwisko, życie, rodzinę i słabości. Jennifer Wright, niebieskooka biała blondynka uzależniona od cracka. Urodziła mnie, porzuciła i umarła. Spędziliśmy ze sobą w sumie trzy dni, w trakcie których nie wymieniliśmy żadnych istotnych informacji, a tylko ona wiedziała, kim był mój ojciec. Był czarnoskóry, bo to po nim odziedziczyłem, ale nic więcej na jego temat nie wiedziałem.

Czasem o nim myślałem. Gdzie był, kim był, jaki był. Zastanawiałem się, czy w ogóle wie, że ma syna. Zastanawiałem się, czy ucieszyłby się, że jest dziadkiem. Zastanawiałem się, czy lubił malować. I czy wyglądał jak ja. Ciekawiło mnie to. Taka chyba już jest ludzka natura.

Millie wiedziała, kim jest jej ojciec, a on wiedział o niej. Wiedział, gdzie mieszka. Ale wolał odsunąć się od córki i syna. Nie wiem, co jest gorsze. Mój ojciec mógł w ogóle o mnie nie wiedzieć. Być może nie postanowił mnie porzucić. Mogłem przyznać mu przywilej domniemanej niewinności. Henry i Millie nie mieli tego luksusu.

Wszedłem z pokoju, gdy Tag opisywał, jak biegnie przez dom po śladach krwi, bo poczułem znajome palące uczucie w dłoniach i na karku. Opis Taga za bardzo przypominał mi sytuację, gdy wszedłem do własnego domu i odkryłem tragedię, która się w nim rozegrała. Poza tym zauważyłem, że Millie miała wypieki, a jej palce unosiły się nad przyciskami magnetofonu, jakby była gotowa nacisnąć „stop”, gdy wyznania Taga staną się zbyt osobiste. Georgia wyszła za mną. Millie musiała to słyszeć, ale nas nie zatrzymała.

Nawet Henry zszedł do salonu i podążył za nami do kuchni. Nie powiedział ani słowa na temat nieobecności Taga i nie zadawał żadnych pytań. Ciekawe, ile Millie mu opowiedziała. Nie słuchał taśm Taga. Po powrocie ze szkoły zakładał słuchawki i słuchał podcastów, oglądał filmy na YouTube lub grał na konsoli, zamykając się we własnej rzeczywistości.

— Badania wykazały, że spożycie tłuszczów nasyconych wśród kibiców sportowych rośnie o szesnaście procent, gdy ich drużyna przegra ważny mecz — powiedział rzeczowo, otwierając lodówkę i patrząc na spore pudełko lodów

rocky road<sup>[1]</sup>. Nie umiałem rozgryźć, czy mówi to towarzyszko, wygłasza opinię na temat poczucia straty, czy po prostu jest głodny.

— Jesteś głodny? Możemy zamówić pizzę czy coś — zaoferowałem.

Henry wskazał głową wolnowar na blacie, a ja dopiero teraz zauważyłem, że w kuchni jest ciepło i pachnie przyprawami.

— Amelie zrobiła chili. Mnóstwo chili. Fani Major League Baseball spożywają około dziesięciu milionów hot dogów z chili rocznie.

— Cóż, Kathleen jest głodna, ale hot dogów z chili jeszcze nie ma w swoim jadłospisie — odezwała się Georgia, kładąc krzeselko Kathleen na blacie. Potem zaczęła szukać czegoś do jedzenia w przepelnionej torbie, którą wszędzie ze sobą nosiła, a Kathleen wydała z siebie zniecierpliwiony jęk.

Henry zamknął lodówkę, nie ulegając pokusie lodów, i wyjął z szafki stos talerzy. Najwyraźniej byliśmy zaproszeni na kolację. Wyciągnął z lodówki krakersy, kwaśną śmietanę i ser i rozstawił wszystko na blacie, zerkając co chwilę na Kathleen, której narzekanie coraz bardziej się nasilało.

— Kathleen nie jest do ciebie podobna — stwierdził nagle, spoglądając na mnie.

— Hm, nie. Nie jest. W sumie — wyjąkałem, bo nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a Henry bez słowa odwrócił się i wyszedł z kuchni. Słyszałem, jak biegnie po schodach, i wymieniłem z Georgią zdumione spojrzenia.

— Słyszałaś to, kobieto? — spytałem ją. — Henry uważa, że Kathleen nie jest do mnie podobna. Masz mi coś do powiedzenia na ten temat?

Kathleen znowu pisnęła. Najwyraźniej Georgia zbyt wolno przygotowywała słoiczek bananów, które chciała jej podać.

Uśmiechnęła się i pokazała mi język, a Kathleen zaczęła wyć. Georgia pospiesznie zanurzyła łyżeczkę w żółtym musie i zaczęła karmić naszą małą bestię, która zawodziła przy każdym wdechu.

— Może i nie jest do ciebie podobna, ale zdecydowanie odziedziczyła twoje pogodne usposobienie — odparowała, ale nachyliła się do mnie, a ja pocałowałem ją w usta. W ogóle nie przeszkadzało mi, że moja córeczka z dołkami w policzkach była bardziej podobna do swojej mamy.

Usłyszałem, że Henry zbiega z hałasem po schodach, i oderwałem się od ust żony, gdy sekundę później wparował do kuchni. Zatrzymał się obok mnie.

— Widzisz? — Ścisnął w dłoniach zdjęcie, którym machał mi przed twarzą. — Ja też nie wyglądam jak mój tato.

Wziąłem zdjęcie, żeby mu się przyjrzeć. Było wyblakłe i zniszczone na brzegach, jakby Henry często brał je do rąk. Rozpoznałem mężczyznę na zdjęciu. Andre Anderson był dość znany i podziwiany. Stał uśmiechnięty przed

obiektywem z małym, mającym około trzech lat synem na rękach. Wyglądał na szczęśliwego i zadowolonego. Obaj z Henrym byli ubrani w takie same koszulki Giantsów i bejsbolówki.

— Masz rację. Ty i Millie jesteście bardziej podobni do mamy — stwierdziłem, odkładając zdjęcie. Nie lubiłem zdjęć, bo rzadko przekazywały prawdę. Były jak złoty lakier na styropianie. Błyszcząca i piękna powłoka ukrywająca delikatne wnętrze. Zdjęcie jest niby warte tysiąc słów, ale to nie są zbyt wartościowe słowa.

— To dlatego, że spędziliśmy z nią więcej czasu — odparł Henry poważnie, jakby to była powszechna wiedza, że podobieństwo nie jest kwestią natury, tylko opieki. Do pewnego stopnia miał rację. Maniery, nawyki, styl. Wszystkich tych elementów można się było nauczyć i je skopiować.

— Czyli jeśli będę spędzał więcej czasu z Kathleen, to zacznę być coraz bardziej do mnie podobna? — spytałem, odrywając uwagę od jego ojca.

Henry spojrzał z powątpiewaniem na mnie, potem na moje narzekające dziecko z brodą umazaną musem bananowym i z powrotem na mnie.

— Mam nadzieję — odparł.

Georgia zachichotała, a ja wydałem z siebie triumfalny okrzyk i uniosłem dłoń, żeby Henry przybił mi piątkę.

— Słyszałaś, Georgio? Henry ma nadzieję — powiedziałem z zachwytem. — To oznacza, że ojciec twojego dziecka jest przystojnym mężczyzną.

Henry najwyraźniej jednak nie żartował i zignorował moją wyciągniętą dłoń. Zamiast niego Georgia przybiła mi piątkę i puściła mi oczko.

— Gdyby wyglądała jak ty, wszyscy by wiedzieli, że jesteś jej tatą — odpowiedział Henry równym, pełnym namaszczenia głosem. — A to by ją uszczęśliwiło.

Przytaknąłem, nie śmiejąc się.

— To dlatego chodzę na siłownię. Chcę wyglądać jak Tag — dodał po cichu. Odstawił zdjęcie i napełnił cztery talerze chili. Jeden wręczył mnie, drugi położył przed Georgią poza zasięgiem Kathleen, a trzeci zaniósł do salonu. Usłyszałem, że taśma się zatrzymuje, a Millie dziękuje bratu. Wrócił z pustymi rękami i bez słowa zaczął jeść z czwartego. Jedząc w milczeniu, usłyszeliśmy, jak Tag kontynuuje swoją opowieść.





LUDZIE, KTÓRZY WIDZĄ, nieustannie poruszają głowami. Zauważyłem to dopiero, gdy zacząłem spędzać czas z Millie. Te ruchy są bezpośrednio powiązane ze wzrokiem. Wszyscy ludzie poruszali i obracali głowami, a ich ciała podążały tam, gdzie kierowały się oczy. Tymczasem Millie poruszała się ostrożnie, z wyprostowanymi plecami, wysuniętym podbródkiem i odciągniętymi do tyłu ramionami, gotowa chłonąć każdą dostępną wskazówkę. Nie schylała głowy w stronę stóp, gdy wiązała buty, i nie odchyłała jej do góry, gdy przy wejściu do sklepu odzywały się wiszące nad drzwiami dzwonki. Ruchy głowy nie niosły ze sobą żadnych dodatkowych informacji, więc była idealnie opanowana i dziwnie nieprzenikniona. Wyglądała dostojnie, jak japońska gejsza. Trochę mnie to onieśmiało.

Ja byłem niespokojny, zawsze, więc jej bezruch mnie kusił, a koncentracja na najdrobniejszych szczegółach zmuszała mnie do większej świadomości siebie, swoich wymiarów i tendencji do siania zniszczenia. Zawsze byłem nastawiony raczej na fizyczność i wołałem się przytulać niż powstrzymywać. Tak samo jak do dotyku, byłem też chętny do rozmowy. Zastanawiałem się, czy Millie byłaby tak opanowana, gdyby widziała, czy może jej dostojność i cierpliwość były ubocznym efektem utraty wzroku. Bez troski i z zapamiętaniem poruszała się tylko wtedy, gdy tańczyła. Trzymała się rury, kiwała i kręciła głową, a jej ciało pulsowało w rytm muzyki.

Obserwowałem, jak tańczy, gdy tylko miałem okazję. Nie chodziło o jej skąpy strój, pełne wdzięku nogi, płaski brzuch i lśniące włosy, chociaż byłem mężczyzną i od razu to wszystko zauważyłem. Ale wszystkie dziewczyny miały piękne, silne i szczupłe ciała. Wszystkie dziewczyny dobrze tańczyły. A jednak to Millie obserwowałem. Obserwowałem ją, bo mnie fascynowała. Była zupełnie nowym gatunkiem, odurzającą mieszanką dziewczyny i tajemnicy, znajomą, lecz jednocześnie całkowicie obcą. Nigdy nie poznałem kogoś takiego jak ona, lecz mimo to czułem się, jakbym znał ją od zawsze. A od chwili, gdy spojrzałem w jej twarz i poczułem nieskrępowany i radosny impuls, zacząłem wpadać. Wpadałem coraz głębiej i nie byłem w stanie się zatrzymać, oderwać wzroku i zachować się mądrze. Czyli trzymać się z daleka. Ale w sumie nikt nigdy nie twierdził, że jestem jakoś szczególnie mądry.

Millie stała kompletnie bez ruchu w środku zatłoczonego pomieszczenia. Ludzie przeciskali się obok niej, a ona patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Miała otwarte oczy. Jej bezruch przykuł moje spojrzenie. Wyprostowana



postawa tancerki, uniesiony podbródek, swobodnie opuszczone ręce. Czekwała na coś. Lub po prostu wszystko chłoneła. Nie miałem pojęcia co, lecz nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Wszyscy pospiesznie ją mijali i sprawiali wrażenie, jakby jej nie zauważali, więc jak to się stało, że ja dostrzegłem ją od razu? Była w niebieskiej sukience. Jasnoniebieskiej, dopasowanej do koloru oczu. Miała błyszczące włosy i czerwone usta, a laskę trzymała niczym rurę w oktagonie, kołysząc się do muzyki, jakby chciała tańczyć. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w barze w klubowy wieczór. Zauważyłbym ją.

Minął prawie tydzień od pocałunku. Millie przychodziła normalnie na swoje zmiany i nadal była uśmiechnięta, spokojna i opanowana, skromna i niezależna. Myślałem, że będę musiał się jakoś wytłumaczyć. Uspokoić ją. Ale wydawała się nieporuszona. Albo może po prostu mnie rozgryzła. Nie wiedziałem, która z wersji była prawdziwa, ale byłem jednocześnie wdzięczny i obrażony za to, że nie próbuje mnie usidlić. Odprawiałem ją jednak jak zwykle do domu i rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele, chociaż łapałem się na tym, że się jej przyglądam, wpatruję się w jej usta i że myślę o niej, gdy nie jesteśmy razem. Bycie z Millie trochę mnie rozpuściło. Nie musiałem ukrywać uczuć i wyrazu twarzy. Mogłem patrzeć na nią jak mężczyzna szukający kochanki, a ona nie miała o tym pojęcia.

Teraz też nie miała pojęcia, że na nią patrzę, chociaż miałem nadzieję, że przyszła tu dla mnie. Przeprosiłem ludzi, z którymi rozmawiałem o interesach, i ruszyłem w jej stronę. Musiała usłyszeć, że nadchodzę, bo nieznacznie uniosła podbródek, a jej nozdrza lekko zafalowały, chociaż nie odwróciła głowy. Wziąłem jej laskę i odstawiłem na bok. Potem położyłem jedną dłoń na jej talii, a drugą chwyciłem ją za rękę. Byłem przecież bogatym dzieciakiem, prawda? Mama nauczyła mnie wszystkiego, co powinny umieć bogate dzieci. Tańczenia, dobrych manier i tym podobnych rzeczy, które zwiększały mój urok. I wzbudzały zaufanie ludzi, chociaż czasem robiło mi się od tego niedobrze. Ale Millie chciała tańczyć, wyraźnie to widziałem, a nikt inny jej nie poprosił. Dzięki Bogu. Nie wiem, czy zniósłbym konieczność oglądania jej tańca z kimś innym.

Przyciągnąłem ją mocno do siebie i poczułem jej ciche westchnienie, które zaparło mi dech w piersiach. Była opanowana, ale jednak coś czuła. Poczwała tę odę. Nie miałem zamiaru pokręcić się z nią po parkiecie, głupkowato przestępując z nogi na nogę. Potrafiłem tańczyć i zamierzałem to wykorzystać.

— Wiesz, jak tańczyć walca, kochanie?

Uniosła pogardliwie jedną brew.

— Kto tu jest tancerką, Dawidzie?

— Upewniam się tylko, że będziesz w stanie dotrzymać mi kroku, moja droga — odparowałem i musiałem użyć całej swojej siły woli, żeby się nie roześmiać, gdy prychnęła i z wdziękiem położyła lewą dłoń na moim ramieniu, sygnalizując, że

jest gotowa.

— Zatańczymy czy będziesz tylko tak mnie trzymał? — Zakołysała niecierpliwie biodrami.

— Oczywiście, że zatańczymy. — Przyciągnąłem ją tak blisko, że stanęła na palcach, i ruszyłem. Jej piersi były przyciśnięte do mojego torsu, a nogi splatały się z moimi. Bez trudu jednak poddawała się tym ruchom, dopasowując się do mojego kołysania, rytmu i kroków. Ruszyliśmy przez pomieszczenie, tańcząc — raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy — i wszyscy zaczęli na nas patrzeć. Nikt nie tańczył już walca, ale my owszem. Millie miała zamknięte oczy, nieznacznie rozchylone usta i lekko zarumienione policzki.

Ray LaMontagne śpiewał o ocaleniu przez kobietę.

A ja mu wierzyłem.

— *She won't let me go* — zawodził. — *She won't let me go*<sup>[2]</sup>.

Śpiewałem razem z nim, wypowiadając te słowa w jej włosy, a ona odchyliła twarz i słuchała, gdy sunęliśmy po sali. Następna piosenka też była na trzy czwarte. I kolejna również. Zanotowałem w myślach, żeby dać napiwek didżejowi. Wiedział, co robi. Znałem każde słowo tych piosenek.

Przyciągnęliśmy całkiem niezłą widownię, chociaż Millie nie zdawała sobie z tego sprawy. Na brzegu parkietu tłoczyło się kilka kobiet. Stały blisko siebie i wpatrywały się w nas, a ja uświadomiłem sobie, że spałem z nimi wszystkimi, chociaż nigdy z żadną nie tańczyłem. Kara, Brittney, Emma i Lauren. Dobry Boże. Są przyjaciółkami? Nie wiedziałem, że *wszystkie* się przyjaźnią. Przychodziły do baru i ćwiczyły na siłowni. Złapałem spojrzenie Brittney i puściłem jej oczko. Nasza relacja skończyła się pokojowo i nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym być miły. W sumie to żadnej z nich nie traktowałem zbyt poważnie, lecz widząc teraz ich krzywe spojrzenia, doszedłem do wniosku, że musiałem to źle zapamiętać.

Brittney oderwała się od reszty i ruszyła przez parkiet, jakby była modelką na wybiegu, a ja fotografem mody. Mógłbym poprowadzić Millie daleko od niej, ale parkiet był mały, a Brittney wyglądała na zdeterminowaną.

— Tag! Odbijany! Kto by pomyślał, że potrafisz tańczyć, kotku? — zagruchała słodko i ckliwie, zalewając nas zapachem waniliowych perfum. Przytuliła się do mojego boku i ujęła za ramię, jakbym wcale nie tańczył z inną kobietą.

Millie zeszytniała i zrobiła krok w tył. Ścisnąłem jej dłoń.

— Tańczę teraz z Millie. Następny utwór, okej?

Brittney wyduła usta w sposób, w jaki robią to niektóre kobiety, gdy pragną wywołać awanturę, lecz próbują zachować fason. Nie puściła mojego ramienia.

— No weź, Tag. Zawstydzasz mnie. Nie odmawiaj mi.

Millie wyrwała mi się z rąk.

— Pokaż mi, gdzie jest moja laska, i powiedz, jak daleko. Dziesięć kroków? Dwadzieścia? Dam sobie radę. Nie martw się o mnie. — Jej twarz była bez wyrazu, ramiona wyprostowane.

— Ona sobie poradzi, Tag — gruchała Brittney. Najwyraźniej doskonale wiedziała, że Millie jest niewidoma.

— Tańczę teraz z Millie, Britt — powiedziałem stanowczo lodowatym tonem. Spojrzałem na grupę kobiet na obrzeżu parkietu, które obserwowały rozgrywający się tu mały dramat. Szczyrzyły do mnie zęby, jakby to był jeden wielki żart.

— Trudno. — Brittney puściła moje ramię. Odwróciła się powoli z wciąż wyдутymi ustami i odeszła wolnym krokiem.

Piosenka się skończyła i przez kilka chwil było względnie cicho. Wtedy głośno i wyraźnie usłyszałem jej głos.

— Jesteś taką męską dziwką, Tag, że niemal mi głupio — zawołała przez ramię, na co kilka osób zareagowało śmiechem. — Którą przelecisz jako następną?

— Nigdy nie udawałem, że jest inaczej — odpowiedziałem, uśmiechając się szeroko do grupki kobiet na obrzeżu. Tym razem zaśmiało się więcej osób, a facet obok mnie wyciągnął dłoń, żeby przybić mi piątkę. Ale Millie się nie śmiała. Cholera.

Wciąż trzymałem ją za rękę, ale nasze ciała nie były już w pozycji do tańca. Nie chciałem schodzić z parkietu. Nie chciałem pokazać, że wtrącenie się Brittney cokolwiek znaczyło. Didżej zrobił co mógł, puszczając trzy seksowne piosenki z rzędu, i przypuszczalnie uznał, że pomoże mi, znowu grając *SexyBack* Justina Timberlake'a tak głośno, że aż wibrowały mi zęby. Skusił tym do powrotu na parkiet kilka osób, które odrobinę odizolowały nas od naszej widowni, ale to mi nie wystarczało. Potrzebowałem pretekstu, by znowu zbliżyć się do Millie, a nie byłem przekonany, czy będzie skłonna zaangażować się w objanie i ocieranie prowokowane przez rytm utworu Timberlake'a.

Stałem przy niej tak blisko, że nasze ciała się zetknęły, i zbliżyłem usta do jej ucha, żeby słyszała mnie mimo muzyki.

— Nadal zainteresowana tańcem z męską dziwką?

— To zależy. Czy ludzie na nas patrzą? — Jej usta muskały mój policzek, gdy mówiła.

Staliśmy w gąszczu zaciekawionych i współczujących spojrzeń.

— Aha. Patrzą.

— Świetnie. To zatańczmy. — Ostrożnie zarzuciła mi ręce na szyję, odchyliła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

A ja znowu poczułem tę odę, tak silną, że aż zmiękły mi kolana.

Zaśmiałem się, wydając przy tym kilka okrzyków, przez co jeszcze więcej ludzi odwróciło się w naszą stronę. Niech sobie patrzają.

— Naprawdę cię lubię, Millie.

— To dlatego, że jesteś męską dziwką! — zażartowała.

Szybko jednak zapomniałem o pogawędkach, żeby dotrzymać Millie kroku. Do licha, ależ ona tańczyła. Przez cały czas dotykała mnie przynajmniej jedną ręką, żeby mieć punkt oparcia, co było najbardziej seksownym zachowaniem, jakiego w życiu doświadczyłem. To, że nie widziała, jak tańczę, było wyzwalające, i zapomniałem o innych ludziach. Zapomniałem się w tańcu.

Tańczyliśmy tak długo, aż oboje zaczęliśmy dyszeć, a kosmyki ciemnych włosów Millie przykleiły się do jej mokrego czoła i gładkich policzków. Miała błyszczącą od potu skórę i uśmiechała się szeroko, a ja nie umiałem złapać tchu, chociaż miało to więcej wspólnego z nią niż z wysiłkiem. Millie była nienasycona, a ja zostałem urzeczony i nagle zapragnąłem jej tylko dla siebie.

Zabrałem z baru dwie butelki wody i rzuciłem szybko okiem na to, jak idzie interes — nowy barman zdawał się nad wszystkim panować.

Millie czekała na mnie z laską. Wziąłem jej płaszcz i wyszliśmy tylnym wyjściem, żeby odetchnąć świeżym, zimnym powietrzem. Chwyliła mnie pod rękę, a stłumiony pulsujący bas łomotał równie mocno jak moje serce.

Rozkoszowaliśmy się ciszą. W końcu Millie westchnęła, zakręciła butelkę i odstawiła ją na bok, żeby usunąć włosy z wilgotnej szyi. Nie chciała zakładać płaszcza, twierdząc, że zimne powietrze jest bardzo przyjemne. Zebrała włosy na czubku głowy, unosząc wysoko szczupłe ramiona. Przechyliła lekko głowę do przodu, a ja przypatrywałem się temu uroczemu przedstawieniu, po raz kolejny wdzięczny za to, że nie muszę ukrywać swojego zachwyconego spojrzenia.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Za co?

— Faktycznie trochę *jestem* męską dziwką.

— Wiem.

— I nie przeszkadza ci to?

— To się do mnie nie stosuje.

Przełknąłem ślinę.

— Doprawdy? Dlaczego tak myślisz?

— Z tego, co pamiętam, musiałam cię błagać, żebyś mnie pocałował. — Puściła włosy, pozwalając im opaść na barki i plecy, i objęła się ramionami. Gdyby to była inna dziewczyna, pomyślałbym, że robi to specjalnie, żeby skierować mój wzrok na swoje piersi. I tam też powędrował, tyle że Millie nie mogła wiedzieć o tym, że jej ręce idealnie je obramowują, a poświata księżycyca nadaje jej skórce blasku.

— A ja pamiętam, że z radością na to przystałem — powiedziałem cicho.

Nie odpowiedziała, nie uśmiechnęła się i nie polemizowała. Nie wiedziałem, co zrobić.

— Przepraszam — powiedziałem ponownie.

— Za co? — powtórzyła.

— Brittney była niemiła. Zachowała się tak ze względu na to, jaki jestem, a nie ze względu na ciebie. Wiesz o tym, prawda?

— Muszą być strasznie skołowane.

— Kto?

— Wszystkie dziewczyny twojego życia.

Roześmiałem się.

— Dlaczego?

— Bo spędzasz czas ze mną. Tańczysz ze mną. Wychodzisz ze mną. I niemal co noc odprowadzasz mnie do domu.

Czekałem na dalszy ciąg.

— Przyznaję, że też jestem trochę skołowana, Dawidzie. — Jej głos był cichy, ale nie nieśmiały. Millie nie była nieśmiała, co w niej uwielbiałem.

— Zawsze mówisz do mnie „Dawidzie”. Dlaczego? — uprzedziłem jej pytanie. Byłem równie zdezorientowany jak ona i nie czułem się jeszcze na siłach, żeby udzielić jej odpowiedzi.

— Bo to imię idealnie do ciebie pasuje — odparła swobodnie, pozwalając na zmianę tematu.

— Co przez to rozumiesz?

— Imiona mają znaczenie. Wielu rodziców zwraca uwagę wyłącznie na to, jak imię brzmi lub jak się je pisze. Ciekawe, ile osób sprawdza, co dane imię znaczy. Albo przynajmniej: co znaczy dla nich? Czy takie imię nosi ukochany członek rodziny? Czy to imię kojarzy się z jakimś pamiętnym miejscem? Czy może jest to po prostu imię Ashley zapisywane jako A-S-C-H-L-E-I-G-H, żeby wyglądało na wyjątkowe? Mieszkańcy Utah mimo swojej religijności mają skłonność do nadawania dzieciom pozbawionych znaczenia imion o przedziwnym sposobie

zapisu.

— To dlatego Mojżesz i Georgia nie chcieli nazwać swojej córki Taglee. Bardzo mnie to zabolalo.

Zachichotała i jęknęła, co było moim celem.

— Okej. Czyli Dawid idealnie do mnie pasuje. Co oznacza to imię?

— Ukochany. Uroczy.

— Ukochany? Uroczy? Chyba sobie ze mnie żartujesz! — rzuciłem kąśliwie, wypowiadając te słowa tak, żeby brzmiały niedorzecznie.

— Wszyscy cię uwielbiają. Wszyscy cię kochają.

— Hmm. To dlaczego ty nie? — Cholera. Muszę przestać to robić.

— Bo moje imię oznacza pracowitość — odparła, nie tracąc rezonu.

— Pracowitość?

— Tak. To właśnie oznacza Amelie. Pracowitość.

— Co za ironia — powiedziałem przeciągle.

— Uhm. A Henry oznacza władcę domu. Co Henry uwielbia i traktuje bardzo poważnie.

— To prawda. — Zachichotałem.

— *À propos* Henry'ego, muszę iść — westchnęła.

— Odwiozę cię.

— Nie. Ty wróć do baru. Mam ochotę na spacer.

— Amelie... — zaprotestowałem, choć nie miałem czasu, żeby ją odprowadzić i przyjść na piechotę z powrotem. Musiałem wrócić do środka, żeby się pokazać i żeby ludzie mnie widzieli. Miałem sporo rąk do uściśnięcia i sporo osób, z którymi powinienem porozmawiać, a zbyt długo ignorowałem obowiązki gospodarza. — To niebezpieczne, Amelie — upierałem się.

— Nie jesteś za mnie odpowiedzialny, Dawidzie — odparła łagodnie. — Mam ochotę się przejść. Lubię to. Chodziłam na piechotę, zanim cię poznałam, i będę chodziła, gdy już odejdiesz.

Przygryzłem język, żeby nie zakląć.

— Zadzwoń do mnie albo powiedz Henry'emu, żeby do mnie zadzwonił i dał mi znać, że dotarłaś cało do domu, dobrze? Proszę — wyrzuciłem z siebie.

— Jasne — przytaknęła. Założyła płaszcz, wyciągnęła włosy spod kołnierza, a ja patrzyłem na nią, gotując się w środku. Nie podobało mi się, że chce sama wracać do domu o jedenastej w nocy. Poprawiła laskę i wyciągnęła przed siebie

pusztą butelkę, najwyraźniej oczekując, że ją zabiorę. Gdy to zrobiłem, musnąłem ją dłonią i oboje podskoczyliśmy, jakbyśmy nie spędzili ostatniej godziny na ocieraniu się o siebie na parkiecie.

— Wiesz, Dawidzie, myliłeś się.

— W jakiej kwestii?

— W kwestii moich znaków.

— Znaków?

— Był ktoś kiedyś — powiedziała cicho.

Patrzyłem na nią bezmyślnie i nagle mnie olśniło. Jej znaki. Noc, gdy ją pocałowałem. Spytałem, czy jest dziewicą, powiedziała, że nie jest, a ja zarzuciłem jej kłamstwo.

Odeszła, postukując laską, żegnając się ze mną przez ramię.

Obserwowałem, jak idzie ulicą, kołysząc biodrami, jakby wciąż słyszała Raya LaMontagne. Zakląłem znowu i szybko podszedłem do samochodu. Mogła sobie iść, jeśli chciała, ale ja upewnię się, że dotarła do domu. Trzymałem się za nią w pewnej odległości. Widziałem, jak skręciła w swoją ulicę, i przejechałem powoli obok jej domu, gdy otwierała furtkę, po czym wykręciłem, przycisnąłem pedał gazu i wróciłem do baru. Byłem żaloszny.

Zgodnie z obietnicą Millie kilka sekund później Henry napisał do mnie, że dotarła.

Henry: Amelie jest w domu. Jej twarz jest smutna. Muhammad Ali praktykował wstrzeźliwość do sześciu tygodni przed walką.

Zaśmiałem się i zakląłem pod nosem. Najwyraźniej wszyscy uważali mnie za męską dziwkę.

\*\*\*

---

[1] Rocky road to lody o smaku czekoladowym z orzechami i piankami cukrowymi — *przyp. tłum.*

[2] *She won't let me go* (ang.) — „Ona nie pozwoli mi odejść” — *przyp. tłum.*

# Dwanaście



W SOBOTNIE POPOŁUDNIE HENRY pojawił się na siłowni bez Millie. Zaskoczyło mnie to trochę, gdyż zawsze przychodziła z nim, ale otrząsnąłem się z tego, chociaż w żołądku poczułem lekkie ukłucie rozczarowania, które starannie zignorowałem. W głowie huczały mi jej słowa. *Był ktoś kiedyś.* Zacząłem się martwić, że może znowu ktoś jest. Ktoś ze szkoły, w której pracowała we wtorki, albo może Robin ją z kimś umówiła. Millie twierdziła, że tego nie znosi, ale zawsze mogą się zdarzyć jakieś wyjątki.

Z tego rozczarowania lub po prostu nawykowo przeciągnąłem nieco rozmowę z paroma zawodniczkami, przyjąłem uścisk i uśmiech od Deanny, uroczej rudowłosej dziewczyny, z którą byłem parę razy na kolacji, i zwróciłem uwagę na kilka klientek na urządzeniach do ćwiczenia klatki piersiowej. Słowem: zachowałem się, jak powinien się zachowywać właściciel klubu fitness. Henry obserwował mnie z maty w rogu, na której Cory pokazywał mu, jak przejść od zwarcia do ataku na korpus.

Zastanawiałem się, czy nie czuje się zaniedbany, więc zająłem miejsce Cory'ego, który wykrzykiwał wskazówki i krytykował jego postawę za każdym razem, gdy Henry próbował wykonać ten ruch i mu nie wychodziło. Miał zaciśniętą szczękę, poruszał się zrywami i wydawał się bliski łez.

— Henry! Co jest, stary? Jesteśmy tu po to, żeby nauczyć się paru rzeczy i zaimponować dziewczynom. Wyluzuj — zażartowałem łagodnie, czochrając jego włosy.

Henry odepchnął moją dłoń i rzucił się na mnie dziko. Jedna pięść trafiła mnie w żołądek, a druga musnęła szczękę.

— Hola! — wykrzyknąłem, na wpół się śmiejąc, po czym chwyciłem go za nogi i przerzuciłem sobie przez ramię we wrestlingowym stylu. Wyprostowałem się i



wrzasnąłem, jakbym był Hulkiem Hoganem lub Undertakerem, wykonując z Henrym triumfalne, teatralne obroty. Uświadomiłem sobie jednak, że on przez cały czas wściekle mnie okłada i kopie, bynajmniej nie w sposób sugerujący, że sobie żartuje lub że dobrze się bawi. Postawiłem go na nogi, trzymając za ramiona na wypadek, gdyby kręciło mu się w głowie. Sam miałem lekkie zawroty i próbowałem się z tego otrząsnąć. Lecz Henry nie ustąpił.

Z wypiekami na twarzy młócił pięściami. Zrobiłem tak, jak mój ojciec, gdy byłem mały — chwyciłem jego głowę jak piłkę do koszykówki, utrzymując go na odległość ramienia.

— Henry! Stary, to jedynie zabawa. Wyluzuj.

Moje słowa tylko spotęgowały jego starania, żeby mnie znokautować chudymi ramionami i spiczastymi kolanami.

— Henry, jestem od ciebie cięższy o pięćdziesiąt kilogramów. Nie rozwalisz mnie!

— Manute Bol miał dwieście trzydzieści centymetrów wzrostu! — wrzasnął. Ludzie zaczęli się na nas gapić. Axel i Mikey przerwali trening grapplingu na macie obok i ciężko dysząc, odwrócili się ku nam. Axel wstał i ruszył w naszą stronę.

— Co, do kur... — urwałem natychmiast. Za każdym razem, gdy rzucałem jakieś wulgarnie słowo, Henry wyglądał na lekko wstrząśniętego. Pogadałem z chłopakami na temat slangu z co drugim słowem na „k”, jakim zwykliśmy się tu posługiwać, i postawiliśmy w biurze olbrzymią butlę po wodzie, która teraz była już niemal pełna ćwierćdolarówek wrzucanych za każde brzydkie słowo.

— Będziesz musiał mi to wyjaśnić, Henry. — Puściłem jego głowę i pozwoliłem mu się zbliżyć. Gdy zaczął okładać mnie po torsie, objąłem go, blokując mu ręce po bokach ciała. Natychmiast zaczął przywalać mi głową, chociaż ledwo sięgał do mojego podbródka. Pochyliłem się trochę, chwytając jego głowę policzkiem i ramieniem w sposób stosowany przez bokserów, gdy chcą zagrać na zwłokę i złapać oddech. Ja celowałem i w jedno, i w drugie, zastanawiając się, dlaczego Henry był tak wściekły na dwumetrowego koszykarza.

— Henry! — powiedziałem w jego rozwichrzoną czuprynę. — Henry, nie rozumiem, co próbujesz mi przekazać!

— Dziadek Manute’a Bola miał czterdzieści żon — rzucił nieco spokojniej, chociaż nadal wyczuwałem jego gniew, za którym czaiły się łzy. I nadal się ze mną siłował.

— Serio? — Zaśmiałem się, próbując wyrwać go z tego stanu. — Szczęściarz.

Henry wierzgnął gwałtownie, uwolnił się i przyłożył mi pięścią w zęby.

Puściłem go, plując krwią i zakazanymi słowami. Chyba będę musiał wrzucić do

butelki z dziesięć dolarów.

— Żaden szczęściarz! — wrzasnął. Odwrócił się i poszedł na brzeg maty. Podniósł swoją torbę marynarską i bluzę, po czym ruszył w stronę wyjścia. Patrzyłem za nim kompletnie oniemiały.

— Jest na ciebie wkurzony — skomentował Axel. Tyle to ja też wiedziałem.

— No jest. Wiedziałeś, że dziadek Manute'a Bola miał czterdzieści żon? — Niemal wybuchnąłem śmiechem. Henry komunikował się w strasznie frustrujący sposób.

— Kim jest Manute Bol? — Axel zmarszczył brwi.

— Koszykarzem. Był jednym z najwyższych koszykarzy w NBA. Chyba pochodził z Sudanu.

— Hmm. Może Henry'emu nie podoba się, że masz czterdzieści dziewczyn, wielkoludzie. — Użył określenia stosowanego przez Millie, co kazało mi się zatrzymać.

— Co? Ja nie...

— Tak, Tag. Masz. — Uśmiechnął się do mnie, jakby był ze mnie dumny.

— Henry! — Ruszyłem biegiem przez siłownię, żeby dogonić chłopaka, który właśnie wychodził. Nie czekał na mnie i złapałem go dopiero w połowie drogi do skrzyżowania.

— Henry, dziewczyny na siłowni i w barze nie są moimi dziewczynami. — Cóż, były moimi przyjaciółkami. Ale nie w taki sposób, jak wyobrażali sobie Axel i Henry. Lubiłem dziewczyny. A one lubiły mnie. Ale żadna z tych relacji nie była na poważnie lub na stałe. To byli moi przyjaciele. Dziewczęcy przyjaciele.

— Amelie? — spytał, nie zatrzymując się.

— Millie też nie jest moją dziewczyną — odparłem cicho.

— Pieprz się, Tag — odparł tak prosto i wyraźnie, że niemal ucieszyłem się z jego bezpośredniej i nieskomplikowanej odpowiedzi. Ale radość umarła tuż po narodzinach, gdy dotarły do mnie jego słowa i ich ostateczność. Nie zatrzymał się, a ja stałem i obserwowałem, jak idzie do domu.



W NIEDZIELĘ TROCHĘ PO DZIEWIĘTNASTEJ pukałem do drzwi Andersonów, ale dostanie się do środka wymagało nie lada cierpliwości. Już miałem zrezygnować, gdy otworzył mi Henry. Zawahał się, jakby nie był pewny, czy mnie przywitać.

— Hej, stary. Co tam?

Wzruszył ramionami.

— Mogę wejść?

Odsunął się na bok i wpuścił mnie do środka ze spojrzeniem wbitym w podłogę. Zamknął za mną, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Widziałem, że wciąż jest na mnie zły.

— Henry? — Szturchnąłem go lekko pięścią. To był najślabszy cios, jaki kiedykolwiek zadałem, ale on natychmiast mi oddał. Tak. Wciąż był zły.

— Przed tysiąc dziewięćsetnym rokiem walki o tytuł trwały nawet sto rund — powiedział drewnianym głosem.

— A w której rundzie my jesteśmy? Nie sądzę, że wytrzymam sto rund z tobą. Odklepuję. Wygrałeś.

— Żadnego odklepywania — wycedził przez zaciśnięte zęby, powtarzając słowa, które powiedziałem mu na siłowni.

— Żadnego odklepywania. Chyba że się pomylisz. Ja się pomyliłem. Przepraszam, Henry.

— Amelie? — spytał. Miałem ochotę go uściskać. Nie chciał przeprosin, tylko odpowiedzi, a to budziło mój szacunek.

— Amelie jest wyjątkowa. Inna niż wszystkie dziewczyny. Nie przypomina żadnej kobiety, którą kiedykolwiek lubiłem. Lecz ją lubię, Henry. Bardzo. Tyle że kochanie kogoś, kto potrzebuje cię w inny sposób i będzie na tobie polegał w inny sposób, wiąże się z dodatkową odpowiedzialnością. Muszę mieć pewność, że jestem na to gotowy. Rozumiesz?

— Kiedyś jako piłki w rugby używano pęcherza świni — odparł cicho.

— Czy ty właśnie nazwałeś mnie świnią, Henry?

Henry wyszczerzył zęby, zerkając na mnie w milczeniu, ale nie wytrzymał — zaczął chichotać i chrumkać.

— Nazwałeś mnie świnią! — Zaśmiałem się razem z nim. — To chyba pierwszy raz, gdy słyszę, żebyś sobie z czegoś zażartował! — Ruszyłem w jego stronę, żeby go objąć, ale on wykonał ruch pokazywany przez Cory'ego i złapał mnie za nogi, żeby mnie podciąć. Pochyliłem się z okrzykiem, chwyciłem jego chudy tors i podniosłem go. Zawisnął do góry nogami, nie puszczając moich ud.

— Bezdyskusyjnie najlepszy wojownik na świecie! Powiedz to, Henry. Powiedz: „Tag, jesteś najlepszym wojownikiem na świecie”! — zażądałem ze śmiechem.

— Georges St. Pierre jest najlepszym wojownikiem na świecie! — wrzasnął, puszczając moje uda.

— St. Pierre! — krzyknąłem i podniosłem go wyżej. — Powiedz, że najlepszym

wojownikiem na świecie jest Tag Taggert!

— Chuck Liddell jest najlepszym wojownikiem na świecie! — wyjęczał, rzeżąc ze śmiechu.

— Co? Chyba w zeszłym stuleciu! — zaprotestowałem, chociaż zrobiłbym wszystko, żeby ściągnąć go na swoją siłownię.

— Tag Taggert jest najgorszym wojownikiem na świecie! — Henry śmiał się na całe gardło, a jego twarz była równie czerwona jak włosy. Postawiłem go na nogi. Zachwiał się, lecz nadal się śmiał. Przytrzymałem go i rzuciłem mu udawane gniewne spojrzenie.

— Najlepszym. Najlepszym wojownikiem na świecie. Słyszysz?

— Ronda Rousey jest najlepszym wojownikiem na świecie — wysapał z chichotem, nie poddając się.

Krzyknąłem i rozłożyłem ręce.

— Tym mnie powaliłeś, stary. A skoro mowa o wspaniałych i silnych kobietach, gdzie Mała Millie?

Henry zamarł, nasłuchując, po czym wskazał na podłogę. Teraz, gdy nie robiłem już tyle hałasu, usłyszałem dudnienie basu dochodzące z piwnicy.

— Na dole? Pokaż mi drogę.

Odwrócił się i ruszył przez przedpokój i kuchnię do salonu, a stamtąd do dużej pralni. Była schludna i uporządkowana, jak cała reszta domu. Zauważyłem naklejki z brajlem na dwóch dużych koszach na pranie: białym i czerwonym. Nie byłem jeszcze w tej części domu. Henry wskazał mi drzwi i natychmiast sobie poszedł, więc uznałem, że nie interesuje go, co Millie robi w piwnicy.

Za drzwiami zobaczyłem wąskie schody, na których widok natychmiast zakręciło mi się w głowie. Nie podobało mi się to, że Millie nimi schodzi, bo stanął mi przed oczami obraz tego, jak spada głową w dół. Szybko jednak odepchnąłem go na bok. Millie dorastała w tym domu, przypuszczalnie schodziła i wchodziła tymi schodami miliony razy i nie doceniłaby mojego zdenerwowania nimi. Trzymałem się jednak kurczowo poręczy i stąpałem ostrożnie, zastanawiając się nad swoimi nieoczekiwanymi zawrotami głowy. Muzyka grała tak głośno, że Millie nie mogła mnie słyszeć, lecz gdy dotarłem na dół, nagle zrobiło się cicho i ktoś zaczął klaskać i gwizdać. Zatrzymałem się zaskoczony i wciąż ukryty za ścianą.

— Wyglądam głupio? — Usłyszałem pytanie Millie. — Myślisz, że dam radę?

— O czym ty mówisz, Amelie? — odpowiedział jej kobiecy głos, w którym rozpoznałem Robin. Miała ten specyficzny „dziewczęcy” akcent, tak popularny wśród amerykańskich kobiet. Nie cierpiałem go, ale mimo to Robin wydawała się sympatyczna. — Jasne, że dasz radę! I to kilka nocy w tygodniu!

— Ale nigdy wcześniej tego nie próbowałam. Nie wiem, jak wyglądam i jak wygląda moje ciało, gdy to robię. Czuję, że robię to dobrze, ale... — Millie urwała.

Wyjrzałam zza rogu, bo zżerała mnie ciekawość. Amelie stała na wprost mnie, opierając się o wąską rurę. Była boso, w skąpych szortach Tag Team i tank topie, a włosy miała upięte na czubku głowy. Robin na szczęście stała tyłem do mnie. Wzięła Millie za nadgarstki i przyciągnęła ją do siebie.

Przejechała jej dłońmi w górę i w dół po swoim ciele, pozwalając jej poczuć miękkość swojej talii oraz krągłość bioder i wypukłość brzucha.

— To najbardziej seksowna akcja, jakiej doświadczyłam od paru miesięcy. Żałosne — stwierdziła Robin kąśliwie, wypuszczając dłonie Millie, a ja uśmiechnąłem się i polubiłem ją nieco bardziej. — A teraz poczuj swoje ciało, Amelie — dodała i zrobiła krok w tył. Amelie posłuchała. Przejechała dłońmi po wypukłości piersi, płaskim brzuchu i nieco rozszerzających się biodrach. Potem złapała się za pośladki i zachichotała.

— Nie chwyciłam cię za tyłek, Robin. Chodź tutaj.

— Ha, ha. Łapy przy sobie, obmacywaczko. — Robin odpowiedziała śmiechem. — Muszę mieć jakieś granice. Ale i tak czujesz różnicę, prawda? Ja jestem przysadzista, a ty zaokrąglona. Ja jestem miękka, a ty opływowa. Wyglądasz tak, jak się czujesz, Amelie. Masz wspaniałe ciało. A jeśli podczas tańca czujesz się dobrze, to znaczy, że robisz to dobrze, niezależnie od układu.

Robin zdobyła kolejny punkt mojej sympatii.

— Serio? — upewniła się Millie.

— Serio — potwierdziła Robin.

Amelie obróciła się kilka razy wokół rury w niemal roztargniony sposób. Jej kucyk huśtał się, gdy podniosła się w górę. Wykonała idealny szpagat w powietrzu, po czym owinęła się nogami wokół rury i opuściła się głową w dół. Radziła sobie z tą pozycją znacznie lepiej niż przed chwilą Henry. Wyciągnęła dłonie za głowę, wyczuła beton i puściła nogami rurę. Wróciła do pozycji stojącej, wykonując po drodze nożyce, jakby potrafiła z palcem w nosie zrobić skłon w tył i chwycić się za kolana.

— Szkoda, że nie mogę tak dotknąć Taga. Chciałabym, żeby poproszenie o coś takiego było normalne. Wiesz, dotykałam jego uśmiechu... ale chciałabym dotykać go całego — wyrzuciła z siebie, jakby już nie potrafiła dłużej tego ukrywać.

Ugryzłem się w język, żeby nie jęknąć, i zacząłem się zastanawiać, jakim cudem wybrnę z tej sytuacji, nie zawstydzając wszystkich obecnych tu osób.

— Amelie! Ty niegrzeczna dziewczyno! — pisnęła Robin.

— Wcale nie, Robin. Wiem, że on ma silne ramiona. Wiem, że ma dołeczki w policzkach i podbródki. Wiem, że ma trochę krzywy nos. Wiem, że jego ciało jest twarde, a jego usta miękkie. I wiem, że ma duże dłonie ze stwardniałym naskórkiem.

— Przestań! Bo czuję się coraz bardziej podniecona i przygnębiona — jęknęła Robin. — Amelie... Myślę, że Tag Taggart prawdopodobnie jest facetem, który bardzo lubi kobiety. I kropka. Rozumiesz? Ty jesteś piękna, więc oczywiście ciebie też będzie lubił. Ale... To nie jest facet, który na dłuższą metę cię uszczęśliwi.

— Nie. — Amelie potrząsnęła głową, odrzucając opinię Robin mimo jej trafności. — Nie. Jest w nim coś więcej. Jest wyjątkowy i sprawia, że ja też czuję się wyjątkowa. Czasem myślę, że między nami coś jest. Czuję to w piersi, w tym, że nie potrafię swobodnie odetchnąć, gdy on jest w pobliżu. Czuję to też w żołądku, który wywraca się za każdym razem, gdy Tag wymawia moje imię. A najbardziej czuję to wtedy, gdy rozmawia z Henrym. Jest delikatny. I słodki. — Millie wzruszyła ramionami. — Czasem jednak wydaje mi się, że on jest po prostu typem faceta, który wszystkimi się opiekuje, a ja i Henry jesteśmy... w potrzebie.

Staliśmy twarzą w twarz w odległości sześciu metrów od siebie, a ona nie miała pojęcia, że tu jestem, ukryty w ciemnym zakątku przy zejściu do długiej piwnicy, i słucham, jak wyznaje swoje uczucia do mnie. Rozważałem przez chwilę wycofanie się po schodach, ale były stare i na pewno skrzypiały jak stawy starego człowieka. Byłem rozdarty między chęcią usłyszenia sekretów Millie a ucieczką przed nimi.

— Ciekawe, czy jemu dotyk sprawia tyle samo przyjemności co mnie — dodała Millie w zadumie. — Pragnę jego dotyku i pragnę sama go dotykać, ale chciałabym, żeby naprawdę mnie lubił, tak jak ja jego. Nie tylko moje piękne części, ale mnie całą. Ślepe oczy, kościste kolana, wielkie uszy, spiczasty podbródek. Całą mnie. Tak że gdybym go dotykała, a on dotykałby mnie, to byłoby cudowne, a nie dziwne.

Pragnąłem z całego serca, żeby Robin nie stała teraz między nami. Żałowałem, że nie mogę podejść do Millie, objąć ją, pocałować w ten spiczasty podbródek i szepnąć czułe słowa do jej uszu, które *faktycznie* wydawały się trochę duże, gdy o tym wspomniała. Wycofałem się za ścianę, usiadłem na najniższym schodzie i ukryłem twarz w dłoniach.

Wyłożyła kawę na ławę. A ja miałem to szczęście lub nieszczęście, że to słyszałem. Byłem szczęściarzem, bo Amelie Anderson się we mnie zakochiwała. Miałem pecha, bo nie mogłem już dłużej udawać, że o tym nie wiem. Nie chciałem przyjąć do wiadomości tego, co Mojżesz powiedział mi w tamtą sobotę. Nie chciałem zastanawiać się nad pocałunkiem w łazience ani nad granicą, którą przekroczyłem, kładąc Millie na jej białej kołdrze. Kołdrze, którą wciąż widzę,

gdy tylko zamknę oczy.

Ale po tym, jak wysłuchałem wyznań Millie, nie mogłem już dłużej tego ignorować. Nie mogłem udawać, że mam jeszcze czas, żeby się zdecydować. Czas się skończył, a ja musiałem dokonać wyboru.

Nie miałem wątpliwości co do swoich uczuć. Uczuć, które pojawiły się już pierwszego dnia. Czy raczej nocy. Zobaczyłem, jak stoi niczym pasterka z odchylną głową, łapiąc na język płatki śniegu, i coś we mnie przeskoczyło. Trzy dni później spojrzałem w dół na jej twarz i poczułem odę. Poczułem coś, czego nie wzbudziła we mnie żadna inna dziewczyna. Od tamtej chwili wiedziałem. Od tamtego dnia co rusz łapałem się na robieniu, mówieniu lub odczuwaniu czegoś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Millie stała się moim ulubionym widokiem, zapachem, smakiem i dźwiękiem. Moim ulubionym wszystkim. Ale tu wcale nie o to chodziło.

Chodziło o mnie.

Millie wyrzuciła mi to wszystko tej nocy, gdy oczyściłem z krwi jej skórę i pocałowałem ją. Małą Millie. Nie była głupia. Dobrze знаła wynik. I czekała, aż zdecyduję, czy jestem wystarczająco dojrzały, by pokochać niewidomą dziewczynę.

Całowanie niewidomej to niewybaczalny grzech, jak prowokacyjnie stwierdziła. Ale nie miała racji. Całowanie niewidomej dziewczyny nie było niewybaczalne. Kochanie jej też nie było niewybaczalne. Ale kochanie jej, a potem sprawienie jej zawodu... to było dla mnie niewybaczalne. Nie wchodziło w grę. I to z tym miałem problem.

Muzyka znowu zaczęła grać. Tym razem melodia była wolniejsza i smutniejsza, raczej do słuchania niż tańczenia. Był to utwór Damiena Rice'a *The Blower's Daughter*. Ucieszyłem się, że Millie go zna, i przeszedł mnie dreszcz w rodzaju „jeśli kochamy tę samą muzykę, to nasze serca muszą do siebie pasować”. Wstałem, wdzięczny za hałas, który ukryje moje wyjście, lecz nie zdążyłem odwrócić się w stronę schodów, bo zza ściany wypadła na mnie Robin.

Pisnęła i podskoczyła, gdy mnie zauważyła. Przyłożyłem palec do ust, potrząsając energicznie głową. Millie nie musi wiedzieć, co usłyszałem.

Odwróciłem się i ruszyłem w górę po schodach, licząc na to, że Robin idzie za mną. Bez Millie.

Wróciłem do pralni z Robin depczącą mi po piętach. Zamknąłem ostrożnie drzwi, po czym wsunąłem dłonie do kieszeni i spojrzałem w jej szeroko otwarte oczy.

— Chcę, żebyś krzyknęła do niej ze schodów. Powiedz jej, że przyszedłem i że schodzę na dół — zażądałem.

— Ale... ty... Jak długo tam stałeś? — wyjąkała.

Milczałem. Robin spojrziała na mnie krzywo.

— Miałaś rację co do mnie — odparłem nie wprost. — Lubię kobiety. Bardzo je lubię. Szczególnie piękne kobiety. I nigdy nie byłem zainteresowany tym, by mieć tylko jedną. Nigdy nie miałem dziewczyny. Nigdy żadna dziewczyna nie zatrzymała mojej uwagi na dłużej. Do teraz.

Grymas Robin natychmiast zniknął, ustępując miejsca uśmiechowi. Bez słowa odwróciła się, otworzyła drzwi i krzyknęła:

— Amelie! Masz towarzystwo!

Prześliznąłem się obok niej, puściłem jej oczko i ruszyłem z powrotem po schodach, którymi przed chwilą wyszedłem.

— Nie spieprz tego! — syknęła. — Spotkało ją w życiu wystarczająco dużo nieszczęść i nie potrzebuje więcej, Tagu Taggercie. Radość. Kwiaty. Pocałunki. Adoracja. To twoje zadania! Żadnych nieszczęść!

Nie mogłem zagwarantować przyszłości bez nieszczęść. Nie mogłem nawet zagwarantować, że sam żadnych nie wywołam. Nie byłem w stanie zmienić swojego DNA, co więcej, byłem przekonany, że moje łańcuchy są nieźle pochrzanione. Chciałem jednak chronić Millie najlepiej jak potrafiłem. Zerknąłem za siebie przez ramię i potaknąłem w stronę opiekuńczej kuzynki, żeby dać jej znać, że zrozumiałem, a ona zamknęła drzwi, dając mi prywatność, której ja im nie dałem.

Millie stała bez ruchu, bo przecież nie mogła wiedzieć, kto przyjdzie. Rozpuściła włosy — sływały na ramiona rozwichrzonymi falami. Nie wygładziła ich i nie poprawiła ubrania. Jej bezruch emanował dostojeństwem i opanowaniem. Była tak pewna siebie, że nie zaprzętała sobie głowy poprawianiem czegoś, czego nie mogła poprawić. Damien Rice śpiewał o tym, że nie potrafi oderwać wzroku od jakiejś kobiety, a ja dokładnie tak się teraz czułem.

— Dawid? — zaryzykowała cicho. To, że domyśliła się, że to ja, sprawiło, że znowu poczułem zawroty głowy.

— Jestem jedynym facetem, który robi tyle hałasu, schodząc po schodach? — Za drugim razem specjalnie schodziłem najgłośniejszym jak się dało.

— Nie. Powinieneś usłyszeć Henry'ego. Ty po prostu jesteś... jedynym facetem — przyznała uroczo. A potem się zarumieniła, a mnie zrobiło się gorąco w piersi.

Poczułem ulgę. Byłem jedynym facetem. Dzięki Bogu.

Zatrzymałem się kilkanaście centymetrów od niej i chwyciłem ją za rękę.

— Lubisz tę piosenkę? — spytałem. Oczywiście, że lubiła, a ja byłem głupi.



— Uwielbiam ją.

— Ja też — szepnąłem i sięgnąłem po jej drugą dłoń.

— *Accidental Babies*.

— Co? — Pociągnąłem ją lekko za rękę i zrobiła krok w moją stronę. Staliśmy teraz tak blisko, że mogłem oprzeć podbródek na czubku jej głowy, a piosenka Damiena tonęła w łomocie mojego serca.

— *Accidental Babies*, inna jego piosenka... którą jeszcze bardziej uwielbiam — odparła cicho.

— Ale ta piosenka jest smutna — szepnąłem i przyłożyłem policzek do jej włosów.

— W tym kryje się jej piękno. Jest druzgocąca. Uwielbiam, gdy piosenka działa na mnie druzgocąco. — Jej głos był niepewny, jakby z trudem łapała oddech.

— Ach, najśłodsze cierpienie. — Puściłem jej rękę i objąłem ją.

— Najlepsze. — Jej głos załamał się, gdy nasze ciała się zbliżyły.

— Ja cierpię już od jakiegoś czasu, Millie.

— Tak? — spytała wyraźnie zdumiona.

— Od momentu, gdy cię zobaczyłem. Zdruzgotało mnie to. Uwielbiam, gdy dziewczyna działa na mnie druzgocąco. — Wykorzystałem jej definicję, chociaż tak naprawdę jedyną dziewczyną, która mnie zdruzgotała, była moja siostra, i nie była to wcale słodka agonía.

— Jeszcze nigdy nikogo nie zdruzgotałam — powiedziała Millie słabym głosem, zabarwionym szokiem i zadowoleniem. Wciąż stała z rękami po bokach, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Ale jej usta błędziły w pobliżu mojej szczęki i wyraźnie rozkoszowała się buzującym między nami napięciem.

— Myślę, że zasiałaś prawdziwe spustoszenie — szepnąłem. — Tylko że o tym nie wiesz.

— Nie mogę zobaczyć własnego bałaganu. Zaleta bycia niewidomą dziewczyną. — Jej głos tryskał humorem, ale nie byłem w stanie się teraz zaśmiać. Stałem w płomieniach, które powoli zaczynały być nieznośne.

W końcu Millie chyba nie wytrzymała, bo położyła rękę na moim brzuchu. Drżącymi palcami sunęła w górę, przez klatkę piersiową na ramiona. Powoli, jakby uczyła się mnie na pamięć. Dotknęła mojej twarzy i znalazła kciukiem dołek w podbródku, tak jak za pierwszym razem, gdy badała mój uśmiech. Niepewnie przyciągnęła moją twarz w dół, do swojej. Ułamek sekundy przed tym, nim nasze usta się zetknęły, poczułem na nich muśnięcia jej cichych słów:

— Zamierzasz mnie zdruzgotać, Dawidzie?

— Boże, mam nadzieję, że nie — odparłem.

Niecierpliwość zredukowała dzielącą nas przestrzeń. Przytknąłem spragnione wargi do jej głodnych ust i stopiliśmy się w jedno. Przyciskaliśmy się do siebie nabuzowanymi ciałami i tańczyliśmy na zgliszczach do nastrojowej muzyki. Słodkie, słodkie zdruzgotanie.

— Za późno... — Zdawało mi się, że słyszę jej szept.

\*\*\*

# Trzynaście



## Mojżesz

SIEDZIAŁEM NA GANKU Millie z Kathleen, kołysząc się na huśtawce z kutego żelaza, która przypuszczalnie pamiętała czasy powstania domu — ponad wiek wcześniej. Zupełnie zrezygnowałem ze słuchania taśm. Tag niczego nie ukrywał. Obnażał każdy szczegół, każdą myśl i każde uczucie. A ja nie przepadałem za obnażonymi mężczyznami. Zostawiłem więc Georgię, żeby słuchała razem z Millie, a sam postanowiłem pobycć jakiś czas z Kathleen. Dziewczynka, opatulona w mechatą czapkę i jeszcze bardziej mechaty kocyk, spała na mojej piersi, osłaniając mnie przed chłodnym wiosennym powietrzem, a ja spędzałem z nią czas, żeby upodobniła się do mnie i wiedziała, że jest moja, jak radził Henry.

Henry zamknął się w swoim pokoju. Zrobiło się późno i wszyscy byliśmy zmęczeni, lecz Millie nie potrafiła przerwać słuchania, a ja nie mogłem jej za to winić. Napięcie coraz bardziej rosło, lecz chociaż miałem ochotę włożyć do magnetofonu ostatnią kasetę i ominąć pozostałe, nie miałem prawa tego zrobić. Poza tym, jak znałem Taga, to nie mogło być takie proste.

Nagle Georgia otworzyła okno, to najbliżej mojej głowy, jakby w pokoju zrobiło się zbyt duszno od nadmiaru emocji. I znowu słyszałem każde słowo mojego przyjaciela, który próbował wyrazić coś, co ja potrafiłbym oddać wyłącznie za pomocą obrazów.

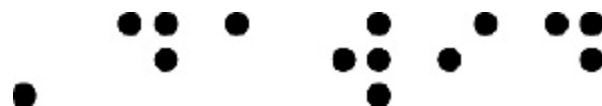
Kiedyś powiedziałem Georgii, że gdybym miał ją namalować, użyłbym każdego koloru. Niebieskiego, złotego, białego i czerwonego. Brzoskwiniowego, kremowego, brązowego i czarnego. Czarnego dla mnie, bo chciałem zostawić na niej swój ślad. Moje piętno. I zostawiłem, chociaż nie do końca takie jak chciałem. Moje myśli popłynęły w stronę syna, który był bardzo podobny do mnie. Nie mogłem o tym powiedzieć Henry'emu, bo nie spędziłem z synem nawet jednego dnia, a ten i tak był do mnie podobny.

— Hej, mały — szepnąłem, zastanawiając się, czy mnie słyszy. — Tęsknię za tobą. — Poczuję ten sam słodko-gorzki smak na języku, który pojawiał się, gdy wypowiadałem jego imię, lecz i tak je wypowiedziałem, tak samo jak zawsze. — Miej oko na Taga, Eli. Udaje twardziela, ale wydaje mi się, że ucieka z przerażenia.

— Nie chcę odchodzić — rozbrzmiał za mną głos Taga.

Wzdrygnąłem się i zakląłem głośno, aż Kathleen załkała na moich ramionach.

Gdy sobie uświadomiłem, że Millie zmieniła kasetę i że to tylko głos Taga dobiegający do mnie przez okno, nic więcej, zakląłem po raz kolejny.



— NIE CHCĘ ODCHODZIĆ — jęknąłem. Staliśmy na ganku i było zimno, ale nie miałem ochoty wracać do domu. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek będę miał na to ochotę.

— To nie odchodź — odparła Millie zdecydowanie. Tuliliśmy się przez całą noc, co nadszarpywało moją siłę woli. Za dziesięć dni miałem walkę z Santosem, lecz walczenie było ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślałem. Musiałem iść do domu. Musiałem się wyspać. Musiałem wstać wcześniej rano i pójść na siłownię. Ale nie chciałem odchodzić.

— Boję się ciemności, więc chyba będę musiał poczekać do rana — szepnąłem. Próbowałem ją rozśmieszyć, lecz z niewiadomych przyczyn moje słowa zabrzmiały prawdziwie. Skrzywiłem się i jednocześnie ucieszyłem, że nie może zobaczyć mojej twarzy. Ale ona była bardzo wyczulona na niuanse głosu i nie umknęło jej to. Zesztywniała lekko. Poczułem to, ten dreszcz przeszywający jej ramiona, który dotarł aż do jej spoczywających na moim torsie dłoni.

— Naprawdę boisz się ciemności? — spytała, a ja po raz kolejny dałem się odwieść od tematu.

— Niezupełnie. Raczej ciasnych pomieszczeń. Ciemnych, ciasnych pomieszczeń. W dzieciństwie chorowałem na astmę. Wydaje mi się, że chodzi o to uczucie, że nie da się oddychać, o tę bezradność. O bycie uwięzionym.

— Rozumiem. W takim razie nie będę cię zmuszała do spania ze mną w mojej trumnie.

— Racja... Jesteś wampirem. Zapomniałem. — Uśmiechnąłem się, a ona najwyraźniej usłyszała to w moim głosie, bo też się uśmiechnęła.

— Ale ciemność jest olbrzymia. Nie musisz się jej obawiać. Jeśli poczujesz się uwięziony lub bezradny, zamknij oczy, a będziesz miał tyle przestrzeni, ile zapragniesz.

Przytaknąłem i pocałowałem ją w czoło, bo była tak poważna i jednocześnie urocza.

— Zamknij oczy. No dalej, zamknij — nakazała.

Posłuchałem, lecz natychmiast zakręciło mi się w głowie, więc chwyciłem się jej. Moja równowaga była ostatnio rozchwiana, co tłumaczyłem sobie pożądaniem.

— Nie bój się. — Słyszałem uśmiech w jej głosie. — Jestem tuż obok. Dotykam cię i jesteś bezpieczny. — Bawiła ją ta gra.

— Zjedź w dół.

— Co? — spytała.

— Masz dłonie na moim torsie — stwierdziłem.

— Aha, mam.

— Zjedź nimi niżej. Powiem ci, gdzie się zatrzymać — zażądałem.

Wybuchła śmiechem, bo nagle zrozumiała, o co mi chodzi.

— Nie masz pojęcia, jak często wykorzystywałam to, że jestem niewidoma, żeby „przypadkiem” kogoś dotknąć.

— Naprawdę? — spytałem zaskoczony.

— Nie. Niezupełnie. A teraz ciii! — poleciła. — Muszę ci się trochę przyjrzeć.

Przełknąłem ślinę, gdy jej dłonie zsunęły się po mojej klatce piersiowej, muskając każdą wypukłość i każde wgłębienie mojego umięśnionego brzucha. Jeśli to w ogóle możliwe, czułem się bardziej nagi i odsłonięty niż kiedykolwiek w towarzystwie kobiety, chociaż nie byłem rozebrany. Fakt, że mnie nie widziała, jeszcze bardziej uwrażliwiał mnie na to, z jaką uwagą studiowała każdy szczegół. Wsunęła mi dłonie pod koszulkę, a ja uśmiechnąłem się z ustami przy jej włosach. To było jednocześnie łaskoczące i podniecające.

— Twoja skóra jest gładka. Ale ma też wypukłości. Lubię wypukłości, jak wiesz.

Zachichotałem, myśląc o brajlu i „wypukłościach” w jej domu, które pomagały jej odnaleźć się w świecie. Jednocześnie próbowałem pohamować jęk, gdy przebiegła palcami po nabrzmałości mięśni grzbietu, oparła głowę na mojej piersi i przyciągnęła mnie do siebie. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy. Miała bardzo gładkie i miłe w dotyku włosy.

— Zamierzam cię bardzo często dotykać — wyznała szczerze.

— Nie przeszkadza mi to — odparłem wspaniałomyślnie.

— Ale to, czego nie mogę dotknąć, będziesz musiał mi opisać.

— Okej.

— Twoje oczy... jakiego są koloru? — spytała.

— Zielonego.

— Jak trawa?

— Tak, może trochę jaśniejsze.

— A twoje włosy?

— Ciemne i jasne. Takie i takie. Twoje są czekoladowe, a moje... — Zastanawiałem się przez chwilę, próbując wymyślić stosowny opis. — Naprawdę muszę je opisywać? Możesz je poczuć. — W odpowiedzi przeczesła je dłonią, a ja starałem się przy tym nie mrużyć.

Potem wzięła moje dłonie i położyła sobie na twarzy.

— A teraz spójrz na mnie tak, jak ja na ciebie patrzę.

Z zamkniętymi oczami przebiegłem palcami po jej kościach policzkowych, żeby zobaczyć ją tak jak ona mnie.

— Masz wysokie i wyraźne kości policzkowe, a twoja twarz kształtem nieco przypomina serce — obwieściłem, chociaż miałem w głowie obraz jej twarzy, gdy wodziłem po niej palcami.

— Mam wysokie czoło — przerwała mi.

— I spiczasty podbródek — dodałem.

Znalazłem palcami jej jedwabiste włosy i założyłem je za uszy.

— I wielkie uszy — stwierdziła.

Obejrzałem je palcami.

— Masz piękne uszy — odparłem. To była prawda. Drobne, pełne szczegółów, delikatne spirale w kształcie pyłajników, zawsze wyczekujące odpowiedzi.

— Jaka jest twoja ulubiona część mojej twarzy? — spytała Millie, gdy już jakiś czas jej dotykałem.

Zsunąłem się do jej ust i przycisnąłem poduszki kciuków do najpełniejszej części dolnej wargi. Potem delikatnie ją odchyliłem.

— Ta. To jest moja ulubiona część.

— Bo możesz mnie całować? — Aj, moja dziewczyna wiedziała, jak flirtować. Podobało mi się to.

— Tak — odparłem. I zrobiłem to. Pocałowałem ją delikatnie i słodko. A potem jeszcze raz. I znowu, bez końca, przez długie minuty, aż nasze usta zrobiły się obolałe i wiedziałem, że musimy przestać. Ale zatopiłem się w nich znowu, wsuwając język między jej gładkie zęby i dotykając jej języka, bo te muśnięcia były takie przyjemne, a jej smak wzniecał płomień w dole mojego brzucha.

— Nie chcę odchodzić — powtórzyłem. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciał.



MILLIE PRÓBOWAŁA zaciągnąć mnie znowu do kościoła, ale ja miałem dla niej niespodziankę. Mieszkaliśmy w mieście, które szczyliło się jednym z najświetniejszych chórów świata, i wybieraliśmy się, żeby go posłuchać. Wykręciłem parę rąk i wykonałem parę telefonów, żeby zdobyć pozwolenie na uczestnictwo w próbie. Nie chciałem dzielić się tym doświadczeniem z tłumem i liczyłem na to, że kompletnie zaskoczę Millie, jeśli po prostu wprowadzę ją do środka i posadzę w pierwszej ławce. Gdyby były tłumy, spodziewałaby się jakiegoś występu. Brak tłumy oznaczał absolutną niespodziankę.

Była podekscytowana, miała zaróżowione policzki i uśmiechała się szeroko, nachylając się do mnie i ściskając moje ramię jak zniecierpliwione dziecko.

— Jesteśmy w kościele? — szepnęła teatralnie.

— W pewnym sensie.

— Nie czuję, żeby tu było tłumnio. Są tu jacyś ludzie?

— W pewnym sensie.

Uniosła brwi i uszczypnęła mnie w ramię.

— Jakim cudem ludzie mogą tu być „w pewnym sensie”? Albo są, albo ich nie ma.

— Są tu inni ludzie... ale oni nie chodzą do kościoła.

— Okeeej — stwierdziła z powątpiewaniem. Widziałem, że nie może już usiedzieć z podekscytowania.

Całą tylną ścianę zajmowały organy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Gdy organista zaczął grać, poczułem wibracje w tylnych zębach, a włosy na karku stanęły mi dęba. Millie westchnęła. Chwyciłem ją za rękę i zamknąłem oczy, żeby doświadczać tego tak jak ona. Wtedy chór zaczął śpiewać. Nagle niespodziewanie spłynęła na nas ściana dźwięku. Jego potęga i precyzja przenikały przez skórę i rozlewały się wzdłuż kręgosłupa i niżej, aż do stóp.

Zapomniałem o tym, że chciałem mieć zamknięte oczy. Zamiast tego wpatrywałem się w Millie, która uniosła podbródek, jakby wygrzewała się w padających na jej twarz dźwiękach. W przeciwieństwie do mnie zamknęła oczy i rozchyliła usta, przez co wyglądała, jakby czekała na pocałunek. To był hymn wielkanocny, w którym chór radośnie obwieszczał, że Pan powstał z martwych, czemu wtórowało „alleluja” w triumfalnych harmoniach.

— Tak musi brzmieć niebo. Nie sądzisz? — zapytała Millie, lecz ja milczałem, bo nie chciałem zepsuć tej chwili swoją opinią na temat brzmienia nieba. W moim ograniczonym wyobrażeniu w niebie panowała cisza. Cisza tak przenikliwa i absolutna, że miała masę. Miała wagę. Ta cisza emanowała smutkiem,

grzechem, żalem, wyrzutami sumienia i poczuciem utraty. Utraty tego, co mogło być, i tego, czego nigdy nie będzie. Utraty miłości, życia, możliwości wyboru. Czułem to wszystko, gdy przełykałem buteleczkę tabletek i podcinałem sobie nadgarstki. Straciłem świadomość tylko po to, żeby zyskać jeszcze większą świadomość i uważność. Ta cisza była ogłuszająca. Nie było w niej ciemno, lecz jasno. Tak jasno, że nie dało się siebie nie widzieć i nie dało się niczego ukryć. Nie podobało mi się to.

Chociaż lamentowałem i protestowałem, gdy ściągano mnie z powrotem na ziemię, z nieba lub piekła, cokolwiek to było, to byłem też wdzięczny. A wdzięczność napełniała mnie poczuciem winy. Dopiero gdy poznałem Mojżesza, niebo stało się czymś innym. Mojżesz widział ludzi, którzy umarli, lecz to ich nie zatrzymywało. W niebie Mojżesza nie było ciszy. Wypełniały je wspomnienia, chwile i barwy. On przywracał zmarłych do życia. Malował ich. Nie chciał tego wszystkiego widzieć, ale nie miał wyboru. Musiał się z tym pogodzić. A gdy to zrobił, ja podążyłem w jego ślady, nieustępliwy w swoim oddaniu, chociażby dlatego, że Mojżesz zobaczył moją siostrę, której ja miałem już więcej nie widzieć, i znał odpowiedzi, których nikt inny nie znał — nawet jeśli przez nie śmierć wydawała się jeszcze bardziej kusząca. Przynajmniej nie była końcem. Co do tego miałem pewność.

Może dla Millie niebo było miejscem, które brzmiało jak anielskie chóry i organy, bo wtedy czuła się ożywiona. Dla niej wszystko sprowadzało się do dźwięków, a nie do widoków. Nie do kolorów, jak w przypadku Mojżesza. Ale dla mnie niebo było czymś innym. Brzmiało jak dzwon na rozpoczęcie rundy, smakowało adrenaliną, paliło jak pot w oczach i ogień w brzuchu. Wyglądało jak rozszalałe tłumy i przeciwnik, który pragnie mojej krwi. Dla mnie niebem był oktagon.

— Wiesz, że we wtorek wieczorem mam walkę z Santosem, prawda? — Podejrzewam, że to nie była najlepsza chwila na poruszanie tego tematu, ponieważ wciąż siedzieliśmy w Tabernakulum<sup>[1]</sup>. Włosy na moich ramionach stały prosto przez ostatnie pół godziny, gdy słuchaliśmy kolejnych pieśni. Chór śpiewał *Beautiful Savior*<sup>[2]</sup>, a ja patrzyłem na twarz Millie i myślałem o tym, jak pięknym zbawcą się okazała. Jeśli oktagon był niebem, to Millie była moim aniołem w środku. Dziewczyną, która miała moc powalenia mnie i postawienia z powrotem na nogi. Dziewczyną, o którą chciałem walczyć i którą pragnąłem zdobyć.

— Tak? — Jej usta znajdowały się zaraz przy moim uchu, żeby nasza rozmowa nie przeszkadzała w odbywającej się próbie. Nie odpowiedziałem od razu i poczekałem, aż zakończy się poruszająca interpretacja tej pieśni. Gdy organy przestały grać, a chór zamilkł, chwyciłem dłoń Millie i wyszliśmy tą samą drogą, którą weszliśmy do środka. Po drodze bezgłośnie wyszeptałem podziękowania członkowi chóru Tabernakulum, który załatwił nam możliwość wejścia. W



odpowiedzi puścił mi oczko i podniósł kciuk w górę. Millie złapała mnie mocno za ramię i nie wypuszczała, dopóki nie znaleźliśmy się na słońcu. Dopiero wtedy rozluźniła uścisk i skierowała twarz w stronę słońca, chłonąc jego ciepło i zapewniając mi wspaniały widok swojej pięknej szyi.

— Nie chcę, żebyś była na widowni w ten wtorek, Millie — wypaliłem nagle.

— Nie? — Opuściła podbródek, zapominając o słońcu.

— Nie chcę, kochanie — powtórzyłem łagodnie.

— Dlaczego? — Jej głos brzmiał płaczliwie.

— Nie będę w stanie się skupić na tym, co muszę zrobić, bo będę się o ciebie martwił.

Westchnęła, a strumień powietrza z jej ust uniósł błakające się w pobliżu kosmyki włosów.

— Gdy tylko wygram, przyjadę do ciebie — obiecałem.

— Jesteś pewien, że wygrasz?

— Tak. Wygram, uniosę dłonie nad głowę i powiem: „Joł, Millie, zrobiliśmy to!”.

— Cały Rocky Balboa. — Uśmiechnęła się.

— Właśnie. A potem przebiję się przez tłum, wypadnę przez drzwi, przebiegnę trzy przecznice, skrećę, przebiegnę następne dwie przecznice i zacznę łomotać w twoje drzwi, a ty pogratulujesz mi w sposób, jaki uznasz za stosowny. Upewnij się, że Henry będzie wtedy z Robin.

Zaśmiała się, ale widziałem, że wcale nie jest jej do śmiechu. Zapadło milczenie i ruszyliśmy w stronę samochodu. Teren wokół Tabernakulum był świetnie utrzymany i idealny na spacer, nawet jeśli Millie nie mogła podziwiać krajobrazu.

— Nie jestem ze szkła, Dawidzie — powiedziała cicho.

— Wiem.

— Naprawdę? Bo wydaje mi się, że gdybym widziała, chciałbyś mnie na widowni.

— Może — przyznałem, kiwając głową. — Ale nie widzisz. A to, że miałabyś siedzieć w tłumie wśród wpadających na ciebie i popychających cię ludzi i słuchać odgłosów walki, nie wiedząc, czy wygrywam, czy przegrywam, wydaje mi się niepotrzebnym okrucieństwem. Nie chcę tego. Będziesz się o mnie martwić, a ja będę się martwił o ciebie, a martwiąc się o ciebie, nie będę w stanie skupić się na tym, na czym powinienem się skupić.

— Ale Tag, to tak mniej więcej powinno wyglądać. Ja troszcę się o ciebie, a ty o mnie. To się nazywa związek. — Jej głos był pełen frustracji. Zwróciłem też

uwagę na to, że nazywała mnie „Tag”, gdy była nieco na mnie zirytowana.

— Ja chronię cię, ty chronisz mnie. — Nie odpuszczałem. — Tak to powinno wyglądać. Ty chronisz mnie, będąc bezpieczną podczas mojej walki, żebym się nie rozpraszał. A ja chronię cię, upierając się przy tym.

Westchnęła znowu. Zatrzymałem się i odwróciłem ją twarzą do siebie. Delikatnie, czubkami palców, wygładziłem jej czoło i bruzdę między brwiami, a potem dotknąłem jej poważnych ust i rozciągnąłem je na boki, zmuszając ją do uśmiechu.

Chwyciła moją dłoń i skubnęła zębami palce, przygryzając je nieco mocniej niż dla zabawy, żeby okazać mi swoją frustrację.

— Na FightNet będzie transmisja. Kanał sportowy FOX też ma kręcić, ale chyba puszczą to dopiero później. Ale na FightNet możesz oglądać na żywo. Możesz się zalogować na stronie i puścić sobie to w domu. Mikey komentuje na żywo walki Tag Team. Jest w tym dobry, Millie, a ja powiem mu, że będziesz słuchała, i poproszę, żeby opowiadał nieco bardziej szczegółowo niż zwykle. Tak, żebyś dokładnie wiedziała, co się dzieje i kiedy się dzieje.

Potrząsnęła głową, jakby ten pomysł wcale się jej nie podobał.

— Proszę, Millie — szepnąłem.

— Nie chcę, żebyś był samotny. Nie powinnam cię zostawiać w takiej chwili — zaprotestowała.

— Każdy walczy sam, Millie. To nie jest coś, w czym możesz mi pomóc.

— Okej — szepnęła.

— Okej? — spytałem.

— Okej — potwierdziła.

Pocałowałem ją z wdzięcznością, niemal rozpaczliwie, a ona oddała mi pocałunek. Czułem w nim jednak jej ból i niepewność tej decyzji.

Odwiozłem ją do domu, lecz nie wchodziłem do środka, a ona nie dąsała się ani nie docinała mi z tego powodu. Byłem przepełniony energią, nerwowością i zniecierpliwieniem. Miałem czterdzieści osiem godzin na mentalne przygotowanie się do walki i musiałem mieć oczyszczony umysł, bez żadnych rozproszeń. Nawet pięknych.

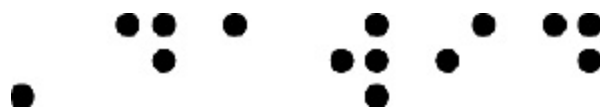
— Pojawisz się tu we wtorek w nocy, niezależnie od tego, która będzie godzina? — spytała z jedną dłonią na klamce, z laską w drugiej.

— Tak — obiecałem. Zakrwawiony, posiniaczony czy pobity, ale zjawię się.

— Będę słuchać, kibicować i czekać — odparła krótko. Otworzyła drzwi samochodu, stanęła na ziemi, a ja patrzyłem, jak wchodzi do domu i starannie

zamyka drzwi.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

MILLIE NIE BYŁO na walce. Teraz to do mnie dotarło. Wtedy byłem zbyt naładowany energią tłumu i rozgłosem wielkiego wydarzenia, żeby zauważyć brakującą kobietę, szczególnie że nie była to *moja* kobieta.

Georgii też nie było. Pocałowała mnie i powiedziała, że małe dzieci i burdy nie pasują do siebie, dlatego powinienem pójść bez niej. Stwierdziła, że zostaną z Kathleen w domu i znajdą sobie jakieś dziewczynskie zajęcia. Wiedziałem, że te „dziewczyńskie zajęcia” oznaczają zasadniczo, że Georgia nakarmi i wykąpie Kathleen, a potem ukołysze ją do snu i sama położy się wcześniej, ale udawałem, że nie wiem.

Dlatego byłem tam sam. Siedziałem w pierwszym rzędzie z kilkoma członkami Tag Team, którzy nie pracowali w narożniku Taga, i widziałem, jak Tag dumnie wkracza na arenę wśród dźwięków piosenki Waylona Jenningsa o kowbojach, których trudno kochać i trudno przy nich wytrwać. Ludzie wiwatowali i przyłączyli się do śpiewania refrenu, bo Tag ich do tego prowokował. Zaśmiałem się. Tak bardzo się o niego martwiłem, że niemal widziałem podwójnie, a on zachowywał się jak wielki goryl, skacząc przed wypełnioną po brzegi areną, uśmiechając się szeroko i prężąc mięśnie. W ogóle nie było po nim widać zdenerwowania, a gdy pochwycił moje spojrzenie, błysnął uśmiechem i uderzył się pięścią w tors.

Z kolei Bruno Santos wszedł na arenę w błyszczącym białym szlafroku z tak głębokim kapturem, że było widać wyłącznie podbródek. Wybrana przez niego piosenka miała tak ciężki bas, że nie byłem w stanie rozróżnić słów, chociaż wyłapałem coś o „destrukcji” i „anihilacji”. Skakał na palcach, potrząsając ramionami i głową, a ja nagle zacząłem żałować, że nie zostałem w domu z Georgią. Strasznie męczyło mnie troszczenie się o innych, ale obserwowanie walki Taga było jeszcze bardziej męczące. Przewracało mi się w żołądku, a patrząc na swojego przyjaciela, marzyłem o tym, żeby jak najszybciej to zakończył.

Oczywiście tak nie zrobił. Ale walczył. Walczył ostro i brutalnie, otrzymując co najmniej tyle ciosów, ile sam zadał. I jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby lepiej walczył po przyjęciu kilku ciosów w twarz. Tak jak mówiły słowa piosenki, trudno było przy nim wytrwać. Ale zdecydowanie nie było trudno go kochać. Widownia stała po jego stronie, a gdy w czwartej rundzie wyrwał się z bliskiego zwarcia, cudem unikając blokady na szyi, na co zareagowałem skurczem

żołądka i łzami w oczach, tłum oszalał.

I gdy wszystko wskazywało na to, że walka skończy się werdyktem sędziego, rzadko faworyzującego pretendenta do tytułu, Tag wymierzył Santosowi w skroń potężny sierpowy, który wzbudził entuzjazm tłumy i zachwiał jego przeciwnikiem. Santos się potknął, a Tag dopadł go, młóćąc pięściami. Santos zasłaniał głowę i nie oddawał ciosów. To był koniec. Zwycięstwo Taga przez nokaut techniczny. Wstałem, podskakując i wiwatując z resztą zespołu, a zalewająca mnie ulga podsyciała szaleńczą radość.

Co ciekawe, w ogóle się nie zorientowałem, że Millie tam nie było, chociaż zwróciłem uwagę na to, że Tag nie został zbyt długo po walce. Zazwyczaj na koniec bardzo się udzielał — wywiady, gratulacje, uściski dłoni i załatwianie interesów. Tym razem jednak wyszedł ze mną. Odprowadziłem go do samochodu, a impreza potoczyła się dalej już bez nas. Ja wróciłem do żony, a on najwyraźniej pojechał do Millie.

\*\*\*

---

[1] Chodzi o Salt Lake Tabernacle, budynek przy świątyni mormonów w Salt Lake — *przyp. tłum.*

[2] *Beautiful Savior* (ang.) — „piękny zbawca” — *przyp. tłum.*

# Czternaście



DOPIERO DWIE GODZINY po walce udało mi się spełnić złożoną obietnicę. Wywiad, prysznic, masaż tkanek głębokich, kolejne kilka wywiadów... W końcu jednak wyrwałem się z tych celebracji i ruszyłem do Millie. Byłem obolały i połknąłem kilka tabletek przeciwbólowych, lecz wciąż czułem zalewającą mnie adrenalinę i pragnąłem się zobaczyć ze swoją dziewczyną.

Musieli mnie wypatrywać, bo Henry wypadł przez drzwi wejściowe i skakał wokół samochodu, zanim jeszcze z niego wysiadłem. Millie stała z laską na ganku i czekała na mnie, tak jak obiecała.

— Tag! — Henry strzelał palcami, wyraźnie zachwycony moim przyjazdem. — Czterdzieści procent walk w kategorii półciężkiej kończy się przez TKO lub KO<sup>[1]</sup> — wyrecytował. Dobrze było widzieć, że przyswoił sobie żargon. Objąłem go i ruszyliśmy w stronę domu. — Amelie płakała przez całą walkę. A gdy powiedziałem jej, że krwawisz z nosa, zatkała uszy.

— Henry — westchnęła Amelie karcąco, ale wyciągnęła do mnie dłoń. Puściłem Henry'ego i przyciągnąłem ją do siebie. Wsunęła się pod moje prawe ramię, po czym we trójkę weszliśmy do przedpokoju i zamknęliśmy drzwi.

— Sędzia przerwał walkę! To dlatego, żebyś nie zabił Santosa? Wściekłeś się, że rozwalił ci nos? — Henry boksował w powietrzu, skacząc po przedpokoju.

— Nie, to mnie tylko skłoniło do podwojenia starań. — Zaśmiałem się z entuzjastycznego sprawozdania Henry'ego.

— Wszyscy krzyčili „Tag Team”! Ja też zacząłem krzyczeć! Cały tłum miał koszulki Tag Team! — Henry był tak pobudzony, że niemal lewitował. Przypomniało mi się, że trzymam jedną w dłoni.

— Dobrze, że o tym powiedziałeś! Mam dla ciebie jedną. — Rzuciłem mu

koszulkę, a on założył ją na bluzę z Bryantem. Koszulka na chwilę go uciszyła, gdyż podziwiał się w zdobionym lustrze wiszącym na prawo od schodów.

— Dla ciebie też mam, Millie — szepnąłem. — Ale zostawiłem ją w samochodzie. Jest w twoim ulubionym kolorze.

— Czy jest na niej napis: „Mój chłopak bił się z Santosem, a ja dostałam tylko tę marną koszulkę”? — spytała ironicznie z błakającym się po twarzy uśmiechem.

— No wiesz, to było okrutne! — jęknąłem, ale nachyliłem się do niej i musnąłem ustami jej usta, obejmując ją obiema rękami. Ona także mnie objęła i przycisnęła mocno, kładąc twarz na mojej piersi.

— Przebaczam ci — szepnęła. — Ale już nigdy więcej nie zostanę w domu. To było najbardziej dręczące doświadczenie w moim życiu.

— Powiedziałem ci, że wygram. I że przyjdę. No i jestem — odpowiedziałem, muskając jej włosy.

— Wyjdiesz za nas, Tag? — spytał Henry z zaciekawieniem, wtrącając się z powrotem do rozmowy.

— Co? — Nie byłem pewien, czy dobrze go zrozumiałem.

— Czy ożenisz się z Millie i będziesz moim bratem? — powtórzył ze śmiertelną powagą. To nie były wygłupy. — Chcemy być częścią Tag Team.

Roześmiałem się i spojrzałem na Millie. Jej twarz wyglądała jak sparalizowana, a jej plecy zeszytniały w chwili, gdy Henry wypowiedział te słowa. Uwolniła się z moich objęć i sięgnęła po odstawioną na bok laskę, jakby potrzebowała jakiegoś innego punktu podparcia poza mną.

— Z punktu widzenia statystyki sportowcy z ustabilizowaną sytuacją rodzinną mają większą wytrzymałość i skuteczność, silniejszą psychikę i ogólnie lepsze wyniki niż sportowcy, którzy są rozwiedzeni lub przed ślubem — wyjaśnił Henry mechanicznym głosem, a ja oderwałem wzrok od zdumionej twarzy Millie.

— Wymyśliłeś to, Henry? — Błysnąłem zębami w uśmiechu.

Henry wyglądał na zagubionego, jakby wymyślanie ciekawostek sportowych na poparcie swoich argumentów było zwyczajnie niemożliwe. Może i takie było. Może w świecie Henry’ego, w którym fakty były znane, a granice wyraźnie wytyczone, kłamstwo w ogóle nie wchodziło w rachubę.

— Jesteś już częścią Tag Team, Henry — powiedziałem spokojnie. — Masz koszulkę, która tego dowodzi. Przyniosę ci ich tyle, ile chcesz, w każdym możliwym kolorze, i możesz być w moim narożniku.

Henry przechylił głowę, rozważając moją ofertę, ale na jego twarzy malowało się wyraźne rozczarowanie. Millie odwróciła się, otworzyła drzwi i szybko wyszła z domu.

— Millie! — zawołałem za nią, ale nie zatrzymała się. Słyszałem tylko stukanie jej laski na chodniku przed budynkiem.

— Oj, Henry, coś ty narobił? — Zaśmiałem się, co mnie zaskoczyło. Tak samo jak mój względny brak reakcji na słowo na „m”. Gdy dziewczyny zaczynały rzucać aluzje dotyczące jakiegokolwiek rodzaju związku, była to zawsze nasza ostatnia randka. Bez wyjątku. Byłem świetny w tej zabawie w berka. Nikt nigdy mnie nie złapał.

Zawsze myślałem, że w końcu się ożenię. Gdy będę miał osiemdziesiąt lat. Ale Henry mi się oświadczył, a ja nawet w najmniejszym stopniu nie czułem się zaalarmowany. Tak naprawdę myśl o poślubieniu Millie sprawiła, że przyspieszył mi puls. Poczułem mrowienie w dłoniach. A moje serce uśmiechało się tak szeroko, że czułem, jak krawędzie tego uśmiechu szturczą mnie w zębra. Albo zacząłem odczuwać ból po walce z Santosem.

— Ze względu na straty wielu zawodników służących w wojsku w trakcie drugiej wojny światowej drużyny Pittsburgh Steelers i Philadelphia Eagles połączyły siły i w sezonie w czterdziestym trzecim wystąpiły jako Steagles — wyrecytował Henry.

— Co? Steagles? — Wbijałem wzrok w Henry’ego, chociaż powinienem teraz pobiec za Millie.

Henry przytaknął beznamiętnie.

— Moglibyśmy to zrobić. Połączyć siły. Bylibyśmy Taggersonami.

— To bardzo interesujący pomysł, Henry — przytaknąłem, gryząc dolną wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. — Ale muszę przekonać do niego Millie. Nie jestem pewien, czy jest już gotowa zostać Taggersonem.

— Andert? — Henry zaoferował następną kombinację, ale skrzywił się i potrząsnął głową, jakby nie brzmiała już aż tak dobrze.

— Daj mi chwilę, to sprawdzę, co na to Millie, okej?

Henry uroczyście podniósł kciuki w górę i usiadł na dole schodów, czekając na werdykt.

Wypadłem przez drzwi na chodnik, rozglądając się na prawo i lewo. Miałem nadzieję, że Millie nie poszła gdzieś, gdzie nie będę umiał jej znaleźć. Zobaczyłem ją niedaleko następnej przecznicy.

— Millie! — Wyglądała, jakby kierowała się w stronę kościoła. Pędziłem wielkimi susami, żeby ją dogonić, i wołałem za nią, czując przez to każdy otrzymany tej nocy cios. — Millie! Zaczekaj, kochanie. Zabijesz mnie.

Zatrzymała się, ale się nie odwróciła. Stała sztywno, trzymając przed sobą laskę. Niczym milcząca pasterka, jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

— Millie. — Zwolniłem do marszu i podszedłem do niej. Otoczyłem ją rękami i chwyciłem jej laskę. Wyglądaliśmy jak ludzie w metrze trzymający się tej samej rurki. Potem delikatnie zabrałem jej laskę, żeby musiała oprzeć się o mnie. — Dlaczego uciekasz?

— Pytanie brzmi: dlaczego ty nie uciekasz? — spytała, przygryzając wargę.

— Chcesz zostać Taggersonem, Millie? — szepnąłem, uwalniając zębami jej wargę i całując ją w usta.

— Kim? — odszepnęła bez tchu.

— Czy może lepiej Andertem? — Musnąłem ją znowu ustami, a jej wargi nieznacznie się rozchyliły w oczekiwaniu na nieco większy nacisk. — Henry uważa, że powinniśmy połączyć swoje nazwiska — wyjaśniłem.

Millie jęknęła. Czułem, jak zażenowanie wypływa z niej falami.

— Henry zdecydowanie powinien przestać prosić dorosłych mężczyzn o rękę — poskarżyła się.

— Tak... Jest trochę za młody na tego rodzaju zobowiązanie. — Pocałowałem jej górną wargę, a potem dolną, żeby ją ukoić i dodać otuchy. I na kilka długich minut zapadła cisza.

— Dawidzie? — szepnęła, gdy w końcu pozwoliłem jej złapać oddech.

— Tak? — Zatopiłem się w niej znowu, bo nie mogłem się powstrzymać. Smakowała jak zimna woda i ciepłe życzenia, a ja tonąłem, pławiłem się w tym i zupełnie zapomniałem o walce, napuchniętym policzku i obolałych żebrach.

— Zakochałam się w tobie — wyznała cicho. Poczułem jej słowa na swoich ustach i ich kształt w swojej głowie. Staliśmy bez ruchu, pozwalając im wirować wokół nas. Powietrze nagle zrobiło się kwitnące i pełne życia, eksplodowało barwami i dźwiękami. Świat był zaczarowany, a ja byłem w nim królem.

— Ja też się w tobie zakochałem — powiedziałem bez najmniejszego zawahania. Słowa wypłynęły z moich ust z łatwością, z jaką wypowiada się absolutną prawdę.

Jasny gwint.

Zakochałem się w Amelie Anderson. Zakochałem się w niewidomej dziewczynie i nagle zobaczyłem to wszystko bardzo wyraźnie.

Millie odchyliła głowę i obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem, pod wpływem którego sam też się uśmiechnąłem.

— Czy to oznacza, że będziesz nosiła moją koszulkę? — spytałem.

— Z dumą — odparła.

Staliśmy na środku chodnika skąpani w łagodnej bieli światła latarni ulicznych, a



ja pocałowałem Millie ze świętym przekonaniem, że jej nie opuszczę. Nigdy.

Odprowadziłem ją do domu i nie rozmawialiśmy już o Taggersonach i Andertach. Millie wyjaśniła Henry'emu surowym głosem, że jest zbyt młody na małżeństwo i że powinien się zadowolić koszulką. Wyglądał na nieco zirytowanego takim obrotem spraw, a ja spojrzałem na niego i wzruszyłem ramionami, jakby to nie była moja decyzja. Dałem mu koszulki na każdy dzień tygodnia i dodałem jedną dla Ayumi, co go trochę udobruchało.

Ale ziarno zostało zasiane.

Znałem Millie od dwóch miesięcy, lecz jeszcze nigdy w życiu niczego nie byłem tak pewien. Stałem już w połowie drogi do ołtarza i czekałem tylko, aż mnie dogoni.



PO WALCE z Santosem atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej gorączkowa, co kompletnie mnie wyczerpywało. Po raz pierwszy w życiu czułem się zmęczony. Dziwne uczucie. Zorientowałem się, że mam ochotę po prostu przebywać z Millie i Henrym, i że w ich domu spędzam więcej czasu niż w swoim. Co więcej, zacząłem czuć się u nich jak u siebie. Tak bardzo, że pewnej nocy zasnąłem na kanapie, oglądając z Henrym mecz. Obudziła mnie muzyka.

Millie siedziała plecami do mnie na podłodze na środku salonu i trzymała gitarę na skrzyżowanych nogach. Mecz najwyraźniej się skończył i Henry przypuszczalnie poszedł spać. Będę mu to musiał jakoś wynagrodzić, chociaż nie żałowałem przegapienia rozgrywki. Nigdy nie byłem zbyt dobrym widzem. Wołałem grać.

Obserwowałem Millie przez kilka utworów. Grała z pochyloną głową, jakby podobało się jej skrzypienie strun. Trzymała gitarę niemal pionowo do góry, a ja słuchałem bez słowa, pozwalając jej myśleć, że śpię. Zawsze mnie zaskakiwała. Wiedziałem, że potrafi grać, ale nie miałem pojęcia, jak cholernie jest w tym dobra.

— Dlaczego nigdy wcześniej dla mnie nie zagrałaś? — spytałem cicho zaspanym, ale zadowolonym głosem.

— Obudziłeś się — odparła. Wyczułem w jej słowach uśmiech.

— Obudziłem się, a ty jesteś piękna i musisz do mnie przyjść.

Zignorowała mnie i przebiegła palcami po strunach.

— Gdybyś był akordem, Dawidzie, to jaki byłby to akord? — spytała w zadumie, grając jeden akord za drugim.

Słuchałem jej poszukiwań.

— O, mam jeden dobry. Smutny — powiedziała, uderzając cicho w struny.

— Myślisz, że jestem smutny? — spytałem.

— Nie. Zdecydowanie nie. To nie twój akord. Nie pasują ci akordy molowe.

— Absolutnie nie. Jestem w każdym calu durowy. Durowy akord dla dumnego ogiera. — Zaśmiała się i westchnęła. Nie miałem pojęcia, która jest godzina, lecz złotawy blask pobliskiej lampy i ciepłe dźwięki sprawiały, że moje powieki robiły się ociężałe, a serce lekkie.

— To akord Henry’ego. — Millie zagrała coś dysonansowego i intrygującego. Zaśmiałem się na głos, bo to doskonale do niego pasowało. — Ale ty musiałbyś brzmieć głębiej — dodała.

— Bo jestem seksownym facetem — stwierdziłem przeciągłym głosem.

— Tak. Bo jesteś seksownym facetem. Potrzebujemy też czegoś dźwięcznego.

— Bo jestem seksownym Tekszańczykiem.

— Seksownym Tekszańczykiem z Utah. — Spróbowała kilku innych akordów, śmiejąc się i marszcząc nos. — To musi też być coś słodkiego.

— Słodkiego i brutalnego? — spytałem.

— Seksownego, dźwięcznego, słodkiego i brutalnego. To może być trudniejsze, niż myślałam — stwierdziła, wciąż chichocząc.

Zagrała coś pełnego i niskiego. Najpierw uderzyła każdą strunę z osobna, a potem wszystkie razem.

— Oto on, słyszysz? To Tag.

— Podoba mi się — przyznałem z zadowoleniem.

Wyciągnęła dłoń, przyłożyła mały palec do najwyższej struny i akord nieznacznie się zmienił. Pojawiła się kolejna warstwa, o nieco innym brzmieniu, jakby akord nie był do końca zdecydowany.

— A to jest Dawid.

Usiadłem za nią na podłodze, położyłem dłonie na jej udach i przyciągnąłem ją do siebie, między swoje nogi. Oparła się o mnie, wsunęła głowę pod mój podbródek i nadal uderzała akord, który nazwała moim imieniem.

— Zagraj mi swoją piosenkę, Millie.

— Chodzi ci o mój akord?

— Nie. Piosenkę. Jesteś kobietą. Dla kobiet jeden akord to za mało.

Zaśmiała się cicho i stuknęła mnie w głowę główką gitary.

— Cieszę się, że to wiesz, ale w sumie wolałabym, żebyś nie wiedział tak wiele

na temat kobiet. Zastanawiam się, jak zdobyłeś całą tę wiedzę, i zaczynam być trochę zazdrosna.

— Dorastałem z trzema siostrami i jedną bardzo upartą matką. Uczyłem się od najmłodszych lat.

— Dobra odpowiedź, wielkoludzie.

— To prawda, kochanie. No więc zagraj. Zagraj swoją piosenkę.

— Jeszcze jej nie skomponowałam.

— Włożysz do niej mój akord?

— Dlaczego to brzmi tak sugestywnie? — Uśmiechała się, ale w jej głosie kryła się tęskna nuta.

— Bo jestem seksownym facetem.

— Włożę twój akord do swojej piosenki. Oba: Taga i Dawida. I akord Henry'ego też.

— A co z twoją mamą? Miała swój akord?

Millie zmieniła pozycję palców i zagrała coś ciepłego i delikatnego, radosnego i jednocześnie płaczliwego.

— Ten akord to moja mama. Poznajesz go?

Myślałem przez chwilę.

— To fragment jej piosenki?

— To początek starej piosenki country. A dokładnie pierwszy akord *Blue Eyes Crying in the Rain*.

Zaśpiewałem kilka wersów. Dobrze ją znałem.

— No właśnie. Uwielbiam ją. Moja mama miała niebieskie oczy, tak jak ja i Henry. I na szczęście niezbyt często płakała. Wolała obdarzać miłością. Ale miała też w sobie pewne pragnienie. Chciała nas ochronić. Oszczędzić nam cierpień. I dać nam to wszystko, co zostało nam zabrane lub czego nam odmówiono. Pragnęła tego, ale nie była w stanie nam tego zapewnić. Mimo całej swojej miłości nie była w stanie nam tego zapewnić.

— Myślę, że nikt z nas nie jest w stanie tego zapewnić.

— To prawda. Nikt z nas. Powiedziała mi przed śmiercią coś, co przypominam sobie w trudnych chwilach. Całe życie chciała uchronić nas przed cierpieniem. Takie było jej matczyne zadanie. Ale i tak cierpieliśmy. — Millie przerwała na chwilę, jakby przypomiwała sobie tę rozmowę. Miałem ochotę pocałować jej usta, tę dolną wargę, która lekko drżała od związanych z tym wspomnieniem emocji. Zamiast tego przycisnąłem wargi do jej policzka. Całując ją w usta, ryzykowałem, że nie usłyszę dalszego ciągu tej historii. — A potem dodała:

„Chciałam oszczędzić tobie i Henry’emu cierpienie, ale uświadomiłam sobie, że dzięki cierpieniom stajecie się lepszymi ludźmi”. Umierała i obserwowała, jak próbujemy uporać się ze świadomością, że wkrótce ją stracimy.

— A jak ty myślisz? Czy cierpienie sprawia, że stajemy się lepszymi ludźmi? — spytałem.

— Chyba wszystko zależy od człowieka — odparła w zadumie.

— Może też zależeć od ilości cierpienia — dodałem, gładząc dłonią jej włosy.

— I tego, czy masz kogoś, kto trzyma cię za rękę, dzieli z tobą twój bagaż i pomaga ci uporać się z bólem. — Przytuliła się do mojej dłoni.

— Miałaś kogoś takiego, Millie? — spytałem cicho.

— Miałam. Mama nie była w stanie uchronić nas przed cierpieniem, a ja nie byłam w stanie uchronić ani jej, ani Henry’ego, ale kochaliśmy się nawzajem, dzięki czemu to wszystko było łatwiejsze do zniesienia.

— Chciałbym być dla ciebie kimś takim, Millie. Chcę się tobą opiekować. Chciałbym, żebyś przekazała mi cały swój bagaż — wyznałem i zaśpiewałem jej do ucha fragment piosenki Rolling Stonesów, zmieniając nieco słowa. — *Let me be your beast of burden, my back is broad to ease your hurtin’*<sup>[2]</sup>. — Pocałowałem ją w ucho. Chciałem ją kochać i dbać o jej bezpieczeństwo, i zarzekałem się w myślach, że zrobię wszystko. Że Amelie Anderson nie będzie już nigdy cierpiała, bo ja wezmę wszystkie nieszczęścia na swoje ramiona.

Przez chwilę pozwoliła mi muskać swoją szyję, nucąc z zadowoleniem.

— W tej piosence są też inne słowa, Dawidzie. On pyta, czy jest wystarczający. Dla niej. I ja też ciebie pytam, Tag. Jestem wystarczająca? Wiesz, *I’m not too blind to see*<sup>[3]</sup>.

Refren piosenki przetoczył się przeze mnie, a ja potrzęsnałem głową ze zdumienia. Zapomniałem o tym fragmencie.

— *Am I tough enough? Am I hard enough*<sup>[4]</sup>? — zaśpiewałem, coraz bardziej podniecony.

— Mam rozumieć, że zamierzasz dać mi wszystko, wielkoludzie? To, co dobre, to, co złe i to, co brzydkie? Bo ja pragnę cię całego. — Uśmiechnąłem się, usłyszawszy to poważne wyznanie, tę szczerą deklarację, i starałem się nie parsknąć z powodu aluzji seksualnej. Ona nie miała o niej pojęcia, więc się powstrzymałem.

Zabrałem jej gitarę i położyłem na podłodze.

— Jesteś bardziej niż wystarczająca, Mała Millie.

Odwróciła się w moich ramionach i odszukała dłońmi moją twarz, po czym

dotknęła ustami moich ust. Całowałem ją, a w tyle głowy słyszałem, jak Mick Jagger śpiewa półgłosem o zaciągnięciu zasłon i uprawianiu słodkiej miłości.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

— HALO, DOKTORZE? Tu Mojżesz Wright.

— Mojżesz! Jak dobrze cię słyszeć. — Głos doktora Andelina był jak zawsze głęboki i ciepły. Zdumiewała mnie jego umiejętność okazywania zainteresowania i sprawiania, by rozmówca od razu zaczynał się czuć lepiej i bezpieczniej. Gdy go poznałem w szpitalu w Mont-lake, był świeżo upieczonym psychologiem, może dwudziestosześcioletnim lub dwudziestosiedmioletnim, ale miał w sobie coś takiego, co sprawiało wrażenie, że jego dusza przeżyła milion żyć. Był mądry i uprzejmy i obaj z Tagiem nawet go lubiliśmy. Zrezygnowałem jednak z uprzejmości, w których Tag był znacznie lepszy ode mnie, i przerwałem doktorowi, chociaż wiedziałem, że to nieuprzejme i że uzna, iż straciłem wszystkie fundamenty wypracowane od czasu, gdy byłem opryskliwym osiemnastolatkiem pod jego opieką.

— Doktorze Andelin, wiem, że Tag odwiedzał pana dość regularnie od czasu naszego powrotu do Utah. Wiem też, że nie może mi pan powiedzieć, o czym rozmawialiście. Rozumiem to. Tajemnica lekarska i tego typu rzeczy. Nie chcę wiedzieć, co Tag mówił lub co pan mówił jemu. Ale on zniknął, doktorze. Nagle odszedł. Kocha z wzajemnością wspaniałą dziewczynę, ale ja bez przerwy widuję jego siostrę. Ona wciąż mi się objawia, a nie muszę panu tłumaczyć, dlaczego śmiertelnie mnie to przeraża.

Niezbyt spójnie wypowiadałem swoje myśli, ale odgłos szybkiego wdechu w słuchawce utwierdził mnie w przekonaniu, że Noah Andelin mnie zrozumiał.

— Czy patrząc okiem psychologa, uważa pan, że mógłby sobie zrobić krzywdę? Chodzi mi o to, że on nie jest typem samobójcy. — Urwałem nagle, bo uświadomiłem sobie, że nie wiem, czy to prawda. Słuchając nagrań Taga, nie miałem pojęcia, czy nie cofnął się emocjonalnie do czasów Montlake, gdy chciał uciec od samego siebie. Skorygowałem więc swoje stwierdzenie. — To znaczy, nie jest już typem samobójcy. W pewnym sensie stał się najzdrowszym człowiekiem, jakiego znam. Ma jednak skłonność do szaleństwa i świetnie sobie radzi z ocalaniem innych, ale nie do końca potrafi troszczyć się o samego siebie. I teraz nagle zniknął. Jak pan myśli, gdzie mógł się wybrać? Ma pan jakąś wskazówkę, która pomogłaby mi go znaleźć?

Doktor Andelin nie odpowiedział od razu. Wyobraziłem go sobie, jak się namyśla

z przechyloną głową i dłonią dotykającą twarzy.

— A skąd wiesz, czy on po prostu... nie zrobił sobie przerwy? — dokończył idiotycznie, jakby próbował wymyślić jakąkolwiek alternatywę.

— Zostawił nam kasety. Dziewczyna, z którą się spotykał, jest niewidoma. Więc nagrał się, zasadniczo mówiąc do niej.

— Amelie — dopowiedział doktor Andelin, a ja uświadomiłem sobie, że Tag musiał się z nim konsultować w jakiejś kwestii.

— Czyli wie pan o niej.

— Tak. Widziałem się z nim miesiąc temu. Był... — przerwał, jakby się zastanawiał, co powinien powiedzieć, aby nie naruszyć tajemnicy. — Był szczęśliwszy niż kiedykolwiek wcześniej. To jest... nieoczekiwane.

— Czy to by coś pomogło, gdyby posłuchał pan kaset? — Byłem zdesperowany. Miałem nadzieję, że Millie się nie sprzeciwi.

— Czy dał wam jakąkolwiek podstawę do przekonania, że możecie cokolwiek dla niego zrobić? — spytał doktor cicho.

— Co? — Poczulem wzbierający we mnie gniew. Miałem ochotę cisnąć telefonem o ścianę.

— Ile czasu minęło od jego zniknięcia? — Głos doktora Andelina był nieznośnie łagodny.

— Ponad dwa tygodnie — szepnąłem.

\*\*\*

---

[1] TKO — nokaut techniczny, KO — nokaut — *przyp. tłum.*

[2] *Let me be your... hurtin'* (ang.) — „Pozwól mi być twoim zwierzęciem jucznym, mam szerokie barki i ulżę ci w cierpieniu” — *przyp. tłum.*

[3] *I'm not too blind to see* (ang.) — „Nie jestem tak ślepa, żeby nie widzieć” — *przyp. tłum.*

[4] *Am I tough... enough* (ang.) — „Czy jestem wystarczająco mocny? Czy jestem wystarczająco twardy?” — *przyp. tłum.*

# Piętnaście



— TAG? — LISA WYGLĄDAŁA na lekko zdenerwowaną. Szeroko otwarte oczy, drżące dłonie. — Hm, chyba mamy problem. Morgan... Morgan jest w sali tanecznej. Pił przez ostatnie kilka godzin, a teraz zrobił się agresywny. Nie chcę, żeby narobił sobie jakichś kłopotów. Jest moim przyjacielem. Nie wiem, dlaczego już nie pracuje, ale cóż... — Wpadłem zza baru, rzucając instrukcje Vince'owi, i pobiegłem korytarzem w stronę sali. Lisa deptała mi po piętach, usprawiedliwiając Morgana na wszelkie możliwe sposoby.

Grała ogłuszająca muzyka, jakiś dziki i zmysłowy utwór, a w oktagonie była Amelie. Wirowała i kołysała się wokół wąskiej rury ze zdeteterminowanym uśmiechem na twarzy. W przeciwieństwie jednak do pierwszego razu, gdy ją zobaczyłem, i każdego innego, gdy ją oglądałem, miała otwarte oczy, a jej ruchy były sztywne. Najwyraźniej nie czuła się swobodnie.

— Nie podoba mi się to, co widzę! — odezwał się męski wrzask. — A tobie podoba się to, co widzisz, księżniczko? — Śmiech. — Dajcie tu z powrotem Danielle!

Inni klienci przestali patrzeć na Amelie i zaczęli się odwracać w stronę boksu na rogu, zasłaniając się dłońmi przed blaskiem ze sceny. W przyciemnionym świetle sali trudno go było dostrzec, a dudniący bas nieco tłumiał jego szyderstwa, lecz Morgan robił co w jego mocy, żeby być słyszany, a panująca tu napięta atmosfera nie miała nic wspólnego z erotyzmem ani ze skąpo odzianą tancerką wykonującą w świetle reflektorów swój uwodzicielski program.

Był tak zajęty przeszkadzaniem Amelie, że nie zauważył, jak nadchodzę. Gdy stanąłem za boksem, chwyciłem go za kark i szarpnąłem do góry, wydał z siebie zaskoczony i bolesny skowyt.

Lady Gaga śpiewała o pokerowej twarzy, a Amelie starała się zastosować do jej

radę i tańczyła jak nakręcana laleczka, nie zdając sobie sprawy z rozgrywającej się przed nią sceny. Cieszyłem się z tego. Lisa pisnęła, a Morgan wrzasnął, gdy przeciągnąłem go przez stolik, rozbijając puste butelki i przewracając dwa krzesła na inny, na szczęście wolny, stolik.

Odezwały się gwizdy i brawa. Chwyciłem Morgana za szyję i ruszyłem w stronę wyjścia pożarowego. Pchnąłem drzwi w chwili, gdy rozbrzmiewały ostatnie dźwięki piosenki Amelie. Nie czekałem, aż światła na scenie przygasną, a na sali nieznacznie się rozjaśnił w oczekiwaniu na następną tancerkę. Chciałem, żeby Morgan jak najszybciej znalazł się poza zasięgiem wzroku i słuchu ludzi w klubie, gdzie będę mógł stłuc go na kwaśne jabłko. Ale gdy wściekli i zdyszani wytoczyliśmy się przez drzwi na zimną noc, pozbawiony równowagi Morgan, który jedną ręką kurczowo ścisnął otaczające jego szyję moje ramię, przyłożył mi drugą. To był akt desperacji, ale facet miał w dłoni butelkę z piwem, która uderzyła w moje czoło z ogłuszającym trzaskiem.

Cios mnie oszołomił i opadłem na jedno kolano, pociągając Morgana za sobą. Krew zalała mi oczy, a wściekłość wypełniła czaszkę.

— Powiesz mi, co to miało być, Morg? Powiesz mi, dlaczego postanowiłeś wrócić?

Otarłem krew z czoła jedną ręką, a drugą przycisnąłem głowę Morgana do ziemi.

— Chcę... Chcę odzyskać pracę — wyjęczał, próbując się wyrwać. — Pomyślałem, że najpierw wypiję kilka drinków, żeby mieć odwagę o to poprosić. Oglądałem taniec Danielle i Crysti, pijąc dalej. I nagle pojawiła się ona. Wściekłem się, że ona nadal tu pracuje, a ja nie. Gdzie twoja lojalność, Tag? Nie czuję tego, stary.

Świat zaczął mi się rozpląwać przed oczami, a głowa rozboleła mnie tak, jakby Morgan miał w ręce młot Thora, a nie butelkę budweisera. Ktoś wypadł przez tylne drzwi, a ja puściłem Morgana i wstałem, chwiejąc się na nogach. Nie miałem zamiaru paść na ziemię. Utrata świadomości w świecie walk oznaczała wstrząs mózgu. A wstrząs mózgu oznaczał obowiązkową przerwę w karierze i badania. Nie miałem na to czasu. Vince i Leo pojawili się przy mnie i patrzyli na Morgana, który wciąż leżał przede mną na ziemi, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył krew płynącą z zadanej przez siebie rany. Ściągnąłem czarną koszulkę, otarłem krew z oczu i przycisnąłem materiał do rozcięcia na głowie. Czułem, jakbym pod palcami miał Wielki Kanion, i kotłowało mi się w żołądku.

— Nie wracaj tu, Morgan. Jestem jak najbardziej za daniem drugiej szansy, ale to? Tutaj? Przesadziłeś. To była twoja druga szansa, a ty powtórzyłeś wszystkie poprzednie błędy. Pokazałeś swoje prawdziwe oblicze, które w ogóle mi się nie podoba. Nie chcę cię tu widzieć.



Nie mogłem sobie wymarzyć lepszego sposobu na spędzenie wieczoru niż wycieczka na pogotowie. Musieli wyciągać z mojego czoła odłamki szkła, co bolało bardziej niż sam cios. Zastryk nowokainy także nie był zbyt miły. Nie zamykałem jednak oczu i cały czas poruszałem ustami, gdy lekarz na ostrym dyżurze mnie zszywał.

— Będzie pan wyglądał trochę jak Frankenstein — stwierdził dobrodusznie. — Trzydzieści szwów trzyma pańskie czoło w całości. Ale rana jest tuż przy granicy włosów, więc blizna nie powinna być zbyt widoczna. Bardziej martwi mnie wstrząs mózgu. Pana głowa jest mocno opuchnięta, źrenice wciąż nie wróciły do normy i wiem, że myśli pan, że mnie nabierze, ale pańska mowa jest bełkotliwa i chwieje się pan na nogach. Myślę, że powinniśmy dla pewności wykonać rezonans. W gruncie rzeczy będę się przy tym upierał.

— Mam taki przeciągły sposób mówienia, doktorze. Tak brzmi moja mowa, a do tego czuję się wyczerpany. Jestem na nogach od osiemnastu godzin, a rezonans nie jest szybkim badaniem, prawda? — Miałem rezonans w szkole średniej, gdy byk o imieniu Ginger, na którym chciałem się utrzymać przez osiem sekund, posłał mnie na ogrodzenie niedługo po tym, jak mój tyłek dotknął jego grzbietu. Niespełna osiem sekund i badanie, które trwało całą wieczność. Dowiedziałem się wtedy, że mam klaustrofobię i że niespecjalnie interesuje mnie dalsze ujeżdżanie byków.

Poza tym czułem się dobrze i chciałem się spotkać z Amelie. Będzie się zastanawiała, gdzie jestem. Leo zawiózł mnie do szpitala, Vince wrócił do lokalu, a nowy barman, Chuck, dopilnował, by Morgan poszedł do domu. Każdy z nich został poinstruowany, by trzymać buzię na kłódkę. Millie nie musiała zamartwiać się tym, że oberwałem w głowę. Wystarczyło, że wiedziała, iż miała natręta, który został usunięty. Tyle powiedziałem swoim pracownikom. Jej opowieść skróconą wersję wydarzeń i w ogóle nie wspomnę o Morganie. Lecz jej zmiana skończyła się kilka godzin temu, a ja po raz pierwszy od naszego poznania się nie czekałem, żeby ją odprowadzić. Napisałem jej, że przyjadę, gdy tylko będę mógł. Miała w telefonie aplikację, która sygnalizowała przyjście wiadomości i odczytywała ją na głos po stuknięciu w ekran, a ja czasem celowo pisałem nedorzeczne SMS-y, bo śmiesznie brzmiały odczytywane przez automat. Odpowiedziała, cytując słowa piosenki o obudzeniu jej, na co kazałem jej iść spać.

— Puszczę pana do domu, gdy tylko skończymy. Dzięki temu zyskamy też kolejną godzinę obserwacji. Niech się pan zgodzi, Tag. W pana działalności, w której sparingi są na porządku dziennym, nie można lekceważyć urazów głowy.

Mruknąłem i wyraziłem opór, lecz doktor był niewzruszony, więc uznałem, że łatwiej będzie ulec, niż dyskutować bez końca.

Ostatecznie doktor z ostrego dyżuru został wezwany do innego przypadku, a mnie zabrał sanitariusz i spędziłem wyczerpujące czterdzieści pięć minut,

próbując zachować spokój w ruzrze, w której wykonywano zdjęcia mojego mózgu. Ze szpitala wyszedłem dopiero o trzeciej nad ranem. Sanitariusz obiecał, że moje wyniki obejrzy radiolog, porozmawia z lekarzem, który zlecił badanie, i ktoś do mnie zadzwoni. Machnąłem na to ręką. Poza tęym bólem z przodu głowy i desperackim pragnieniem prysznic czułem się zupełnie dobrze. Pielęgniarka, która wręczyła mi wypis, spytała, czy mam kogoś, kto zostanie ze mną i dla pewności będzie mnie co jakiś czas budził.

Leo zasnął w poczekalni, a ja nie chciałem wykorzystywać go jeszcze bardziej. Poza tym Millie była jedyną osobą, z którą miałem ochotę spędzić noc, nawet jeśli pozostało już tylko kilka godzin. Leo podrzucił mnie do domu, wykąpałem się, starannie zmywając krew z włosów, i o czwartej nad ranem byłem u Millie.

Może nie powinienem jechać samochodem, ale czułem się dobrze i chciałem jak najszybciej się u niej znaleźć. Wiedziałem, gdzie Millie ukrywa zapasowy klucz do drzwi wejściowych, bo pokazał mi to Henry z powagą mężczyzny dzielącego się sekretem najwyższej wagi. Klucz był schowany w ozdobnej kutej barierce naprzeciw drzwi. Wymacałem go bez trudu w ciemnościach, dziękując w myślach Henry'emu za obdarzenie mnie takim zaufaniem.

Otworzyłem drzwi i odłożyłem klucz na miejsce, po czym wszedłem do ciemnego przedpokoju i na palcach wspiąłem się po schodach na górę.

Zapaliłem światło w pokoju Millie, co było zdecydowaną zaletą kochania niewidomej dziewczyny. Leżała na łóżku z telefonem przy głowie i obejmowała poduszkę, jakby nie chciała być sama. Zgasilem światło, ściągnąłem buty i po ciemku podszedłem do łóżka. Położyłem się obok niej, wyjąłem spod jej ramion poduszkę i podłożyłem ją sobie pod głowę. Potem przetoczyłem Millie na siebie i ułożyłem na swojej piersi, żeby zrekompensować jej utratę poduszki.

— Hej — szepnęła zaspanym głosem, a bijące z niego zadowolenie rozgrzało mnie w środku.

— Hej. Śpij dalej. Nie chciałem cię obudzić. Chciałem cię tylko zobaczyć.

— Ja też chcę cię zobaczyć — wymamrotała. Jej dłonie zaczęły mnie od razu eksplorować, a ja stałem się trochę mniej senny. To był pierwszy raz, gdy spaliśmy razem. Nie mogliśmy się posunąć do niczego więcej, chociaż jej zaspane westchnienia i błędzące dłonie sprawiały, że zaczynałem rozważać inne opcje. Powinienem się domyślić, że od razu odkryje mój bandaż.

— Co to? — spytała, obejmując palcami moją głowę.

— Kilka szwów, które zarobiłem, gdy pijany natręt postanowił przywalić mi w czoło butelką po piwie.

Amelie natychmiast usiadła.

— *Mój* pijany natręt? — spytała z niedowierzaniem.

Nie odpowiedziałem.

— To dlatego nie przyszedłeś? Byłeś w szpitalu? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Dlaczego ty mi o tym nie powiedziałeś?

— Nie chciałem, żebyś się martwiła.

— Ale... ale... Jestem twoją dziewczyną, prawda? To moje zadanie. Tak robią ludzie, którzy nawzajem się o siebie troszczą. Martwią się! — Podniosła głos, lecz uciszyłem ją od razu, gładząc po włosach. Już raz o tym dyskutowaliśmy.

— Ludzie, którzy troszczą się o siebie nawzajem, nie każą tej drugiej osobie niepotrzebnie się martwić. Nic mi nie jest. Jestem tu. I zostanie mi niesamowita blizna, którą będziesz mogła badać, gdy już wydobrzeję.

Millie odepchnęła moją dłoń, wstała z łóżka i bez słowa wyszła do łazienki. Zamknęła drzwi nieco energiczniej niż zwykle, a ja starałem się powstrzymać śmiech. Zachowywała się jak typowa kobieta, gdy trzeba było okazać niezadowolenie. Nie podobało jej się, że utrzymywałem ją w nieświadomości. Puściła wodę i przez chwilę chodziła po łazience. Gdy w końcu wyszła i z powrotem położyła się obok mnie, udałem, że śpię, żeby zobaczyć, co zrobi. Leżała sztywno przez kilka minut, po czym odwróciła się do mnie i objęła mnie w pasie.

— Wiem, że nie śpisz — szepnęła.

— Skąd?

— Jesteś zbyt nieruchomy i zbyt intensywnie słuchasz.

— Słyszysz, jak słucham?

— Ludzie oddychają bardzo płytko lub zupełnie przestają oddychać, gdy słuchają naprawdę uważnie.

— Próbuję usłyszeć twoje myśli.

— Jestem wściekła.

— To nie bądź. Umyłaś zęby, chociaż nie musiałaś tego robić. Co oznacza, że chcesz mnie pocałować. Co oznacza, że zamierzasz mi wybaczyć.

— Jestem wściekła, bo naprawdę cię lubię. I chcę cię pocałować, bo naprawdę cię lubię.

— Jesteś wściekła, bo mnie lubisz?

— Jestem wściekła, bo cię kocham — wyznała z westchnieniem. — A ty nie poinformowałeś mnie, że coś ci się stało.

— Ja też cię kocham, Millie. I zawsze będę się starał cię chronić. Taki już jestem. Tym się zajmuję. Gdybyś wiedziała, że będę miał kilka szwów na głowie, nie zasnęłabyś tak szybko i nie spałabyś tak słodko i spokojnie, że miałem

ochotę cię schrupać. Gryzłabyś wargę i zamartwiała się, zamiast śnić o mnie. — Nachyliłem się i skubnąłem zębami jej dolną wargę, delikatnie naśladowując jej nawyk przygryzania jej, gdy się przejmowała. Pocałowałem jej pełne usta, a gdy wsunąłem język między jej wargi, poczułem, jak cały gniew powoli z niej uchodzi.

Nasze oddechy przyspieszyły, a ciała zaczęły się niecierpliwić. W końcu Millie oderwała się ode mnie. Najwyraźniej nie czuła się jeszcze gotowa, by posunąć dalej tę noc pierwszych razów. Zamknąłem oczy i próbowałem skłonić serce do uspokojenia się, a ona muskała moją głowę, wplatając palce w moje włosy i rozpraszając tępy ból, który wciąż czaił się za oczami.

— Dawidzie? — szepnęła.

— Tak?

— Zaśpiewaj mi piosenkę.

— Jaką piosenkę?

— Piosenkę o miłości.

— Millie, Millie, jesteś taka ładna. Cieszę się, że nie nazywasz się Adrian — zaśpiewałem, imitując wokalistów country.

— Adrian?

— Pozwól, że wyrażę to inaczej. — Chrząknąłem i zacząłem od nowa: — Millie, Millie, fajnie, że jesteś taka, cieszę się, że nie masz siusiaka.

— To nie jest piosenka o miłości. — Zaśmiała się.

— Okej. A co powiesz o tym? Kocham twoje nogi, kocham twoje ręce, ale to miejsce, o tutaj, kocham najgoręcej. — Połaskotałem jej płaski brzuch, a ona zaczęła się wiercić.

— Śpiewaj dalej! — zażądała, klepiąc mnie po dłoniach.

— Kocham twój podbródek i twój zabawny śmiech, kocham twoje włosy i to miejsce też. — Połaskotałem ją pod prawym żebrem, a ona ze śmiechem złapała mnie za palce.

— Podoba mi się! Poproszę o drugą zwrotkę.

— Uwielbiam sposób, w jaki kręcisz pośladkami, uwielbiam to, że pachniesz owocami! Uwielbiam sposób, w jaki mówisz „Dawid”, i... La, la, la, nic nie rymuje się z „Dawid”.

— To było piękne. — Zachichotała. — Jak się nazywa ta piosenka?

— Jej tytuł to *Nic nie rymuje się z „Dawid”*.

— *Nic nie rymuje się z „Dawid”*? — spytała z niedowierzaniem, po czym zamilkła na kilka sekund, jakby próbowała znaleźć słowo, które udowodniłoby,

że nie mam racji. Potem pogłaskała mnie po policzku, przejechała palcami po krawędzi szczęki i powiedziała głosem równie uroczystym jak jej dotyk:

— Czuję się blisko ciebie, gdy cię słucham.

— To dlatego zawsze chcesz, żebym śpiewał? Myślałem, że to ze względu na mój aksamitny głos — zażartowałem, ale moje gardło nagle zrobiło się ciasne, zbyt ciasne, by śpiewać.

— To coś więcej. Piosenki nie da się zobaczyć. Można ją poczuć, usłyszeć i poruszać się do niej. Ja też nie mogę cię zobaczyć, ale cię czuję i poruszam się w twoją stronę. Gdy jesteś ze mną, czuję obecność cząstki Dawida, o której nikt inny nie wie. To Pieśń Dawida, której nie słyszy nikt poza mną.

Moje serce zadrżało, a potem urosło, wypełniając moją pierś niczym pęczniejący superbohater. Objąłem Millie i przytknąłem twarz do zagłębienia jej szyi.

— Nie. To nie ja. To oda, Millie. Ja też ją czuję za każdym razem, gdy jestem blisko ciebie.

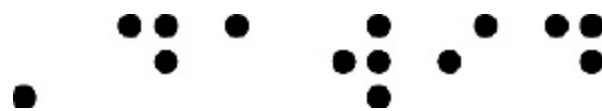
— Oda, co? Tak ją nazywasz?

— Tak ją nazywam.

— Chyba pozostanę przy Pieśni Dawida. To moja ulubiona — odparła, a ja poczułem jej słowa na swoim policzku.

— Skoro tak, to musisz tańczyć, jak ci zaśpiewam — szepnąłem i odnalazłem jej usta, a muzyka między nami znowu się nasiliła i zaczęła rytmicznie pulsować. Tańczyliśmy wokół płonącego między nami ognia tak długo, aż sen spowolnił nasze ruchy, przytłumił pieśń i wciągnął nas pod swoją powierzchnię.

(Koniec taśmy).



## Mojżesz

MILLIE WSTAŁA, po czym bez ostrzeżenia podniosła magnetofon nad głowę i rzuciła nim o podłogę, jakby nie była w stanie znieść ani słowa więcej. Tylne pokrywa odskoczyła i wysypały się grube baterie niczym ranni żołnierze pozbawieni czołgu i broni.

Georgia i ja staliśmy bez słowa, niezdolni do sformułowania jakiegokolwiek sensownej reakcji. Millie trzęsa się z wściekłości i miała łzy w oczach.

— Nie wiem już, co myśleć. Nie wiem, co zrobić! Siedzimy tu i słuchamy opowieści, w którą jeszcze dwa tygodnie temu wierzyłam z całego serca. Ale on zniknął. Czuję się... zażenowana. Zadzwoiłam do was, zakłóciłam wam życie i zrobiłam wielką sprawę z tego, że przepadł. Ale on najwyraźniej postanowił

odejść! — Wzięła kilka urywanych oddechów, po czym opuściła głowę, a cały gniew wypłynął z niej równie szybko, jak się pojawił. — Najgorsze jest to... że mam nadzieję, że faktycznie nie wiedział, jak mi powiedzieć, że zmienił zdanie. Liczę na to, że obudził się i uświadomił sobie, że wcale mnie nie kochał. Mam nadzieję, że tak jest. Bo nie potrafię wymyślić żadnego innego wytłumaczenia, które nie byłoby stokroć gorsze. Wolałabym go stracić niż go stracić.

Doskonale ją rozumiałem.

Z niezręcznej sytuacji wybawił mnie dzwonek telefonu. Georgia uklękała, żeby pozbierać baterie, a ja przeprosiłem i wyszedłem.

— Mikey — przywitałem się, przechodząc przez drzwi wejściowe.

— Mojżeszu — odparł. — Mam wieści.

Moje serce zrobiło fikołka.

— Tag walczy jutro w Vegas. W MGM. Cory trafił dziś rano w telewizji ESPN na relację z ważenia. Tag najwyraźniej wskoczył w ostatniej chwili. To wielki pojedynek, Mojżeszu. Poważna walka. Terry Shaw kontra Jordan Jones. Tyle że teraz to Terry Shaw kontra Tag Taggert.

Szczęka mi opadła i odsunąłem telefon od ucha, żeby na niego spojrzeć, nie mogąc uwierzyć, że Mikey to naprawdę Mikey i że faktycznie słucham telefonu.

— Skurwiel — wysyczałem i przycisnąłem telefon z powrotem do głowy.

— To samo powiedziałem. Nikt nie może tego pojąć. Nie wiemy, co o tym myśleć, stary. On walczy, chociaż nikt z nas o tym nie wiedział. Jesteśmy jego zespołem. O co mu, do licha, chodzi, Mojżeszu?

— Nie mam pojęcia, Mikey — westchnąłem. Kręciło mi się w głowie z ulgi, że go znaleźliśmy, a jednocześnie umierałem z przerażenia na myśl o tym, co nas czekało.

— Powinniśmy tam pojechać? Powinniśmy pojechać do Vegas i z nim pogadać?

Czułem, że Mikey jest wkurzony. I zagubiony.

— Jak łatwo dostać się w pobliże zawodnika w MGM, gdy nie masz identyfikatora lub karty wstępu? — spytałem z powątpiewaniem.

Mikey zaklął, a ja pokiwałem głową. To by się nie powiodło. Jeśli Tag nie chciał mieć przy sobie swojego zespołu, to nie ma szans, żeby się do niego dostali.

— Jesteście tam wszyscy, Mikey? — spytałem.

— Tak, poza Paulem. Ale wszyscy pozostali tu są, Mojżeszu.

— Zaczekajcie na mnie. Będę za pięć minut.

Zajrzałem do środka, żeby dać znać Georgii, że wychodzę na chwilę. Nie byłem gotów powiedzieć Millie o tym, czego się właśnie dowiedziałem. Potrzebowałem

dodatkowych informacji. Sądząc po jej próbie roztrzaskania magnetofonu, była u kresu wytrzymałości nerwowej. Ale magnetofon znowu działał. Najwyraźniej nie był aż tak kruchy. Gdy usłyszałem Taga, który opowiadał, jakby wcale nie miał zamiaru odejść, ponownie zalała mnie wściekłość.

Kilka minut później wszedłem do siłowni i ruszyłem w stronę biura. Zgodnie ze słowami Mikeya siedzieli tam wszyscy, a w telewizorze widać było stopklatkę relacji z ważenia. To było medialne zoo, jak każde ważenie. Na środku sceny stała waga i każdy zawodnik kolejno na nią wchodził.

Patrzyłem, jak rozebrany Tag idzie dumnym krokiem, bez zwyczajowego uśmiešku. Miał zacięty i poważny wyraz twarzy. Żadnych dołeczków, żadnego uderzania się w tors, żadnych wygłupów. Wszedł na wagę ubrany wyłącznie w bejsbolówkę i dopasowane do niej spodenki z żółtym logo Tag Team na pośladkach. Stał na wadze, gdy go wywołano, i napiął mięśnie do zdjęć. Wyglądał smukło, wręcz chudo, co mogło wynikać z utraty wagi, by nie przekroczyć regulaminowych dziewięćdziesięciu trzech kilogramów.

— Wygląda na wychudzonego. — Axel potwierdził moje spostrzeżenia, chociaż słowo „wychudzony” było pojęciem względnym. Tag był potężny i umięśniony, i to wręcz przesadnie, lecz jego policzki i kości biodrowe z jakiegoś powodu sprawiały wrażenie zmizerowanych. — Jego codzienna waga bez trudu sięga stu kilogramów, a teraz ma zaledwie dziewięćdziesiąt dwa. Po co tracił ten dodatkowy kilogram?

— Od trzech tygodni nie był na siłowni, to dlatego! — wykrzyknął Cory.

— I walczy z pieprzonym Terrym Shawem. To może być rzeź — jęknął Mikey, gdy na wagę wszedł Terry „Shotgun” Shaw. Ponury, szorstki i zarozumiały jak cholera. Rzucił Tagowi pogardliwe spojrzenie, lecz ten kompletnie go zignorował.

— Nie. — Andy potrząsnął uparcie głową. — Tag wie, co robi. — Splótł ramiona na piersi i zmierzył nas wzrokiem. — To *my* nie wiemy, co on robi. Ale ja wiem jedno. Jadę do Vegas.

— Ja też — odparł Cory.

— Jadę z wami — dodał Mikey.

— Mogę prowadzić. — Axel sięgnął po telefon, jakby decyzja już zapadła i trzeba było dokonać rezerwacji.

— Muszę powiedzieć Millie — westchnąłem.

— Co jej powiesz? — spytał Andy.

— Może powinniśmy pojechać i zobaczyć, o co chodzi, zanim cokolwiek jej powiesz? — zasugerował Axel. Marszczył brwi z zatroskaniem i splatał nerwowo ręce. Zauważyłem, że był dość opiekuńczy względem Millie, podobnie

jak Henry. Byłem też prawie pewien, że wszyscy tu zgromadzeni myślą to samo co ja. Że Tag od niej uciekł. Z nieznanego powodu odszedł, a ja musiałem jej to jakoś powiedzieć.

Powoli potrząsnąłem głową.

— Nie, nie mogę tego zrobić. Muszę jej powiedzieć, że go znaleźliśmy.

Axel potrząsnął stanowczo głową, jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć, a pozostali wlepiali wzrok w podłogę.

Mój telefon zasygnalizował przyście SMS-a. Zerknąłem na ekran.

Georgia: Zadzwoń.

— Dajcie mi chwilę, chłopaki — powiedziałem i wyszedłem. Georgia odebrała po pierwszym sygnale.

— Możesz? — spytała ciężkim głosem.

— Tak?

— Chyba wiemy, dlaczego odszedł. Wróc do domu Millie. Musisz to usłyszeć na własne uszy.

\*\*\*



# Szesnaście



OBUDZIŁEM SIĘ z zabójczym bólem głowy i dobrym samopoczuciem, które kompletnie go maskowało. Millie pozwoliła mi spać, chociaż wstała z Henrym, gdy wychodził do szkoły, i była już na nogach od paru godzin, czekając, aż zwlekę się z łóżka. Podobało mi się to, że obudziłem się w jej łóżku i słuchałem jej odgłosów w domu. Przypomniałem sobie o pierścionku w schowku w desce rozdzielczej i zastanawiałem się, czy dzisiaj nie jest czasem najlepszy dzień na to, by oficjalnie przedłożyć jej zaproszenie do Tag Team.

Dowlokłem się do łazienki, próbując sformułować pytanie. Spojrzałem w swoje odbicie — podkrążone oczy, napuchnięta i brzydka głowa, rażąco sterczące z czoła szwy — i postanowiłem, że poczekam, aż poczuję się trochę lepiej.

Po kilku pocałunkach i tabletkach przeciwbólowych oraz sprawnie przygotowanej jajecznicy w końcu poczułem się gotów, by rozpocząć ten dzień, chociaż było już prawie południe. Millie też miała trochę zajęć, więc rozstaliśmy się przed jej drzwiami. Ona poszła w jedną stronę, a ja w drugą. Nie chciała, żebym ją podwoził do ośrodka dla niewidomych. Wolą spacer. Też mi niespodzianka. Spoglądałem na nią, ciesząc się tym widokiem jak głupi.

Millie nie przesuwiała laski z boku na bok, lecz stukła nią o chodnik. Lewa stopa, stuk z lewej, prawa stopa, stuk z prawej. Klik, klak, klik, klak. Może to instynkt tancerki, ale w trakcie spaceru lubiła wystukiwać rytm. Czasem kiwała głową i kołysała biodrami, nawet jeśli to dość niecodzienny widok, gdy niewidoma dziewczyna kręci tyłeczkiem do wybijanego laską rytmu. Millie twierdziła, że nie widzi spojrzeń gapiów i ich uśmiezków, więc się tym nie przejmuje. Zaleta bycia niewidomą dziewczyną.

— Hej, Mała Millie! — zawołałem za nią.

Zatrzymała się i odwróciła się do mnie.

— Tak, wielkoludzie?

— Do jakiej piosenki tańczysz?

— To nowa piosenka. Może ją słyszałeś? Nazywa się *Nic nie rymuje się z „Dawid”*.

Odrzuciłem głowę i roześmiałem się głośno z jej ciętej riposty, a gdy ruszyła dalej, zacząłem śpiewać za nią skomponowaną w nocy pieśń.

— Uwielbiam to, że pachniesz owocami, uwielbiam sposób, w jaki kręcisz pośladkami!

— To ona! — zawołała i zakołysała biodrami nieco mocniej, machając mi na pożegnanie. W tylnej kieszeni zaczął mi wibrować telefon. Odebrałem, wciąż rozbawiony przez swoją dziewczynę.

— Panie Taggert, tu doktor Stein ze szpitala LDS. Oglądałem razem z radiologiem wyniki pana rezonansu.

— Tylko proszę mi nie mówić, że mój mózg okazał się nienaturalnie mały — zażartowałem, nie skupiając się na rozmowie, tylko na odchodzącej Millie. Z nią w zasięgu wzroku trudno mi było skoncentrować się na czymkolwiek innym.

Doktor się nie zaśmiał. To powinno mi dać do myślenia. I to, że wyszedłem ze szpitala niespełna osiem godzin temu, a on dzwoni do mnie osobiście. W tamtej chwili jednak, z oczami wlepionymi w Millie i tuż przed następną wypowiedzią doktora, byłem całkowicie, absolutnie szczęśliwy. Życie nie jest idealne, ludzie też nie, ale zdarzają się takie chwile. I to była jedna z nich. Wielki czerwony balon wypełniony niecierpliwym oczekiwaniem na to, co szykuje dla mnie życie, na nieskończoną liczbę poranków z Millie. Nagle jednak wszystko się skończyło. Balon pękł z hukiem, a gumowe resztki mojej idealnej chwili legły u moich stóp.

— Chciałbym, żeby wpadł pan do szpitala. Trzeba wykonać kolejne badania, skupiając się na wybranym obszarze. Pojawiły się pewne odstępstwa od normy, które wymagają dodatkowych działań. To nie jest moja działka, więc skonsultowałem się z odpowiednim specjalistą, który jest dostępny dzisiaj po południu. Mógłby pan być u nas za godzinę?



WIEDZIAŁEM, że mam skłonność do klaustrofobii. Wynikała z tej samej przyczyny co lęk przed ciemnością. Zawsze przypisywałem to astmie, na którą cierpiałem jako dziecko. Budzenie się w środku nocy bez tchu, poczucie bycia zamkniętym i niemożność wzięcia głębokiego oddechu. I świadomość, że oddychanie jest konieczne do życia, lecz ja nie potrafię tego zrobić. Klaustrofobia była po prostu kolejnym obliczem bezradności. Nie znosiłem tego

uczucia.

Kazano mi się nie ruszać, więc się nie ruszałem, ale przestałem też oddychać, więc zrezygnowano z pierwszego podejścia, dopóki się nie pozbierałem.

— Czy jest ktoś, po kogo moglibyśmy zadzwonić, panie Taggert? Ktoś, kogo chciałby pan teraz mieć przy sobie?

Potrząsałem głową. Nie. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, że tu jestem. Wszyscy myśleli, że nic mi nie jest. Upierałem się przy tym. Co Millie mówiła o byciu niewidomą? Że liczą się tylko te obrazy, które ma w głowie? Przejąłem od niej tę postawę. Nic mi nie było. A moja opinia była jedyną, która się liczyła.

— Nie. Jest w porządku. Dam radę. Zróbmy to po prostu. — Puściłem oczko ślicznej pielęgniarce, jak zwykle nakładając maskę showmana. Rozpraszając się. Odpowiedziała mrugnięciem. Wiedziałem, że się jej podobam. Zawsze potrafiłem rozpoznać, gdy dziewczyna uważała mnie za atrakcyjnego. Sposób, w jaki ściągała usta i unosiła brwi, oraz ukradkowe spojrzenia. Wszystkie te drobne sygnały i wskazówki, których nigdy nie zaobserwowałem u Millie. Lecz Millie mnie kochała. Kochała mnie, a ja kochałem ją.

*Jeśli poczujesz się uwięziony lub bezradny, zamknij oczy, a będziesz miał tyle przestrzeni, ile zapragniesz.*

Tak powiedziała mi Millie. Postanowiłem wykorzystać jej radę: zamknąć oczy i pozwolić, by bezkresna ciemność pomogła mi oddychać. Nie mogło mi się nic stać, bo gdyby mi się stało, Millie byłaby smutna. A ja tak bardzo starałem się nie spieszyć, nie popędzać jej i nie popędzać nas. Chciałem mieć absolutną pewność, że wiem, co robię. Po raz pierwszy w życiu byłem ostrożny. Troskliwy. Uważny. A mimo to zadam jej ból. Poczułem wzbierającą w piersi panikę i usłyszałem głos nakazujący mi oddychać i uspokoić się.

— Dobrze panu idzie, panie Taggert. Już prawie jesteśmy w środku. Już prawie po wszystkim, panie Taggert.

— Boże? Dobry Boże — zacząłem się modlić. — Nie chcę, żeby już było po wszystkim. Proszę, nie pozwól, żeby to wszystko już się skończyło. Proszę, nie pozwól na to. — Od zawsze w taki sposób wykonywałem swoje modlitwy. Tak się wychowałem. Rozmowa z Bogiem kojarzyła mi się trochę z mówieniem do siebie, do swojego wewnętrznego ja. Zawsze wierzyłem, że to Bóg stworzył to moje wewnętrzne ja, więc rozmowa z nim była trochę jak szczere wsłuchanie się w siebie. Nie, nie mam kompleksu boskości. Myślę tylko, że większość ludzi robi wokół Boga zbyt wiele szumu, tocząc wojny w jego obronie lub demonstracyjnie mu zaprzeczając. Dla mnie Bóg był po prostu dobrym gościem. Lubiałem z nim rozmawiać.

Zazwyczaj nie klękałem w trakcie modlitwy, chociaż raz zrobiłem wyjątek — gdy Mojżesz otarł się o śmierć. Zawierałem też wszelkiego rodzaju umowy, ale nie

wdawałem się w targi z Bogiem, bo zbyt dobrze go znałem. Prosiłem go jedynie o różne rzeczy i dziękowałem mu za różne rzeczy. Bez zobowiązań, bez obiecywania czegokolwiek w zamian, bo nie chciałem dostać w pewnym momencie gigantycznego rachunku do zapłacenia. Uznałem, że gdy Bóg mi pomaga i daje mi to, czego potrzebuję, to robi to dlatego, że uważa, iż na to zasłużyłem, lub dlatego, że chce mi to dać. Nie mam więc wobec niego żadnych zobowiązań. Ale dla Mojżesza złamałem tę regułę. Tak się chyba robi, gdy się kogoś kocha. Łamie się dla niego reguły. Mojżesz zrobił to dla Georgii, rozwalił całą swoją tablicę z prawami. A ja złamałem swoje. Nie tylko dla Mojżesza, lecz także dla Millie. W końcu ustatkowałem się z jedną kobietą i po raz kolejny łamałem swoje reguły, błagając o anulowanie rachunku. Zawarłem umowę dla Mojżesza i nie wypełniłem swojej części zobowiązań. Może Bóg w końcu się o to upomina.



— MA PAN GIGANTYCZNĄ masę w płacie czołowym.

Lekarz nie owijał w bawełnę. Powiedział to bardzo rzeczowo, wskazując na zdjęcia mojego mózgu. Wyraźnie widziałem czarną masę, której kontury zakreślał. Potem odwrócił się do mnie.

— Mógł pan mieć problem z pisaniem lub mówieniem... lub odczuwać osłabienie prawej strony ciała. Masa jest ulokowana w lewej półkuli, co zawsze wpływa na przeciwną stronę ciała. Miał pan jakieś objawy?

Skłamałbym, gdybym odpowiedział przecząco. Miałem objawy, lecz zawsze jakoś je racjonalizowałem.

— Widziałem plamki, gdy byłem zmęczony. Zauważyłem też większe zmęczenie mięśni po prawej stronie. Mam dominującą lewą rękę, więc może dlatego aż tak mi to nie przeszkadzało. Ostro trenowałem i myślałem, że to odwodnienie. I stres.

— Dostał pan w głowę podczas bójki?

— Tak, w czoło. Nie bolało, lecz trochę mnie oszołomiło. Dobrze, że przestał wymierzać ciosy, bo przez jakieś dziesięć sekund kompletnie niczego nie widziałem. Stałem, zasłaniając głowę, a on leżał na ziemi. Przejrzałem na oczy dopiero, gdy otarłem krew z twarzy. Chyba miałem szczęście, że facet był pijany i głupi.

— Chyba tak. — Uśmiechnął się, a ja ucieszyłem się, że nie zamierza mnie pouczać na temat powagi chwili. Bo tak naprawdę w pełni zdawałem sobie z tego sprawę.

— Co w takim razie powinniśmy zrobić? — spytałem.

— Musimy się tam dostać, sprawdzić, co to za masa, i usunąć ją najdokładniej jak się da. — Nie mówił o guzie. Nazywał to masą, ale ja nie byłem głupi.

— Dostać się tam?

— Wykonać kraniotomię. Uśpimy pana, wywiercimy dziurę w głowie, usuniemy tyle masy, ile się da, zrobimy biopsję i pana zszyjemy. Brzmi to trochę jak zabawa we Frankensteina, ale tak naprawdę po jednym – dwóch dniach wróci pan do domu. Nie jest to coś, co wymaga długiej rekonwalescencji.

— Czyli to nic poważnego?

— Byłbym ostrożny z wyciąganiem takich wniosków. W końcu mówimy o pańskim mózgu.

— A jakie jest ryzyko? Co jeśli nie chcę, żebyście wwiercali mi się w głowę?

— Skutki pozostawienia masy w głowie i nieokreślenia, czy jest zrakowaciała, mogą być śmiertelne. Jeśli to rak, a pan nie będzie go leczył, skutki *będą* śmiertelne. Z drugiej strony jest też ryzyko związane z wszelkimi operacjami na mózgu. Skutkami mogą być: utrata pamięci, wzroku, funkcji motorycznych... Mówimy o mózgu — powtórzył.

Nie wiem, co zrobić. Nie wiem, co zrobić. Nie wiem, co zrobić.

Niewiemcozrobićniewiemcozrobićniewiemcozrobić. Słowa zlały się ze sobą, a ja nie potrafiłem wyrzucić ich ze swojego mózgu. Doktor naciskał, by działać szybko. Powiedział, że czas ma tu „kluczowe znaczenie”. Powiedział, że musimy działać... Lecz ja tylko potrząsałem głową.

— Nie — stwierdziłem. — Nie.

— Panie Dawidzie. To jedyny sposób dający jakieś szanse. Musimy pana jak najszybciej operować.

Jedyną osobą, która mogła mnie nazywać Dawidem, była Millie.

— Tag. Proszę mi mówić Tag — poprosiłem odrętwiale.

— Panie Tag — przytaknął, przystając na moją prośbę. — Proszę porozmawiać z najbliższymi. Proszę im powiedzieć, co się dzieje. Potrzebuje pan wsparcia. A my musimy sprawdzić, z czym mamy do czynienia.

— Jakie są szanse?

— Co pan przez to rozumie?

— Ta masa... to guz, prawda?

— Tak. To guz. Nie wiemy, czy jest zrakowaciały, ale nawet niewinne guzy muszą być usunięte.

— Jakie jest prawdopodobieństwo...?

— Że to rak?

— Tak.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że spodziewam się, że to niewinny guz.

— Czy kiedykolwiek spotkał się pan z przypadkiem guza, który nie był zrakowaciały?

— Nie, osobiście nie.

Nie. Nie. Nie. Nie. Czułem w uszach ogłuszające echo tego słowa i nie mogłem usiedzieć w miejscu.

Wstałem i ruszyłem do drzwi.

— Panie Tag?

— Muszę to przemyśleć, doktorze.

— Proszę, naprawdę proszę nie zastanawiać się zbyt długo, panie Taggert. Ma pan mój numer.

Machnąłem głową w ruchu, który miał przypominać przytaknięcie, wyszedłem z jego gabinetu i ruszyłem długim sterylnym korytarzem.

Nie pamiętam wyjścia ze szpitala. Nie pamiętam przejścia przez parking i tego, czy świeciło słońce, czy padał deszcz. Pamiętam, że pociągnąłem pas w samochodzie, spojrzałem na sprzączkę i zapiąłem ją starannie, jakby mogła ochronić mnie przed tym, czego się przed chwilą dowiedziałem. Włożyłem klucz do stacyjki i wycofałem z parkingu. Zadzwoił telefon. Nie mogłem rozmawiać. Nie byłem w stanie ukryć swojego pobudzenia, lecz włączyłem głośnik w desperackiej próbie ucieczki przed sobą. Nie patrzyłem na ekran, nie wiedziałem, kto dzwoni, chciałem tylko opóźnić to, co będzie dalej.

— Tag przy telefonie — warknąłem i skrzywiłem się, słysząc brzmienie swojego głosu. Niósł się echem, a ja potarłem się po skroni, jakbym mógł w ten sposób wyregulować pogłos w głowie.

— Tag, tu Mojżesz. — Słyszając jego głos, poczułem się, jakby siedział w samochodzie obok mnie. Żałowałem, że nie siedzi... i cieszyłem się, że nie siedzi.

— Co tam, stary? — odparłem i skrzywiłem się po raz kolejny, tym razem ze względu na swoją sztuczność.

— W porządku u ciebie? — To było pytanie typu „żądam konkretnej odpowiedzi”, a nie grzecznościowe „jak się masz”. Zszokowało mnie to i uruchomiło mechanizm obronny. Skąd on, do licha, wiedział, że coś jest ze mną nie w porządku?

— Tak, tak. Czemu pytasz? — odpowiedziałem.

— Widziałem Molly. — Mojżesz nie potrafił prowadzić uprzejmych konwersacji.

Mój umysł potknął się z zaskoczenia.

— Co?

— Nie widziałem jej od lat... Od Montlake. I wczoraj w nocy, zamiast zamówionego dzieła, namalowałem mural z Dawidem i Goliatem, który wyglądał jak ilustracja ze szkółki niedzielnej. Teraz mam tyły. Myślę, że to przez ciebie.

— Przeze mnie? — Słuchałem go tylko jednym uchem. Wyjechałem z parkingu i ruszyłem przed siebie. Nie miałem pojęcia, dokąd jadę.

— Tak, przez ciebie. Dawid na muralu jest podejrzanie podobny do ciebie. Co oznacza, że twoja zmarła siostra próbuje mi coś powiedzieć. Może nie podoba się jej twój sposób zarabiania na życie.

— Dawid skopał Goliatowi tyłek, pamiętasz? Nie ma się czym martwić. — Prowadziłem rozmowę mechanicznie, używając odizolowanej części umysłu, i obserwowałem z zewnątrz siebie rozmawiającego z Mojżeszem, chociaż moje myśli rozbiegały się w miliony różnych stron.

— Nie sądzę, żeby dostał w tyłek — mruknął Mojżesz. — Jeśli dobrze pamiętam, chodziło o głowę. Goliat dostał między oczy.

— Tak... Racja. Chyba o to chodzi. Wczoraj w nocy dostałem między oczy butelką po piwie. — Czy to było wczoraj? — Facet rozwalił mi głowę. Mam kilka szwów. Jestem pod wrażeniem, Mo. Przebranzowiłeś się na medium?

— W porządku u ciebie? — I proszę, znowu. Żądanie, bym mu wszystko wyznał.

— Tak. Jestem pozszywany. Nawet mnie to nie boli. — Nie kłamałem. Naprawdę nie bolało. Omijałem jednak prawdę. Nie było w porządku. W żadnym calu.

— Cóż, to mnie nie dziwi. Masz najtwardszą głowę spośród wszystkich znanych mi osób. Co się stało?

— Ktoś dręczył Millie, gdy tańczyła. Chwyciłem go, żeby go wyrzucić z baru, lecz on przywalił mi w głowę. — Nie chciałem usłyszeć od Mojżesza: „A nie mówiłem?”. Nigdy nie lubił Morgana. Dlatego pominąłem jego imię.

— Millie? — dopytał.

— Millie — potwierdziłem.

Zamilkł na chwilę, a ja czekałem, zastanawiając się nad tym, co w sobie dusi.

— Dotarłeś już do tego, Tag? — spytał.

— Do czego?

Usłyszałem długie westchnienie.

— Czy już do tego dotarłeś? — powtórzył głośniejszym, wolniejszym i nachalniejszym głosem.

— Tak. Dotarłem. Kocham ją. To chciałeś ode mnie usłyszeć? — Moje dłonie

zaczęły się trząść i nagle przestałem widzieć drogę. Za mną odezwały się klaksony, a ja zorientowałem się, że zjechałem ze swojego pasa.

Gwałtownie skręciłem kierownicą i przetarłem oczy, próbując się nie zabić. Przynajmniej na razie.

— W sumie nie obchodzi mnie, co mówisz. Wiedziałem o tym. Cieszę się z twojego szczęścia, stary. Ona jest cudem.

— Tak, to prawda. — Ścisnąłem kierownicę obiema dłońmi, a po moich policzkach płynęły łzy.

— Nie byłem pewien, czy uda ci się znaleźć swój cud... I czy w ogóle go potrzebujesz. Ale ci się udało. Obu nam się udało. Jak to się w ogóle stało? — Rozluźniło go moje wyznanie, bo słyszałem uśmiech w jego głosie.

— Wierzysz w cuda, Mo? — Ja się nie uśmiechałem. Ja szukałem.

— Nie mam wyboru. Zbyt dużo widziałem.

— Myślisz, że może mnie spotkać jeszcze jeden? — wykrztusiłem z trudem.

— Więcej niż jeden? Dlaczego? Millie ci nie wystarcza? — zaśmiał się, ale w jego głosie pobrzmiwało też zaskoczenie.

Millie wystarczała mi z nawiązką. Nie byłem zachłanny. Chciałem tylko mieć możliwość cieszenia się swoim cudem.

\*\*\*



# Siedemnaście



## Mojżesz

TAG ZBYT SZYBKO skończył rozmowę. Powinienem się zorientować, że coś jest nie tak. Wyczułem jednak, że prowadzi samochód, i pozwoliłem mu się rozłączyć. Miałem wrażenie, że brzmiał trochę dziwnie, ale miał włączony zestaw głośnomówiący, a wtedy wszystko wydaje się lekko zniekształcone. Uznałem, że to musiało być to. Wmawiałem sobie, że o to właśnie chodziło. Nie wiem, kiedy zacząłem wierzyć we własne kłamstwa.

Doszedłem do tego, że pogodziłem się ze śmiercią. Malowałem zmarłym piękne obrazy, a oni przestali mnie nawiedzać tak jak kiedyś. Nie byli zwiastunami zniszczenia. Nie wyglądali jak zombie i nie włóczyli się po korytarzach mojego domu. Udało się nad nimi zapanować. Życie stało się przyjemne i łagodne. Wszystko dzięki Georgii. Uspokoila mnie i wygładziła moje kanciaste krawędzie. Chyba przez ich wygładzenie straciłem swoją dawniejszą ostrość spojrzenia.

Dlatego gdy zobaczyłem Molly Taggert mającą mi na peryferiach wizji, nie chciałem być podejrzliwy. Osiem lat, może nawet dziewięć? Już od dawna nie domagała się mojej uwagi. Realizowałem inne zlecenie, komunikując się ze zmarłymi pewnego bogatego klienta, którzy nie byli zbyt zainteresowani nawiązaniem kontaktu. Próbowałem ich do tego skłonić, otwierając się szerzej w poszukiwaniu inspiracji, czegoś wartego namalowania, czegoś, z czym mógłbym pracować. Jak dotąd pokazywali mi środkowy palec, a nie sądzę, żeby to zadowoliło mojego klienta.

Powiedziałem sobie, że ujrzenie Molly było czystym przypadkiem, że otworzyłem się tak szeroko, iż przyciągnąłem uwagę ducha z przeszłości, który wiedział, jak się prześliznąć między moimi ścianami. Molly wypełniła mój umysł barwami: pasmami czerwonego strachu i niebieskiej desperacji upstrzonymi fioletową pasją i zielonym żalem, skąpanymi w bieli i zanurzonymi w czerni. W pewnym momencie zorientowałem się, że maluję coś zupełnie irracjonalnego i kompletnie niepasującego do dziewczyny, której lata temu zapewniliśmy wieczny spokój.

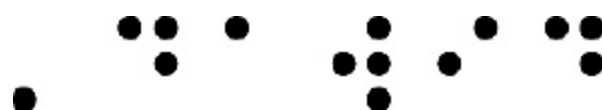
Dwie godziny później odszedłem od płótna i patrzyłem oniemiały na stworzony przez siebie obraz. Wyglądał jak obraz z albumu babci Kathleen, tego, który zabrała z biblioteki kościelnej, bo był nieco zbyt erotyczny i rozprasający dla

wiernych. Mój obraz przedstawiał Dawida i Goliata. Z brutalną szczegółowością. Szczegóły budziły niepokój i były bardzo konkretne, lecz pozwoliłem sobie je zignorować.

Zadzwoiłem więc do Taga. I pozwoliłem mu powiedzieć to, co chciałem usłyszeć. To, co potrzebowałem usłyszeć. Dostał w głowę. Proste i zwyczajne wyjaśnienie, pozbawione wszelkich istotnych szczegółów. Wszelkich brutalnych szczegółów. Które budziły niepokój i były bardzo konkretne, lecz pozwoliłem sobie je zignorować.

Zgodnie z życzeniem Georgii wróciłem prosto z siłowni do domu, a ona puściła mi taśmę. Wysłuchałem relacji ze swojej rozmowy z przyjacielem i usłyszałem to wszystko, czego mi nie powiedział. I teraz chodziłem niespokojnie tam i z powrotem, czując, jak strach skręca mi trzewia. Millie stała, gdy przyszedłem, jakby wyznania Taga zmusiły ją do opuszczenia krzesła. Jej twarz była jak skamieniała i malował się na niej szok. Gdy dotarłem do końca nagrania i głos Taga się urwał, Millie pękła, zwiesiła głowę, znalazła dłońmi swoje krzesło i opadła na nie. Henry siedział w pobliżu i po raz pierwszy sprawiał wrażenie, jakby rozumiał, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

— On cię szukał tej nocy, Mojżeszu. Pamiętasz? Nie było cię w domu, a on nie został zbyt długo — powiedziała Georgia drżącym głosem, przytulając Kathleen do piersi i kołysząc się z nią. Kołysała się nawet, gdy jej nie trzymała. Stało się to jej nawykiem, z którego sobie żartowałem. Nie przestawaj się ruszać, a dziecko nie będzie płakać. Nie przestawaj się ruszać, a dziecko się nie obudzi. Chciałem, żeby mnie też przytuliła. Chciałem, żeby ukołysała mnie w swoich ramionach, żebym się nie obudził i żebym nie płakał. Bo gdybym spał, to nic z tego nie byłoby realne. Ale było, a my nie wiedzieliśmy jeszcze wszystkiego.



JECHAŁEM BEZ KOŃCA. Była ładna pogoda, świeciło słońce, niebo było błękitne, a powietrze chłodne i rześkie. Późnym popołudniem zaparkowałem pod domem Mojżesza i Georgii, a niebo nad niskimi wzgórzami na zachód od miasta emanowało takim blaskiem, że po wyjściu z samochodu zatrzymałem się na chwilę i po prostu chłonałem widok. Ale piękno wywoływało ból, a w mojej głowie odezwał się znowu znany refren. *Co ja teraz zrobię? Co ja teraz zrobię?*

## *Co ja teraz zrobię?*

Nikt mi nie otworzył, więc obszedłem dom, żeby sprawdzić, czy ktoś jest na pastwiskach z tyłu. Mojżesz czuł się coraz pewniej wśród zwierząt, chociaż to Georgia była ujeżdżaczką. Pracowała nad swoim mężczyzną i nakłoniła go do wspięcia się na siodło tyle razy, że w końcu zaczął czerpać z tego przyjemność, nawet jeśli narzekał i jęczał za każdym razem, gdy go o to pytałem.

Zobaczyłem Georgię w okrągłej zagrodzie, w samym środku. Trzymała na linie kasztankę, która biegała dookoła niej. Klacz wyglądała na chętną do współpracy, a Georgia była w pełni na niej skupiona. Mówiła do niej, zachęcała ją, naciskała, a potem odpuszczała, żeby ją do siebie przyciągnąć. Była zupełnie inna niż Mojżesz. I idealnie do niego pasowała. Wiedziałem o tym w chwili, gdy otworzyła usta, gdy spojrzała mi w oczy i gdy wyciągnęła do mnie dłoń.

— Hej, George. — Mówiłem do niej „George”, bo Mojżesz tego nie znosił.

— Hej, Tag! Jak leci, przystojniaku? — Twarz Georgii rozjaśnił tak szeroki uśmiech, że ból w mojej piersi dotarł do brzucha i poczułem, jak skręcają mi się wnętrzności. Już za nią tęskniłem. Nie chciałem za nią tęsknić. *Co ja teraz zrobię? Co ja teraz, do licha, zrobię?* Podeszła do ogrodzenia, wspięła się na dolną deskę i przyciągnęła mnie do siebie, przytulając mocno.

Potrzebowałem tego uścisku. Tak bardzo go potrzebowałem. Wiedziałem jednak, że jeśli przytrzymam ją dłużej niż zwykle, wyczuje mój wewnętrzny chaos i będzie wiedziała, że coś jest nie tak. Przytuliłem ją więc mocno i wypuściłem. Przykleiłem na usta uśmiech, który pachniał kłamstwem, i wezwałem swoje wrodzone umiejętności ściemniania. To był talent, który zawsze dobrze mi służył.

— Cześć, maleńka. Gdzie Mo? — Tak. Wciąż to mam. Mój głos był pewny, a ręce nie drżały, gdy ściągnąłem jej kapelusz i założyłem go sobie na głowę. Niekończący się flirt, nawet z żoną mojego najlepszego przyjaciela, nawet gdy byłem na granicy emocjonalnej rozsyпки. Taki po prostu miałem sposób bycia i Georgia o tym wiedziała. Zabrała mi kapelusz i przeskoczyła przez ogrodzenie, żeby dołączyć do mnie po drugiej stronie. Koń, nad którym pracowała, zarżał, gdy przestała mu poświęcać uwagę, a ona odwróciła się i wybuchła śmiechem.

— O, to teraz chcesz, żebym wróciła, Sis? Jeszcze minutę temu przede mną uciekałaś!

— Ach, ale pogoń jest w tym najlepsza, George. Wiesz o tym — powiedziałem ze śmiechem, patrząc na rozczarowaną kasztankę. — Gdy tylko się odwrócisz, ona zacznie cię błagać, byś wróciła.

— Święta prawda — zaśmiała się. — Ale teraz moja kolej na granie trudnej do zdobycia. A *propos* trudnego do zdobycia, minąłeś się z Mojżeszem. Ma dzisiaj wieczorną sesję w Salt Lake. Chyba chciał do ciebie wpaść po drodze, ale jesteś

tutaj, więc ten plan raczej nie wypali. Nie zabrałeś Millie?

Skrzywiłem się. Próbowałem się powstrzymać, ale nie byłem w stanie myśleć o Millie. Nie teraz.

— Tag? — Georgii nie umknęła moja krzywa mina i teraz przypatrywała mi się uważnie ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie. Nie wziąłem jej. To była impulsywna przejażdżka. Mojżesz do mnie zadzwonił i powiedział, że wczoraj mnie namalował. Zaciekawilo mnie to i tyle. Poza tym tęskniłem za swoją boginką. Chciałem ją potrzymać. Gdzie mała Taglee?

— Moja mama ją wzięła. — Georgia ściągnęła usta i spojrzała na mnie badawczo. — Mojżesz nic mi nie mówił o obrazie. Chodźmy rzucić okiem, co?

Tak naprawdę obraz w ogóle mnie nie interesował, to była pierwsza rzecz, jaka wpadła mi do głowy. Poszedłem jednak za Georgią i starałem się nieustannie nadawać, żeby nie mogła się za bardzo zbliżyć.

Obraz przedstawiał Dawida i Goliata, krzepkich i rozwiniętych, w ostrych barwach. Obaj byli niemal kompletnie nadzy, jakby ta biblijna konfrontacja pasterza i żołnierza miała miejsce w raju, a nie na polu bitwy.

Dawid Mojżesza był mały i niepozorny. Dziesięcio- lub jedenastoletni chłopiec, młodszy, niż go sobie wyobrażałem. W jego chłopięcej twarzy zobaczyłem swoją własną. Rozczochrana czupryna, zielone oczy, silna postawa. Nie wyglądałem tak, gdy miałem jedenaście lat. Byłem okrąglejszy i pulchniejszy. I dość wielki jak na swój wiek. To sprawiało, że byłem na celowniku, bo różnice fizyczne zawsze wywołują taką reakcję.

Goliat był olbrzymi i górował nad chłopcem, jakby należeli do innych gatunków. Miał potężne bicepsy i uda, jego łydki były nienaturalnie duże, a ramiona tak szerokie jak wzrost chłopca. Odrzucał głowę w tył i miał szeroko otwarte usta, jakby ryczał niczym bestia, którą przypominał. Jego zaciśnięte po bokach pięści były większe niż głowa chłopaka, lecz młody Dawid stał z procą w dłoni i patrzył na niego spokojnie i z namaszczaniem. Nachyliłem się bliżej, żeby obejrzeć szczegóły, i zauważyłem brak strachu na twarzy chłopca. Spojrzałem jeszcze raz na Goliata, porównując obie postacie, i nagle zaparło mi dech w piersi. Nie tylko Dawid miał moją twarz. Goliat też.

Byłem Dawidem i Goliatem. Obaj mieli moją twarz. Byłem chłopcem i gigantem. Zrobiłem krok w tył, żeby zdystansować się od tego nieoczekiwane niepokojącego obrazu.

— Georgio? Czy ja mam przywidzenia, czy Mojżesz naprawdę namalował moją twarz Dawidowi i Goliatowi?

— A niech mnie. — Była zaskoczona. Ale też to widziała. Nie miałem omamów.

— Co to według ciebie oznacza? — dopytywałem.

— Nie mam pojęcia, Tag. Nie rozumiem połowy obrazów Mojżesza. Nawet on ich nie rozumie. To intuicyjne, wiesz o tym.

— Ale zawsze miało jakieś znaczenie. — I zobaczył Molly. To ona zainspirowała ten obraz.

— Może chodzi o to, że sam jesteś swoim największym wrogiem — stwierdziła wesoło Georgia i puściła mi oczko. Przełknąłem ślinę i odwróciłem się w stronę obrazu. — To którym z nich jesteś? Dawidem czy Goliatem?

— Ani jednym, ani drugim — odparłem cicho, bo porwało mnie tak wyraziste wspomnienie, że odpłynąłem.

*— Walcz, walcz, walcz, walcz! — Skandowanie rozbrzmiewało coraz głośniejsze, a to, że dochodziło z dziecięcych gardeł, nie sprawiało, że wrzaski były słabsze, a szyderstwa mniej bolesne. Nie umniejszało pragnienia przywalenia komuś z pięści i sprawdzenia, jak by to było. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałem komuś przyłożyć. — Walcz, walcz, walcz, walcz!*

*— To tchórz! Dziecko. Jesteś dzieckiem, co, mały Cammie?*

*Cameron Keller leżał skulony z kolanami przyciągniętymi do piersi. Cameron i ja byliśmy przyjaciółmi. Cameron był drobny i chorowity, a ja byłem wysoki i potężny. Cameron był cichy, a ja byłem klasowym klaunem. Obaj byliśmy wyrzutkami balansującymi na odległych krawędziach spektrum, a normalność leżała gdzieś między nami. Wbiłem się do kręgu, co ułatwiły mi moje rozmiary. Wszyscy się rozstąpili, bardziej ze zdziwienia niż z jakiegokolwiek innego powodu, bo nigdy wcześniej z nikim się nie biłem.*

*Lyle Coulson nachylał się nad drżącym ciałem Camerona i zbierał w ustach ślinę. Pozwolił, by przez chwilę zwisała z jego ust długą i grubą od flegmy strużką, po czym wypuścił ją na włosy Camerona.*

*Z wrzaskiem zepchnąłem Lyle'a Coulsona na ziemię i przycisnąłem jego szyderczo uśmiechniętą gębę do podłoża.*

*Ktoś popchnął mnie od tyłu, przewracając na bok, a Lyle zdołał wstać, klnąc i wymachując pięściami. Ktoś chwycił mnie za rękę, żebym nie mógł przywalić Lyle'owi, zanim on zdoła przyłożyć mi. W moich uszach rozbrzmiewał dziki ryk. Może to moje serce łomotało w szaleńczym tempie, może adrenalina przytępiła mi zmysły — nie wiem, ale podobało mi się to. Ryk w moich uszach spotęgował emocje. To był odgłos radości z tego, że w końcu stanąłem do walki. Poczulem silny cios w plecy. A może to było kopnięcie? Odwróciłem się, wymachując wściekle pięściami, które pracowały jak tłoki. Rozdałem kilka ciosów, potem jeszcze kilka, aż w końcu dzieciaki zaczęły uciekać, rozbiegając się jak dzikie*

*antylopy na afrykańskiej sawannie. Jak w programie National Geographic, który oglądałem z Molly w niedzielę. Tym razem ja byłem lwem. Ja byłem drapieżnikiem. Ale Cameron nie uciekł. Nadal leżał skulony, jak zranione cielętko.*

*— Cameron? — Uklęknąłem obok niego. — W porządku, stary?*

*Cameron spojrział przez ramię, którym zasłaniał głowę. — Tag? Poszli sobie?*

*— Tak, stary, wszyscy uciekli. — Byłem przepełniony dumą. Spojrzałem zdumiony na swoje ręce. Dokonałem tego własnymi pięściami. Miałem krew i otarcie na jednej kostce, ale ten ból był słodki.*

*— To ty ich przegoniłeś, Tag? — Cameron był równie zdziwiony jak ja. Nigdy wcześniej nie próbowałem się bronić. Byłem grubym dzieciakiem, który starał się wszystkich rozśmieszyć. Ja się nie biłem.*

*— Tak, Cam. To ja. Sprąłem ich na kwaśne jabłko.*

Moja pierwsza walka na pięści. Przypuszczalnie bardziej przypominała kotłowanie się grubych szmacianych kukiełek, ale po raz pierwszy odniosłem zwycięstwo. Byłem wtedy Dawidem. I Goliatem chyba też. Chłopiec, który stanął do walki, i gigant, przed którym wszyscy uciekli w popłochu. A teraz? Teraz nie wiedziałem, czy Dawid wciąż istnieje i czy Goliat kiedykolwiek istniał, a obraz wywoływał we mnie niepokój. Mojżesza też musiał zaniepokoić, bo inaczej by nie zadzwonił.

*— Wszystko w porządku, Tag? — spytała cicho Georgia. Odwróciłem się od obrazu i trafiłem na jej poważne spojrzenie.*

Przytaknąłem. Jedno krótkie szarpnięcie głową. Georgia przycisnęła mnie mocniej.

*— Powiesz mi, co z Millie? Mojżesz uważa, że jest wyjątkowa. To prawda?*

*— Jest wyjątkowa.*

*— Na tyle, żeby okiełznać dzikiego mężczyznę? — Georgia droczyła się ze mną, próbując mnie wyrwać z kiepskiego nastroju, który najwyraźniej wyczuwała. Albo po prostu zachowywała się jak dziewczyna domagająca się romantycznych plotek. Moje siostry też takie były, gdy miałem z nimi kontakt.*

Objąłem ją ramieniem i odwróciliśmy się od tego biblijnego pokazu.

*— Niektórzy są przeznaczeni do dzikiego życia. Niektórych koni nie da się okiełznać — powiedziałem swoim najlepszym Clintem Eastwoodem.*

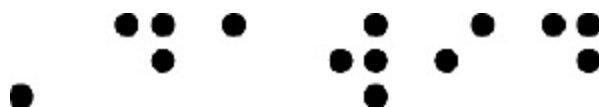
*— No dobrze. W takim razie pytanie powinno brzmieć: czy jesteś wystarczająco wyjątkowy, żeby pozwolić się okiełznać niewidomej dziewczynie?*

— To już nastąpiło. Ja po prostu nie chcę jej skrzywdzić. — Głos niebezpiecznie mi się załamał, więc zabrałem rękę z ramion Georgii, wcisnąłem dłonie do kieszeni i zacząłem się oddalać, żeby nie zauważyła drżącej wargi i paniki, którą z pewnością było widać. Cieszyłem się, że nie ma Mojżesza. Nie wiem, na co liczyłem, próbując go znaleźć. Nie byłem jeszcze na niego gotowy.

— Muszę iść, George. Ucałuj ode mnie Taglee. Mojżesza też. On uwielbia moje pocałunki. — Georgia się zaśmiała, lecz śmiech nie wymazał z jej głosu troski. Zachowywałem się dziwnie i wiedziałem, że zastanawia się, o co, do licha, chodzi.

— Przyjedź znowu, Tag. Tęskniliśmy za tobą — zawołała za mną, gdy wracałem do samochodu.

— Ja też będę za tobą tęsknił, George. Każdego cholernego dnia.



NIE WIEM, CZY powodem tego była wzmianka Mojżesza o Molly, ale piętnaście minut po opuszczeniu Levan zjechałem z autostrady przy postoju dla ciężarówek w Nephi, niedaleko miejsca, w którym znaleziono szczątki mojej siostry. Psy ją znalazły. Ja nie potrafiłem. A szukałem. Szukałem tak intensywnie i rozpaczliwie, że niemal przekonałem samego siebie, że nie da się jej znaleźć. Skoro nie da się jej znaleźć, to niczego nie zawałem? Nie do końca.

Jej grobem była zwykła dziura w ziemi, oznaczona wysuszonymi chwastami i otoczona krzakami szaławii. Szukaliśmy Molly niemal dwa lata, a ona leżała na zaśmieconym polu niedaleko obskurnej estakady, na obrzeżach miasteczka, którego nazwy nikt nie potrafił poprawnie wymówić. To miasteczko nic dla niej nie znaczyło, lecz stało się miejscem jej przymusowego ostatniego spoczynku. Nephi. NI-FI. Gdy po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę, skojarzyła mi się z olbrzymem z bajki o Jasiu i magicznej fasoli, który ryczał z zamku w niebie: „FI, FI, FO, FUM, czuję krew Anglika”. FI FI rymowało się z NEPHI.

NI FI FO FUM, czuję krew twoich zaginionych bliskich.

Psy ją wyczuły. Ale nie było krwi. Wtedy już nie. Gdy ją znaleźli, zostały tylko kości, kawałki materiału i kilka długich blond kosmyków. Razem z nią były zakopane jakieś narzędzia do przyjmowania narkotyków, piętnujące ją jako narkomanę, zasługującą na los, który ją spotkał. I nagle przestała być zaginiona. Lecz nadal jej nie było. I przez wiele lat nie wiedzieliśmy, kto ją nam zabrał.

NI FI FO FUM, czuję krew twoich zaginionych bliskich.

Mówi się, że większość morderstw zostaje popełniona przez członków rodziny. Przez bliskich. Ale mężczyzna, który zabił Molly, w ogóle jej nie znał. Nie był jej

bliskim. Jak się okazało, zabił mnóstwo dziewcząt. Mnóstwo dziewcząt przez wiele lat. Wszystkie zniknęły bez śladu.

NI FI FO FUM, nadchodzę, czy jesteś gotów, czy nie. I nadszedł. Wpakowałem mu kulę w głowę, mszcząc krew zaginionych, *wszystkich* zaginionych.

NI FI FO FUM, pociągnij spust i po wszystkim.

NI FI FO FUM, pociągnij spust i po wszystkim.

O Boże. Nie chcę, żeby było po wszystkim. Siedziałem w samochodzie i rozmyślałem o Molly, wpatrując się w pole, na którym znaleziono jej ciało. Mówiłem do niej przez chwilę. Spytałem ją, co, do licha, mam teraz zrobić. Zastanawiałem się też, czy przyszła do Mojżesza, bo mój czas się kończył. Może krążyła w pobliżu, bo na mnie czekała. Jeśli mój czas się kończył, dam sobie radę. Ta prawda mnie uspokoiła. I zaskoczyła. Ale dałbym sobie radę. Nie miałbym z tym problemu. Mojżesz powiedział mi kiedyś, że nie da się przed sobą uciec. Kiedyś chciałem to zrobić, ale już nie chcę. Pogodziłem się ze sobą. Lubiłem się. Lubiłem swoje życie. Do licha, ja je uwielbiałem.

Nie miałem jednak zamiaru spędzić pozostałego mi czasu na chorowaniu.

Nigdy nie byłem dobry w półśrodkach. Wszystko albo nic. Taki zawsze byłem. Wszystko albo nic, śmierć albo życie. Nie umieranie. Nie choroba. Śmierć albo życie, wszystko albo nic.

Podjąwszy decyzję, zadzwoniłem do doktora. Usłyszałem ulgę w jego głosie, gdy powiedziałem mu, że jestem gotów na to, co będzie dalej, a ta ulga mnie przeraziła. Anulował wszystkie zobowiązania i tak po prostu umówił mnie na kraniotomię następnego dnia.

Wróciłem na autostradę i zostawiłem cień siostry w lusterku wstecznym. Jechałem do domu, do Millie, bo nagle desperacko zapragnąłem ją zobaczyć.

\*\*\*



# Osiemnaście



MILLIE OTWORZYŁA mi drzwi i przywitała mnie z uśmiechem i moim imieniem na ustach, ale nie czekałem, aż je wymówi. Chciałem, żeby je zatrzymała, rozkoszowała się nim i nigdy go nie wypuszczała. Chciałem, żeby zostało w niej, żebym nie odpłynął jak słowo, które już wypowiedziano. Dlatego przycisnąłem usta do jej ust i okręciłem ją w ramionach, jak to robią mężczyźni w filmach, a moje imię zmieniło się w tylko przeze mnie słyszalne westchnienie.

Czułem się trochę jak szaleniec, gdy niosłem ją pospiesznie na górę, całując gorączkowo. Tym razem nogi mi nie drżały i miałem jasny umysł, jakby moje ciało także się buntowało, okazując absolutne zdrowie. Miałem ochotę wrzasnąć i uderzyć się pięścią w pierś. Miałem ochotę wygrażać niebu. Przede wszystkim jednak pragnąłem Millie. Nie chciałem zmarnować ani jednej spędzonej z nią sekundy.

Znaleźliśmy się w jej pokoju. Biała kołdra była nieskalana i gładka jak skóra Millie w blasku księżyca. Położyłem ją na kołdrze i opadłem obok niej. Byłem niecierpliwy. Spragniony. Potrzebowałem bezpieczeństwa jej skóry, rozgrzeszenia jej ciała i obietnicy, która się w tym ukrywała. Chciałem brać. Chciałem utwierdzić się w jej wspomnieniach i zostawić swój ślad. Potrzebowałem tego. Potrzebowałem jej. A ona reagowała równie gorączkowo, jakby mnie rozumiała. Nie rozumiała. Nie mogła rozumieć. Ale nie hamowała mnie ani nie błagała o słowa otuchy.

Wplotłem dłonie w jej włosy, potem musnąłem oczy, dotknąłem ust i zatrzymałem się na wgłębieniu szyi. Chciałem dotknąć każdego skrawka jej ciała. Ale nawet zatracając się w jedwabistości jej skóry i kołyszących ruchach bioder, czułem wzbierające przerażenie, które wibrowało tuż pod skórą. To mi nie wystarczy. Dobrze o tym wiedziałem, chociaż zamknąłem oczy i próbowałem sobie wmówić, że jednak tak. Nie mogłem złapać oddechu, a moje serce gnało jak

oszałała i przez chwilę chciałem jej o wszystkim powiedzieć.

Millie mylnie odczytała mój strach jako wahanie, a wstrzymywany oddech jako coś innego, bo ujęła moją twarz w dłonie i przycisnęła swoje czoło do mojego. A potem zaczęła szeptać moje imię.

— Dawid, Dawid, Dawid. — Brzmiało w jej ustach jak pieśń. Pocałowała mnie delikatnie. — Dawid, Dawid, Dawid — powtarzała śpiewnie moje imię, jakby nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, i jakby wypowiedanie mojego imienia sprawiało jej przyjemność.

— Uwielbiam sposób, w jaki mówisz „Dawid” — powiedziałem i przypomniał mi się wers z mojej niedorzecznej piosenki, wers, do którego nie znalazłem rymu.

— Uwielbiam to, że jesteś mój — szepnęła i strach tymczasowo mnie opuścił. Odszedł na palcach, a jego miejsce zajęła miłość. Miłość, poczucie przynależności i czas, którego nie można zabrać. Millie powiedziała, że musi czuć, żeby widzieć, i oglądała mnie całego. Błądziła palcami po liniach moich pleców, jakby były mapą, a ona śledziła rzekę, która przebiegała przez wzgórza i doliny, kierując się w stronę bezkresnego morza. Jej palce były uważne i ostrożne, a usta i język podążały ich śladami, sprawdzając tekstury, które wymagały większej uwagi. Millie nie tylko uprawiała miłość, lecz ją *tworzyła*. Kreśliła jej kształty, powołując ją swoimi ruchami do życia. Nie lubiłem mówić o „uprawianiu miłości” i wolałem używać dosadniejszych sformułowań, bo wydawały mi się bardziej szczerze. Ale do Millie nic innego nie pasowało. Co więcej, ona tworzyła miłość także we *mnie*. Skłaniała mnie do słuchania. Wzbudzała we mnie uczucia. Zmuszała mnie do uważności. Nie spieszyłem się. Nie naciskałem na nic. Zamknąłem oczy i zacząłem kochać się z nią tak samo jak ona ze mną, końcami palców i wnętrzami dłoni, i zobaczyłem ją tak wyraźnie, że ukryte za powiekami oczy zaczęły mnie palić.

Była pewna siebie w sposób, w jaki nie powinna być, w sposób, który wynika ze świadomości bycia kochanym. Rozkoszowałem się tym. Nie zachowywała się jak dziewczyna w seksownej bieliźnie, która się zastanawia, czy powinna przyjąć tę, czy inną pozycję. Była dogłębnie zakochaną kobietą, która kompletnie zatracą się w tym doświadczeniu. Nie pytała mnie, co lubię i czego pragnę. Nie wahała się i nie powstrzymywała. Nie błagała o piękne lub czułe słówka.

Ale ja i tak jej je dałem.

Zrobiłem to, bo po prostu wysypały się z moich ust. Przycisnąłem je do jej uszu, bo chciałem, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocham, jak się cieszę, że ją znalazłem, i jak cenna jest dla mnie ta chwila. Ona szeptała do mnie, odpowiadając emocjami na moje emocje i obdarzając mnie starannie wybranymi słowami. W końcu jednak mówienie stało się zbyt trudne, a słowa przestały nam wystarczać. Gdy dotarliśmy do szczytu, pociągnęła mnie ze sobą w dół. Żałowałem, że nie możemy tak spadać bez końca i nigdy się nie zatrzymać.

Spadanie jest jak latanie, pod warunkiem że nigdy nie trafisz w ziemię. Nasze lądowanie było jednak łagodne. Nasze oddechy stopniowo się uspokajały, a ja przytuliłem ją mocno, gdy świat powoli wracał do normy. Lub znowu mnie okłamywał. Nie wiem. Millie była wyczerpana i śpiąca, czułem, jak zaczyna odpływać.

— Kocham cię, Millie. Wiesz o tym? — powiedziałem.

— Tak. — To słowo było na jej ustach długim, zadowolonym westchnieniem, jakby sama świadomość tego była dla niej rozkoszna.

— Masz swoje ulubione odgłosy, lecz ja też znalazłem swoje. Uwielbiam, gdy jestem odwrócony plecami i słyszę, że nadchodzisz. Uwielbiam odgłos twojej laski. Uśmiecham się, gdy ją słyszę. Uwielbiam twój głos i głęboki śmiech prosto z serca. To jedna z pierwszych rzeczy, które zwróciły moją uwagę. Ten śmiech. — Poczuję, że się uśmiecha, gdy jej usta nieznacznie poruszyły się na mojej szyi. — Uwielbiam to ciche westchnienie, to twoje zatrzymanie oddechu, gdy dotykam cię tutaj. — Położyłem dłoń na dole jej pleców i przycisnąłem ją do siebie. Jej oddech zamarł jak na komendę. — No właśnie. O to chodzi.

Millie pocałowała mnie w pierś, lecz nie odpowiedziała. Powoli policzyłem do sześćdziesięciu, po czym ciągnąłem dalej, szepcząc tak cicho i niespiesznie, że z pewnością zaczęła zasypiać.

— I twoje nucenie. Nucisz, gdy jesteś zadowolona. Nucisz, gdy przeczesujesz dłońmi moje włosy i gdy zasypiasz. Teraz też niemal nucisz.

W pokoju panowała cisza. Wiedziałem, że Millie zapadła w drzemkę. Tak jak zamierzałem. Chciałem zaczekać, aż zaśnie.

— Chciałbym słuchać tego odgłosu każdej nocy do końca życia. — W moim gardle zaczęła wzbierać panika, bo nie wiedziałem, ile nocy będę jeszcze miał, lecz nie chciałem o tym myśleć, gdy trzymałem Millie w ramionach. Razem z paniką pojawiły się łzy, które wymknęły się z oczu i spłynęły w stronę uszu.

— Kocham cię, Millie. To najbardziej niesamowite i niewiarygodne uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Nie potrafię pomieścić go w swojej klatce piersiowej, przez co wylewa się ze mnie za każdym razem, gdy jesteś w pobliżu. Wylewa się przez moje usta, oczy i uszy. Wylewa się z moich palców, każe mi szybciej chodzić, głośniej mówić i czuć się bardziej żywym. Czy ty też to czujesz, Millie? Czy ty też czujesz się przy mnie bardziej żywa?

Jedyną odpowiedzią był jej głęboki, łagodny oddech. Pocałowałem ją w czubek głowy.

— Jak to możliwe, że umieram, skoro czuję się bardziej żywy niż kiedykolwiek wcześniej?



O ŚWICIE ZAKRADŁEM SIĘ do pokoju Henry’ego. Chciałem go zobaczyć, na wszelki wypadek. Na wypadek, gdyby się okazało, że jest źle i już nie wrócę. Chciałem się pożegnać, nawet jeśli to było tymczasowe, nawet jeśli on mnie nie słyszał. Wyglądał na dużego w swoim małym łóżku — długie nogi i kościste kolana wystawały spod kołdry. Potrzebował nowego łóżka. Pomyślałem, że muszę o tym powiedzieć Millie, lecz powstrzymałem tę myśl. Jak Millie to mówiła? Dawała sobie radę, zanim mnie poznała, i będzie sobie dawała radę, gdy mnie już nie będzie. I że ona i Henry nawzajem się sobą opiekują.

Nie chciałem go budzić i ruszyłem do wyjścia, lecz zerkając na biurko, zauważyłem książkę o gigantach, która go niegdyś przerażała. Mojżesz wspomniał o zmarłej matce Millie i o tej książce, a ja przez kilka tygodni zastanawiałem się, jak poruszyć ten temat, żeby nikogo nie zdenerwować. W ogólnym zarysie powiedziałem Millie o zdolnościach Mojżesza, ale to, że ktoś widzi zmarłych, i to, że widział *twoją* zmarłą matkę, to dwie różne rzeczy. Wiedziałem o tym z własnego doświadczenia. Nie dawało mi to jednak spokoju, więc w końcu kiedyś zapytałem o to Henry’ego.

— Nie masz czasem jakiejś książki o gigantach, Henry? — zainteresowałem się ostrożnie. Nie było to zbyt subtelne, ale Henry nie potrzebował subtelności. Od razu wiedział, o którą mi chodzi. Wiedział też, gdzie ją znaleźć. Zbiegł z hałasem po schodach do piwnicy do starannie poukładanych i opisanych koszy ze starymi rzeczami i po kilku minutach wrócił z rękami pełnymi dawnych skarbów, wśród których była zniszczona od wielokrotnego czytania książka pod tytułem *Gdzie kryją się giganci*. Pokazał mi wszystkie obrazki, lecz zmuszał do znalezienia każdego giganta, zanim przewrócił stronę.

— Mój ojciec miał na imię Andre — stwierdził nagle.

— Tak. Wiem.

— Jak Andre the Giant<sup>[1]</sup> — dodał.

Przytaknąłem. Andre the Giant był gigantem, a nasz Andre grał w Giantsach. Interesujące. Nie skojarzyłem tego wcześniej, lecz Henry’emu najwyraźniej to nie umknęło.

— Andre the Giant miał ponad dwa metry wzrostu i ważył ponad dwieście kilogramów — ciągnął, odwracając stronę. Naszym oczom ukazał się gigant ukryty między drzewami z wielkim liściastym afro na głowie i brązową skórą.

— Był zawodowym wrestlerem. Kiedyś oglądałem stare nagrania jego walki z Hulkiem Hoganem — powiedziałem.

— Kto wygrał? — spytał Henry, odrywając wzrok od książki.

Zaśmiałem się.

— Wiesz co? Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że dziwiłem się, że Andre jest taki wielki, i że chciałem mieć długie włosy i złoty pas, jak Hulk Hogan.

— Ta książka kiedyś mnie przerażała.

— Już cię nie przeraża?

Henry potrząsnął głową.

— Nie. Ale czasem zdarzy mi się rozglądać za gigantami.

— Gigantami... czy może jednym gigantem? — spytałem cicho. Myślałem, że uda mi się odgadnąć, dlaczego matka Millie pokazała Mojżeszowi tę książkę.

— Andre the Giant umarł — odparł Henry poważnie. — Nie rozglądałem się za nim.

Miałem wrażenie, że Henry doskonale wiedział, o kim mówię, ale porzuciłem wtedy ten temat.

Lecz gdy teraz patrzyłem na książkę na biurku Henry'ego, przypomniały mi się słowa doktora.

*Ma pan gigantyczną masę w płacie czołowym.*

Ukrywający się gigant, którego nikt nie potrafił dojrzeć. Do teraz.

*Giganci nie są zbyt dobrymi przyjaciółmi.*

Henry miał rację. Gigantów należało się bać.

— *Gdzie kryją się giganci* — przeczytałem tytuł na głos, a Henry obrócił się, mamrocząc przez sen. Odłożyłem książkę na biurko i zauważyłem stary magnetofon, który przyniósł razem z nią. Obok niego stało pudełko pełne kaset. Niektóre nowe, część nagrana. Najwyraźniej Henry nagrywał na nie swoje własne relacje z meczów. Teraz miał dyktafon cyfrowy, ale bardzo się ucieszył, gdy znalazł tę starą kolekcję.

Widok magnetofonu i kaset podsunął mi pewien pomysł. Poczułem nieznaczny dreszcz ulgi, jakbym złapał cienką nitkę nadziei. Nagram na taśmach to, co chcę przekazać Millie. Wziąłem je ostrożnie z biurka i z pełnymi rękami, na palcach wycofałem się z pokoju. Oddam cały komplet, obiecałem Henry'emu w myślach.

(Koniec taśmy).



**Mojżesz**

NASTĘPNEGO RANKA wyjechaliśmy do Vegas. Georgia została z Kathleen, lecz

Millie koniecznie chciała jechać. Przepraszała za swój upór, lecz i tak nie dawała się od tego odwieść. Henry nie mógł zostać sam, więc siedzieliśmy we trójkę w moim samochodzie z żołądkami w gardłach i chaosem w głowach. Mogło być niezręcznie, ale nie było. Niezręczność mieliśmy już za sobą, a teraz byliśmy na dobrej drodze do przyjaźni.

Zespół Taga wyjechał mniej więcej o tej samej porze, ale nie mieliśmy w planach się spotkać. Sukces przez dywersyfikację — taki był nasz plan, chociaż brakowało w nim szczegółowych ustaleń. Moim celem było dotrzeć do Vegas i dostać się na arenę. O resztę będę się martwił później.

W samochodzie nie miałem odtwarzacza kaset, bo już się ich nie montuje. Ale Millie zabrała swój magnetofon i pudło z taśmami. Trzymała wszystko na kolanach, jakby nie potrafiła się z tym rozstać. Były jej nadzieją. Śladem Taga. Od wczoraj, gdy usłyszeliśmy, jak Tag ujawnia wyniki rezonansu, nie dzieliła się zawartością taśm ani ze mną, ani z Georgią, a ja nie miałem zamiaru jej o to prosić. Nie chciałem tego słuchać. Te wyznania zrobiły się zbyt intymne, ich historia miłosna zbyt dojrzała, a uczucia zbyt nagie. Reszta była przeznaczona wyłącznie dla uszu Millie. Nie wiem, czy słuchała dalej, po tym jak ją zostawiliśmy, chociaż chyba tak zrobiła, sądząc po sposobie, w jaki je trzymała.

Mniej więcej w połowie drogi wyciągnęła kasetę i założyła słuchawki. Byłem zdumiony, że ten magnetofon ma wejście słuchawkowe. Odwróciła się nieznacznie w stronę okna, przyciągnęła kolana do piersi i zatoneła w głosie Taga.

Jakieś pół godziny później zaczęła płakać. Była taka odporna i opanowana, ale teraz wszystko się posypało. Coś na taśmie zupełnie ją rozbiło. Łzy płynęły ciurkiem po jej twarzy, chociaż z całych sił zaciskała powieki, żeby je zatrzymać.

Potrzebowałem Georgii. Nie wiedziałem, co zrobić. Henry też z całą pewnością nie wiedział. Gdy tylko zauważył łzy siostry, zaczął majstrować przy pasie, ciągnąć za niego i wyciągać dłonie do Millie, po czym przerwał i odwrócił się od niej.

— Lou Gehrig, Jimmie Foxx, Hank Greenberg, Eddie Murray, Buck Leonard... — mruczał, kołysząc się. — Mark McGwire, Harmon Killebrew, Roger Connor, Jeff Bagwell...

— Millie! — krzyknąłem, żeby usłyszała mnie mimo słuchawek na uszach.

Wyciągnęła słuchawki i natychmiast skupiła się na Henrym.

Położyła magnetofon na podłodze i bez wahania przeszła na jego siedzenie. Otarła łzy dłonią i przytuliła go.

— Przepraszam, Henry. Nic mi nie jest.

— Cap Anson, Bill Terry, Johnny Mize — mamrotał Henry.

— Bejsboliści? — spytałem, bo rozpoznałem kilka nazwisk.

— Pierwszobazowi — wyjaśniła Millie. Miała napięte usta i widziałem po niej, że próbuje stłumić żal, któremu pozwoliła się owładnąć. Henry opierał głowę na jej ramieniu i nie widział jej zażawionej twarzy, dzięki czemu miała chwilę na to, by się pozbierać.

— Andre Anderson — dodał Henry i na tym lista nazwisk się urwała.

Dopiero po minucie skojarzyłem fakty. Bejsbol. Pierwszobazowi. Andre Anderson. Ojciec Henry'ego i Millie.

— Rookie of the Year, Gold Glove, Silver Slugger. — Henry odchylił się od Millie i dotknął jej policzka. Kręciło mi się w głowie od jednoczesnego obserwowania drogi i dramatu rozgrywającego się na tylnym siedzeniu.

— Rookie of the Year, Gold Glove, Silver Slugger, beznadziejny ojciec — powiedziała Millie stanowczo. — Nie płaczę za tatą, Henry.

— Tag Taggert, waga półciężka, dziewiętnaście zwycięstw, dwie przegrane, jednaście nokautów, beznadziejny chłopak? — spytał Henry.

Chciało mi się śmiać. I płakać. Ale powstrzymałem się przed jednym i drugim. Lecz piekło mnie od tego gardło. Millie parsknęła, ale szybkie zerknięcie w lusterko wsteczne potwierdziło moje przypuszczenia, bo po jej twarzy znowu pociekły łzy. To było tragicznie zabawne.

— Nie, Henry. To nie to samo. To coś zupełnie innego. Tag nie zostawił *nas*. To nie dotyczy *nas*, Henry. To dotyczy Taga.

Poczułem dreszcz podziwu dla Millie Anderson. Niełatwo zrobić na mnie wrażenie. Mógłbym policzyć na palcach jednej dłoni ludzi, którzy wykroczyli poza moje oczekiwania. Millie właśnie dołączyła do tego grona.

— Ale i tak odszedł — stwierdził Henry, a ja się wzdrygnąłem. Millie nie odpowiedziała. Jechałem dalej.

\*\*\*

---

[1] Andre the Giant — zawodowy wrestler, którego ponadnaturalne rozmiary wynikały z gigantyzmu — *przyp. tłum.*

# Dziewiętnaście



## Mojżesz

ARENA BYŁA rzęsiście oświetlona reflektorami i obrotowymi stroboskopami, a my mieliśmy miejsca po prawej stronie od tablicy wyników, po lewej stronie oktagonu. Wiedziałem z dobrego źródła, że z naszych miejsc widać narożnik Taga i że on też nas zobaczy, jeśli uda nam się przyciągnąć jego uwagę. Będę musiał sprzedać płuco, żeby powetować sobie koszt biletów, ale dostaliśmy się do środka. Axelowi, Mikeyowi i reszcie chłopaków też się udało zdobyć bilety, lecz w innej części widowni, i jeszcze ich nie zauważyłem.

Twarz Henry'ego nie wyrażała żadnych emocji, lecz oczy szaleńczo błędziły po arenie. Chłonał wszystko: celebrytów, energię, sprawozdawców, ring girls, muzykę. Millie przybrała swoją wyjściową maskę i kurczowo trzymała dłoń brata, który prowadził ją przez tłum. Bałem się jednak, że gdzieś mi się zgubią, więc chwyciłem jej drugą dłoń i szliśmy gęsiego jak przedszkolaki na przejściu dla pieszych.

Nawet *ja* czułem się nerwowo w tej ciżbie, a *ja widziałem*. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak odczuwa to Millie, objając się o ludzi w kompletnych ciemnościach, z przeciążonymi zmysłami, bez możliwości rozejrzenia się po otoczeniu. Chwyciła moją dłoń z uśmiechem, gdy kluczyliśmy w poszukiwaniu swoich miejsc. Walka Taga nie stanowiła gwoździa programu, ale była ostatnią przed finałem, a przed nią w programie były jeszcze dwie inne.

Nie odbierał telefonu. Wciąż włączał się komunikat, że poczta głosowa jest pełna. Wytropiliśmy go na tyle, na ile się dało, a teraz pozostało nam tylko czekać.

Millie była wyciszona w trakcie podróży. Miała zgaszony wyraz twarzy, opiekowała się Henrym i rozmawiała ze mną cicho, a wyjąwszy łyżę w trakcie słuchania kaset Taga, zachowywała emocje dla siebie. Ja? Ja byłem wściekły. Jeśli Tag nie dostanie porządnie w tyłek w tej walce, to sam mu nakopię po jej zakończeniu. Moja wściekłość tłumiała strach. Znałem się dość dobrze, żeby to wiedzieć. Nie umiałem jednak pojąć, o co chodziło Tagowi. A przynajmniej nie do końca. Nie rozumiałem, dlaczego odciął się od nas i odszedł. Widziałem kiedyś film dokumentalny o tym, jak rdzenni Amerykanie opuszczają swoje plemiona, gdy czują nadchodzącą śmierć. Ale Tag miał dwadzieścia sześć lat. I nie był



rdzennym Amerykaninem. A ja nie przyjmowałem do wiadomości tego, że umiera. W mojej piersi na nowo rozgorzała wściekłość, więc przeniósłem uwagę na coś innego.

Henry skupiał się na tablicy wyników i był bardziej zainteresowany komentatorami niż samymi walkami. Podążyłem za jego fascynacją. Komentatorzy mówili o Tagu i poczułem, jak Millie się spięła.

*— Dla widzów, którzy właśnie dołączyli: Tag Taggert nie miał dzisiaj walczyć. Lecz gdy Jordan Jones wycofał się w ostatniej chwili z powodu kontuzji ramienia, członek komisji Cliff Cordova zadzwonił do Taga Taggerta, wschodzącej gwiazdy w MMA, i spytał go, czy chce zająć miejsce Jonesa. Tag miesiąc temu wygrał z Brunem Santosem przez nokaut w piątej rundzie. Tym samym po raz drugi pokonał zdecydowanego faworyta i całkowicie zaprzeczył swojemu statusowi w zestawieniach.*

*Dziś Dawid Taggert wchodzi na arenę w barwach sygnowanego przez siebie Tag Team. Jest jednak zupełnie sam. Towarzyszą mu wyłącznie dwaj ochroniarze. I nikt więcej. Żadnych asystentów w narożniku, żadnych trenerów, żadnego zespołu. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałem. To dość nietypowe jak na człowieka, który tak agresywnie rozwijał markę Tag Team.*

— Tag! Tag! — Henry wrzeszczał i podskakiwał jak najwyżej, próbując zwrócić jego uwagę, a Millie trzęsa się tak mocno, że zgrzytałem zębami, próbując jej pomóc się opanować. Tag zobaczył Henry’ego, potem mnie, a potem Millie. Zacisnął szczęki, otworzył szerzej oczy i spowolnił ruchy, niemal stając w miejscu, zanim przypomniał sobie, gdzie jest. Wykonał krok w naszą stronę, a Henry zawołał go jeszcze raz i zaczął teatralnie machać ręką. Tag spojrzał mi w oczy i wskazał na mnie, potem na Millie, jakby mówił: „Opiekuj się nią”, a ja przytaknąłem spojrzeniem.

Ochrona go ponagliła, więc ruszył w stronę oktagonu, ściągnął szlafrok, założył osłonę na zęby i czekał na wywołanie przez organizatora. Nie spojrzał już w naszą stronę, a ja rozpoznałem to napięcie ramion i wysunięty podbródek. Widziałem takiego Taga więcej razy, niż byłbym w stanie zliczyć. Tak wyglądał przed rozgrywką, chociaż to wcale nie była gra.

— Co się dzieje, Mojżeszu? — spytała Millie. Strach w jej głosie przebił się przez wrzaski otaczającego nas tłumu. Nachyliłem się, przysuwając głowę do jej głowy. Miałem za mało powietrza w płucach, żeby krzyczeć.

— Za chwilę to zrobi. Będzie walczył.

— Nie cierpię tego, że nie mogę go zobaczyć. — Jej twarz była blada, a jej usta

drżały. Po raz kolejny nie mogłem wyjść z podziwu nad jej odwagą. Zastanawiałem się, jakie to uczucie: iść przez życie w kompletnych ciemnościach, pokazywać się światu i liczyć na to, że ktoś cię dostrzeże, nawet jeśli sam nie jesteś w stanie nikogo dostrzec. Widziałem więcej, niż chciałem widzieć, i przez większość życia mi się to nie podobało. Nie podobało mi się to, co widziałem, lecz było to lepsze, niż w ogóle nic nie widzieć.

— Zauważył cię, Millie. Wie, że tu jesteś. I że my tu jesteśmy.

— Jak wygląda?

— Na przygotowanego do walki. — Nic więcej nie mogłem powiedzieć.

— Dlaczego on to robi? — To pytanie zabrzmiało jak szloch. Chwyciłem ją znowu za rękę, bo nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Komentator zaczął podkreślać atmosferę, przedstawiając najpierw Taga. Henry mówił razem z nim, bezgłośnie recytując statystyki Taga, jego wygrane i przegrane, przydomki i nazwisko, Dawid „Tag” Taggert. Tłum wpadł w euforię, a moje sumienie zawyło. Tag był skończonym idiotą. To była walka Dawida z Goliatem, a ja mogłem się jej tylko bezradnie przyglądać. Komentator przedstawił Terry’ego „Shotguna” Shawa, a sędzia wezwał ich obu do oktagonu. Henry oczywiście znał też statystyki Shotguna.

Uwagę Millie po raz kolejny przykuła relacja telewizyjna. Dwóch komentatorów prowadziło żywiołową rozmowę, informując ją o tym, czego nie widziała. Słuchałem ich wprowadzenia do walki, a w środku oktagonu sędzia mówił coś do obu zawodników, którzy stali naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy, próbując się mentalnie rozgromić jeszcze przed dzwonkiem. Tag powiedział mi kiedyś, że te kilka sekund zastraszania jest nie do przecenienia.

*— Obóz Shotguna nie był zbyt zadowolony z doboru przeciwnika. Ich zdaniem Taggert nie zasłużył na to, by znaleźć się w oktagonie z Shotgunem. Woleliby potyczkę z Jonesem, ale on nie mógł walczyć, a Taggert po swoim wielkim zwycięstwie nad Santosem w zeszłym miesiącu był moim zdaniem oczywistym wyborem. Jest wschodzącą gwiazdą, a jego popularność wśród fanów i innych zawodników czyni z niego wszechstronnego ambasadora tego sportu. Dobrze uderza, dobrze się siłuje i znacznie poprawił swoje umiejętności zapaśnicze. W szkole średniej ujeżdżał byki, więc zdecydowanie kręci go adrenalina, chociaż twierdzi, że kilka złamanych kości przekonało go, by dać sobie spokój z tymi zwierzętami. Przede wszystkim jednak kocha ten sport. Uwielbia wchodzić do oktagonu i walczyć do końca, i twierdzi, że tylko dlatego udało mu się cokolwiek osiągnąć. Kocha walczyć i trudno jest go znokautować.*

Rozbrzmiał dzwonek i komentatorzy zamilkli na pięć sekund. Tag i Shotgun

krążyli naprzeciw siebie i w końcu komentatorzy nie wytrzymali. Musieli włączyć się do akcji.

— *No właśnie, Joe. W ostatniej walce z Brunem Santosem było kilka takich momentów, w których wszyscy myśleli, że Taggert zostanie pokonany. Bruno wymierzył mu sporo brutalnych ciosów, lecz Taggert nie ustępował. Można powiedzieć, że w pewnym sensie wyczerpał Bruna, po czym zadał mu ostateczny cios i posłał Santosa na deski ku zdumieniu całego świata zawodowych fighterów. Santos był zdecydowanym faworytem, tak jak Shotgun dzisiaj. Ale nie skreślamy jeszcze Taga. Nie wyliczajmy go, bo może nas zaskoczyć.*

Serce podskoczyło mi w piersi jak piłka i poczułem strużkę potu na plecach. Tag podjął próbę sprowadzenia Shotguna do parteru, lecz zamiast tego trafił pod nawałnicę ciosów.

— *Oj, Shotgun wymierzył Taggertowi niezłą serię! Lecz oto niezawodny uśmiech Taga! Tag uśmiecha się od ucha do ucha!*

— *Czy to część jego strategii? Uśmiechać się mimo bólu?*

— *Wiesz, to możliwe, ale oglądałem kilka jego walk i szczerze mówiąc, sądzę, że on po prostu to uwielbia. Gdy tylko zaczynają fruwać pięści, na jego twarzy pojawia się uśmiech, który pozostaje na niej aż do końca.*

Przestałem ich słuchać, bo przez to jeszcze bardziej się denerwowałem. Ale mieli rację. Im ostrzej Shotgun nacierał, tym szerszy był uśmiech Taga i tym wyraźniejsze dołeczki, dzięki którym już po drugiej rundzie kobieca część widowni była po jego stronie. Widziałem to wcześniej. Widziałem, jak Tag uśmiechał się, chociaż krew kapiała mu z nosa i z ust. Ten facet był nawiedzony.

Nie wyglądał jednak na chorego i nie zachowywał się jak chory, więc poczułem cień ulgi, że nie dąży do śmierci. Jeszcze nie. Pod koniec pierwszej rundy pięść Shotguna musnęła czoło Taga, który przez chwilę zastygł bez ruchu. Shotgun zauważył, że udało mu się wstrząsnąć Tagiem, i rzucił się na niego z pięściami, lecz jego pewność siebie i impet zostały wykorzystane przeciwko niemu. Tag wykonał perfekcyjny manewr typu double leg, chwytając Shotguna za kolana i przewracając go na plecy.

Tłum oszalał, komentatorzy także, a Millie, z jedną dłonią w mojej ręce, a drugą na Henrym, wyteżęła słuch, żeby nie stracić nic z ich relacji.

— Tag go powalił — krzyknąłem do niej, bo widziałem, że tego potrzebuje, lecz nie odrywałem wzroku od pleców Taga, który próbował przebić się przez gardę

Shotguna.

— Powalony i rozwalony — wrzasnął Henry.

Ale runda się skończyła i Tag musiał puścić Shotguna. Wstał bez trudu i odszedł do swojego pustego narożnika, ale nie usiadł na stołku, który dla niego postawiono, ani nie oparł się plecami o liny. Wziął ręcznik, spryskał usta wodą, wypluł ją, napił się i odnalazł wzrokiem Millie. Stał, trzymając się barierki oktagonu, i nie zerkał ani na mnie, ani na nikogo innego. Wpatrywał się w Millie tak długo, że komentatorzy odwrócili głowy, próbując dostrzec, co takiego przykuło jego uwagę.

— Dam radę, Millie! — wykrzyczał niespodziewanie. — Dam radę! Dam radę, mała!

— Słyszałaś go, Millie? — krzyknąłem do niej, nie odrywając wzroku od Taga, który nadal się w nią wpatrywał. Przytaknęła energicznie. — Chce ci przekazać, że nic mu nie będzie.

Nagle wszyscy zaczęli na nią patrzeć, a komentatorzy snuli najdziwniejsze domysły, lecz zabrzmiał dzwonek i Tag się odwrócił.

Ten sam scenariusz powtarzał się po każdej rundzie. Gdy rozbrzmiewał dzwonek, Tag wracał do swojego narożnika, odnajdywał spojrzeniem Millie i podnosił ją na duchu tymi samymi słowami: „Dam radę, Millie. Dam radę”.

I tłum zaczął mu wierzyć. I krzyczeć pod wpływem wrzasków Henry’ego.

— Tag Team! Tag Team! Tag Team! — krzyczał bez przerwy i po chwili otaczający nas ludzie podchwycili jego skandowanie, które coraz szerzej roznosiło się wśród grup kibiców. W końcu Shotgun po raz kolejny trafił Taga w czoło. Tag się zatoczył i przyklęknął na jedno kolano, lecz podniósł się z impetem, trafiając Shotguna w podbródek tak, że głowa przeciwnika odskoczyła w tył z wymownym chrzęstem.

Shotgun padł.

Na pół sekundy cała widownia wstrzymała oddech i na tę krótką chwilę zbiorowego oszołomienia zapadła absolutna cisza, po czym nastąpiło prawdziwe pandemonium. Sędzia jednym płynnym ruchem znalazł się przy bezwładnym Shotgunie i szaleńczo machał ręką nad jego głową, pokazując koniec walki. Tag wygrał.

— To koniec! — wykrzyknąłem. — Dał radę!

— Tag! — wrzeszczał Henry z dzikim ukontentowaniem. — Tag!

Lecz Millie stała bez słowa i drżała. Jej oczy były suche, a dłonie wilgotne. Albo może to moja dłoń była wilgotna. Ścisnąłem rękę Millie, a Henry ścisnął drugą i całą trójką staliśmy w tym epicentrum radości i wiwatów. Ludzie krzyczeli, bili brawo, skakali, poszturchiwali nas, klepali po plecach i gratulowali nam.

Wszyscy widzieli, jak Tag patrzył na Millie między rundami, i teraz uwaga tłumu skupiła się na nas.

Tag wrócił do swojego narożnika, tym razem z dłońmi nad głową. Po raz kolejny odnalazł Millie wzrokiem, spojrzał prosto na jej twarz, lecz nagle jego prawa noga się ugięła, a dłonie opadły, rezygnując z celebracji na rzecz znalezienia punktu oparcia. Zakołysał się, przez tłum przeszło zbiorowe westchnienie, a ja rzuciłem się do przodu, puszczejąc dłoń Millie, i wyciągnąłem rękę, jakbym chciał go złapać.

Jego palce chwyciły się siatki, oczy uciekły do góry, a ciało wierzgnęło i osunęło się, dygocząc, na podłogę oktagonu. I zaczęły nim targać konwulsje.

Byłem w klatce oktagonu, zanim ktokolwiek zdołał mnie powstrzymać.

Tłum zamilkł i, co dziwne, nikt mnie o nic nie pytał. Przyklęknąłem przy Tagu, próbując go jakoś przytrzymać, chociaż nie wiedziałem za bardzo, co zrobić. Obok mnie natychmiast pojawił się sędzia i ktoś z narożnika Shotguna.

— On ma atak! — powiedział sędzia ostro. Ktoś założył Tagowi ochraniacz na zęby, żeby nie przygryzł sobie języka, a ja położyłem jego głowę na swoim ramieniu, żeby nie uderzał nią o podłogę.

Shotgun usiadł zdezorientowany, a personel medyczny, który przyszedł mu z pomocą, porzucił go na rzecz nowego wypadku. Wydawało mi się, że kątem oka dostrzegam Molly. Blond włosy, niebieskie oczy, czekająca w milczeniu. Stłumiłem przekleństwo i zamknąłem ściany, ignorując jej obecność.



W TELEWIZORZE w poczekalni ambulatorium był ustawiony lokalny program. Razem z Millie i Henrym siedzieliśmy w milczeniu, słuchając najnowszych wiadomości podawanych przez redaktora z Vegas. Byli z nami Axel, Mikey, Cory, Andy i Paulo, a ich posępność i rozczarowanie doskonale odzwierciedlały moje uczucia. Wszyscy podnieśli głowy, gdy padło imię Taga. Reporterka stała przed budynkiem MGM, wśród strumieni ludzi, którzy wlewali się do środka i wylewali na zewnątrz. Trzymała w dłoni niebieski futrzany mikrofon i z jednocześnie poważnym i radosnym wyrazem twarzy mówiła to, co już wiedzieliśmy o walce Taga, nie podając żadnych informacji, które chcielibyśmy usłyszeć.

*To była noc walk w MGM, a na główny pojedynek wielu kibiców czekało już od dawna, lecz to wcześniejsza walka zawodnika, który wskoczył w ostatniej chwili, wzbudziła wśród fanów tego sportu największe emocje. Dawid Taggart zaledwie trzy dni temu otrzymał ofertę zastąpienia Jordana Jonesa. Jones miał stoczyć pojedynek z długotrwałym faworytem UFC i byłym mistrzem wagi*

*półciężkiej Terryem Shawem, lecz doznał kontuzji, która mu to uniemożliwiła.*

*Dawid Taggert, który w kwietniu odniósł zaskakujące zwycięstwo nad Brunem Santosem, zastąpił Jonesa w tym pojedynku, a fani nie mieli powodów do narzekań — w piątej rundzie Taggert posłał Showa na deski i wygrał przez nokaut, lecz na tym historia się nie kończy. Kontrowersje budzi atak, jakiego doznał Taggert po zakończeniu walki. Shaw leżał bezwładnie na ziemi. Walka została zakończona. Sędzia podniósł rękę Taga, Taggert odwrócił się w stronę tłumu, uniósł obie ręce, zrobił kilka kroków i upadł, tracąc przytomność.*

*W krytycznym stanie trafił do szpitala, a my dotarliśmy do informacji o tym, że krótko po kwietniowej walce, w której pokonał Bruna Santosa, wdał się w bójkę z byłym pracownikiem w swoim barze w Salt Lake City. Podczas niej został trafiony w czoło i doznał dość poważnego urazu głowy. Plotki mówią, że jeszcze tej samej nocy został wypisany ze szpitala, po czym przez najbliższe tygodnie nie pokazywał się publicznie, a spekulacjom nie ma końca. Będziemy was informować o jego stanie i o faktach, które mogłyby rzucić nowe światło na tę zdumiewającą serię wydarzeń.*

Godzinę po przybyciu do szpitala Tag został poddany operacji. Jak nam powiedziano, w karetce na chwilę odzyskał świadomość. Pytał o walkę, dowiedział się, że miał atak, i z powrotem stracił przytomność. Zanim to się stało, miał jeszcze czelność upewnić się, że wygrał. Niemal się z tego zaśmiałem. To znaczy, zaśmiałbym się, gdybym nie był taki wściekły.

Według lekarza, który przyszedł porozmawiać z nami po trzech godzinach naszego siedzenia w poczekalni, w mózgu Taga doszło do krwotoku i opuchlizny, przypuszczalnie w trakcie walki. Przypomniał mi się cios w czoło pod koniec pierwszej rundy, gdy nogi się pod nim ugięły i wszyscy myśleliśmy, że padnie na deski. Potem walczył jeszcze przez trzy pełne rundy, zanim przyjął kolejny cios w to samo miejsce tuż przed końcem walki. Opuchlizna doprowadziła do ucisku, który wywołał atak, a ten ułatwił lekarzom odkrycie krwotoku. Najwyraźniej osoby po kraniotomii, którym usunięto guza z mózgu, nie powinny wchodzić do oktagonu po niespełna trzech tygodniach od zabiegu.

Nie mogłem pojechać karetką z Tagiem. Musiałem zostać z Millie i Henrym. Przecisnęliśmy się przez tłum najszybciej jak się dało, co nie było łatwe, a potem ruszyliśmy do szpitala. Przyjechaliśmy dobre dwadzieścia minut po tym, jak Taga pospiesznie przewieziono przez drzwi ambulatorium. Powiedziałem pielęgniarce w poczekalni wszystko, co wiedziałem z taśm Taga, i poprosiłem ją, by przekazała to lekarzom zajmującym się moim przyjacielem. Patrzyła na mnie z zaskoczeniem znad małych okularów, przyciskając gruby podbródek do piersi, jakby uważała, że jestem naćpany i niebezpieczny. Wysłuchała mnie do końca, a potem wstała i poszła tam, gdzie ja, Millie i Henry nie mieliśmy wstępu.

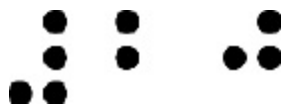
Mogłem sobie tylko wyobrażać zdumione reakcje pielęgniarek i lekarzy, gdy zaczęli przeglądać historię medyczną Taga i zrobili mu rezonans. Na czas walki spiął swoje zmierzwiłone włosy z tyłu głowy, żeby zamaskować wygolone paski na czaszce, będące dowodem przebytej kraniotomii, lecz takich rzeczy nie da się ukryć na długo. Gdy trzymałem jego głowę na ramieniu w oktagonie, włosy uwolniły się z gumki i opadły mu na twarz. Widziałem te ślady i inni też je widzieli.

Gdy gruba pielęgniarka z poczekalni w końcu wróciła na posterunek, potrząsała głową i co chwilę spoglądała na nas tak, jakbyśmy uciekli z cyrku. Nieraz tak na mnie patrzono, więc odwzajemniałem jej spojrzenia z całą bezczelnością, na jaką potrafiłem się zdobyć, a Millie nie miała świadomości tego, że staliśmy się obiektem podejrzliwego zainteresowania. Henry był w rozsypce i nerwowo wyrzucał z siebie ciekawostki sportowe, lecz Millie trzymała go za rękę, gładziła po włosach i komentowała jego idiotyczne fakty, jakby był najmądrzejszym dzieckiem na świecie. Jakiś czas później względnie uspokojony jadł m&m'sy i sączył sprite z automatu, mrużąc co chwilę do siebie jakieś statystyki.

— Operacja się już zakończyła. Udało nam się zatrzymać krwotok — powiedział doktor uroczyście. Przeniósł wzrok ze mnie na Millie, lecz zrobił wielkie oczy i spojrzał z powrotem na mnie, uświadamiając sobie, że jestem jedyną osobą, z którą może nawiązać kontakt wzrokowy. Trzeba mu przyznać, że natychmiast zaczął mówić dalej, niemal nie robiąc przerwy. — Jest nieprzytomny i na razie dobrze, żeby tak zostało. Uważamy, że w ciągu następnych dwunastu godzin opuchlizna ustąpi i Tag oprzytomnieje. Będziemy musieli go obserwować przez następne kilka dni, ale powinien z tego wyjść. Aktywność mózgu jest w porządku, tak samo jak funkcje życiowe. Konsultowałem się z doktorem Steinem i doktorem Shumwayem ze szpitala LDS. Doktor Shumway przeprowadzał kraniotomię i nie mogę panu powiedzieć na ten temat o wiele więcej, lecz pan Taggert stoi przed poważnymi decyzjami. Moim zdaniem ważne jest to, żebyście tu byli, żeby uświadomić mu, co zrobił i co powinien zrobić. To, na co się dzisiaj poważył, było niewiarygodnie głupie. Ma szczęście, że przeżył.

\*\*\*

# Dwadzieścia



## Mojżesz

TAG OBUDZIŁ SIĘ zgodnie z przewidywaniami lekarza, lecz dopuszczono nas do niego dopiero, gdy został przeniesiony z oddziału intensywnej terapii, co nastąpiło po dwudziestu czterech godzinach od odzyskania przytomności. Niewiele sypialiśmy, biegając niespokojnie między szpitalem a pobliskim hotelem, i gdy po dwóch dniach takiej tułaczki przyszedliśmy do hotelu, żeby wziąć prysznic i się przebrać, Henry rzucił się na łóżko i odmówił pójścia z powrotem. Millie nie odważyła się zostawić go na dłużej samego, więc została z nim, a ja wróciłem do szpitala.

Ku mojemu zdziwieniu Tag siedział na łóżku. Miał podkrążone oczy, kilkudniowy zarost, a jego zmierzwiłone włosy zwisały cienkimi pasmami dookoła twarzy. Wygolone placki i miejsca szycia były teraz wyraźnie widoczne, a on drapał się po czaszce, jakby łyse miejsca doprowadzały go do szaleństwa.

— To już prawie trzy tygodnie. Niemal się zagoiło, ale swędzi — poskarżył się z uśmiechem, jakby nie spotkało go nic poważnego, ot, upadł na rowerze. — Przekonałem jedną z pielęgniarek, żeby pomogła mi to wszystko zgolić. Będziemy bliźniakami, Mo — dodał, nawiązując do tego, że moje włosy nigdy nie miały więcej niż kilka milimetrów.

Nie potrafiłem nic odpowiedzieć. Nie byłem tak dobry jak Tag w rozmowie o niczym i w ściemnianiu. Tak naprawdę w ogóle nie potrafiłem tego robić. Patrzyłem na niego, mając ręce wciśnięte w kieszenie, żeby stłumić potrzebę malowania... lub zatłuczenia go.

— Myślę, że Millie spodoba się gładkość mojej głowy... — Przerwał nagle i potarł szczękę, wyraźnie wstrząśnięty. — Jest tu, Mo? Z tobą?

— Jest w hotelu z Henrym. Był wyczerpany, a ona nie odważyła się zostawić go samego.

Tag przytaknął i zamknął oczy, jakby też był wyczerpany.

— Dobrze. To dobrze.

Do środka wpadła pielęgniarka, zobaczyła mnie i zawahała się na moment. Niemal się roześmiałem. Przypuszczalnie w trakcie czulej krzątania chciała



mieć Taga wyłącznie dla siebie. Typowa kobieta. Podejrzywałem, że Tag miał już na każde zawołanie całą żeńską część personelu medycznego. Będzie najbardziej zadbanym pacjentem w historii szpitala.

Obserwowałem ją, gdy starannie okryła go prześcieradłem i zaczęła delikatnie golić mu głowę maszynką elektryczną, po jednym długim paśmie na raz. W końcu siedział przede mną z gładką, pokrytą bliznami głową. Wyglądał zupełnie inaczej i tak bardzo sprawiał wrażenie pokonanego, że rozluźniłem pięści, pozwalając, by uszła ze mnie część wściekłości.

Pielęgniarka stwierdziła, że „na pewno czuje się teraz znacznie lepiej”, po czym pozmiała ostrzyżone włosy i zabrała prześcieradło, którym go okryła. Potem, uważając na kroplówkę i różne przyrządy medyczne, pomogła mu ściągnąć szpitalną piżamę i założyć nową. Złapałem jego spojrzenie, gdy uważnie wiązała mu sznurki na plecach. Uniósł jedną brew i uśmiechnął się, dając mi do zrozumienia, że nie zmienił się *aż tak*.

Ale gdy wyszła z pokoju, zamknął na chwilę oczy, żeby odpocząć, a ja po raz kolejny poczułem narastający w piersi strach.

— Wyglądasz beznadziejnie, Tag — powiedziałem.

— Ty też, Mo — odgryzł się, nie otwierając oczu.

— To twoja wina — stwierdziłem.

Westchnął i wyszeptał:

— Wiem.

Nie skomentowałem tego, bo uznałem, że może potrzebuje snu. Ale po kilku długich oddechach znowu otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Przepraszam, Mojżeszu.

— Nie powinieneś tak odchodzić. To było dla nas prawdziwe piekło. — Prędeż czy później będzie trzeba poruszyć ten temat.

— Nie widziałem lepszego rozwiązania.

— Przychodzi mi do głowy co najmniej jedno — warknąłem, a gdy nie odpowiedział od razu, westchnąłem ciężko i przycisnąłem dłonie do zmęczonych oczu.

— Czasem wydaje mi się, że śmierć to jedyne, czego jeszcze nie doświadczyłem — powiedział w końcu. — Do licha, a przecież nawet próbowałem *to* zrobić. Problem ze śmiercią jest taki, że jest definitywna, jak seks i urodzenie dziecka. Gdy już to zrobisz, nie da się tego cofnąć.

Jego przemyślenia były najwyraźniej retoryczne, więc milczałem.

— Chodzi o to, Mo, że ja nie mam z nią problemu. Jeśli w ogóle czegokolwiek się

nauczyłem dzięki przyjaźni z tobą i obserwacji twojego obcowania ze zmarłymi, to tego, że śmierć nie jest czymś, czego powinienem się bać. Nie jestem idealnym człowiekiem. Ale myślę, że jestem dobry. Moje życie było cholernie fajne, mimo tych wszystkich trudności. Millie powiedziała mi kiedyś, że piękną piosenkę poznaje się po tym, że może cię zdruzgotać. Możliwe, że po tym samym poznaje się piękne życie. Po tym, że może cię zdruzgotać. Może właśnie dopiero dzięki temu wiemy, że naprawdę żyliśmy. I że naprawdę kochaliśmy.

— Może cię zdruzgotać — powtórzyłem łamiącym się głosem. To było idealne podsumowanie udręki miłości. Przeżyłem to zdruzgotanie. Przetrwałem je, ale nie chciałbym doświadczyć go znowu.

— Tak bardzo ją kocham, Mojżeszu. Tak bardzo. To jest w tym najgorsze. Dam sobie radę z rakiem. Dam sobie radę ze śmiercią. Ale będę tęsknił za Millie. Już za nią tęsknię. — Przełknął ślinę, próbując się uporać z emocjami, które nam obu ścisnęły gardła. — Za tobą też będę tęsknił, Mo, ale ty widzisz zmarłych, więc będę mógł cię nawiedzać.

Zaśmiałem się, lecz mój śmiech bardziej przypominał jęk. Wstałem z nagłą potrzebą ucieczki. Nie znosiłem smutku, irytowała mnie bezsensowność żalu, lecz i tak to wszystko odczuwałem. Tag patrzył, jak chodzę tam i z powrotem, a gdy usiadłem, ciągnął dalej.

— Nie mam problemu ze śmiercią. Jestem z nią pogodzony — powiedział cicho. — Ale umieranie... Umieranie to coś innego. Boję się umierania. Boję się, że nie będę silny dla osób, które kocham. Boję się cierpień, których będę przyczyną. Boję się bezradności, którą będę odczuwał, mając świadomość, że nic nie mogę zrobić. Nie chcę siedzieć na szpitalnym łóżku i powoli umierać. Nie chcę, żeby Millie próbowała się mną opiekować. Nie chcę, żeby Henry oglądał, jak staję się cieniem dawnego giganta. Rozumiesz to, Mo?

Przytaknąłem powoli, chociaż robiło mi się od tego niedobrze, bo miałem wrażenie, że wyrażam swoje poparcie dla jego czynu, dla jego odejścia.

— Leżałem przez całą noc w łóżku po tym, jak się dowiedziałem, z czym się mierzę. Poznałem ryzyko, ramy czasowe oraz najbardziej optymistyczne i pesymistyczne scenariusze. Nad ranem wiedziałem już, że to nie dla mnie. Powiedziałem doktorowi, że dziękuję bardzo, ale dam sobie spokój.

— I nie zamierzałeś nikomu powiedzieć?

— Nie. — Tag potrząsnął głową, patrząc mi w oczy. — Nie.

— Ale... — Nie rozumiałem. Nie nadażalem za nim.

— Pozałatwiałem wszystkie swoje sprawy. Spotkałem się z prawnikiem, żeby to wszystko ustalić. Sporządziłem testament, zlikwidowałem parę rzeczy. Jedyne, co mnie martwiło, to pieniądze, które wciąż byłem dłużny ojcu. Mogłem sprzedać bar, siłownię i prawa do marki. Gdybym tak zrobił, miałbym więcej niż

trzeba, ale nie chciałem tego robić. Chciałem zostawić siłownię chłopakom, a bar Millie i Henry'emu, żeby Millie mogła sobie tańczyć na tej pieprzonej rurze do osiemdziesiątki i żeby nikt nie mógł jej tego zabronić, a Henry żeby miał miejsce, w którym mógłby porozmawiać o sporcie i ktoś by go słuchał. On uwielbia ten bar. Tobie też chciałem coś zostawić, ale wiem, że by ci się to nie spodobało.

Miał rację. We wszystkim innym nie, ale w tym jednym miał rację.

— Lecz nawet po sprzedaży mieszkań i pozbyciu się wszystkiego poza samochodem wciąż byłbym dłużny ojcu pięćdziesiąt kawałków — dodał.

— Nie mogłeś tego uznać za spadek?

— Nie chciałem spadku. Chciałem stworzyć własną ścieżkę — argumentował. — Powiedziałem mu, że spłacę wszystko przed trzydziestką. Trzydziestki nie będzie, Mo, więc musiałem znaleźć sposób, żeby uregulować to wcześniej.

— Walka.

— Tak — potwierdził. — Walka. Przytrafiła się okazja stoczenia walki o tytuł, za którą dostałbym pięćdziesiąt kawałków, gdybym wygrał. I nie miałem nic do stracenia.

— A po walce?

— Chciałem pojechać do Dallas, spotkać się z mamą i siostrami oraz spłacić ojca. Dość długo się z nimi nie widziałem. A potem... Miałem zamiar wybrać się na wędrowkę w góry za tą estakadą w Nephi.

— Tą, przy której znaleziono Molly?

— Tą, przy której znaleziono Molly — powtórzył. — Chciałem wejść na wzgórze. Wziąć tabletkę. I zasnąć, oglądając zachód słońca.

— I tyle? — spytałem, kotłując się z gniewu.

— I tyle — odparł całkowicie spokojnie.

Poczułem, jak wściekłość wypełnia mi klatkę piersiową i pulsuje w uszach, ale nie podnosiłem głosu. Najwyraźniej nie uważałem za konieczne pożegnać się ze mną.

— Zostawiłeś taśmy. Po co?

— To był mój sposób pożegnania się. Chciałem, żeby Millie wiedziała, jak się czułem na każdym etapie naszej wspólnej drogi. Żeby wiedziała, jak się w niej zakochiwałem. Nie chciałem, by miała jakikolwiek powód, żeby wątpić w moje uczucia. Chciałem, żeby wiedziała, że to było prawdziwe, idealne i że to był najlepszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymałem.

— I odpłaciłeś jej za ten dar, wyrzucając go na śmietnik?

Tag patrzył na mnie w milczeniu, a jego twarz była pełna współczucia. Miłość znaczyła jego rysy i wypływała z jego oczu.

— Kocham cię, Mo. Wiesz o tym, prawda? — powiedział cicho. Wiedziałem, że tak jest. Nie miałem żadnych wątpliwości. Ale miał beznadziejny sposób okazywania tej miłości.

— Pieprz się, Tag! — wysyczałem. — Wiem, czego ode mnie oczekujesz. Chcesz usłyszeć, że popieram twoją decyzję. Ale ja nie jestem aż tak samolubny. Nie jestem takim przyjacielem. Nie chcę, żebyś cierpiał, naprawdę. Wziąłbym na siebie część cierpienia, gdyby tak się dało. Zamieniłbym się z tobą w najgorsze dni, gdybym mógł, bo wiem, że ty też bez wahania zrobiłbyś dla mnie to samo. Ale wolę patrzeć, jak cierpisz, niż się z tobą żegnać. Przykro mi. Jeśli przez to jestem dupkiem, to zmienię imię. Napiszę sobie „Dupek” na identyfikatorze i będę go nosił. Mam to gdzieś. Od kiedy to zacząłeś się bać odrobiny bólu?

— Nie o to chodzi, Mo.

— Pieprzysz! — krzyknąłem. — Powinieneś podjąć walkę dla ludzi, którzy cię kochają. Jesteś nam to winny!

— Nie boję się swojego bólu, stary — powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałem.

— Gdzie twój gniew? Gdzie jest ten zielonooki potwór, który chciał mnie zabić tylko za to, że wspomniałem imię jego siostry? Gdzie jest ten facet, który w Hiszpanii złapał byka za rogi tylko po to, żeby sprawdzić, czy da radę? Gdzie jest ten facet, który zastrzelił innego faceta, żeby mnie ochronić, i który rzucił się na linię ognia? Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem, Tag. Byłeś gotów umrzeć, by ocalić moje życie, ale nie podejmiesz żadnej walki, by ocalić swoje?

— Nie, jeśli taka decyzja będzie oznaczała zrobienie innym piekła w życiu.

— Ściągnij ten płaszcz, brachu. Wyrzuć go! Jeśli nie, to spiorę cię na kwaśne jabłko, zapakuję w kaftan bezpieczeństwa i osobiście wpompuję ci tę chemię. Uważaj sobie.

— Kocham cię, Mo.

— Przestań to powtarzać, Tag!

— Kocham cię, Mo.

Poczułem rozdzierający ból w klatce piersiowej i wiedziałem, że muszę wyjść, zanim stracę nad sobą kontrolę. Rzadko płakałem, ale miałem tendencję do kumulowania żalu, upychania go w ukrytych zakamarkach, składowania i rozdzielania. Gromadziłem swój żal. Teraz jednak pękałem już w szwach i nie byłem w stanie uciec przed spiętrzonymi uczuciami, które groziły przysypaniem mnie od momentu, gdy Millie zadzwoniła i powiedziała, że Tag zniknął. Rozsypywałem się i musiałem wyjść.



NAGRANIE TAŚM zajęło mi kilka dni. Zaczęło się od tego, że chciałem się pożegnać i na swój sposób wyrazić swoje uczucia, swoją miłość do Millie. Gdy opowiadałem tę historię, uświadomiłem sobie, jakim była cudem. Mojżesz miał rację. Doświadczyłem cudu. Z każdym słowem i z każdą taśmą coraz bardziej się w tej pewności utwierdzałem. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem, jak przerwać. Nie chciałem, żeby taśmy się skończyły. Nie potrafiłem się pożegnać.

Gdy dostałem telefon w sprawie walki, włożyłem pożyczony od Henry'ego magnetofon i wszystkie nagrane taśmy do szafki na akta w biurze na siłowni i zostawiłem Millie klucz w kopercie. Wciąż jednak miałem jej tak wiele do powiedzenia. Przypominały mi się kolejne rzeczy, które ominąłem, kolejne słowa, które chciałem jej przekazać. Miałem ochotę zadzwonić do niej i z nią porozmawiać. Ale potem przypomniałem sobie, co powiedział mi doktor. Czwarta faza glejaka wielopostaciowego. Przez głowę przemknęły mi te wszystkie rzeczy, które czytałem na temat swojej diagnozy. Zdjęcia, rokowania. Myślałem o tym, w jaki sposób będę umierał i cierpiał, oraz o cierpieniach, które czekają moich najbliższych. I nie pozwoliłem sobie do niej zadzwonić. Zamiast tego postanowiłem zdobyć własny magnetofon, żeby nagrać kolejne taśmy.

Cały następny dzień spędziłem na chodzeniu po lombardach w poszukiwaniu magnetofonu, chociaż miałem już być w drodze do Vegas. W piątym lombardzie trafiłem na skarb — starsza sprzedawczyni sprzedała mi za sto dolarów przyniesiony z zaplecza zakurzony dyktafon na kasety wraz z zestawem nieodpakowanych taśm. Powiedziała mi, że to świetna okazja. Prawdopodobnie miała rację, bo zapłaciłbym nawet dwieście dolarów.

Wyniki biopsji przyszły dość szybko. Po kraniotomii przebywałem w szpitalu tylko dwa dni. Niezbyt długo, zważywszy na to, że wwiercili się do mojej głowy i wycięli z mojego mózgu potężny kawałek tkanki. Udało im się usunąć dziewięćdziesiąt pięć procent guza, co było dobrą wiadomością. Prócz tego uzyskali wyniki biopsji znacznie szybciej, niż się spodziewali. Sądziłem, że trzeba będzie czekać sześć dni. Miałem szczęście: wystarczyły cztery. Niebywałe szczęście.

Przed kraniotomią zawarłem układ z samym sobą. Jeśli wyniki będą negatywne i

okaże się, że nie mam raka, zadzwonię do Mojżesza i Millie, by opowiedzieć im o tym, co napędziło mi stracha. Wyjaśnię, że nie chciałem ich martwić i że... cóż, że wszystko jest w porządku. Nic mi nie jest. Pozwolę Millie się pogniewać i pofuczeć, a potem odpędzę te wszystkie emocje pocałunkami i ją poślubię. Po co czekać? Jak ja to powiedziałem? Gdy coś kochasz, nadajesz temu czemuś swoje imię. Zrobiłem tak ze swoim barem i zamierzałem tak zrobić ze swoją dziewczyną. Jeśli Henry będzie chciał nosić moje nazwisko, to co tam, adoptuję go. Nie widziałem żadnych przeszkód. Wszyscy bylibyśmy Taggertami. Tak sobie obiecałem.

A jeśli otrzymane wieści nie będą pozytywne? Jeśli dostanę wyrok śmierci? W takim przypadku nie będę do nikogo dzwonił.

I tak zrobiłem. Gdy wychodziłem po kraniotomii, wezwałem taksówkę. Pielęgniarka nalegała, żebym po kogoś zadzwonił, na co wyjaśniłem jej stanowczo, że dam sobie radę. Czułem się dobrze. Głowa mnie bolała, co było całkiem uzasadnione, ale poza tym nic mi nie było. Powtarzałem to sobie, bo taka była prawda. Moje ciało czuło się świetnie. To serce mnie bolało. Serce bolało mnie jak diabli. Ale poza tym czułem się świetnie. Po powrocie do domu spałem przez dwa dni, wstając tylko po to, by napić się wody i skorzystać z toalety. Potem dostałem informację, że są już wyniki, i pojechałem do szpitala, gdzie dowiedziałem się, że mam przed sobą od sześciu miesięcy do roku życia.

Wróciłem do domu.

Nie zadzwoniłem do Mojżesza i nie zadzwoniłem do Millie. Ani do Axela i Mikeya. Pozwoliłem im wierzyć, że pojechałem do rodziny w Dallas, i zatelefonowałem do prawnika. Zacząłem wszystko organizować. Ignorowałem dzwoniący telefon i nie czytałem SMS-ów. Nie mogłem. Rozsypałbym się. Ale gdy w połowie nagrywania taśmy dla Millie przerwał mi dzwonek telefonu i podniosłem go, żeby go wyłączyć, zobaczyłem na ekranie nazwisko Cliffa Cordovy i instynktownie odebrałem.

Miał dla mnie walkę. Sobota w Vegas, za sześć dni, z Terryem Shawem. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli wygram, dziesięć tysięcy za samo pokazanie się. Powiedziałem, że się zgadzam, jeśli dostanę pięćdziesiąt tysięcy niezależnie od tego, czy wygram. Ale obiecałem wygrać. Zgodził się, po czym dodał, że jeśli wygram, Tag Team dostanie następne dwadzieścia tysięcy, i kazał mi być w Vegas za czterdzieści osiem godzin.

To psuło mój plan. Mój zespół się o tym dowie. Nie ucieszą się, że walczę sam. Wieść o tym dotrze także do Millie. Poczuje się zraniona. A Mojżesz dopadnie mnie po śmierci i skopie mi tyłek. Ale cóż to za kuszące zwieńczenie życia.

Myślałem, że będę silny. Myślałem, że zrobię to dla zespołu. Myślałem, że odejdę w chwale. Walcząc do śmierci. Nie okazując słabości. Ale oni mnie znaleźli. A gdy zobaczyłem Millie w tłumie widzów, z Henrym przy boku i

Mojżeszem, który trzymał ją za rękę i patrzył na mnie, jakby chciał mnie udusić, moja determinacja zachwiała się w posadach i poczułem, że miękną mi kolana.

Wkurzyło mnie to.

Nie miałem zamiaru rozpuścić się jak kałuża, którą Terry Shaw starłby z ringu w jednej rundzie. Nie chciałem, żeby całe moje poświęcenie poszło na marne, a plany spełzły na niczym, bo na widowni siedzi moja dziewczyna, a mój przyjaciel jest wściekły. Nie miałem zamiaru pozwolić, by dudniące pulsowanie w czaszce, które towarzyszyło mi bez przerwy od chwili, gdy obudziłem się z dwudziestoma szwami na głowie, odebrało mi szybkość i zręczność ruchów. Nie miałem zamiaru pozwolić rakowi wygrać. A przynajmniej nie w tej rundzie.

Walczyłem ostrzej niż kiedykolwiek. Wszystko mnie bolało, poziom mojej energii falował, a dwa tygodnie bez treningów dawały się we znaki bardziej niż operacja. Po telefonie Cordovy przebiegłem trzy mile. Następnego dnia przebiegłem pięć. W dzień przed walką poszedłem na siłownię Vegas Gold i ostro trenowałem, łomocząc w worek jak szalony i wyrzucając z organizmu ostatnie pozostałości po narkozie. Czułem się cholernie silny i powtarzałem sobie, że nie mam nic do stracenia. Nie czułem nawet żadnego zdenerwowania. To było dziwne.

Tak było do momentu, gdy zobaczyłem Millie. Wtedy nerwy dopadły mnie z potworną siłą. Byłem przerażony, że ją zawiodę i że zostanę tu sprany, a ona będzie musiała tam stać i być tego świadkiem. Widziałem jej twarz po pierwszej rundzie. Była w rozsypce. Więc zawołałem do niej. Nie mogłem się powstrzymać, musiałem dodać jej otuchy. Po następnej rundzie zrobiłem to samo. Potem znowu. I wygrałem. Na jej twarzy pojawił się najpiękniejszy na świecie uśmiech, a Henry wykrzykiwał moje imię. Mojżesz nadal wyglądał na wściekłego.

Nagle wszystko zaczęło wirować. Krzyczące twarze zlały się w jedną plamę, jakbym był na karuzeli. Oktagon się kręcił. Nie wiedziałem, że tak można. Początkowo myślałem, że to jakaś nowa funkcja, ale uświadomiłem sobie, że to ja. To ja się kręcę. Nagle upadłem, moje ciało uderzyło o podłogę, a głowa dołączyła pół sekundy później niczym kropka nad „i” lub pod wykrzyknikiem. Tłum wrzasnął. Nie wyciągnąłem dłoni, żeby osłonić ciało lub twarz. Walka się skończyła, czyż nie? Dzwonek już rozbrzmiał. Skierowałem zamglone spojrzenie na Mojżesza. Jego zamazana twarz była przesłonięta siatką oktagonu. Nie wyglądał już na wściekłego. Raczej na oniemiałego. I biegł w moją stronę. Wskoczył do oktagonu, do mnie. Miałem wrażenie, że jestem spowity mgłą i nie kontroluję prawej ręki. Moje mięśnie nagle zaczęły się kurczyć, próbując wyskoczyć spod skóry. A potem zaczął się hałas. Brzmiał jak nadjeżdżająca gigantyczna ciężarówka. Jakbym stał na poboczu. Jakbym stał pod estakadą, niedaleko miejsca, w którym znaleziono ciało mojej siostry.

— Tag, słyszysz mnie? Cholera. On chyba ma atak!

To był głos Mojżesza, ale brzmiał dziwnie, odlegle. Jakby dochodził z pola, na którym znaleziono grób Molly. Z głębi pola, za postojem dla ciężarówek, które pełniły niedbałą wartość przy zmarłej dziewczynie. Hałas ciężarówek trwał nadal, jakby przejeżdżały jedna za drugą, jakby mijała mnie nawałnica tirów.

— Zaraz odgryzie sobie język! Załóż mu z powrotem ochraniacz na zęby! Tag, Tag, nie odchódź, stary!

Ból głowy nieoczekiwanie tak bardzo przybrał na sile, że nie było mowy, żebym otworzył oczy. Może to ja dostałem kulę w głowę? Może zabójca mojej siostry zabił też mnie? Nie. To nie było prawdą. Zabójca Molly nie żył. Zastrzeliłem go. Znalazłem go i zastrzeliłem. A psy znalazły Molly.

— Panie Taggert, jeśli mnie pan słyszy, czy może pan otworzyć oczy?

Próbowałem. Próbowałem otworzyć oczy, ale ból rozniósł się rykoszetem po całej głowie, jakby odgłos wystrzału przeniósł się ze wspomnień do teraźniejszości. Nie. To nie było to. Nie miałem kuli w głowie. Był jakiś inny problem z moim mózgiem.

Kiedyś Molly sprowokowała mnie, żebym zjadł dwie garści piasku. Powiedziała, że na pewno nie dam rady. Więc oczywiście to zrobiłem. To nie był mokry piach, tylko ostry, chrzęszczący i tak suchy, że utknął mi w gardle i przez trzy dni próbowałem go wykaszleć. Teraz też się tak czułem. Nie mogłem przełknąć śliny, język był gruby i obcy, usta całe spękane, a w gardle czułem ogień.

Może znowu byłem na plaży z Molly, pod nieskończonym błękitem nieba przeciętym przez nisko przelatujący samolot, który ciągnął za sobą transparent z reklamą ubezpieczenia samochodowego. Ale szum i światła nie docierały do mnie z jasnego nieba nad długą plażą, a ja nie miałem w gardle piasku. Światła otaczały moją głowę, a szum przekształcił się w pikanie maszyn i zaniepokojone głosy ludzi.

— Panie Taggert?

— Proszę mi mówić Tag – wychrypiałem.

— Tag, wiesz, gdzie jesteś?



– W szpitalu psychiatrycznym w Montlake – szepnąłem. Czułem nawet zapach środka odkażającego.

– Panie Taggert? – Mojżesz nie nazywał mnie panem Taggertem. Nikt w Montlake nie nazywał mnie panem Taggertem. Nawet doktor Andelin. Może nie byłem w Montlake. Ale byłem w szpitalu. Co do tego miałem pewność.

– Uczestniczył pan w walce, panie Taggert. Pamięta pan walkę?

– Wygrałem? – szepnąłem, próbując podnieść dłonie, żeby zobaczyć kostki. Jeśli wylądowałem w szpitalu z powodu walki, to prawdopodobnie nie wygrałem. Ojciec będzie zawiedziony. Odciąłem się powiekami od lamp i głosów, próbując sobie przypomnieć swoją przegraną.

*— Jestem z ciebie dumny, Dawidzie. — Ojciec nigdy wcześniej nie powiedział mi czegoś takiego. Miałem jedenaście lat, a on jeszcze nigdy nie powiedział, że jest ze mnie dumny. A teraz był.*

*— Naprawdę? — Głos mi się łamał ze zdumienia.*

*— Tak. Czasem trzeba być w życiu niemiłym, żeby zdobyć szacunek. Nie ma nic złego w bronieniu się. To niezbyt popularny pogląd w dzisiejszych czasach. Ludzie uważają, że bycie słabym jest oznaką oświecenia, ale to nieprawda. Jest czas na słowa i jest czas na działanie.*

*Przytaknąłem. Lubiałem słowa. Ale działanie było niesamowicie przyjemne.*

*— Słowa są skuteczniejsze, gdy twój rozmówca wie, że jesteś w stanie je obronić, gdy okażą się niewystarczające. Jak długo próbowałeś się zaprzyjaźnić z tym chłopcem? — Tato zerknął na mnie i wrócił spojrzeniem na drogę.*

*— Długo.*

*— Tak myślałem.*

*— Chyba złamałem mu nos. — Starłem się nie brzmieć na tak zadowolonego, jak się czułem.*

*— Taa. Pewnie tak. Ale teraz, gdy on wie, że możesz to zrobić, nie będzie taki skłonny do bójki, prawda?*

*— Nie będzie. — Zamilkłem na kilka chwil, lecz w końcu zmusiłem się do wyznania. — Tato?*

*— Tak, synu?*

*— Podobało mi się to. Lubię się bić. Chciałbym to zrobić znowu.*

– Żądam rewanżu. Myślałem, że wygrałem. Myślałem, że pokonałem tego faceta. Słyszałem dzwonek. – Próbowałem formułować słowa, ale brzmiały bełkotliwie i niedbale. Nie byłem

pewien, czy ktokolwiek mnie rozumie. To przez ten piasek w ustach. Piasek i obolały język. Ależ mnie piekło gardło.

– Wygrał pan walkę. Skończyła się. Ale miał pan atak, panie Taggert. Musimy się dowiedzieć dlaczego.

Zamknąłem oczy i świat zrobił się czarny, czarniejszy niż kiedykolwiek. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem. A teraz jestem tutaj, w szpitalu. W miejscu, do którego przysiągłem już nie wracać. I nie mogłem już uciec. Co miałem teraz zrobić? Nie wiedziałem.

Niewiemcozrobićniewiemcozrobićniewiemcozrobić. W mojej głowie rozbrzmiał ten stary refren, chwytliwa fraza, która nie chciała się zmienić w rozwiązanie. Zacząłem więc mówić do magnetofonu. Znowu.

Ktoś z ludzi Cordovy odstawił pod szpital mój samochód razem z moimi rzeczami. Poprosiłem pielęgniarkę o pomoc, bo cały się trzęsłem i kręciło mi się w głowie, chociaż byłem w stanie się poruszać. Położyłem dyktafon obok głowy na płaskim łóżku szpitalnym, dzięki czemu mogłem do niego mówić i nie musiałem trzymać go w powietrzu przy twarzy. Nie będą mnie tu zbyt długo trzymać. Za dzień lub dwa wrócimy do Utah. Axel będzie kierował moją półciężarówką. Gdy powiedziałem, że sam mogę to zrobić, Millie natychmiast mi przerwała, a pielęgniarka się roześmiała.

Nie byłem jeszcze sam z Millie. Ani razu. Przebywała w pobliżu, trzymała dłoń na moim ramieniu, dotykała mnie bez przerwy, ale nie mieliśmy ani jednej chwili tylko dla siebie. Nie chciałem powtarzać sceny z Mojżeszem i nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć. Po ataku byłem wyczerpany i sen przynosił mi ulgę. Gdy nie spałem i Millie była w pobliżu, patrzyłem na nią w milczeniu, trzymałem jej dłoń i próbowałem sobie wyobrazić, co myśli. I co czuje. Chyba wiedziałem, a jej udręka sprawiała, że miałem ochotę z powrotem zapaść w sen. Raz próbowałem jej powiedzieć, jak bardzo mi przykro, na co ona tylko pokiwała głową i odparła: „Wiem, wielkoludzie. Wiem”. Lecz jej oczy wypełniły się łzami i położyła głowę na mojej piersi, żeby je przede mną ukryć. Głaskałem ją po włosach, dopóki nie zmorzył mnie sen.

Chłopcy z zespołu, czyli Axel, Cory, Mikey, Paulo i Andy, przychodzili i wychodzili. Nie chcieli wrócić do domu beze mnie. Miałem przeczucie, że pilnują mnie na zmianę, jakby się bali, że znowu się wymknę. Nikt z nas nie mówił o tym, dlaczego tu jestem. Obchodziliśmy tego słonia na palcach, jakby rozmawianie o nim mogło nas kompletnie zdruzgotać. Dlatego udawaliśmy, że trafiłem tu z powodu walki. Walki, którą w dość spektakularny sposób wygrałem. Dzięki niej mieliśmy o czym rozmawiać.

Mojżesz już się nie pojawiał. On nigdy nie potrafił udawać. Przyprawdzał Millie i Henry'ego i odprowadzał ich, gdy Henry zaczynał się niecierpliwić i chciał

wrócić do hotelu. Widziałem, że Millie wolałaby zostać. Ale wzywały ją obowiązki, więc ścisnęła moją dłoń, a potem wychodziła bez słowa protestu, chwytając Henry'ego pod ramię, przez co nie rozmawialiśmy o żadnej z rzeczy, które wymagały omówienia.

Było późno. Chłopcy w końcu poszli na noc do hotelu po odegraniu wielkiego przedstawienia z darcie kontraktów, które przysłał im mój prawnik. Stwierdzili, że siłownia jest moja i że nie mają zamiaru niczego podpisywać. Nie było ich już, lecz miałem niemal pewność, że ktoś stał przy drzwiach do mojego pokoju w szpitalu.

W końcu zostałem sam i mówiłem do magnetofonu, który miał chyba tyle samo lat co ja. Opowiadałem swoją historię z nadzieją, że wymyślę zakończenie, które nie zdruzgocze ukochanych przeze mnie osób.

\*\*\*

# Dwadzieścia jeden



NASTĘPNEGO DNIA pierwszy w szpitalu zjawił się Henry. Prawie go nie poznałem. Jego włosy zniknęły, jak moje, i na głowie widać było tylko cień przyszłych odrostów.

— Henry! To ty, stary?

— To ja — szepnął, przytakując. Wyglądał na zatroskanego. Widocznie Millie lub Mojżesz wyjaśnili mu co nieco. Wolałbym, żeby tego nie robili, ale chyba nie dało się tego uniknąć. Miałem nadzieję, że powiedzieli mu, iż jestem tu z powodu walki. Nie chciałem, żeby zamartwiał się całą resztą.

— Gdzie Millie? — spytałem, gdy cisza zaczęła się dłużyć.

— Rozmawia przez telefon na korytarzu.

— A Mojżesz?

— Poszedł do kawiarni po jakieś śniadanie dla nas.

Przytaknąłem z poczuciem wdzięczności. Opiekował się nimi. To dobrze. Andy, Cory, Axel i Mikey też się o nich troszczyli, ale w tej chwili byli już w drodze do domów.

— Co zrobiłeś z włosami, Henry? — spytałem, gdy zatrzymał się przy nogach łóżka i nie chciał podejść bliżej.

Wyraźnie podenerwowany potarł swoją gładką głowę obiema dłońmi. Jego twarz wyglądała zupełnie inaczej bez włosów i po raz pierwszy zauważyłem podobieństwo do siostry. Chodziło o oczy. Oczy Millie wyglądałyby tak jak oczy Henry'ego, gdyby mogła widzieć. Były identyczne — kształt, jasny kolor, grube ciemne rzęsy. Tyle że oczy Henry'ego były teraz szeroko otwarte i pełne wątpliwości.

Nagle usiadł na końcu łóżka, a gdy spojrział na mnie ponownie, jego oczy były zaszkłone i drżały mu wargi.

— Brian Piccolo był biegaczem w Chicago Bears.

Patrzyłem na niego z dezorientacją. Musiałem się przez chwilę nad tym zastanowić. Nagle zrozumiałem.

— Tak, był. — Był. I umarł na raka w wieku dwudziestu sześciu lat. W tym samym wieku co ja. Zmusiłem kiedyś Mojżesza do obejrzenia ze mną *Piosenki Briana* i płakałem przez cały film, chociaż widziałem go wcześniej dziesiątki razy. A potem przez miesiąc mówiłem do niego „Billy Dee”. To było zabawniejsze niż nazywać go Gale’em, po Gale’u Sayersie, najlepszym przyjacielu Piccola. Mojżesz nie docenił tego przydomka, ale jemu też nie umknęła dynamika relacji Jamesa Caana i Billy’ego Dee Williama w filmie. Teraz sobie myślę, że to był mój sposób, aby w stylu Henry’ego przekazać Mojżeszowi, że go kocham, nie mówiąc mu tego wprost. Jak widać, Henry’emu też skojarzyłem się z Brianem Piccolem. Czułem się zaszczycony. I przerażony.

— Ogoliłeś głowę ze względu na mnie, Henry?

Henry przytaknął i ponownie nerwowo potarł czaszkę.

— Mojżesz zabrał mnie do fryzjera.

— Naprawdę? — Poczulem ukłucie w sercu na myśl o swoim przyjacielu. — Całkiem przyjemnie, co?

Henry znowu przytaknął.

— Shaquille O’Neal, Michael Jordan, Brian Urlacher, Matt Hasselbeck, Mark Messier, Andre Agassi...

— Jesteśmy bliźniakami — skomentowałem, przerywając jego nerwową wyliczankę łysych sportowców.

— Wiem — odparł Henry. — Chciałem wyglądać tak jak ty.

Ukłucie w sercu rozprzestrzeniło się na całą klatkę piersiową. Henry potrafił być wzruszający.

— Mogę dotknąć twojej głowy? — Chciałem, żeby podszedł bliżej. Musiałem się do niego przytulić.

Henry wstał i powoli zbliżył się do mnie. Pociągnąłem go za rękę i usiadł obok mnie z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

Położyłem lewą dłoń na jego głowie i zacząłem go delikatnie głaskać, zakreślając niewielkie kręgi. Chciałem go pocieszyć i czułem się paskudnie ze swoją bezsilnością w tej kwestii.

Henry’emu wyrwał się szloch i ułożył głowę na mojej piersi, a ja otuliłem go

ramionami, głaszcząc jego ogoloną czaszkę. Płakał przez chwilę, mocząc moją szpitalną koszulę i przywierając do mnie tak ściśle, jakby się bał, że mu się wymkne. W końcu się odezwał.

— Dawid „Tag” Taggert, zawodnik wagi półciężkiej, dwadzieścia zwycięstw, dwie przegrane, dwanaście nokautów. — Brzmiał jak komentator przed walką, który za dużo wypił, bo szlochał i bełkotał. Zauważyłem, że dodał do biografii ostatnie dwa zwycięstwa.

— Niezłe wyniki, co?

— Jesteś wojownikiem — załkał.

— Tak, jestem — przyznałem.

— Uwielbiasz walczyć — dodał.

— To fakt.

— Jesteś wojownikiem! — powiedział podniesionym głosem, a do mnie dotarło, co próbuje powiedzieć.

— To zupełnie inna walka, Henry — wyjaśniłem, przez cały czas gładząc go po głowie.

— Taka sama.

— Nie. Zupełnie inna.

— Jesteś wojownikiem!

— Henry...

— Millie walczy! — przerwał mi Henry.

— Z całą pewnością. Każdego cholernego dnia.

— Mikey walczy. — Podniósł głowę z mojej piersi.

Przytaknąłem.

— Mojesz walczy — powiedział.

Emocje uwięzły mi w gardle.

— Henry walczy? — Tym razem było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

— Walczysz — szepnąłem.

— Mój ojciec nie walczył. — Spojrzał mi w oczy z tak szczerym błaganiem, z taką determinacją i oddaniem, że nie byłem w stanie niczego wykrztusić. Skurwiel. Dobijał mnie.

— Tag Taggert jest najlepszym wojownikiem na świecie — dodał błagalnie. — Najlepszym na świecie.

Nie wiem, jak mogłem wcześniej uważać, że Henry nie potrafi się komunikować.



— MUSISZ SIĘ zatrzymać, Mo — powiedziałem z ręką na klamce. Siedziałem z tyłu z Millie, a Henry z przodu obok Mojżesza. Wracaliśmy z Las Vegas do domu, a nasza wycieczka nie byłaby o wiele bardziej żałosna, gdyby przywiązali mnie do dachu jak ciocię Ednę w filmie *W krzywym zwierciadle: Wakacje*. Byłem w pułapce. Nie mogłem znowu zniknąć. Brałem leki przeciwepileptyczne i zostałem poinformowany, że w stanie Utah nie mogę „prowadzić pojazdu mechanicznego przez trzy miesiące od ataku”. W niektórych stanach, na przykład w Kolorado, odbierano prawo jazdy do końca życia. Trawka była tam legalna, ale takie osoby jak ja nie mogły już nigdy więcej prowadzić samochodu. Bez sensu.

Mojżesz złapał moje spojrzenie w lusterku wstecznym. Od naszej gorącej wymiany zdań w szpitalu odzywał się do mnie wyłącznie pojedynczymi sylabami i mruknięciami i wyraźnie czułem, że jego wściekłość i frustracja dorównują moim.

— Zatrzymaj się — warknąłem. Miał do wyboru albo się zatrzymać, albo ścierać moje wymiociny z tylnej kanapy.

Zahamował gwałtownie, a żwir i kamienie zastukały o nadkola, gdy zjechał na asfalt na poboczu.

Otworzyłem drzwi, wygramoliłem się, zrobiłem kilka kroków i zwymiotowałem wszystko na prawą tylną oponę samochodu Mojżesza. Będzie zachwycony. Mogłem to przewidzieć. Zawsze chce mi się wymiotować po tabletkach przeciwbólowych. Oparłem się o samochód, bo cały drżałem, kręciło mi się w głowie i czułem się słabo. Denerwowało mnie to. Byłem twardzielem. Ciężko pracowałem, żeby się nim stać. Byłem wytrzymały, silny, lecz teraz chwiałem się, trzymając się auta, i błagałem świat, żeby przestał się kręcić, bo się przewrócę.

Byliśmy na północ od Cedar City i na południe od Beaver, a przed nami nie było nic prócz rozległych równin, których widok sprzyjał rozmyślaniom. Upstrzone fioletowymi kwiatami pola biegły po obu stronach drogi, a widoczne w oddali góry sprawowały nad nimi pieczę niczym troskliwi rodzice. Spokój i łagodność tego pejzażu budziły moją wściekłość. Wszystko to było pieprzonym złudzeniem.

— Musisz się wysikać, Tag? — zawołał Henry ze środka. — Czy on musiał się wysikać, Amelie? Mogę też się wysikać?

Millie wyszła z samochodu i ostrożnie przesuwiała dłonie wzdłuż niego, aż trafiła na moje plecy. Usłyszałem, jak Henry pyta Mojżesza, czy też może wyjść, lecz Mojżesz prosi go, by chwilę zaczekał. To dobrze. Uwielbiałem Henry’ego, ale

nie potrzebowałem teraz widowni. To, że Millie nie widziała, dodawało mi otuchy. *Ona* dodawała mi otuchy.

Bez słowa podała mi butelkę wody, którą przyjąłem z wdzięcznością i kilka razy przepłukałem sobie usta. Poczułem się lepiej i wziąłem kilka ostrożnych oddechów, żeby sprawdzić, czy przeszły mi nudności.

— Lepiej? — spytała łagodnie.

— Tak.

— Możesz się oprzeć o mnie, jeśli chcesz. Położyć głowę na ramionach. Byłoby ci łatwiej znieść podróż, gdybyś zasnął.

Trzymałem się twardo przez pierwsze kilka godzin, utrzymując dystans między nami. Nie dotykała mnie, a ja nie wyciągnąłem do niej dłoni. Było tyle do powiedzenia, a jak na razie nie mieliśmy okazji porozmawiać. Kotłowały się we mnie poczucie winy, zakłopotanie i smutek, szczególnie przez ostatnie kilka dni. Miałem plan. Beznadziejny i paskudny, ale plan. Niestety, nie wypalił i teraz nie widziałem przed sobą żadnej drogi.

Uświadomiłem sobie, że ostatnie słowa wypowiedziałem na głos, i odwróciłem się do Millie. Jej twarz była w odległości pocałunku od mojej. Nie byliśmy tak blisko od nocy przed kraniotomią, gdy uprawialiśmy miłość. Zachowałem się jak dupek. Kochałem się z Millie, po czym uciekłem. Zalało mnie poczucie winy. Poczucie winy, wyrzuty sumienia i pożądanie, z którym wróciły mdłości.

— Nie widzę przed sobą żadnej drogi — powtórzyłem, zbliżając się do niej plecami. Chciałem, żeby przestało mi się kotłować w żołądku i kręcić w głowie.

— Ja też — odparła Millie łagodnie. — Ale jak na razie mnie to nie zatrzymało.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Mogłem tylko oddychać, trzymając się za brzuch, dopóki żołądek się nie uspokoił. W końcu razem z Millie wdrapaliśmy się z powrotem na tylną kanapę, Henry załatwił potrzebę i ruszyliśmy dalej.

Millie poszukała mojej dłoni, a gdy ją znalazła, pociągnęła mnie do siebie. Byłem dużym facetem i trochę ważyłem, lecz ona położyła sobie moją głowę na kolanach i okryła mi ramiona płaszczem. Przycisnąłem pięści do oczu jak dziecko, żeby powstrzymać łzy bezradności, które pragnęły wypłynąć na zewnątrz. Trzymałem tak te pięści, aż zasnąłem, uspokojony i ukojony głaskaniem Millie, która przebaczała mi, chociaż na to nie zasługiwałem.

(Koniec taśmy).

## **Mojżesz**

NIE WIEDZIAŁEM, co zrobić ze swoimi pasażerami. Nie odważyłbym się zawieźć ich do Salt Lake. Mieszkanie Taga i mieszkanie piętro wyżej miały już podpisane umowy przedwstępne, bo jeszcze przed wyjazdem do Vegas znaleźli



się nabywcy. Poza tym Tag nie powinien zostawać sam. Nie czuł się najlepiej, a ja nie ufałem mu wystarczająco, żeby wierzyć, że nie zrobi niczego głupiego. Znowu. Mogłem zawieźć Millie i Henry'ego do ich domu w Salt Lake i uprzeć się, że Tag powinien pojechać ze mną do Levan, ale wiedziałem, że Millie by tego nie chciała. Nie sądzę, żeby ona i Tag mieli szansę cokolwiek sobie wyjaśnić. A powinni to zrobić. Tag powinien to wszystko naprawić, jeśli w ogóle było to możliwe. Widziałem w lusterku wstecznym, że się w końcu poddał i pod koniec podróży pozwolił się Millie przytulić. Ona mu przebaczy, jeśli jeszcze tego nie zrobiła, lecz nie byłem pewien, czy on jej na to pozwoli. Cała ta sprawa była poważnie pochrzaniona. Z tego wszystkiego zaczęła mnie boleć głowa. Nie miałem pojęcia, co zrobić.

Tag miał za tydzień wizytę u onkologa w Salt Lake. Zmusiłem go, żeby w mojej obecności zadzwonił do doktora Shumwaya i przy rozmowie włączył głośnik. Doktor Shumway był wprowadzony przez lekarzy z Las Vegas w temat walki Taga, krwotoku i opuchlizny, które wywołały atak, a także znał aktualny stan zdrowia Taga, który to stan był zaskakująco dobry jak na powyższe okoliczności. Dowiedziałem się, że po kraniotomii trzeba czekać przynajmniej miesiąc, aż pacjent wydobrzeje, zanim podejmie się leczenie, czyli naświetlania i chemioterapię. Minęły trzy tygodnie, więc ucieczka Taga nie opóźniła leczenia, lecz doktor Shumway poinformował Taga, że zważywszy na uraz, jakiego „doznał” — doktor był prawdziwym dyplomata — raczej nie ma szans, by terapia rozpoczęła się już za tydzień.

Tag potrzebował teraz więcej czasu na rekonwalescencję, co ponownie wzbudziło moją złość. Chciałem, aby jak najszybciej rozpoczął walkę z rakiem. Nie uśmiechało mi się dalsze czekanie, lecz Tag sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie przejął się odroczeniem terminu. Był przygaszony. Zatroškany. Niepewny siebie. Patrzył na Millie z takim nienasyceniem i poczuciem winy, że trudno mi było się na niego wściekać, ale dałem radę.

— Jedziecie wszyscy do mnie do domu. Zostaniecie tam przynajmniej przez kilka dni — obwieściłem stanowczo jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy. Zbliżaliśmy się do zjazdu Levan/Mills, który mógł się poszczycić kilkoma porzuconymi samochodami, paroma zabłąkanymi krowami i niezbyt atrakcyjnym wizualnie zalewem. Autostrada zupełnie omijała Levan, do którego można się było dostać albo zjeżdżając teraz, kilkanaście mil przed miastem, albo dopiero w Nephi, skąd trzeba było zawrócić. Zabawne. Levan było tylko punkcikiem na mapie, małą plamką, lecz czekały w nim na mnie Georgia i Kathleen, a ja nagle poczułem straszliwą tęsknotę za miasteczkiem, którego kiedyś nienawidziłem.

Złapałem w lusterku wstecznym zdecydowane spojrzenie Taga. Podniósł głowę z kolan Millie i usiadł.

— Wszyscy jedziecie do mnie — powtórzyłem stanowczo.

Zerwał kontakt wzrokowy i odwrócił się do Millie, lecz ona już wcześniej

potaknęła.

— Dobrze — powiedziała szybko, a ja wypuściłem powietrze, które nieświadomie wstrzymywałem.

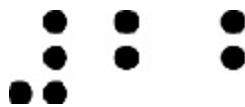
Henry jako jedyny się uśmiechał.

— Wiecie, że typowy dżokej waży od czterdziestu dziewięciu do pięćdziesięciu czterech kilogramów? — spytał. Najwyraźniej nie mógł się doczekać jazdy konnej. — Ale dżokej musi być silny — dodał. — Bo typowy koń wyścigowy waży pięćset pięćdziesiąt kilogramów i potrafi biec nawet czterdzieści mil na godzinę.

Przycisnąłem mocniej pedał gazu, pędząc w stronę domu z taką prędkością, że typowy koń wyścigowy zostałby daleko w tyle.

\*\*\*

# Dwadzieścia dwa



PRZEZ PIERWSZE TRZY dni u Mojżesza i Georgii ukrywałem się w swoim pokoju. Georgia przynosiła mi jedzenie, chociaż nie chciało mi się jeść, i spałem tyle, ile się dało. Czwartego dnia jednak poczułem się irytująco wypoczęty i niespokojny. Nie mogłem wiecznie siedzieć w pokoju nad studium Mojżesza. Nawet jeśli tak bym wolał. Henry trafił do pokoju dzieciennego, bo Kathleen spała jeszcze w kołysce w pokoju rodziców, a Millie zajęła pokój gościnny na parterze. To był duży i fajny dom, a ja kochałem mieszkających w nim ludzi, lecz rozmyślnie starałem się ich unikać.

Mojżesz przyszedł tego ranka z obrazem Dawida i Goliata, który postawił na sztaludze przed moim łóżkiem. Potem rzucił mi przed nos potężną *Biblię* i otworzył ją na fragmencie zakreślonym czerwonym cienkopisem.

— Dawid zabijał gigantów. Giganci nie zabili Dawida — warknął i uderzył dłonią w otwarte strony. — Przeczytaj sobie — dodał i wyszedł z pokoju.

Wzięłem *Biblię*. Była przyjemnie ciężka i miała gładkie kartki. Na okładce było wygrawerowane złotymi literami nazwisko Kathleen Wright, prababci Mojżesza, po której jego córka otrzymała imię. Sądząc po wyglądzie, *Biblia* była bliską towarzyszką starszej pani. Zaskoczyło mnie, że Mojżesz ją czytał. Musiał jednak doczytać przynajmniej do fragmentu, który chciał mi pokazać. Odwróciłem *Biblię* z powrotem na otwartą stronę i przeczytałem zakreślony fragment.

*I oto, gdy wstał Filistyn, szedł i zbliżał się coraz bardziej ku Dawidowi, Dawid również pobiegł szybko na pole walki naprzeciw Filistyna. Potem sięgnął Dawid do torby pasterskiej i wyjąwszy z niej kamień, wypuścił go z procy, trafiając Filistyna w czoło, tak że kamień utkwiał w czole i Filistyn upadł twarzą na ziemię. Tak to Dawid odniósł zwycięstwo nad Filistynem procą i kamieniem; trafił Filistyna i zabił go, nie mając w ręku miecza. Dawid podbiegł i stanął nad Filistynem, chwycił jego miecz i dobywszy z pochwy, dobił go; odrąbał mu*

głową.

Mojżesz podkreślił zdanie o tym, że Dawid biegł, żeby stanąć naprzeciw Goliata. Mały ochoczy wojownik. Najwyraźniej on też lubił się bić. Westchnąłem i zamknąłem księgę. Nie czułem się jakoś specjalnie zainspirowany. Wiedziałem, czego chce Mojżesz, ale głęboko w środku nie byłem do tego przekonany i żałowałem, że nie chce mnie wysłuchać. Mojżesz dużo widział, ale nie potrafił zbyt często stać i słuchać.

Za oknem usłyszałem Georgię i Henry'ego. Okno wychodziło na okrągłą zagrodę, w której Georgia powoli prowadziła Sacketta. Henry siedział zadowolony na grzbiecie konia i rozprawiał radośnie, jakby pogawędka była jego ulubionym zajęciem, a nie czymś, z czym od zawsze miał problemy. Georgia była cholernie dobra w tym, czym się zajmowała, a ja nie mogłem się nadziwić tej cudownej przemianie Henry'ego i cieszyłem się z przyjaźni z Georgią i Mojżeszem. Przynajmniej to zrobiłem dobrze. Nie wszystko spieprzyłem. Nie było aż tak kompletnie źle.

Było niemal kompletnie źle. Zły był nawet mój zapach. Musiałem jak najszybciej się umyć. Poza łóżkiem Mojżesz miał nad studiem olbrzymią umywalkę i toaletę, brakowało jednak prysznicza. Musiałem odważyć się przejść przez dom i nie mogłem tego dłużej odkładać.

Gdy wszedłem do środka przez wejście od strony garażu, zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Ktoś był na górze — Mojżesz, sądząc po odgłosach kroków — ale dół wydawał się pusty. Duża łazienka na dole była połączona z pokojem, w którym spała Millie, ale łóżko było starannie zaścielone, a Millie nie było nigdzie w pobliżu. Wypuściłem oddech i podreptałem do łazienki, zamknąłem za sobą drzwi i umyłem się.

Czekała na mnie, gdy wyszedłem. Siedziała na łóżku wyprostowana, z dłońmi na kolanach, i czekała.

— Ładnie pachniesz, Dawidzie — powiedziała z uśmiechem, a ja poczułem ukłucie pod wpływem wspomnienia, jakie wywołały te słowa. Wyciągnęła do mnie dłoń jak w noc, gdy się poznaliśmy, jakby oczekiwała, że ją uścisnę.

— Cześć. Jestem Amelie. I jestem niewidoma.

Nie mogłem jej tego odmówić. Podeszedłem, uścisnąłem jej dłoń i wypowiedziałem swoją kwestię.

— Cześć. Jestem Dawid. I nie jestem niewidomy. — Nie puściłem jej dłoni, a ona jej nie zabrała. Musnąłem kciukiem jej gładką skórę, nie potrafiąc oderwać wzroku od naszych złączonych rąk. Boże, tak bardzo ją kochałem! Miałem ochotę zamknąć drzwi na klucz, pchnąć ją na łóżko i zapomnieć się. Chociaż na chwilę. Tak bardzo tego pragnąłem.

— Teraz, gdy się już sobie przedstawiliśmy, mógłbyś ze mną porozmawiać —

zasugerowała łagodnie.

— Nie chcę rozmawiać, Millie — szepnąłem.

Przechyliła głowę na bok, wyłapując w moim głosie namiętność. Odę. Pieprzoną odę, która wciąż między nami grała, włączona na wieczne powtarzanie.

Millie podniosła się powoli. Była tak blisko, że musnęła mnie ciałem. Poczułem na szyi jej oddech, łagodny trzepot melodii, której nie potrafiłem wyrzucić ani z głowy, ani z serca. Sięgnąłem dłonią do jej podbródka i przechyliłem jej głowę, aby usta znalazły się bezpośrednio pod moimi. A potem ją pocałowałem. Delikatnie. Lekko. Starając się z całych sił nie zmienić tej pieśni w symfonię, tej ody w *fortissimo* orkiestry.

Zareagowała, ale nie przyspieszała tempa. Nasze usta się zetknęły, złączyły i rozstały, lecz zaraz wróciły do siebie, żeby zrobić to jeszcze raz. Gdy skłoniłem jej wargi do rozchylenia się i poczułem wilgotną słodycz wnętrza jej ust, musiałem wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby nie wydać z siebie jęku. Osunęliśmy się na łóżko. Trzymałem ją za biodra, ona zaciskała dłonie na mojej koszulce, poddając się nieuniknionemu *crescendo* naszych pocałunków.

Wtedy mnie odepchnęła.

— Dawid, przestań — szepnęła, lecz mimo tej prośby jej usta nadal szukały moich. Przycisnąłem czoło do jej czoła, żeby się opanować, i zakląłem w myślach, gdy wciąż wrażliwe tkanki zaprotestowały przeciwko kontaktowi. Millie objęła moje policzki i przebiegła palcami po mojej twarzy, jakby próbowała odczytać jej wyraz.

— Nie musimy rozmawiać. Ale nie możesz mnie tak całować, a potem znowu odejść. Nie możesz mi tego robić, Dawidzie. — Jej głos był jak stal opakowana w aksamit i wiedziałem, że nie żartuje.

— Nie wiem, czy będę miał wpływ na to, kiedy odejdę — odparłem, przetaczając się na plecy i wbijając wzrok w sufit.

— Nie o to mi chodzi, wielkoludzie. I dobrze o tym wiesz. — Usiadła na piętach, trzymając mnie za ramię jak zawsze, gdy byliśmy blisko, bo kontakt fizyczny był dla niej istotny. Tak. Wiedziałem, o co jej chodzi. Usunąłem się z jej życia. Zniknąłem. A ona pytała, czy mam zamiar to powtórzyć.

— To, co mam, nie daje mi szans. Nikt tego nie przeżył — szepnąłem.

Potrząsnęła głową przecząco. Jej opór sprawił, że postanowiłem wyjaśnić to wprost.

— Może ci się wydawać, że to romantyczne, Millie. Opiekowanie się mną. Ale wcale takie nie jest. Będzie brzydkie i bolesne. A ja przestanę być mężczyzną, w którym się zakochałaś. Będę mężczyzną, który stara się nie umrzeć, lecz i tak umrze — podkreśliłem. Millie zeszywniała i mocniej zacisnęła dłoń na mojej

koszulce. To dobrze. Słuchała mnie. — Będę się paskudnie czuł i przypuszczalnie będę strasznie niemiły, a ty będziesz się zastanawiała, co właściwie robisz. Stracę swoje wypukłości. A przecież one są dla ciebie kluczowe, pamiętasz? Już straciłem włosy. Nie będę mógł być dla ciebie silny. Ani dla Henry’ego. A gdy to wszystko stracisz i przejdziesz przez całe to piekło, ja i tak umrę! Umrę, Millie, a tobie nic nie zostanie. Ani Dawid, ani Tag. Nie będziesz słyszeć mojej piosenki. Będiesz po prostu przepełniona smutkiem — argumentowałem beznamyślnie. Ale ona była na to przygotowana.

— Dla niektórych ludzi warto cierpieć. Jestem silna. Wiesz, że miałam niezły trening. Zamiast boleć nad moimi utrapieniami, zacznij się cieszyć z tego, że jestem silna. Dam sobie radę. Dam sobie radę z tobą. Nie zabieraj mi tego, Dawidzie.

— Nie chcę spędzić ostatnich chwil z tobą w stanie wegetacji. Nie chcę, żebyś mnie karmiła i trzymała za rękę! Nie chcę zapomnieć, jak masz na imię. Nie chcę, żebyś patrzyła na moje cierpienie!

— Przecież nie będę. Zaleta bycia niewidomą dziewczyną — odparowała z gniewem. — Przecież w ogóle nie będę widziała twojego cierpienia, prawda?

Zakląłem i wstałem, odtrącając ją. Nie chciałem się z nią sprzeczać. Ruszyłem w stronę drzwi, bo nagle zrozumiałem jej potrzebę chodzenia. Chodzenie oznaczało, że nie jest się w pułapce. A ja czułem się jak w pułapce.

— Kiedy zaczniesz wierzyć w to, że zasługujesz na miłość? — zawołała za mną wyraźnym i opanowanym głosem, który nieznacznie drżał pod wpływem z trudem tłumionej furii.

Zatrzymałem się i odwróciłem do niej. Próbowwała za mną iść i nie miałem wątpliwości, że jeśli wyjdę z domu, weźmie swoją laskę, a ja będę zmuszony do bawienia się z nią w „Marco Polo na ulicach Levan”, żeby mnie nie zgubiła<sup>[1]</sup>. Chciałem, żeby pozwoliła mi wyjść, lecz ona najwyraźniej nie miała zamiaru tego zrobić.

— Millie...

— Nie! — krzyknęła. — Uważasz, że nie zasługujesz na miłość, gdy nie jesteś Tagiem, gdy nie jesteś seksownym facetem! — Zrobiła w powietrzu cudzysłowy, naśladowując mój głos i nawiązując do rozmowy, którą odbyliśmy, gdy grała mi mój akord. — Uważasz, że nie zasługujesz na miłość, gdy jesteś chory. Uważasz, że nie zasługujesz na miłość, jeśli nie możesz być silny! Jeśli nie możesz się mną opiekować dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, to z pewnością nie warto cię kochać.

— Nie o to chodzi! — zaprotestowałem, potrząsając głową i odrzucając to wszystko.

— Właśnie, że o to, do diabła! — krzyknęła i tupnęła nogą. Podeszła do ozdobnej

szafki łazienkowej, na której starannie poukładała swoje rzeczy, i w rzadkim pokazie temperamentu zrzuciła wszystko na podłogę. Przybory toaletowe, suszarka do włosów, stos poskładanego prania — wszystko spadało, a ona to spychała z krawędzi. Mnie też próbowała doprowadzić do krawędzi i zepchnąć.

— Millie, przestań, do licha! Zrobisz sobie krzywdę, kochanie!

— Nie! — wykrzyknęła. — Tu nie chodzi o *mnie*! Jeśli chcę sobie zrzucić parę rzeczy, zrobię to. Nie jestem inwalidką. Nie jestem księżniczką. Jestem dorosłą kobietą. I mam prawo się zdenerwować! — Wyciągnęła palec w moją stronę i zaczęła nim energicznie wymachiwać. — I nie oczekuję, że *ty* to posprzątasz, gdy skończę!

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc patrzyłem w milczeniu, jak traci kontrolę. Przeze mnie.

— Wiesz, że gdy straciłam wzrok, przez bardzo długi czas miałam poczucie winy? Czułam się winna, że moi rodzice tak cierpią. A potem ojciec odszedł i moje poczucie winy wzrosło dziesięciokrotnie. Czułam się winna, gdy mama musiała zmienić całe swoje życie, żeby dostosować się do mojej ślepoty. Henry był wtedy małym chłopcem i miał własne problemy. A ja to jeszcze pogorszyłam! Przeze mnie wszystko się rozpadło. Coś takiego wmawiałam sobie przez długi, długi czas.

Dobrze wiedziałem, jak się wtedy czuła. Poczucie winy. Trawiło mnie, gdy zniknęła Molly. Zjadało mnie żywcem. I teraz też mnie nękało. Ale Millie nie czekała, aż włączę się do rozmowy. Drżała z gniewu, a ja milczałem.

— Nie wiem, kiedy to się zaczęło zmieniać. Może przez gimnastykę. Może przez muzykę i taniec. Może przez chorobę matki, bo wtedy dla odmiany ktoś był uzależniony *ode mnie*. I dawałam sobie z tym radę, Dawidzie. Dawałam sobie radę! Byłam silna. I zasługiwałam na miłość. Przez cały ten czas zasługiwałam na miłość! Po prostu tego nie dostrzegałam. — Millie uderzyła się w pierś z emfazą i powtórzyła: — Zasługuję na miłość. Niewidoma czy nie.

Gula w gardle urosła do takich rozmiarów, że jęknąłem, próbując mimo niej oddychać. Niewidzące oczy Millie były wypełnione łzami, które wylewały się na zewnątrz i spływały po policzkach. Otarła je zniecierpliwionym ruchem.

— Mimo to nigdy nie poprosiłabym cię, żebyś mnie kochał, Dawidzie. Poprosiłam o pocałunek, bo bardzo go pragnęłam. Ale nigdy nie poprosiłabym cię o miłość. Moja duma by mi na to nie pozwoliła. Mój szacunek dla samej siebie by tego nie zniósł. Lecz ty mi ją dałeś. Zaoferowałeś ją. Zakochałeś się we mnie, chociaż cię nie prosiłam! A ja zasługuję na tę miłość — powtórzyła, znowu podnosząc głos.

— Tak. Zakochałem się. I zasługujesz. — Miałem serce w gardle, gdy do niej podszedłem. Usłyszała mnie i zrobiła krok w tył. Wyciągnęła przed siebie dłonie, żeby mnie dosiebie nie dopuścić.

— Nie. Jeszcze nie — powiedziała stanowczo, chociaż jej głos był już spokojniejszy. — Rozumiem poczucie winy, Dawidzie, naprawdę. Ale miłość nie może być jednostronna. Nie może być tak, że jedna osoba zawsze daje, a druga zawsze bierze. Jeśli naprawdę mnie kochasz, musisz mi zaufać.

Nikomu nie ufałem bardziej, nawet Mojżeszowi.

— Ufam ci, Millie.

— Nie, wcale nie. Nie ufasz mi. I uważasz, że nie zasługujesz na miłość.

Nie mogłem złapać tchu. Nie mogłem złapać tchu i nie mogłem się ruszyć. Więc słuchałem.

— Uważasz, że nie zasługujesz na moją miłość, jeśli nie jesteś silny — powtórzyła zdecydowanym głosem. — I uważasz, że ja nie mam w sobie tyle siły, żeby być przy tobie, gdy ty nie będziesz jej miał. Nie ufasz mi.

— To nie ma nic wspólnego z moją wiarą w ciebie. Wiem, kim jesteś, Millie — próbowałem nieudolnie wyrazić swoje myśli i przekazać jej swoje uczucia. — Ale wiem też, że potrafisz mnie przejrzeć. Chcesz zdać się na cud, ale ja czuję, że już jeden mnie spotkał. Ty jesteś moim cudem! To, że na siebie trafiliśmy, że się spotkaliśmy, że znalazłem miłość w swoim życiu. To cud, Millie! Jestem za to nieskończenie wdzięczny. Tak wiele osób tego nie doświadcza, ale nam się udało. To cud, że byłem wystarczająco uważny, że tego nie przegapiłem. I to cud, że ty też mnie pokochałaś.

Z jej twarzy zniknęło napięcie i wyciągnęła dłoń w moją stronę. Przynajmniej wyciągnęła do mnie dłoń. Błagalnie. Podszedłem do niej od razu, lecz oparła się obiema dłońmi o mój tors, obejmując moje serce i nie dopuszczając do tego, bym ją przytulił. Potem zsunęła rękę po moim ciele i znalazła moje dłonie. Ujęła jedną z nich w swoje i podniosła ją do ust. Pocałowała ją delikatnie i słodko, przyciskając usta do wnętrza, jakby chciała pocałunkami rozpuścić mój i swój ból. Potem przesunęła moją dłoń z ust na policzek. Wtuliła się w nią na chwilę, zatrzymała się, jakby czerpała ode mnie siłę mimo tego, co powiedziała. W końcu zsunęła ją po swojej szyi, przez ładnie zarysowane obojczyki, i przycisnęła ją do swojej piersi, całkowicie ją przykrywając.

— Większość ludzi sądzi, że najbardziej intymnym doświadczeniem na świecie jest seks — powiedziała cicho.

Przeszedł mnie dreszcz pod wpływem poczucia przynależności, jakie miałem, dotykając jej w taki sposób i w takim miejscu, w którym nikt inny jej nie dotykał. Nie zgąłem jednak palców, nie zacząłem pieścić brzegu piersi kciukiem i nie sięgnąłem drugą dłonią do drugiej piersi. Czekałem, wyczuwając końcami palców łomotanie jej serca, a ona doceniła to i kontynuowała.

— Gdy się z tobą kochałam, gdy pozwoliłam, byś zobaczył mnie całą, a ty pozwoliłeś mi poznać całego siebie, każdy najintymniejszy fragment, gdy



składaliśmy tę przysięgę za pomocą ciał ust, myślałam, że to jest najbardziej intymne przeżycie, jakie kiedykolwiek będziemy dzielić.

— Millie? — szepnąłem. Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale jej słowa wyrażały smutek i ostateczność, jakby podjęła już jakąś decyzję dotyczącą mnie... nas.

— Ale tak nie jest. Seks nie jest najbardziej intymnym przeżyciem, jakie mogą dzielić kochankowie. Nawet gdy jest piękny. Nawet gdy jest idealny. — Millie wzięła głęboki wdech, jakby przypomniawszy sobie, jak idealnie nam ze sobą było. — Najbardziej intymnym przeżyciem jest pozwolenie, by ukochane osoby zobaczyły nas w najgorszej formie. Wtedy, gdy jesteśmy najślabsi. Prawdziwa intymność jest wtedy, gdy *nic* nie jest idealne. A ja nie sądzę, żebyś był gotów na intymność ze mną, Dawidzie.

Zamilkła, pozwalając, by jej słowa wybrzmiewały w powietrzu, a ja przycisnąłem mocniej jej pierś i zacząłem ją masować. Potrzebowałem Millie, ale nie wiedziałem, jak dać jej to, czego pragnęła. Westchnęła i położyła głowę na moim torsie, jakby przyjemność walczyła w niej z bólem.

— Nie wiem, jak to zrobić — wyznałem i zabrałem rękę, żeby z frustracji nie wyrzucić jej jakiejś krzywdy.

Millie wzięła ją jednak z powrotem i przyłożyła sobie do serca.

— Powiem ci jak. Będziesz się mnie trzymał. Zaufasz mi. Wykorzystasz mnie. Będziesz na mnie polegał. Będziesz ode mnie zależny. Pozwolisz, bym cię chronił. Pozwolisz mi się kochać. Całego siebie. Raka. Strach. Chorobę. Zdrowie. To, co lepsze i to, co gorsze. Całego siebie. A ja dam ci całą siebie.

— Nie wiem, czy potrafię to pokonać, Millie. — Słowa uwięzły mi w gardle i nagle zacząłem płakać. W pierwszym odruchu ucieszyłem się, że Millie mnie nie widzi, lecz poczułem, jak dotyka moich policzków i łez. Pozbierałem się więc, ale nie odtrąciłem jej. Stała na palcach, przyciągnęła moją twarz do swojej i przycisnęła drżące wargi do moich, pocieszając mnie, uciszając i akceptując mój strach. A nie był to zwykły strach, tylko mój najgłębszy lęk. Nie wiedziałem, czy wygram, gdy podejmę walkę. Tak naprawdę byłem niemal pewien, że przegram. Czulem smak łez Millie i wiedziałem, że ona czuje moje. Nagle wyszeptała w moje usta:

— Nie musisz tego pokonywać, Dawidzie. Nie musisz. Pozwól nam jedynie walczyć razem z tobą.

Objąłem ją i przytulałem przez chwilę, niezdolny do wypowiedzenia jakichkolwiek słów. Po chwili odzyskałem głos, lecz nadal nie chciałem jej wypuszczać.

— Żadnego odklepywania — szepnąłem.

— Żadnego poczucia winy — dodała cicho Millie.

— Amelie oznacza pracowitość. — Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy, ale przyszło. Pomyślałem o jej sile, gdy mnie wspierała.

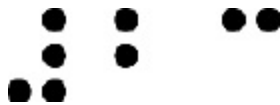
— To prawda. — Uśmiechnęła się niepewnie. — To jak, będziesz ze mną współpracować czy nie?

\*\*\*

---

[1] Marco Polo — podobna do ciuciubabki, lecz rozgrywana w basenie gra towarzyska, w której osoba z zawiązanymi oczami mówi „Marco”, a gonione przez nią osoby muszą odpowiedzieć „Polo” — *przyp. tłum.*

# Dwadzieścia trzy



## Mojżesz

USŁYSZAŁEM hałas na dole i zatrzymałem się, zaniepokojony i nieco zirytowany. Kathleen spała i nie chciałem, żeby ktoś ją obudził. Wyrzynało się jej kilka zębów, przez co była drażliwa i dość mocno niezadowolona. Dobiegł jednak do mnie podniesiony, wręcz gniewny głos Millie i zamarłem bez ruchu, nasłuchując. Słyszałem też dudniący głos Taga, lecz Millie od razu odpowiedziała, jeszcze gniewniej. Podszedłem do schodów i wyłapałem fragmenty słów Millie, która jednym tchem wykladała karty na stół. W tym momencie jednak drzwi jej pokoju się zamknęły i słowa stały się nierozpoznawalne. Ruszyłem w dół w nagłym przyływie nadziei. Nie wiem, jak tego dokonała, ale Tag przyszedł do jej pokoju i w końcu coś zaczęli sobie wyjaśniać.

Nagle do domu wpadł Henry z imieniem Millie na ustach. Przebiegłem ostatnie kilka schodów, żeby go zatrzymać.

— Henry, zaczekaj!

Henry podskoczył i odwrócił się, zdumiony gwałtownością mojego głosu. Nie ma mowy, żebym dopuścił do przerwania tego, co się rozgrywa za tymi drzwiami.

— Nie wchodź tam. Millie jest z Tagiem. Musimy zostawić ich na chwilę samych.

Henry spojrzał na zamknięte drzwi, a potem z powrotem na mnie. Powoli przytaknął. Wyciągnąłem z lodówki dwie puszki coli, wręczyłem mu jedną, po czym objąłem go ramieniem i wyprowadziłem z domu. Usiedliśmy na ganku, ze stopami na poręczy, żeby opróżniając swoje napoje, móc obserwować Georgię przy pracy. Uwielbiałem patrzeć, jak pracuje.

— Axel nigdy nie jeździł konno — rzucił Henry, najwyraźniej myśląc o wczorajszym wieczorze, gdy Axel i Mikey przywieźli półciężarówkę Taga, bo nie wiedzieli, gdzie ją trzymać w Salt Lake, gdy wszystko było w takim zawieszeniu.

— Ano. Pokazałeś mi, jak to się robi? — Wiedziałem, że co nieco im pokazywałem, ale chciałem, żeby sam mi o tym opowiedział. Tag nie zszedł wczoraj na dół do chłopaków. To cud, że teraz rozmawia z Millie.

— Tak. Ja mu coś pokazuję, on mi coś pokazuje — potwierdził Henry,

przytakując. — Należę do zespołu.

Teraz ja przytaknąłem. Tag zebrał grupę niesamowitych osób. A najlepsze było to, w jaki sposób traktowali Henry'ego.

— W słowie „zespół” nie ma „ja” — dodał nagle z powagą, jakby powtarzał coś, co usłyszał na szkolnym apelu. Albo na siłowni.

— Nie ma.

— W „Tag Team” też nie ma „ja” — dodał.

— Nie. Nie ma — zgodziłem się.

— Jesteśmy częścią Tag Team? — spytał.

W pierwszym odruchu chciałem wdać się w wyjaśnienia, czym jest Tag Team, i powiedzieć mu o marce, zawodnikach i siłowni. Powstrzymałem się jednak.

— Tak. Jesteśmy. Jesteśmy częścią Tag Team.

— Bo go kochamy?

— Tak — potwierdziłem i znowu poczułem, jak emocje więzną mi w gardle. Męczyły mnie już te ciągłe wybuchy emocjonalne, ale Henry miał sposób na to, by się do mnie podkraść i powiedzieć oczywiste rzeczy w taki sposób, że wydawały się naprawdę głębokie. W Vegas Millie wyjaśniła mu najlepiej jak potrafiła stan Taga, a on przyszedł do mnie i spytał, czy pójdę z nim do fryzjera, bo chciałby się obciąć jak on. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego to robi. Myślałem, że chodziło o to, że Tag jest dla niego wzorem czy coś. Ale Millie była zdumiona jego pragnieniem. Najwyraźniej nie było to dla niego łatwe. A teraz dotarło do mnie, że Henry w ten sposób okazywał swoje wsparcie moralne i przynależność do zespołu Taga. Georgia przeskoczyła przez ogrodzenie i zmierzała w naszą stronę, a ja ucieszyłem się, że mam jej wsparcie moralne.

— Ale w słowie „Djawid” *jest* „ja” — przekręcił nieco imię Taga i powiedział to zdanie tak, jakby przeczyło całej idei braku „ja” w „zespołe”.

Zaśmiałem się, czy raczej parsknąłem z ulgą, a on spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Dobrze sobie radzisz, chłopaku. Chyba mnie zainspirowałeś — wykrztusiłem ze śmiechem, który przynosił mi ukojenie.

— W słowie „Henry” nie ma „ja” — stwierdził beznamiętnie.

— W słowie „Mojżesz” też — dodałem, nie potrafiąc powstrzymać chichotu. — Jesteśmy altruistami — wyjaśniłem.

— W słowie „Georgja” jest „ja” — powiedział, gdy Georgia dołączyła do nas na ganku.

— To prawda. Nie musisz mi tego mówić. Ja, ja, ja. Przez cały czas — odparłem,

biorąc Georgię za rękę i przyciągając ją do siebie. Objęła mnie za szyję i delikatnie pocałowała w usta.

— Gdzie Millie? — spytała, nie chwytając mojej przynęty.

— Z Tagiem — wyjaśnił Henry. — A my zostawiamy ich samych.

Georgia spojrzała na mnie z uniesionymi brwiami.

— Tak? — spytała z nadzieją w głosie.

— Tak. I Millie nie była zbyt delikatna — dodałem ciszej. Ale Henry i tak słyszał.

— Nie istnieje coś takiego jak bojaźliwy wojownik — powiedział. — Tak mówi Tag. Powiedział też, że Amelie walczy każdego cholernego dnia.

— Alleluja, chwalmy Pana za to. — Georgia zabrzmiała jak moja prababcia Kathleen. Obie były małomiasteczkowymi dziewczynami z Levan i przez sporą część życia mieszkały obok siebie. Chyba nie powinienem się dziwić.

— Amen — zgodziłem się.

— Muhammad Amelie — zażartowała Georgia. — Unosi się jak motyl...

— Kłuje jak pszczoła — dokończyliśmy z Henrym.

— Pójdę sprawdzić, co u Kathleen — powiedziała Georgia i zostawiła nas samych. Wiedziałem, że po drodze zamierza podsłuchać co nieco przez drzwi gościnnej sypialni, ale nie wypominałem jej tego, bo miałem nadzieję, że podzieli się wszystkim ze mną. Henry także wstał i poszedł do zagrody pobawić się z Sackettem, który podszedł do ogrodzenia, żeby go przywitać.

Kątem oka dostrzegłem pulsowanie lub poblask, coś jak gęste powietrze pod koniec skwarneho dnia. Mój kark zrobił się gorący, a ja, zamiast się opierać, otworzyłem się na to migotanie, bo bardziej mnie ciekawiło niż przerażało. Tym razem nie była to Molly.

Rozpoznałem ją, chociaż widziałem ją tylko raz w życiu. Pokazała mi koronkę. Tylko tyle. Skłębioną koronkę. A potem zniknęła. Zrozumiałem ją jednak i po raz pierwszy od zniknięcia Taga poczułem, jak imadło na moim sercu nieco rozluźniło swój uścisk.





ZAMIENIŁEM POKÓJ, zaszywając się w innej części domu mojego najlepszego przyjaciela. Tym razem się nie ukrywałem. Tym razem dochodziłem do siebie. Lub żywiłem nadzieję. Może o to właśnie chodziło. Może pozwoliłem sobie na nadzieję.

Nikt nie pukał do drzwi. Nikt nie przynosił jedzenia i nie wsuwał kartek pod drzwi. Nawet Henry. Był otoczony opieką, o czym dobrze z Millie wiedzieliśmy. Zamknęliśmy się więc razem.

Na zewnątrz zapadła ciemność i pojawiły się gwiazdy. Millie nie mogła ich zobaczyć, ale powiedziałem jej, że tam są, grube i jasne punkty na niebie, widoczne przez wielkie wykuszowe okno pokoju gościnnego. Opowiedziałem jej, jak leżałem pod tymi gwiazdami jako chłopiec, gdy spałem na trampolinie na tylnym podwórku domu w Dallas. Opowiedziałem jej też, jak dziesięć lat później leżeliśmy z Mojżeszem na pokładzie łodzi płynącej w dół Nilu. Patrzyłem na ten bezkres i przypominałem sobie dawne uczucie. To samo, które miałem jako dziecko. Nie czułem się prochem w porównaniu z gwiazdami. Czułem się wielki, jakby niebo obracało się wokół mnie. Byłem większy od gwiazd. Rosłem i rosłem, a świat należał do mnie. Byłem tak olbrzymi, że mogłem kciukiem kompletnie przesłonić dowolną gwiazdę, a dłonią zasłonić cały fragment nieba. Taka moc. Takie rozmiary. Nie byłem wtedy Dawidem, tylko Goliatem.

Gdy tak leżałem w tym łóżku z Millie przed oknem z odsłoniętymi zasłonami i patrzyłem na migotliwe gwiazdy nad maleńkim miasteczkiem, które nigdy nie było moim domem, poczułem, jak to uczucie wypełnia mnie na nowo. Byłem ważny. Liczyłem się. Planowałem zniknąć, żeby rak zniknął razem ze mną. Ale gwiazdy szeptały, że nigdy tak nie jest. Nigdy nie znikamy. Ulegamy jedynie przemianom. Odchodzimy. Idziemy dalej. Ale nie znikamy. Nawet jeśli tak nam się wydaje.

Millie się nie śmiała. Nie żartowała, że mam kompleks boskości. Słuchała moich słów, a ja przemierzałem palcami gładką skórę jej pleców, wodziłem nimi po konturach bioder i wzdłuż nóg przerzuconych przez moje nogi. Potem przyciągnąłem ją do siebie, kładąc dłoń u podstawy jej kręgosłupa. Westchnęła i wypowiedziała moje imię, a ja znowu poczułem się jak bóg.



NIE WIEM, która była godzina, gdy ponownie się do siebie odezwaliliśmy. Spaliśmy przez długi czas i obudziliśmy się z burczącymi brzuchami i wyschniętymi gardłami. Nie chcieliśmy wychodzić z pokoju, więc postanowiliśmy zaspokoić pragnienie wodą z kranu, ale pod kranem Millie znowu odnalazła moje usta. Jej wargi były wilgotne i chłodne, woda spływała jej po podbródku na piersi i wszystko zaczęło się od nowa. Tuż przed świtem próbowałem wyśliznąć się z łóżka, wyplątując się z ramion mojej śpiącej królowny, lecz ona przebudziła się nagle i spanikowana zaczęła szukać mnie rękami.

Jej strach mnie zasmucił, bo wiedziałem, że sam go stworzyłem.

— Ciii, Millie. Nigdzie nie uciekam. Obiecuję. Zaraz wrócę — szepnąłem, po czym pocałowałem ją w czoło i pogładziłem po włosach. — Połóż się. Obiecuję, że już cię nie zostawię. Nie z własnej woli. Nigdy więcej.

Przytaknęła i opadła na poduszki, gdy zakładałem dżinsy, lecz kiedy kilka minut później wróciłem, miała szeroko otwarte oczy i nasłuchiwała, otulona pościelą, z jedną dłonią pod głową.

— Gdzie byłeś? — spytała.

— Twój wielki myśliwy przyniósł mięso. I chleb. I ser — wymruczałem głosem jaskiniowca.

— I Miracle Whip<sup>[1]</sup>? — przerwała mi.

— Ohyda.

— Wiesz, że lubię Miracle Whip.

— I Miracle Whip — powiedziałem, wręczając jej talerz z kanapką z sosem Miracle Whip, tak jak lubiła.

Pochłonałem trzy kanapki w czasie, gdy ona zjadła jedną. Potem otworzyłem butelkę napoju gazowanego i przez chwilę słuchałem bąbelków, wyrażając ciche uznanie dla jednego z jej ulubionych odgłosów.

Po śniadaniu poczłapałem do kuchni i włożyłem talerze do zlewu, a produkty spożywcze do lodówki. Gdy zawiązywałem torbę na chleb, dostrzegłem na blacie klucze do mojego samochodu. Zatrzymałem się na chwilę. Potem porwałem je, wypadłem na zewnątrz do auta i w niespełna minutę byłem z powrotem, ciesząc się, że dom jest jeszcze uśpiony, a Millie nie wpadła na pomysł, by mnie szukać.

Millie myła zęby i jednocześnie szczotkowała włosy. Miała na sobie porzucony przeze mnie podkoszulek i nawet w ciemnościach wyglądała jak wybawienie. Usiadłem na łóżku i obserwowałem ją, a ona mimo odkręconej wody usłyszała, że wróciłem. Wiedziała, że tu jestem.

Wróciła na łóżko i wtuliła się w pościel, a mnie przemknęło przez głowę, że

mógłbym ściągnąć jej ten podkoszulek i rzucić swoje dżinsy, uznałem jednak, że niektóre przedsięwzięcia wymagają spodni, a ja przymierzam się do jednego z nich. Usiadłem za nią i objąłem ją, przyciągając ją do torsu, po czym wyszeptalem w jej włosy:

— Wyjdiesz za mnie, Millie?

— Co? — spytała bez tchu.

— Wyjdiesz za mnie i pozwolisz mi być bratem Henry'ego? Chcę, żebyś była częścią Tag Team — powtarzałem oświadczyny Henry'ego, żeby zabrzmieć uroczo, ale miałem serce w gardle, a moje dłonie były śliskie od potu. Dobrze, że nie ściągnąłem z niej swojej koszulki, bo trochę go wchłaniała. — Z punktu widzenia statystyki sportowcy z ustabilizowaną sytuacją rodzinną mają większą wytrzymałość i skuteczność, silniejszą psychikę i ogólnie lepsze wyniki niż sportowcy, którzy są rozwiedzeni lub przed ślubem. — Nawet jeśli niedokładnie powtórzyłem słowa Henry'ego, to na pewno byłem blisko. Lecz ona milczała, a ja nie widziałem jej twarzy. — Chciałem cię o to spytać miesiąc temu. Kupiłem pierścionek. Przez cały czas trzymałem go w schowku w desce rozdzielczej — wyjaśniłem pospiesznie. A teraz miałem go w kieszeni dżinsów i czekałem na jej odpowiedź.

— Wiem. Powiedziałeś mi — szepnęła.

— Taśmy? — olśniło mnie.

— Tak.

— Gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło, gdybym spytał cię o to dwa tygodnie temu, zanim wszystko się rozsypało, co byś odpowiedziała? — spytałem z ciężkim sercem.

— Nie. Odpowiedziałabym „nie” — wyznała cicho Millie.

Poczułem skurcz w żołądku i przycisnąłem ją mocniej do siebie, chociaż chciałem się rozluźnić. Serce łomotało mi jak oszalałe.

— Dlaczego, Millie?

— Bo pomyślałabym, że potrzebujesz więcej czasu — odparła.

— Pomyślałabyś, że *ja* potrzebuję więcej czasu? — spytałem z niedowierzaniem.

Przytaknęła energicznie, a jej włosy musnęły moje usta. Przetwarzałem to przez kilka sekund, po czym spytałem:

— A teraz?

— Teraz tak bardzo pragnę cię poślubić, że nie obchodzi mnie, czy potrzebujesz więcej czasu — wyznała.

Roześmiałem się, zadowolony z tego, że nie stoimy, bo zakręciło mi się w głowie



od zalewającego mnie poczucia ulgi. Przyszło mi jednak do głowy coś jeszcze.

— Zmieniłaś zdanie, bo wiesz, że nie mam więcej czasu? — spytałem łamiącym się głosem.

Poczułem dreszcz, który przebiegł przez jej ciało.

— Nie. Zmieniłam zdanie, bo nie chcę, żeby ktokolwiek nas rozdzielał. Nie chcę, żeby ktoś mi powiedział, że nie mogę przy tobie być. Chcę być Taggertem. Albo Taggersonem. — Czułem, że próbuje się uśmiechnąć, ale chyba jej się to nie udało. — Chcę być twoja. I chcę, żebyś ty był mój. W moim łóżku, w twoim czy w szpitalnym, obojętne. Chcę po prostu być z tobą.

— Chcesz się mną opiekować — powiedziałem beznamiętnie.

Zignorowała moje słowa i wyjaśniła to po swoim.

— Gdybym nie była niewidoma, zgodziłabym się. Miesiąc temu powiedziałabym „tak”.

Czekałem.

— Ale ponieważ jestem niewidoma, chciałabym, żebyś miał mnóstwo czasu, żeby dobrze przemyśleć, w co się pakujesz.

— Nie zmieniałbym zdania, kochanie.

— Już zawsze będę niewidoma, Dawidzie.

— Prawdopodobnie... tak — przyznałem.

— I mimo to miesiąc temu chciałeś się ze mną ożenić? — spytała, chociaż dobrze znała odpowiedź.

— Tak. Chciałem.

— Chciałeś się ze mną ożenić mimo mojej ślepoty, a ja chcę cię poślubić mimo twojego raka. Czy tak trudno to zrozumieć?

— Nie — odszepnąłem. Bo faktycznie to było proste, gdy przedstawiła to w ten sposób.

Leżeliśmy w milczeniu, słuchając swoich oddechów i rozmyślając. Ale ja podjąłem decyzję w momencie, gdy poddałem się Millie. Mojżesz mnie ostrzegwał, że to będzie konieczne, czyż nie?

— Wszystko czy nic, Millie? — spytałem z ustami na jej skroni.

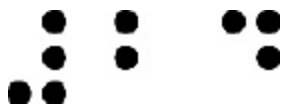
— Wszystko — odparła.

— Ja też — szepnąłem. Wszystko lub nic. Taki byłem. A jeśli miałem walczyć, jeśli miałem zostać, chciałem mieć to wszystko tak długo, jak to możliwe. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem pierścionek.

---

[\[1\]](#) Miracle Whip — tańszy odpowiednik majonezu — *przyp. tłum.*

# Dwadzieścia cztery



## Mojżesz

WSTAŁEM przed wschodem słońca. Byłem niespokojny i posępny, nawet bardziej niż zazwyczaj. Postanowiłem trochę pomalować. Nie pomogło mi to jednak i nadal czułem ciarki pod skórą i ściskanie w żołądku, więc gdy słońce wyłoniło się zza horyzontu, zrobiłem dzbanek kawy, nalałem sobie kubek i usiadłem na zewnątrz. Chciałem obejrzeć wyłaniający się z ciemności dzień, zanim obudzi się reszta domu i uniemożliwi mi kontemplację.

— Wyglądasz, jakby twoje myśli ważyły tonę — stwierdził Tag ochrypłym z zaspania głosem, a drzwi po lewej stronie ode mnie zasunęły się cicho. Usiadł obok mnie na ganku i spojrzał przed siebie, na leniwy wschód słońca. Trzymał w swoich potężnych dłoniach kubek ze zrobioną przeze mnie kawą i popijał z niego z takim wyrazem twarzy, jakby to była kofeinowa rozkosz w płynie.

— No, no, no — powiedziałem, a moje usta rozciągnęły się w uśmiešek. Obiecałem sobie, że nie będę mu wypominał, że zaszył się z Millie na dobre szesnaście godzin, ale nic z tego nie wyszło, bo zacząłem od razu, gdy tylko go zobaczyłem.

Nie odpowiedział uśmiechem i nie kazał mi się zamknąć. Wydawał się zmęczony. Ale wyglądał dobrze. Zaskakująco dobrze. Jakby był zadowolony. Wciąż nie przywykłem do jego ogolonej głowy. Wyglądała nieco zbyt łyso, jak na mój gust, ale Tagowi to pasowało. Miał odpowiednio zarysowaną linię szczęki, żeby nie mieć włosów, nawet jeśli było to irytujące.

— Wyglądasz beznadziejnie, Tag — skłamałem, bo tak się do siebie odnosiliśmy.

— Ty też, Mo — odparł przyjaźnie.

— To twoja wina — powiedziałem tak jak w szpitalu, ale natychmiast tego pożałowałem. Ucieczka *była* jego winą. Ale *to* nie było jego winą.

Nie odpowiedział, tylko pociągnął długi łyk kawy.

— Myślisz czasem o Montlake? — spytałem, siorbiąc kawę, żeby się nie sparzyć. Podobnie czułem się w tej rozmowie, zanurzając palec w temacie, który był niczym głęboki kocioł.

— Cały czas — odparł i upił kolejny łyk.

— Ja też. Cały czas. Szczególnie ostatnio — przyznałem.

Siedzieliśmy jak dwaj dojrzały mężczyźni. Piliśmy kawę, czas płynął, ale nie mieliśmy zamiaru z tym walczyć. Zabawne w sumie. Starzy ludzie wiedzą, że ich dni są policzone, lecz rzadko spieszą się, żeby je wypełnić.

— To były mroczne dni, Mo — stwierdził Tag cicho.

— Faktycznie, *były*. Ale nie mieliśmy nic do stracenia — odparłem.

— A teraz mamy wszystko do stracenia — dodał.

— Teraz mamy wszystko do stracenia — powtórzyłem.

— Śniłem o żonie doktora Andelina — wyznał nagle, a ja z zaskoczenia zupełnie zapomniałem, dokąd zmierzałem w tej konwersacji.

— Co? — wykrztusiłem.

— Pamiętasz tę sesję, kiedy ją widziałeś? — spytał Tag, przyglądając mi się badawczo. — Tę, podczas której się poznaliśmy?

— Tę, na której chciałeś mnie zabić? — próbowałem się zaśmiać, ale nie byłem w stanie wykrzesać z siebie wystarczającej radości. Mój śmiech zabrzmiał, jakbym dostał z pięści w brzuch, co w sumie pasowało, bo Tag dokładnie to wtedy zrobił. Spytałem go o Molly, a on przywalił mi w brzuch, uderzył mnie w twarz i przewrócił na podłogę. A ja się z tego ucieszyłem i zacząłem mu oddawać.

— *Skąd o niej wiesz? — spytał, patrząc mi prosto w oczy. Otaczający nas zgiełk nieco przycichł. — Skąd znasz moją siostrę? — Sanitariusze podnieśli nas z podłogi i pozwolili nam usiąść, lecz doktor Andelin też chciał znać odpowiedź.*

— *Mojżesz, chcesz wyjaśnić Tagowi, co miałeś na myśli, gdy spytałeś, czy ktokolwiek zna dziewczynę o imieniu Molly?*

— *Nie wiedziałem, że to jego siostra. Nie znam go. Ale widywałem dziewczynę o imieniu Molly z przerwami przez prawie pięć miesięcy.*

*Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę.*

— *Widywałeś ją? To znaczy, że byliście z Molly razem? — spytał doktor Andelin.*

— *To znaczy, że jest martwa, a wiem to dlatego, że przez ostatnie pięć miesięcy mogłem ją widywać — powtórzyłem cierpliwie.*

*Furia na twarzy Taga przybrała niemal komiczny wyraz.*

— *W jaki sposób ją widywałeś? — Głos doktora Andelina był beznamiętny, a jego spojrzenie zimne.*

*Odpowiedziałem mu takim samym spojrzeniem i tonem głosu.*

— *W taki sam sposób, w jaki widzę pańską zmarłą żonę, doktorze. Bez przerwy*

*pokazuje mi osłonę przeciwsłoneczną w samochodzie, śnieg i kamyki na dnie rzeki. Nie wiem dlaczego. Ale podejrzewam, że pan potrafiłby to wyjaśnić.*

*Doktor Andelin otworzył ze zdumienia usta i pobladł.*

*— O czym ty mówisz? — wykrztusił. Czekałem na dobrą okazję, by to wykorzystać, ale ta chwila była równie odpowiednia jak każda inna. Może jego żona odejdzie i będę mógł się skupić na wyrzuceniu na dobre Molly.*

*— Podążyła za tobą przez całą sesję. Zbyt mocno za nią tęsknisz i ona się o ciebie martwi. U niej wszystko w porządku... ale u ciebie nie. Wiem, że jest twoją żoną, bo pokazała mi, jak czekasz na nią przy ołtarzu. W dzień ślubu. Twój smoking ma trochę za krótkie rękawy.*

*Staralem się brzmieć nonszalancko, żeby wytrącić go z roli psychologa. Grzebałem w jego życiu, żeby przestał grzebać w mojej głowie. Ale dotkliwa rozpacz, która przetoczyła się przez jego twarz, kazała mi przestać i złagodzić głos. Widząc jego cierpienie, nie byłem w stanie tego ciągnąć. Zawstydyłem się i opuściłem wzrok. W końcu doktor Andelin odzyskał głos.*

*— Moja żona Cora wracała samochodem z pracy. Policja podejrzewa, że oślepiło ją słońce odbijające się w śniegu. Odbicie jak u góry, gdy leży się na kanapie, wiecie. Uderzyła w barierkę. Samochód wylądował w rzece dachem do góry. I... utonęła.*

*Przekazał to suchym, rzeczowym tonem, lecz ręce mu drżały, gdy gładził się po brodzie.*

*W którymś momencie podczas tej opowieści furia Taga zniknęła. Patrzył to na mnie, to na doktora Andelina z dezorientacją i współczuciem. Cora Andelin wcale jednak nie zniknęła, bo zaczęła się zachowywać tak, jakby nie miała ani chwili do stracenia, skoro już zdobyłem uwagę doktora.*

*— Masło orzechowe, płyn do zmiękczenia tkanin Downey, Harry Connick junior, parasolki... — urwałem, bo następny obraz był bardzo intymny. Postanowiłem jednak mimo wszystko dokończyć. — Pańska broda. Uwielbiała ją czuć, gdy... — Musiałem przerwać. Uprawiali seks, a ja nie miałem ochoty oglądać nagiej żony tego faceta. A tym bardziej jego. Lecz to właśnie jego pokazywała mi żona.*

*Doktor Andelin dał się złapać. Jego niebieskie oczy były zamglone wspomnieniami i czymś jeszcze. Wdzięcznością. Jego niebieskie oczy były przepelnione wdzięcznością.*

*— To były jej ulubione rzeczy. W dzień ślubu szła do ołtarza do piosenki Harry'ego Connicka. I faktycznie, miałem trochę za krótkie rękawy. Zawsze się z tego śmiała i mówiła, że to typowy ja. A jej kolekcja parasoli była po prostu niedorzecznie pokaźna — wyznał łamiącym się głosem i opuścił wzrok na swoje dłonie.*

*W pomieszczeniu zrobiło się gęsto od współczucia i takiej namiętności, że gdyby pozostała piątka widziała to co ja, odwróciłaby wzrok, żeby dać kochankom chwilę dla siebie. Niestety, tylko ja widziałem, jak żona Noaha Andelina pogłaskała jego pochyloną głowę, a potem jej miękkie kontury rozplynęły się w blasku późnego popołudnia.*

Dziwne. Od opuszczenia Montlake nie pomyślałem o Corze Andelin. Nie widziałem jej też od tego czasu, tak jak przypuszczałem. Ale wspomnienie było tak wyraźne i konkretne, że miałem wrażenie *déjà vu*, jakby Tag nie był jedyną osobą, która o niej śniła. Do dzisiaj mam wypalony pod powiekami wyraz twarzy doktora Andelina, gdy powiedziałem mu, że widzę jego żonę. Rzuciłem mu w twarz wszystkie cenne szczegóły z jej życia i z ich wspólnego życia, bo chciałem odwieść go od zbyt dogłębnego przyglądania się mojemu życiu. Cóż, w tamtych czasach byłem tego typu dupkiem.

— Pamiętasz, jak powiedziałeś, że u niej wszystko w porządku, a u doktora nie?  
— spytał Tag.

Przytaknąłem z niedowierzaniem. *Podążyła za tobą przez całą sesję. Zbyt mocno za nią tęsknisz i ona się o ciebie martwi. U niej wszystko w porządku... ale u ciebie nie.*

— To dlatego się pojawiła. Martwiła się o niego — powiedział.

— Nie wierzę, że to pamiętasz — wykrzyknąłem zdumiony.

— Niektórych rzeczy się nie zapomina, Mo. — Tag zaklął. — Tego *nigdy* nie zapomnę. — Potrząsnął głową, jakby te obrazy wciąż go prześladowały. — Jak myślisz, czy moja siostra... I nie okłamuj mnie, Mo. Wiem, że ostatnio widziałeś ją kilka razy. Myślisz, że moja siostra się po prostu o mnie martwi? — W jego głosie pobrzmiwała tęskna nuta, która wskrzesiła w moim sercu iskrę nadziei.

— Może tak być — odpowiedziałem cicho, próbując ją rozniecić.

Przytaknął i odstawił pusty kubek na ziemię. Ale ja nie chciałem jeszcze porzucić tematu Montlake.

— Zanim wyjechaliśmy z Montlake, poprosiłeś mnie, żebym utrzymał cię przy życiu. Powiedziałeś, że mam cię powalić, związać, cokolwiek będzie konieczne. Pamiętasz to? — spytałem, nie patrząc na niego. Nie byłbym w stanie utrzymać emocji w ryzach, gdybym spojrzał.

— Tak. Pamiętam — odparł.

— Zgodziłem się. — Musiałem przerwać na chwilę. Wziąłem kilka głębokich wdechów i potężny łyk kawy, żeby ugasić palenie w gardle i zmniejszyć ból w piersi. — I zamierzam dotrzymać tej obietnicy — dodałem. Ostatnie słowo wymówiłem łamiącym się głosem.

Gdy nie odpowiedział, zebrałem się na odwagę i odwróciłem się do niego.

Jego gardło pracowało wytrwale, chociaż nie miał już kawy. Pocierał szczękę, zasłaniając dłonią drżące wargi. Widziałem, że próbuje nie pęknąć, tak jak ja.

— Nie potrafię leczyć raka, Tag. I z całą pewnością nie mam takiej mocy, aby sprawić, że ukochane osoby nigdy mnie nie opuszczą. Nie byłem w stanie ocalić Gi. Nie ocaliłem Eliego. Ale mam pewne wpływy po drugiej stronie. Oni wszyscy będą najpierw musieli zmierzyć się ze mną, jeśli chcą cię zabrać.

Tag przytakiwał.

— No dobrze — szepnął. — Dobrze. Ale Mo, jeśli to nie wystarczy... Jeśli koniec końców to nie wystarczy, chcę, żebyś zaopiekował się Millie i Henrym. Millie ci na to nie pozwoli. Jest uparta jak osioł. Ale dopilnuj, żeby nie przestała tańczyć. Nie cierpię tego, ale ona to uwielbia. A to jest najważniejsze. Upewnij się, że robi to, co uwielbia. Nie pozwól jej zbyt długo rozpaczać. Nie pozwól jej rozpaczać tak, jak robił to doktor Andelin, przy którym unosił się duch jego żony, bo on nie potrafił się z nią rozstać. Pomóż jej się ze mną rozstać. Powiedz, że jestem szczęśliwy. Nazmysłaj coś.

Parsknąłem, a śmiech i łzy walczyły ze sobą o dominację.

— Powiedz jej, że walczę z legendami w niebie, że biegam po łąkach pełnych kwiatów i że hurysy karmią mnie winogronami... Pieprzyć to. To by się jej nie spodobało. Powiedz jej po prostu, że jem winogrona.

Zacząłem się śmiać jeszcze bardziej i otarłem oczy.

— Będę walczył, Mo. Będę walczył jak lew do ostatniej rundy. Ale jeśli dzwonek odezwie się raczej wcześniej niż później, musisz mi obiecać, że zaopiekujesz się moją dziewczyną. Umowa stoi?

— Stoi — szepnąłem. Obaj zamilkliśmy na chwilę, przetrawiając żal, wdzięczność i ironię tego, że każdy smutek ma w sobie pewną słodycz.

Usłyszałem otwieranie drzwi i pochyliłem głowę, bo nie byłem gotowy na publiczność. Ale to była Millie, a ona nie mogła zobaczyć moich łez. Jej twarz była błyszcząca i różowa, jakby właśnie ją umyła, a ciemne, gładkie i grube włosy opadały falami na ramiona. Trzymała w dłoni kubek kawy, co oznaczało, że zrobiony przeze mnie dzbanek się skończył. Drugą dłoń wyciągała przed siebie.

— Gdzie jesteś, Dawidzie? — spytała, wymawiając jego imię, jakby to było czułe słówko.

— Tutaj, kochanie. — Tag wziął ją za rękę i poprowadził na swoje kolana. Wziął jej kawę i upił łyk, a ona pocałowała go w głowę. Lewą ręką obejmowała go za szyję i zauważyłem, że na palcu ma pierścionek. Serce urosło mi w piersi i przez chwilę została tylko słodycz, chociaż wcale nie byłem zaskoczony.

Przypomniałem sobie obraz, który został mi pokazany poprzedniego dnia.

— Znowu widziałem twoją mamę, Millie — powiedziałem cicho. Tag odwrócił do mnie zmęczoną twarz i spojrzał na mnie przenikliwie. Millie też się odwróciła, jakby otwierała umysł na to, co niemożliwe. — Widziałem ją wczoraj, zaledwie przez chwilę. Myślę, że chciałyby, żebyś założyła jej welon.



ZADZWONIŁA DO MNIE MILLIE. Jej przerażony i drżący głos tak bardzo przypominał mi rozmowę, jaką odbyliśmy sześć tygodni wcześniej, gdy szukała Taga, że natychmiast zalał mnie ten sam przeraźliwy strach.

Tydzień temu widziałem się z nimi na weselu i byłem pełen nadziei. Byłem przekonany, że uda im się pokonać przeciwności. Nie tylko raka, lecz wszelkie przeciwności. Szaleli za sobą, a ich piękno i wzajemne oddanie były wręcz namacalne, niczym różowe tętno, które pragnąłem uwiecznić na płótnie. Wszystko działo się szybko, co było w stylu Taga, ale bez zbędnego pośpiechu. We właściwym tempie. Zaimprovizowane wesele i przyjęcie w barze Taga wzbudziły we mnie żal, że nie mogę jeszcze raz poślubić Georgii. Swoją drogą, byłem z Georgią na przyjęciu z tańcami po raz pierwszy od naszego wesela.

— Mojżeszu?

— Co się stało, Millie?

— Jutro mieliśmy zacząć chemioterapię. Ale Tag ma przez cały dzień gorączkę. Jest chory, Mojżeszu, poważnie chory, i chcę, żeby poszedł do szpitala. Lecz on mówi, że poczeka do jutra, skoro ma umówioną wizytę. Nie chcę czekać. Mogłabym zadzwonić do Axela lub Mikeya, ale on jest ich szefem. Zazwyczaj robią to, co im powie, nawet jeśli jest idiotą.

— Już jadę.

Tag wcale aż tak bardzo się nie opierał. Gdy przyjechałem do nich półtorej godziny później, był zbyt chory, żeby ze mną dyskutować, chociaż puścił mi oczko i uparł się, że usiadzie z tyłu z Millie, żeby móc trzymać ją za rękę. Nie mieli miesiąca miodowego, lecz Millie stwierdziła, że to bez znaczenia. Bardziej była zainteresowana tym, by mieć męża. Miesiąc miodowy mógł poczekać, a chemioterapia nie. Henry nie chciał jechać do szpitala. Nie dziwiłem mu się, bo sam też wolałbym tam nie wracać. Został więc z Robin, która niezbyt dobrze ukrywała swój strach. Zresztą nikt z nas nie był w tym zbyt dobry.

— Wrócę, Henry — obiecał Tag. — Nagraj mi walki, dobrze? Zamówiłem je w systemie pay-per-view, więc gdy wrócę, chcę wysłuchać relacji — powiedział.

Tag miał podwyższony poziom białych krwinek, lecz płytek krwi było wystarczająco dużo i według lekarza można było rozpocząć chemioterapię.



Przyjęli Taga na obserwację, lecz nie znaleźli żadnej infekcji ani czegokolwiek innego, co wywoływałoby gorączkę. Ostatecznie, dwadzieścia cztery godziny później, stwierdzili, że gorączka była objawem samoistnej próby podjęcia walki z rakiem przez ciało.

Po opanowaniu gorączki i wobec braku innych powodów do odkładania leczenia podano Tagowi w szpitalu pierwszą dawkę chemii. Leżał wygodnie z Millie u boku i udało mu się nawet przekonać lekarzy, że powinni wypuścić go do domu, gdy tylko skończą.

Nagle zaczęły się drgawki. Tag trząsał się tak bardzo, że całe łóżko drżało razem z nim i w bardzo krótkim czasie przeszedł od wygodnego leżenia do ocierania się o śmierć. Pobiegłem po pielęgniarkę, która nic nie mogła dla niego zrobić i wezwała doktora. Drgawki nie ustawały. Wyglądało to jak kolejny atak, ale Tag był w pełni świadomy i czuł targający nim ból, który zdawał się nie mieć końca.

— Nie pozwól im m-m-mnie o-o-ocalić, Millie. N-nie chcę być po-po-podpięty d-do cz-czego-gokolwiek, co t-trzeba będzie k-k-koniec k-końców w-w-wyłączyć. N-n-nie chcę t-tego — wyjąkał, zgrzytając zębami z wysiłku. — O-obie-biecaj m-mi, że p-p-pozwolesz m-mi o-odejść.

— Dobrze, Dawidzie. Dobrze, obiecuję. Obiecuję — powiedziała śpiwnie półgłosem, lecz oczy miała szeroko otwarte, jakby z całych sił próbowała go zobaczyć, jakby skupiała na nim całą swoją energię i nie chciała, żeby między nimi były jakiegokolwiek bariery, nawet jej zamknięte oczy. Tag odwrócił się na bok i przyciskał czoło do jej piersi. Z trudem go utrzymywała przy sobie, bo gwałtowność drgawek ją odtrącała i sprawiała, że jej zęby także szczerkały. Ale nie puszczała go. W pewnym momencie poprosił o coś do włożenia między zęby, bo usta zaczęły mu krwawić od przygryzionego języka. Udało mu się jednak utrzymać głowę przy jej piersi, chociaż całe ciało miotano się dziko na wąskim łóżku.

— Czasem to obserwujemy — powiedział doktor bezradnie, gdy w końcu do niego dotarliśmy. — Chemia atakuje raka. W tej chwili rozgrywa się walka, a jego ciało po prostu na nią reaguje.

Nie powiedział nam jednak, czy Tag w tej walce zwycięży. I przez cztery długie godziny nikt z nas tego nie wiedział. W pewnym momencie musiałem wyjść z pokoju, żeby się opanować, zadzwonić do Georgii i wzmocnić ściany. Jeśli mój najlepszy przyjaciel umierał, nie chciałem tego wiedzieć. Nie chciałem zobaczyć jego zmarłej siostry przy jego ramieniu ani jego prababci czekającej cierpliwie, aż przejdzie na drugą stronę. Nie chciałem tego. Wolałem nie wiedzieć. Zamykałem na to oczy, bo kluczowa tu była nadzieja. Nadzieja była cenna. A ja nie miałem zamiaru odbierać jej swojemu przyjacielowi ani dziewczynie, która go kochała.

W pewnym momencie pod koniec nocy, gdy drgawki zaczęły ustępować i

najgorsze minęło, Millie wyszła do łazienki, a ja zająłem jej miejsce przy Tagu. Spojrzał na mnie i zapytał:

— Widzisz ich, Mojżeszu? Czy Molly na mnie czeka? Jeśli na mnie czeka, to obaj wiemy, co to oznacza.

— Nie. Nie czeka na ciebie, stary. Jesteśmy tu tylko my. Ty, ja i Millie. Tylko nasza trójka. Twój czas jeszcze nie nadszedł, Tag. — To nie było kłamstwo. Po prostu nie miałem zamiaru uwierzyć w cokolwiek innego.

Tag westchnął głęboko i wziął mnie za rękę.

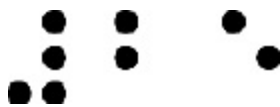
— Kocham cię, Mo.

— Ja też cię kocham. — Po raz pierwszy powiedziałem Tagowi, że go kocham, i po raz pierwszy powiedziałem coś takiego komukolwiek poza Georgią. Te słowa bolały. Gdy mówiłem Georgii, że ją kocham, nie bolało mnie to. Ale teraz? Teraz był rozdzierający ból.

— Wiedziałem — szepnął. I wraz z pokrzepiającym westchnieniem zapadł w sen, a ja przywarłem do niego, zdecydowany na spełnienie obietnicy zatrzymania go na ziemi.

\*\*\*

# Dwadzieścia pięć



TO DZIWNIE. Założyłem Tag Team, bo wiedziałem, że na ringu w oktagonie nikt tak naprawdę nie walczy sam. Stoisz tam i mierzysz się z przeciwnikiem, lecz prawdziwa walka odbywa się całe tygodnie i miesiące, a czasem nawet lata przed zawodami. Chodzi o przygotowania i o zebrany przez ciebie zespół, który ci w tym pomaga. Fighter zawsze ma zespół.

Ze względu na zespół, który na ciebie liczy, nikt nie chce odklepywać. W MMA odklepanie jest gorsze niż przegrana. Jeśli walczysz do końca i przegrasz, to tak naprawdę nie przegrałeś. Lecz jeśli rozpoczniesz walkę i ją odklepiesz? To trudne dla zawodnika. I trudne dla jego zespołu. Destrukcyjne dla morale. Bo oznacza, że nie potraktowałeś przeciwnika poważnie, że nie odrobiłeś zadania domowego i nie przygotowałeś się, że twój zespół nie pomógł ci się przygotować i zostałeś przyłapany ze spodniami na kostkach. Albo się przestraszyłeś i straciłeś wiarę w swoje wytrenowanie. Przestałeś wierzyć w siebie. Przestałeś wierzyć w swój zespół. I odklepałeś. A po czymś takim trudno wrócić.

Nikt nie walczy sam. To było moje motto w Tag Team, tyle że dla innych. To było moje motto dla kolegów z zespołu, które nie odnosiło się do mnie. *Ja* byłem zespołem i *ja* chciałem być zespołem dla innych. Powiedziałem Millie przed walką z Santosem, że każdy walczy sam. Wydaje mi się, że głęboko w środku nie chciałem, żeby ktokolwiek za mnie walczył. Głupie? Banalne? Być może. Ale taki jestem. Albo raczej byłem.

Mój cel w tej chwili? Żadnego odklepywania. Utrzymać się. Zostać na ringu. Walczyć. Powiedziałem Mojżeszowi, że gdy zadzwoni dzwonek, trzeba walczyć. I jak na razie mój zespół pomaga mi przez to przejść. Mój cały zespół.

Chłopcy z zespołu przyszli na mój ślub w koszulkach Tag Team. W sumie to wszyscy goście mieli taką koszulkę na sukience lub pod garniturem. Henry założył swoją pod marynarkę. Mojżesz był jak zwykle cały na czarno i miał

okulary przeciwsłoneczne, których ani razu nie zdjął, chociaż ceremonia odbywała się w ulubionym starym kościele Millie. Okulary ukrywały jego oczy, a ja wiem, że płakał. Ja też, ale ja nie czułem potrzeby, żeby to ukrywać. Miałem przy sobie mnóstwo ludzi, na których mi zależało i którzy się o mnie troszczyli. To był z całą pewnością najlepszy dzień pod słońcem, co dowodziło, że mimo zdiagnozowanego raka wciąż można przeżyć taki dzień. Wciąż można przeżyć mnóstwo takich dni.

Henry poprowadził Millie do ołtarza. Miała na sobie welon mamy i białą koronkową sukienkę, która wyglądała jak z innej epoki. Być może tej, którą opisałem na naszym pierwszym spotkaniu. Gdy patrzyłem, jak zmierza do mnie w tej sukience, zacząłem wierzyć w przeznaczenie i w cały ten szajs, z którego zawsze z Mojżeszem się śmialiśmy. Chociaż może nie chodziło o sukienkę, tylko o to, że Millie była po prostu piękna. Patrząc na nią, cieszyłem się, że żyję. Ale w sumie zawsze tak na mnie działała.

Potem było przyjęcie w barze, które bardziej przypominało after party. Tańczyłem z Millie, aż zabrakło nam tchu i wyszliśmy, gdy impreza była w rozkwicie. Nie mogłem prowadzić, więc Mikey odegrał rolę szofera i zawiózł nas do hotelu samochodem z przywiązanymi do zderzaka rękawicami bokerskimi, puszkami i butami Axela o rozmiarze 49. Grała wybrana przez Millie piosenka *Accidental Babies*, a my całowaliśmy się na tylnym siedzeniu.

Skoro już mowa o „accidental babies”<sup>[1]</sup>, dokładnie miesiąc po ślubie okazało się, że Millie jest w ciąży. Tak naprawdę to wcale nie był przypadek. Millie chyba celowo do tego dążyła. Po rozpoczęciu chemioterapii i naświetlań aż do końca nie pojawiłby się żaden mały Taggert — cokolwiek oznaczał „koniec”. Dlatego zadbała o to wcześniej. Umacniała zespół, zatrudniając nowych rekrutów i pilnując, bym miał jak najwięcej powodów do kontynuowania walki. Cały czas kierowaliśmy się mottem „wszystko albo nic”. Celebrowaliśmy tę wieść i ignorowaliśmy kryjących się w cieniu gigantów, którzy wzbudzali strach przed przyszłością.

Cieszyłem się, że już wkrótce nie będzie mogła tańczyć na tej cholernej rurze. Nie żebym chciał uwalniać swojego wewnętrznego jaskiniowca — a bądźmy szczerzy, on lubił się uwalniać — ale nie powiem, żebym był szczęśliwy z tego powodu, że inni faceci patrzą na moją żonę tańczącą na rurze. Zasugerowałem jej, że mogłaby zamiast tego pograć kilka wieczorów na gitarze, lecz wyglądało na to, że wystarczy jej tańczenie w piwnicy. Prócz tego do harmonogramu zajęć w siłowni dodała jogę prenatalną, przyciągając tym całkiem sporo nowych członkiń.

Mojżesz robił co w jego mocy, żeby utrzymać śmierć z dala, a ja pozwalałem mu wierzyć, że ma taką możliwość. Przy pierwszej rundzie chemii byłem tak blisko śmierci, że wiedziałem swoje. Nikt nie będzie w stanie jej odeprzeć, gdy w końcu przyjdzie. Widziałem jej przyjście u wielu cierpiących wokół mnie w

klinice, w której się leczyłem. Byłem wdzięczny, że Millie ich nie widzi. Miała swego rodzaju szczęście.

Zostałem skierowany do Huntsman Cancer Institute i dalsze badania wykazały, że mój rak cofnął się z fazy czwartej glejaka do fazy trzeciej gwiaździka anaplastycznego. To była dobra nowina. Wspaniała. Nieuleczalna choroba zmieniła się w chorobę dającą nadzieję. Dobra nowina jednak nieco przybladła, gdy pozostałości usuniętego guza nie chciały zniknąć i miesiąc po miesiącu wyniki rezonansu zasadniczo się nie zmieniały.

Dobra wieść czy zła, my i tak świętowaliśmy. Śmiałyśmy się. Kochaliśmy się. Ja śpiewałem, a Millie tańczyła, nawet jeśli robiliśmy to tylko dla siebie. Powiedziała, że nie straci mnie, dopóki będę śpiewał. I wyglądało na to, że ta metoda działa. Jej brzuch się rozwijał, moje interesy też, a najbardziej rozwijał się Henry. W wakacje wyrósł i zaczął pracować nad mięśniami pod okiem trenerów na siłowni. Z krótko obciętych włosami i zmienionym ciałem był niemal nie do rozpoznania, gdy zaczynał trzecią klasę szkoły średniej.

Przestał wypatrywać gigantów za każdym rogiem. Zamiast gigantów szukaliśmy teraz cudów. Niesamowite było to, że im intensywniej szukaliśmy, tym więcej ich znajdowaliśmy, a Henry prowadził szczegółowe raporty z naszych poszukiwań, które to raporty codziennie nam recytował.



PORÓD MILLIE TRWAŁ bardzo długo. Za długo. Ale daliśmy radę. Wszyscy daliśmy radę. Millie zniosła to jak mistrzyni, co nie było zaskoczeniem, bo była dobra niemal we wszystkim, czego się tknęła. Urodziła sporego chłopca — 4,3 kilograma, 56 centymetrów. Tak bardzo mnie przypominał, że mogłem się tylko śmiać... i płakać. Jego łysa głowa jeszcze bardziej upodabniała go do mnie. Po naświetlaniach straciłem wszystkie włosy, lecz nawet gdy odrosły, obcinałem je na krótko. Henry przytaknął dostojnie, jakby nasze podobieństwo było czymś oczywistym.

Millie wymyśliła, że powinniśmy pozwolić Henry'emu wybrać imię, więc nastawiałem się na syna nazwanego na cześć japońskiej wołowiny lub jakimś równie egzotycznym mianem, które absolutnie nie będzie pasowało do małego białego chłopca. Lecz Henry dobrze się zastanowił, po czym ogłosił, że mamy przed sobą Dawida Mojżesza. Spodobało mi się to. Co interesujące, Millie, która nigdy nie pałała miłością do mojego nazwiska, nazywała naszego syna Mo. Powiedziała, że ja jestem jej Dawidem, a nasz mały człowieczek potrzebował własnej tożsamości w domu. Była przekonana, że Mojżesz nie będzie miał nic przeciwko. Gdy Mojżesz to usłyszał, powiedział, że mały Mo może sobie wziąć jego nazwisko, bo on go nie chce. Nie znosił, gdy nazywałem go „Mo”. Wiedziałem jednak, że w głębi duszy był zachwycony.

Mały Mo był dużym dzieckiem, ale mimo to i tak był tak mały, że nosiliśmy go przez trzy dni bez przerwy z obawy, że stracimy go, gdy go odłożymy. Kilka dni przed porodem Millie miała kryzys i mówiła, że boi się, iż nie będzie w stanie zająć się naszym dzieckiem, ale ja nigdy w nią nie wątpiłem. Miała talent. Jeśli czegoś nie wiedziała, rozgryzała to, i to szybko. Podchodziła do macierzyństwa w taki sam sposób jak do wszystkiego, a dla Henry'ego od dawna odgrywała rolę matki, więc nie do końca była debiutantką w tym zajęciu.

Zastanawiałem się, ile jest na świecie niewidomych matek. Wiedziałem, że nawet jeśli jakieś są, nie ma ich zbyt wiele. Millie zażądała, żebym opisał jej każdy szczegół, gdy badała dłońmi jego drobniutkie ciało i miniaturowe cechy. Nos jak guzik, usta w kształcie łuku, malutkie uszy i cienkie jak papier powieki. Paluszki rąk i nóg, wypukłości kręgow kręgosłupa, wzgórze brzuszka. Wiele razy przyłapywałem ją na troskliwym eksplorowaniu jego ciała, jakby nie chciała absolutnie niczego przegapić. Było mi smutno, że go nie widzi i że nigdy nie zobaczy twarzy swojego syna. Mojej twarzy w sumie też nigdy nie zobaczy. Lecz Millie była przekonana, że gdyby nagle przejrzała na oczy, od razu by nas rozpoznała. Może miała rację. Może tak naprawdę widziała nas lepiej, bo poświęcała czas, by nas dotykać, czuć, znajdować i poznawać.

Spała, a w łagodnym blasku księżycy wpadającym przez okno pokoju widziałem jej jasną rękę i ciemne jezioro włosów na białej poduszce. Była pracowita, moja trafnie nazwana Amelie. Dotrzymywała słowa i opiekowała się mną przynajmniej w takim samym stopniu, jak ja opiekowałem się nią, a może nawet w większym.

Siedziałem, obserwując ją, jak śpi, i trzymałem na rękach naszego dwutygodniowego syna. Miałem dłoń na jego plecach i czułem, jak jego ciało wznosi się i opada, gdy na zmianę wciągał życie w płuca i je wypuszczał. Pyzatym policzkiem opierał się o moją skórę nad rozpięciem koszuli i czułem, jak mnie ślini. Zasnął podczas karmienia, a ja wziąłem go od Millie do odbicia, żeby mogła sobie odpocząć i żebym mógł go potrzymać. Jadł bez przerwy i byłem przekonany, że robi to dlatego, że podoba mu się miejsce, z którego wypływa mleko. Jak to się mówiło o chłopcach i cyckach? Mo płakał, gdy próbowaliśmy go oderwać, a ja zacząłem mówić: „Mo chce jeszcze”, co podsunęło mi pomysł, by umieścić taki napis na koszulkach Tag Team. Mógłbym nawet uruchomić linię ubranek dla dzieci — Mo & Co — lub dla matek — Millie & Mo. To drugie podobało mi się nawet bardziej.

— Mo zawsze chce jeszcze, prawda, wielkoludzie? — szepnąłem i pocałowałem go w delikatną główkę. Pachniał piersiami. Innymi słowy: pachniał niebem. Brzmiał też jak niebo, nawet gdy płakał. Gdy tylko przyszedł na świat, Millie obwieściła, że jego donośny krzyk jest kolejnym z jej ulubionych odgłosów. Krzyczał, jakby jego życie się kończyło, a nie dopiero zaczynało.

— Tata też chce jeszcze. Więcej i więcej — szepnąłem, patrząc na jego matkę. Zacząłem nagrywać dla niego taśmy. Mogłem się przerzucić na dyktafon

cyfrowy, ale wolałem taśmy. Lubiłem ich namacalność. Millie stwierdziła, że przegra je wszystkie na płyty, a ja nie miałem nic przeciwko. Nadal jednak nagrywałem taśmy i miałem już dość pokaźny stos. Stanowiły słowny pamiętnik poprzedniego roku, mojego życia i naszego wspólnego życia. A teraz nagrywałem je dla małego Mo.

— Dawidzie? — wyszeptała Millie zaspanym głosem i powoli poklepała pościel obok siebie.

— Trzymam go. Śpij dalej, Mała Millie.

Myślałem, że zasnęła, bo bardzo długo się nie odzywała. Oboje byliśmy zmęczeni. Wręcz wyczerpani. Ostatni rok był dla nas drogą przez piekło i niebo. Muzyka i niedola. To nie była łatwa walka, a ja wciąż nie pozbyłem się raka. Na razie jednak nie przegrywałem. Może w końcu przegram. Może tak być. Ale nie myślałem o tym.

— Teraz nie umiem wyrzucić z głowy tej piosenki — powiedziała nagle, aż się wzdrygnąłem, a Mo wydał usta i wydał z siebie najsmutniejszy jęk, jaki kiedykolwiek słyszano.

Westchnęliśmy z Millie jednocześnie, a nasze zsynchronizowane „aaaach” miało wznoszącą intonację i przekazywało dzielone przez nas przekonanie, że Mo jest najśłodsza istotą na świecie. Jęk przerodził się w nerwowe ssanie. Mo zaczął odbijać się główką od mojego torsu i szukać szeroko otwartymi ustami czegoś, czego nie mogłem mu dać, więc musiałem go oddać matce.

Millie usłyszała, że się zbliżam, i wyciągnęła po niego dłonie. Przytuliła go do siebie i dała mu to, czego bez przerwy chciał.

— Rozpuszczony jak dziadowski bicz — szepnąłem, kładąc się obok niej. Wyglądali zbyt pięknie razem, żeby oderwać od nich wzrok.

— On nie jest rozpuszczony. To dziecko — odszepnęła Millie, a na jej ustach igrał nieznacznym uśmiech.

— Nie mówiłem o nim, tylko o sobie — odparłem cicho.

Pocałowałem ją, a ona zaczęła śpiewać.

— Kocham twoje nogi, kocham twoje ręce, ale to miejsce, o tutaj, kocham najgoręcej — zanuciła.

— To ta piosenka utkwiała ci w głowie? — zachichotałem cicho.

— Tak — szepnęła z udawaną rozpaczą. — Potrzebuję kolejnego wersu, bo nic nie rymuje się z „Dawid”.

Zaśmiałem się ponownie.

— Kocham cię mocniej z każdą godziną i będę cię kochał, gdy nasze dni już przeminą — powiedziałem.

- O, tak lepiej — westchnęła.
- Kocham cię tak bardzo, że życia mi nie starczy — zanuciłem.
- Kocham cię nawet wtedy, gdy walczysz — dopowiedziała kolejny wers.
- Uwielbiam walczyć — powiedziałem przekornie.
- Wiem — odparła czułym głosem. — To najbardziej w tobie kocham.

Pocałowałem ją znowu i zapomniałem o piosence. Całowałem ją tak długo, aż nasze powieki zrobiły się ciężkie, a Mo między nami zaczął wierzgać. Wziąłem go na ręce po raz kolejny i pozwoliłem jej zasnąć. Tuląc syna, opowiedziałem mu o swojej pierwszej walce. Chyba go to ukołysało i dla mnie też to było kojące. Wspomnienie adrenaliny oraz tego, że naprawiłem to, co było złe, zdobyłem coś i wyszedłem z tej konfrontacji zwycięsko.

Mo cicho chrapał na moich ramionach, a ja uśmiechałem się do niego, godząc się z tym, że moje walki nie są dla niego zbyt interesujące. On lubił wyłącznie cycki. Nie mogłem go za to winić, lecz miałem nadzieję, że będę żył dość długo, żeby pomóc mu odkryć także inne przyjemności. Chciałem mu pokazać, jak wymierzyć cios i jak go przyjąć. Chciałem mu pokazać, jak upadać i jak się podnosić, gdy przegrywasz. Nie stoczyłem w życiu zbyt wielu przegranych walk. Prawda była jednak taka, że nie miałem pojęcia, czy tę wygram. Nie mogłem tego wiedzieć.

Moja historia być może nie kończy się cudem, ale wcale mi nie zależy na jej zakończeniu, więc będę przyjmował cuda, jakie przytrafią mi się po drodze, i unikał zakończenia. Odkryłem, że nie muszę widzieć, co mam przed sobą, żeby iść dalej. Millie mnie tego nauczyła.

Zaleta kochania niewidomej dziewczyny.

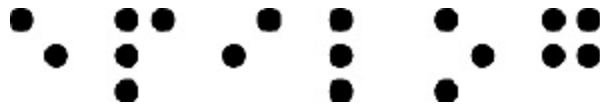
\*\*\*

---

[1] *Accidental babies* (ang.) — „przypadkowe dzieci” — *przyp. tłum.*



# Epilog



## Mojżesz

WSZYSCY UMRZEMY. Tak skończy się historia każdego z nas. Bez odstępstw i wyjątków. Wszyscy umrzemy. Młodzi, starzy, silni, słabi. Każdy z nas, prędzej lub później. Zaakceptowałem to, może nawet bardziej niż większość ludzi, ale nie sędzę, żebym kiedykolwiek się z tym pogodził.

Gdy pogoda na to pozwala, lubię chodzić na cmentarz na wzgórzu w południowej części Levan z widokiem na dolinę. Nie ma stamtąd zbyt wiele do oglądania — kilka domów na obrzeżach miasta, pola, autostrada i odległe góry. Widok nie zmienił się zbyt wiele przez ostatnie czterdzieści lat. Na tym cmentarzu leży spora część mojej rodziny. Moja prababcia. Moja matka. Mój syn, którego nie poznałem za życia, także tu spoczywa.

Grób Eliego odwiedzam najczęściej. Lubię zostawiać mu kilka przedmiotów na nagrobku. Błyszczące kamienie, groty strzał, nowy pędzel i małego plastikowego konika. Minęło wiele lat, lecz moje podarunki się nie zmieniły, bo on też się nie zmienił. W moim umyśle zawsze będzie małym chłopcem, który nigdy się nie zestarzeje i czeka gdzieś tam, aż do niego dołączę. Wiem, że nie potrzebuje tego, co mu przynoszę. Wiem też, że nigdy nie chciał takich przedmiotów. Zostawiam je dlatego, że ja tego potrzebuję i że za nim tęsknię. Nadal. Mimo że radziłem sobie bez niego i że moje życie było pełne ukochanych osób, nic nie było w stanie wypełnić pustego miejsca po nim.

Mam też inne tego typu miejsca — małe zabliznione przestrzenie, które w pewnym momencie przestały wyglądać tak jak dawniej. Niegościnne obszary, których nie byłem w stanie wypełnić, w których nic nie chciało wyrosnąć i w których cisza odbija się echem od pustych ścian. Każde z takich miejsc odpowiada nagrobkowi na tym cmentarzu.

Cmentarz w Levan rozrósł się przez te wszystkie lata. Gdy jako młody mężczyzna przyjechałem do miasteczka w poszukiwaniu Georgii i sensu życia, były tu całe rzędy niewykorzystanych miejsc, pasma zielonej trawy czekające na utraconych bliskich. Dziś te rzędy są już wypełnione i dodano do nich nowe, a cmentarz nie jest już taki mały jak kiedyś.

Rodzice Georgii już nie żyją. Kilka lat temu Georgia straciła też brata. Axel zginął w wypadku samochodowym pięć lat po ślubie Millie i Taga. Wszyscy

byliśmy zdruzgotani jego stratą, a gdy jego szwedzka rodzina nie przyjechała i nie odpowiedziała na nasze ponawiane próby nawiązania kontaktu, pochowaliśmy go tutaj, w Levan, wśród naszej rodziny, bo nią właśnie dla nas się stał. Widziałem go raz czy dwa razy — wielkiego blondyna, który po śmierci wyglądał równie krzepko jak za życia. Zawsze się uśmiechał i pokazywał mi obrazy z siłowni, chwile spędzone z Tagiem i zespołem oraz rzeczy, które nie zawsze rozumiałem, ale i tak przenosiłem je na płótno. To były jego skarby — jego „plusy” — i nie musiałem ich rozumieć.

Życie nie zawsze było łatwe dla zespołu, ale życie dla nikogo nie jest łatwe. Kilka lat temu żona Mikeya przegrała walkę z rakiem piersi, a po jej śmierci Mikey także dość szybko się posypał. Ich dzieci były już dorosłe, a on czuł się zmęczony. Był weteranem, ale nie życzył sobie wojskowego pożegnania. Stracił nogę w Iraku, ale znalazł dom w Tag Team. Pragnął być pochowany tu, obok swojej żony. Tak też się stało, sześć miesięcy po jej śmierci, i oboje leżą niedaleko Axela.

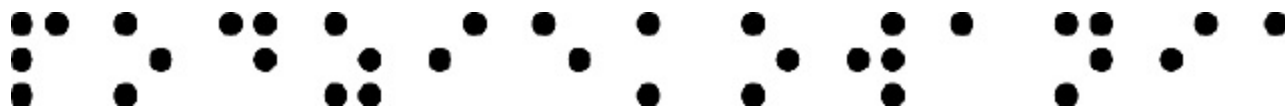
Gdy najmłodszy syn Cory'ego dekadę temu zmarł na białaczkę, także go tu pochowali, bo chcieli, żeby po śmierci spoczął w otoczeniu osób, które kochałyby go za życia, gdyby żyły w tym samym czasie co on. Na jego małym pomniku było wyrzeźbione drzewo. Pochowaliśmy go blisko Eliego, bo miejsce tuż obok niego było już zajęte przez nagrobek z moim nazwiskiem. I nazwiskiem Georgii oraz datami naszych narodzin, myślnikami i pustymi miejscami na daty, które pewnego dnia dopisze nasza śmierć.

Doczekałem się kilkorga wnucząt. Mnie i Georgii urodziły się jeszcze dwie córki — żadnych chłopców po Elim — które już wyszły za mąż i wychowują własne dzieci. Syn Taga poszedł do marynarki wojennej, a potem zajął się polityką. Wygląda tak samo jak ojciec — potężny, zielonooki, z dołeczkami na policzkach i zabójczym podbródkiem. Po matce odziedziczył jednak umiejętność słuchania i pracowitość, a dzięki Henry'emu mózg ma jak encyklopedia. Z senatorem Dawidem Mojżeszem Taggertem trzeba się liczyć, a ludzie zaczęli nawet wspominać o nim jako ewentualnym kandydacie na prezydenta. Potrząsałem tylko głową i miałem nadzieję, że nikt nie przyjedzie do Levan w poszukiwaniu jakichś brudów na temat jego rodziny i przyjaciół. Lubiłem spokój.

Wziąłem głęboki oddech, wypełniając płuca ciszą i przyjemnym powietrzem, po czym schyliłem się i wyrwałem chwast, żeby oczyścić moje cenne skupisko nagrobków. Gdy się wyprostowałem, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Odwróciłem się i zobaczyłem Taga, który zmierzał w moją stronę — szerokie jak zawsze ramiona, proste plecy i szczery uśmiech na twarzy. Na moich ustach wykwitło jego imię, a serce wypełniło się radością na widok dawnego przyjaciela. Minęło już trochę czasu i stęskniłem się za nim.

\*\*\*

# Podziękowania



POWTARZAM TO przy każdej książce, więc musi to być prawdą. Każda kolejna książka jest trudniejsza. Nigdy nie mam tak, że słowa po prostu płyną, a postacie porywają mnie ze sobą. Nigdy nie czuję się pewna siebie i swoich możliwości. Nie jestem w stanie przewidzieć, co się komuś spodoba lub nie spodoba. Nigdy nie wiem, czy książka zostanie zaakceptowana przez moich stałych czytelników. Nie jestem w stanie tego przewidzieć. Muszę jednak przyznać, że jestem dumna z tej książki. Jestem dumna z wysiłku, jaki w nią włożyłam. Cieszę się, że to nie jest łatwe. Gdyby było łatwe, to na końcu nie przepełniałaby mnie taka radość. Trudność zadania zwiększa jego znaczenie. A dla mnie pisarstwo ma znaczenie. Mam nadzieję, że dla Ciebie także.

Tę książkę dedykuję następującym osobom:

Cody'emu Clarkowi, który zmarł zeszłego stycznia po czteroletniej walce z rakiem. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale i tak mnie zainspirował. Dziękuję Ci za Twoją wytrwałą walkę i za to, że nigdy nie zapominałeś o okazywaniu swojej miłości. Obiecuję, że nie zostawię Twojej mamy.

Stephanie Thomas. Twój wdzięk i siła były dla mnie inspiracją. Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoimi doświadczeniami z rakiem. Świat potrzebuje więcej takich kobiet. Obyś nigdy nas nie opuściła.

Nicole Rasmussen, niewidomej matce czwórki pięknych dzieci i oddanej żonie. Dziękuję za nauczenie mnie tak wielu rzeczy, za podzielenie się ze mną historią swojego życia i za bycie wzorowym przykładem determinacji i wytrwałości.

Richardowi Stowellowi i uroczej Ann. Dziękuję Wam za Waszą dobroć i miłość dla siebie nawzajem i dla osób, które pojawiają się na Waszej drodze. Dziękuję za przypomnienie mi, że każda burza kiedyś się kończy.

Serdeczne podziękowania należą się także następującym osobom:

Mojej asystentce Tamarze Debbaut, która jest lojalna, niezłomna, bystra i skuteczna i cierpi razem ze mną. Tak wygląda prawdziwa przyjaźń. Moim dzieciom i mężowi — dla Was jestem lepsza. Bez Was nigdy nie rozwinęłabym

skrzydeł. Jesteście światłem w moim życiu i każdego dnia przypominacie mi o tym, co jest ważne. Dziękuję Wam za Waszą miłość. Najszczęśliwsze podziękowania chciałabym także skierować do rodziców i rodzeństwa. Dziękuję za nieustanne zapewnienia, że jestem kochana i że jesteście ze mnie dumni. Jesteście moimi najzagorzalszymi fanami. Dziękuję też Tinie Kleuker za podzielenie się ze mną swoimi talentami i Mandy Lawler za wiarę w moją twórczość i za pomoc w odnalezieniu się w wydawniczym labiryncie. Karey White, wyjątkowej pisarce i redaktorce, dziękuję za wspaniałą pracę i wsparcie. Hang Le — dziękuję za przepiękną okładkę! Cieszę się, że Twój geniusz stał się częścią mojego dzieła. Julie Titus z JT Formatting — wiesz, że bez Ciebie zgubiłabym się w tym wszystkim. Adamowi Legasowi i Riven Athletics dziękuję za odpowiadanie na moje pytania na temat świata mieszanych sztuk walki. Zespołowi Dystel & Goderich dziękuję za opiekowanie się mną. W końcu dziękuję Wam, czytelniczki i blogerki, za wsparcie w lepszych i gorszych chwilach i za wiarę we mnie i w moje historie. To dzięki Wam to wszystko stało się możliwe. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich z imienia i nazwiska, bo z pewnością zapomniałabym o kimś, kto zasługuje na moje podziękowania. Jestem Wam niezmiernie wdzięczna. Dzięki Wam każdy dzień przynosi mi łązy radości.

\*\*\*



AMY HARMON jest autorką bestsellerów „USA Today” i „New York Timesa”. Od najmłodszych lat wiedziała, że chce być pisarką, i w okresie dorastania dzieliła czas między pisanie piosenek i historii. Wychowywała się bez telewizji

wśród bezkresnych pól pszenicy, gdzie jedyną rozrywkę zapewniało jej rodzeństwo i książki, dzięki czemu wykształciła w sobie silne wyczucie tego, co tworzy dobrą opowieść. Jej książki zostały opublikowane w siedmiu krajach, co jest prawdziwym spełnieniem marzeń dla małej dziewczynki z wiejskich okolic Levan w stanie Utah. Amy Harmon napisała osiem powieści. Jej książki to: *Making Faces*, *Running Barefoot* (bestsellery „USA Today”), *Prawo Mojżesza*, *Infinity + One*, *Slow Dance in Purgatory*, *Prom Night in Purgatory* oraz bestseller „New York Timesa”, *A Different Blue*.

<https://www.authoramyharmon.com>

<https://www.pinterest.com/authoramyharmon>

[https://twitter.com/aharmon\\_author](https://twitter.com/aharmon_author)

<https://www.facebook.com/authoramyharmon>

Inne książki tej autorki:

*Running Barefoot*

*Slow Dance in Purgatory*

*Prom Night in Purgatory*

*A Different Blue*

*Making Faces*

*Infinity + One*

*Prawo Mojżesza*

\*\*\*

# PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW  
w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA  
 **Helion SA**

# Spis treści

<a href="#">Prolog</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Jeden</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dwa</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Trzy</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Cztery</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Pięć</a>	
<a href="#">Sześć</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Siedem</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Osiem</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dziewięć</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dziesięć</a>	
<a href="#">Jedenaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dwanaście</a>	
<a href="#">Trzynaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Czternaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Piętnaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Szesnaście</a>	
<a href="#">Siedemnaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Osiemnaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dziewiętnaście</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	
<a href="#">Dwadzieścia</a>	
<a href="#">Mojżesz</a>	

[Dwadzieścia jeden](#)  
    [Mojżesz](#)  
[Dwadzieścia dwa](#)  
[Dwadzieścia trzy](#)  
    [Mojżesz](#)  
[Dwadzieścia cztery](#)  
    [Mojżesz](#)  
[Dwadzieścia pięć](#)  
[Epilog](#)  
    [Mojżesz](#)  
[Podziękowania](#)